

Niewidoczne



NIEWIDOCZNE

Antologia
Sekcji Literackiej
Śląskiego Klubu Fantastyki



Śląski Klub Fantastyki
Katowice 2022

Niewidoczne – Antologia Sekcji Literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki © 2022
Śląski Klub Fantastyki

Redakcja:

Alicja Tempłowicz
Anna Askaldowicz
Anna Hrycyszyn
Anna Kańtoch

Korekta:

Krzysztof Wójcikiewicz

Ilustracje:

Alicja Tempłowicz

Okładka:

Alicja Tempłowicz

Skład i łamanie:

Michał Dagajew

Wydawca:

Śląski Klub Fantastyki
ul. A. Górnika 5
40-133 Katowice (Koszutka)

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej książki nie może być powielana ani rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakimkolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny), włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-931240-8-4

WSTĘP

Niewidoczny jest zapach i niewidoczne są uczucia. Powietrze, którym oddychamy, fale radiowe i grawitacja. Z całą pewnością niewidoczne są też pomysły, tkwiące jedynie w głowach autorek i autorów, a często i te przekute w spisana historię, lądujące w szufladzie z powodu ciągle doskwierającego młodym twórcom deficytu miejsc, gdzie mogliby je pokazać czytelnikom. Ile ciekawych, mądrych tekstów nie dostanie swojej szansy, by stać się widocznymi? Na to pytanie nie mam odpowiedzi, ale za to wiem, że to przez nie i dla nich powstały „Ścieżki wyobraźni”, których kolejny tom masz właśnie w rękach. W ciągu sześciu lat „Logrus” uwidocznił czterdzieści dziewięć świetnych opowiadań – oto najnowsze z nich.

Życzę miłych poszukiwań niewidocznego!

Anna „Siemomyśla” Hrycyszyn

SPIS TREŚCI

WSTĘP <i>Anna Hrycyszyn</i>	3
AKWAGRAF <i>Paula Wanarska</i>	7
WSPOMNIENIA <i>Agnieszka Żak</i>	45
CHŁOPIEC W SZAFIE <i>Marta Ryczko</i>	73
ŻEGNAJ, MIĘSO <i>Alicja Tempłowicz</i>	97
ZŁA KREW <i>Katarzyna Rupiewicz</i>	149
POCHYŁONY <i>Michał Niedźwiedzki</i>	171
BŁĘKIT <i>Marta Magdalena Lasik</i>	191

Paula Wanarska
AKWAGRAF



Paula Wanarska – Rocznic 1995. Pochodzi z Gdańska, a od niedawna mieszka w Warszawie, gdzie stawia pierwsze kroki w branży gier. Lubi dobrze zjeść, długo spać, układać puzzle oraz włączyć się po górach i lasach. Za pisanie na poważnie wzięła się dopiero kilka lat temu, ale już nie wyobraża sobie, że mogłaby przestać. Debiutowała w „Nowej Fantastyce” w 2019 roku. Swoją pisarską dorobek powiększa powoli, ale z uporem.

Nawet gdy przyszło jej dźwigać worki z cukrem, Nes ani trochę nie żałowała, że matka postanowiła uczynić z niej chłopca.

Zrzuciła ciężar w rogu magazynu, ukucnęła za beczką z solonymi sardelami, skuliła się i objęła za nogi, próbując ogrzać brzuch. Miała nadzieję, że to pozwoli jej choć trochę uśmierzyć ból. Obiecała sobie, że policzy do sześćdziesięciu, no, najwyżej siedemdziesięciu, ale nie więcej, bo wtedy pan Hoggeveen na pewno zauważy jej nieobecność.

Doszła do trzydziestu dwóch, gdy męski głos smagnął ją jak różga:

– Erik! Ile jeszcze mam czekać?!

Poderwała się natychmiast, nie zważając na okropne skurcze w podbrzuszu. Wiedziała, że jeśli prawda wyjdzie na jaw, straci pracę i rodzina zostanie tylko z nędzną wdowią rentą matki. Dlatego spełniała polecenia właściciela nieledwie w podskokach, byle tylko nie dać mu najmniejszego powodu do podejrzeń.

– Idę, psze pana! – odkrzyknęła.

W sklepie był już pierwszy klient, opowiadał panu Hoggeveenowi o pożarze w przędzalni, w którym zginęło co najmniej pięciu robotników. Nes chwyciła kawałek szmaty i zaczęła przecierać ładę, niby przypadkiem zbliżając się do rozmawiających. Chciała usłyszeć jak najwięcej szczegółów, by potem móc wszystko zanotować i sprawdzić, czy wypadek w jakiś sposób odbije się na Rzece.

Większość ludzi uważała Rzeki za kolejną nieprzewidywalną i bezrozumną siłę natury – jak wiatr i ulewy, susze i zabójcze mrozy. Nes jednak sądziła, że pływami muszą rządzić jakieś prawa, nawet jeśli nie dało się ich dostrzec na pierwszy rzut oka. Przecież gdyby było inaczej, czy akwagrafowie spędzaliby całe lata na kreśleniu swoich map i prognoz?

– Erik, zostaw to już! – Pan Hoggeveen stracił cierpliwość. – Sam mam obsługiwać klientów?

Nes posłusznie zajęła miejsce przy wadze. Wytarła wilgotne dłonie o spodnie i przy okazji zauważyła, że ręce drżą jej od wysiłku. To nie był dobry znak, bo właściciel sklepu wymagał od niej doskonałej zręczności podczas ważenia. Przy każdej transakcji miała przyciskać szalkę, na której kładła towar; przyciskać porządnie, ale na tyle szybko i dyskretnie, by klient tego nie zauważył. Wiedziała, co na ten temat powiedziałyby matka, jak bardzo byłaby rozczarowana takim oszustwem. Ale to pan Hoggeveen jej płacił.

Wolała swoją poprzednią posadę w kantorze pana Grausa: praca skryby była mniej wyczerpująca fizycznie, a do tego pozwalała doskonalić umiejętność liczenia i kaligrafii. Jednak po kilku miesiącach pan Graus zaczął domyślać się prawdy. Nes była wdzięczna, że nie zadawał pytań ani nie doniósł na nią policji, tylko po prostu ją zwolnił.

– Dobrze, całkiem dobrze – wymruczał pan Hoggeveen, gdy drzwi zamknęły się za piętnastym już klientem. – Stań teraz sam za ladą, ja muszę coś dokończyć na górze.

Dziewczyna pokiwała głową; przestała już rozróżniać, gdzie kończy się piekący ból promieniujący od ramion i pleców, a zaczyna ten rozlewający się od podbrzusza. Bała się, że krew zapłami jej spodnie i wszyscy się dowiedzą. Zaczynało jej się kręcić w głowie i miała wrażenie, że w każdej chwili może zasłabnąć.

Zerknęła na zegar stojący na półce po prawej. Odkąd weszła do sklepu, dłuższa wskazówka zdążyła obieć tarczę dopiero dwa razy.

* * *

Ściemniało się już, gdy Nes wracała do domu, i latarnik właśnie zapalał uliczne światła. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie pójść okrężną drogą, tak by móc choć przez chwilę spojrzeć na Rzekę, ale w końcu zrezygnowała. Była zmęczona i obolała, a poza tym musiała się spieszyć, jeśli chciała zdążyć na kolację.

W wieczornym półmroku rozjaśnianym tylko ciepłym, przytłumionym blaskiem latarń i od czasu do czasu nikłym światłem płynącym z okien, jej dzielnica wyglądała jakoś ładniej niż za dnia. Nie było widać, jak bardzo osmalone są ściany domów i ile śmieci wala się po ulicach; nawet skulone w cieniu sylwetki żebraków nabierały jakiejś posępnej godności. Tylko fakt, że w oknach

na parterze paliły się światła i wisiały firany, zdradzał, że mieszkają tutaj biedni robotnicy; żadna porządna rodzina nie mieszkałaby tak nisko, narażając się na podmycie podczas wylewów Rzeki.

Nes zatrzymała się na chwilę przy drzewie pośrodku niewielkiego placu: było dziwacznie poskręcane i jakby napuchnięte, jego ciemna kora odbijała światło latarni niczym szkło. Jeszcze niedawno rodiło wyjątkowo soczyste jabłka, dziewczyna napychała nimi kieszenie w drodze do pracy. Jednak odkąd środkiem placu popłynął Strumień – jeden z tych wąskich i efemerycznych, które pojawiają się tylko podczas wyjątkowo silnego wezbrania Rzeki – jabłoń stała się chora i odrażająca, wydawała wyłącznie kolczaste owoce, których nikt nie miał odwagi zrywać. Nes spędziła tamto wylanie, siedząc na strychu razem z matką i siostrami, bo nie stać ich było na miejsce w jednym z azylów wzniesionych na sztucznie usypanych kopcach. Była to jednak zbędna ostrożność: ich ulica znajdowała się dostatecznie daleko od znanych Strumieni i tylko naprawdę katastrofalny przybór Rzeki mógł im zagrozić.

Zresztą wylewy nie zawsze stwarzały zagrożenie – czasem Strumienie pozostawiały po sobie tylko migotliwe ślady na murach i bruku, podobne do rozrzuconych odłamków witraży; czasem dotknięcie nurtu pozwalało wyleczyć suchoty albo ospę. Kiedy indziej jednak przybierająca Rzeką niosła ze sobą chorobę, skrzywienie i obłęd, a ludzi odmieniała łatwiej niż kamień czy drewno.

W mieście rezydował akwagraf, którego zadaniem było nanosić na miejskie mapy Rzekę i jej Strumienie, oznaczać zagrożone obszary i strzec mieszkańców przed kaprysmi żywiołu. Był jednak człowiekiem ograniczonym i o miernych umiejętnościach – tak zawsze powtarzał ojciec Nes – nie umiał przewidzieć zmian i nie interesowały go przyczyny kaprysów Rzeki czy jakiegokolwiek anomalie.

Nes próbowała kreślić własne mapy, ale nikt nigdy nie nauczył jej tej sztuki – urodziła się w końcu dziewczynką i nie mogła wstąpić na uniwersytet – więc leżące w jej pokoju arkusze pełne były krzywo poprowadzonych ulic i kolorowych linii. Na przykład Strumień, który przemknął Straganiarską i odmienił drzewo na placu, po czym wyparował w ciągu dwóch dni, dziewczyna zaznaczyła na mapie czerwoną przerywaną kreską.

Kiedy zostawiła za sobą plac, nieładne, zakopcone domy o krzywych nadbudówkach zaczęły ustępować miejsca nieco schludniejszym szeregowcom z czerwonawej cegły, wzniesionym na wysokich fundamentach. Po prawej stronie ulicy wyróżniał się

dom z jasnego kamienia, zbudowany na sztucznie usypanej skarpie i należący do sędziego. Nes odruchowo spojrzała w jego kierunku i w jednym z okien dostrzegła jasną plamę twarzy w oprawie koronkowego czepka. Z takiej odległości nie mogła być pewna, ale wydawało jej się, że rozpoznaje córkę sędziego, Katrien. Gdy były młodsze, zdarzało im się bawić razem w ogrodzie na szczycie skarpy – Katrien świetnie wspinała się na drzewa, lepiej nawet niż Nes – ale potem córka sędziego osiągnęła wiek, w którym nie można jej już było traktować jak dziecka, i jak każda przyzwoita panna zniknęła w domowych murach.

Na samą myśl o tym Nes poczuła wdzięczność za swój własny los; nawet ciężka praca była marną ceną za wolność. Oderwała oczy od sylwetki w oknie i podeszła do ostatniego z ceglanych szeregowców: wyróżniał się wyjątkowo bujnymi kwiatami w ustawionych na parapecie doniczkach. Te kwiaty były dumą Sofie.

– Jesteś wreszcie! – Matka powitała Nes przelotnym, zmęczonym uśmiechem. – Zaczynałam się już martwić.

– Było dużo pracy – rzuciła krótko dziewczyna.

Matka podsunęła jej domowe pantofle, wygrzane w ciepłe kominka. Tak dobra żona i matka powinna traktować męża i syna wracających po dniu pracy, pomyślała Nes. Tyle że w ich domu nie było tak naprawdę żadnego mężczyzny.

Zupa była bardziej wodnista niż zwykle, a okrawki boczku w ziemniakach ledwo dało się znaleźć. Gdy Nes to zauważyła, dopadły ją wyrzuty sumienia: praca w sklepie była gorzej płatna od poprzedniej, w kantorze, ale dziewczyna nie miała pojęcia, skąd miałyby wziąć siłę, by pracować jeszcze więcej.

Wiedziała, że będzie im lżej, gdy Juliana zostanie wydana za mąż, ale ta świadomość wywoływała u niej jedynie przykry skurcz w żołądku; zbyt przypominało to zwykłą handlową transakcję. Z tego samego powodu nie umiała mieć za złe matce, że po śmierci ojca postanowiła nie wychodzić ponownie za mąż, nawet jeśli dla rodziny oznaczało to balansowanie na granicy ubóstwa.

– Wyglądasz na okropnie zmęczoną – zauważyła Sofie, przyglądając się siostrze ponad stołem. – Nie wiem, jak ty to wszystko znosisz. Ja na twoim miejscu na pewno nie dałabym rady.

Kilka lat wcześniej matka zastanawiała się, czy z Sofie także nie zrobić chłopca. Po roku suszy ledwo wiązały koniec z końcem, a pieniądze, które przynosiła do domu Nes – pracowała wtedy jako chłopiec na posyłki – wystarczały na niewiele. Matka długo

przyglądała się swojej najmłodszej córce, jej miękkim kasztanowym lokom, długim rzęsom i delikatnej skórce. Wreszcie orzekła, że Sofie jest zbyt ładna, by ją szpecić obcięciem włosów i wysłać do ciężkiej harówki.

Nes dobrze zapamiętała tamte słowa. Lubiała być chłopcem i nie zazdrościła siostrze, ale zdarzały się takie dni – bardzo nieliczne – kiedy żałowała, że o niej nikt nigdy nie powiedział, że jest zbyt ładna, by pracować.

* * *

To Valco przyniósł wiadomość o tym, że do miasta zjechał królewski akwagraf hrabia de Ellian z całą swą świtą.

Chłopak rzucił owiniętym gazetą kamieniem w okno Nes, a potem czekał po drugiej stronie ulicy, aż dziewczyna wyjdzie z domu. Nie mógł po prostu wejść do środka: matka Nes z trudem akceptowała to, że jej córka pracuje, ale przyjaźni z synem robotników przelknąć nie potrafiła. Nawet wówczas, gdy bieda zmusiła ją, by cerowała po dziesięciokroć sukienki córek i jadała nie lepiej od zwykłych pracowników szwalni, nie zamierzała rezygnować z dumy i manier właściwych swemu urodzeniu. Pochodziła w końcu ze starego, choć zubożałego szlacheckiego rodu, a poza tym była wdową po profesorze miejskiego uniwersytetu. Umiała odmówić sobie wieczornych posiłków, ale nie chciała zwalniać służącej ani sprzedawać bezcennych porcelanowych zastaw stołowych, choć nie miała co na nich podawać. Nes uważała to za strasznie niepraktyczne.

– Guzdrzesz się jak baba – rzucił Valco na powitanie.

Mimo ściskającej jej żołądek zdenerwowania Nes zdołała się roześmiać. Valco szybko odgadł jej sekret – i zupełnie go to nie obeszło. Może dlatego, że jego matka pracowała w fabryce równie ciężko jak ojciec.

– Myślisz, że w ogóle zechce mnie wysłuchać? – spytała, mocno przyciskając do piersi torbę wypchaną swoimi najlepszymi mapami.

Valco wydał z siebie chrząknięcie, które równie dobrze mogło być odpowiedzią twierdzącą, jak wyrazem powątpiewania. Nes wiedziała, że przyjaciel nie do końca pojmuje powody jej rozgorączkowania. Dla niej rozmowa z królewskim akwagrafem mogła być jedyną okazją, by ktokolwiek zwrócił uwagę na jej mapy; jedyną, choć i tak lichą szansą, żeby dostać się na studia.

– Zatrzymał się w tej starej rezydencji na Morwowej – gadał Valco, gdy szli w stronę kładki Świętego Alberta. – Wiesz, tej na końcu ulicy. Z tymi takimi dziwnymi węzami na dachach.

– To są smoki – wtrąciła Nes.

– Jak mogą być smokami, skoro brakuje im skrzydeł?

– Ludzie ze wschodu uważają, że smoki wcale ich nie mają.

– Dziewczyna z dumą przytoczyła jedną z opowieści, którą uraczył ją kiedyś ojciec. – I nie żyją wysoko w górach, tylko w wodzie. I w Rzekach. Dlatego ludzie modlą się do nich, prosząc, żeby Rzeki nie gniewały się i nie wylewały.

– To głupie – orzekł Valco.

– Mów dalej o akwagrafie. Widziałeś go?

– E-e. Ale razem z Koenem rozładowywaliśmy wozy. Miał tam całe skrzynie jakiegoś dziwnego sprzętu. Jakies lunety i takie jakby... – ręką narysował kształt w powietrzu – kątomierze?

– Sekstanty?

– Może. I dużo szkła. A strażnicy strasznie się na nas gapili, jakby to było nie wiadomo co, złoto albo coś. – Valco parsknieniem dał do zrozumienia, za jak głupie uważa takie pilnowanie przyrządów mierniczych. – Myślisz, że to prawda, co gadają? Że akwagrafowie czują Rzekę? Kiedy wyleje i gdzie są wszystkie Strumienie?

– Jakby umieli to wyczuć, nie potrzebowałiby tyle sprzętu – zauważyła Nes. – To tylko bajka, tak jak ta o smokach. Albo to, że ludzie na północy są dużo mniej rozwinięci niż my, bo w ich krajach Rzeka zamarza na pół roku i razem z nią zamarzają ich umysły.

Jednocześnie jednak pomyślała, że na północy może i nie ma wielkich miast i uniwersytetów, ale za to kobiety podobno mogą pracować i nie grozi im aresztowanie za samo noszenie spodni.

Dotarli już do Traktu Rzecznego, który biegł nabrzeżem. Te tereny często były zalewane, dlatego znajdowały się tam wyłącznie tymczasowe składy i magazyny zbudowane na palach, żadnych domów mieszkalnych, choć gdzieśgdzie wznosiły się jeszcze zniekształcone ruiny dawnych rezydencji, porzuconych po ostatniej wielkiej powodzi. Ich ściany połyskiwały jak szkło, czasem obrośnięte skamieniałymi kwiatami, a czasem upstrzone kolorowymi naroślami niczym chore drzewa. Nes byłaby gotowa przysiąc, że na jednej z fasad z kamienia wylaniało się wykrzywione w krzyku ludzkie oblicze.

Ustawione wzdłuż brzegu czerpadła pochylały się nad korytem Rzeki na podobieństwo przywiedłych kwiatów – tego dnia

drewniane ramiona były nieruchome i żadna z sieci nie zanurzała się w nurcie, by pochwycić trochę czystej energii w nibyszklane kule. Najwyraźniej Rzeka była wciąż zbyt niestabilna, by z niej czerpać. Za to za szeregiem czerpadeł dało się już dostrzec Kładkę: wąski żeliwny most, spinający wysokim łukiem obydwą brzegi. Stojąc na nim, można było prześledzić wzrokiem, jak Rzeka wije się przez miasto na podobieństwo połyskliwego węża o szklanych łuskach; przypatrzeć się potężnym kołom o łopatach z nibyszklą, które poruszane nurtem zupełnie tak, jak młyńskie koła, pracowały nieustannie, dostarczając energię do nadbrzeżnych zakładów.

Wokół Kładki zgromadziło się zaskakująco wielu ludzi i Nes natychmiast poczuła przykry skurcz zdenerwowania w żołądku. Jak miała przebić się przez ten tłum? Za to na samym moście stało raptem kilka osób, pomiędzy którymi rzucała się od razu w oczy sylwetka w błękitcie – kolorze przynależnym akwagrafom. Otaczający uczonego asystenci rozstawili już sprzęt. Część wyglądała dość zwyczajnie, jak deska na statywie z ustawionym na niej liniałem z celownikiem; inne przyrządy wprawdzie przypominały nieco te, które Nes widziała kiedyś w uniwersyteckiej pracowni, ale ich przeznaczenia mogła się tylko domyślać.

– Po co im tyłu strażników? – zastanawiał się na głos Valco. – Myślą, że ktoś go pobije?

Rzeczywiście, przed wejściem na Kładkę stała grupa mężczyzn w mundurach i z pałkami. Za ich plecami jeden z asystentów wychylił się właśnie przez kutą żeliwną barierkę i opuścił w nurt coś, co wyglądało jak otoczona mnóstwem cienkich złotych obręczy kula zatknięta na długim kiju.

– Nie chodzi chyba o niego, tylko o przyrządy – szepnęła Nes. – Wiesz, jakie są drogie? Robią je według specjalnych projektów albo sprowadzają aż ze wschodu. Nikt poza królewskim akwagrafem takich nie ma. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby zostały skradzione? Albo uszkodzone?

– Naprawdę są tyle warte? – Chłopak wspiał się na palce i z powątpiewaniem przyglądał się pracy uczonych.

Nes przycisnęła do siebie torbę z mapami i zaczęła przepychać się przez tłum. Nie musiała odwracać głowy, by wiedzieć, że Valco – jak zawsze – podąży tuż za nią. Zarobiła kilka szturchnięć i przekleństw, ale kiedy tylko znalazła się bliżej Kładki, jeden ze strażników zatrzymał ją leniwym machnięciem pałki. Dziewczyna syknęła i cofnęła się odrobinę, zastanawiając się, jak mogłaby

zwrócić na siebie uwagę uczonego albo przekonać strażników, by ją przepuścili.

– Słyszałem, że nocny strażnik zwariował – rzucił Valco, jakby zupełnie nie zauważał desperacji przyjaciółki. – Zasnął w stróżówce, a poziom podniósł się gwałtownie i go podmyło. Teraz wydają mu się jakieś niestworzone rzeczy.

– Jakie niby?

– Coś z ogniem. Że niby go poparzyło, chociaż wcale nie. Tak przynajmniej gadali.

Nes drgnęła, gdy w rozgorączkowanym umyśle udało jej się połączyć kropki. Tymczasem akwagraf ujął w urękawiczone dłonie dziwną kulę, którą wcześniej jego asystent opuścił w nurt, i teraz przyglądał się otaczającym ją obręczom, jednocześnie dyktując coś towarzyszom.

– Poziom już opada – powiedział wreszcie głośniej i do nikogo w szczególności: może tylko do asystentów, a może też do widowni. – To było krótkie i gwałtowne wezbranie. Nie powinno mieć miejsca w tym terminie, ale zagrożenie z pewnością już minęło.

– W warsztacie włókienniczym był pożar – wyrwało się Nes.

Valco rzucił jej krótkie, ostrzegawcze spojrzenie, ale nie zwróciła na niego uwagi. Akwagraf musiał ją usłyszeć: wystarczy, że podejdzie na chwilę i spyta, co miała na myśli, a ona wtedy opowie mu o swojej teorii i pokaże mapy...

– Jest na północny zachód stąd. – Wyrzucała z siebie słowa najszybciej, jak potrafiła, byle tylko utrzymać uwagę uczonego. – Ten warsztat. To w gorze rzeki, wczoraj był tam pożar, a dzisiaj strażnik...

– Ej!

Pałka świsnęła ostrzegawczo tuż przed jej nosem, gdy przesunęła się o krok do przodu, ale dziewczyna zignorowała strażnika. Widziała bardzo wyraźnie twarz akwagrafa, która wydawała się raczej zmęczona niż pełna mądrości, i błysk zaciekawienia w jego oczach. A może tylko to sobie wyobraziła?

– To nie pierwszy raz! – zawołała, czepiając się szansy. – Mam mapy...

Zrobiła jeszcze jeden krok i znalazła się zbyt blisko.

– Stój, mówiłem! – warknął strażnik bardziej z irytacją niż rzeczywistą złością, złapał ją i odepchnął.

Nawet niezbyt mocno. Ale jego ręka przez jedno uderzenie serca znajdowała się dokładnie na jej klatce piersiowej i Nes zrobiło się gorąco. Zatoczyła się do tyłu, klapnęła ciężko na bruk i znieruchomiała jak przestraszony królik. Strażnik wciąż się

na nią gapił, a ona czuła, jak poci się ze zdenerwowania. Zorientował się? Będzie próbował ją aresztować?

Strach i wstyd ukłuły ją jak ostroga i nim zdołała to dokładnie przemyśleć, już odwróciła się i rzuciła do biegu. Serce waliło jej jak oszalałe, policzki płonęły.

– Hej, co z tobą? – Valco złapał ją za ramię i zatrzymał, gdy była już spory kawałek od Kładki.

Stała, oddychając ciężko. Odruchowo uniosła dłoń do piersi, na wysokość szaleńczo bijącego serca – głupi kobiecy gest, który tyle razy widziała u matki i sióstr. Opanowała się natychmiast i zirytowana momentem słabości, zatknęła rękę za pasek spodni. Wmawiała sobie, że nic się nie stało. Strażnik nie mógł się niczego domyślić, to była przecież tylko chwila, a ona starannie obwiązywała biust, żeby go spłaszyc.

– Nic. Skoro nie chcą nas tam wpuścić, to trudno. – Potrząsnęła głową, udając złość. – Znajdę inny sposób, żeby pokazać mu mapy.

* * *

Już od progu Nes zauważyła obecność ciotki Isabelle – zdradzały ją słodki, duszny zapach drogich perfum i elegancka parasolka obrębiona koronką, oparta w sieni. Parasolka miała śliczny liliowy kolor, przy którym stara tapeta na ścianie wydawała się jeszcze bardziej nieciekawa i brudna.

– Och, jak ty wyglądasz! – Ciotka aż załamała ręce, gdy Nes wśliźnęła się do salonu. – Elise, czy ty to widzisz?

Matka uśmiechnęła się do Nes ledwo zauważalnie i prawie porozumiewawczo.

– Pracowała w sklepie cały dzień – powiedziała łagodnie. – To normalne, że jest brudna i zmęczona.

– Ależ ja nie o tym mówię! No, nie tylko o tym. Te jej włosy... Czy one w ogóle kiedyś odrosną? I przysięgłabym, że jej wyraz twarzy się zmienił, jest taki jakiś wyzywający, nie sądzisz?

Nes przyjęła litanię wyrzutów ze spokojem, ponieważ nie było to dla niej nic nowego. Pamiętała, że kiedyś, gdy była mała – miała może pięć albo sześć lat – ciotka ujęła jej podbródek w palce, uniosła twarz i oświadczyła, że z takimi grubymi, prostymi brwiami Nes ma wszelkie zadatki wyrosnąć na okropnie upartą osobę i że ciężko będzie ją wychować na przyzwoitą, posłuszną pannę.

Ojciec usłyszał to, roześmiał się i oznajmił, że woli raczej, by jego córka była uparta niż głupia.

– Wiem, że jest wam ciężko – ciągnęła ciotka, bawiąc się naszymi z pereł. – Że brakowało wam pieniędzy i tak dalej. Że Sofie i Juliana potrzebowały męskiej opieki, żeby jakoś uratować reputację. Wiem przecież, co ludzie by opowiadali o wdowie z trzema córkami, i doprawdy nawet bym się nie dziwiła. Nigdy nie mogłam pojąć, czemu nie chciałaś wyjść ponownie za mąż.

Matka zacisnęła usta, a Nes, która знаła ją bardzo dobrze, domyśliła się od razu, że jest wzburzona.

– Nie wracajmy do tego po raz kolejny – poprosiła pozornie znudzonym tonem.

– Siostry skorzystały, nie przeczę. Mają opinię bardzo porządną dziewcząt. Ale co z nią? – Palec ciotki dźgnął powietrze, wskazując Nes. – Prędzej czy później będzie przecież musiała z tym skończyć. Ile ona teraz ma lat, chyba już piętnaście?

– Prawie szesnaście.

– To już zdecydowanie za długo trwa, Elise, naprawdę. Kiedy była młodsza, można było to uznać za nieszkodliwe. Ludzie przymykali oczy, pewnie nawet wam współczuli. Ale teraz? Jest już kobietą, prawda? Ma... – ciotka zniżyła głos – miesięczne krwawienia?

Nes poczuła, że oblewa się rumieńcami wstydu i złości.

– Jest zdrowa i niczego jej nie brak, jeśli o to pytasz – odpowiedziała matka spokojnie.

– Błagam, Elise, nie widzisz, jakie to nieprzyzwoite? Trzeba było z tym skończyć już kilka lat temu. Nie zdziwiłabym się, gdyby jej już całkiem pomieszało się w głowie. A jeśli przez to nie będzie w stanie normalnie spełniać obowiązków żony?

„A może ja wcale nie mam ochoty ich spełniać?!” – miała ochotę wrzasnąć Nes. Powstrzymała się jednak, bo wiedziała, że matka byłaby nią rozczarowana; zacisnęła tylko dłonie w pięści i wbiła paznokcie w skórę, by opanować złość.

– No i który dzentelmen zechce poślubić pannę z taką przeszłością? Naprawdę, Elise, przykro mi to mówić, ale chyba będziesz musiała szukać sporo poniżej waszego stanu...

Wołałabym poślubić Valco niż takiego nadętego starca jak wuj Aldert, pomyślała Nes. Przed oczami stanął jej mąż ciotki Isabelle i na samą myśl, że miałyby spędzić życie u boku kogoś takiego – choćby miał dwa powozy i letnią rezydencję nad morzem – aż się wzdrygnęła.

– Rozsądny mężczyzna doceni żonę, która poznała trudy pracy i ma szacunek do pieniędzy – rzekła chłodno matka.

– Och, daj spokój. – Ciotka była zniesmaczona. – Przecież pracować muszą tylko kobiety robotników. Wiem, że twój świętej pamięci małżonek miał... nietypowe poglądy i strasznie ją rozpuścił. Ale wiesz, co myślę? On pragnął mieć syna, a ty, przykro to mówić, zupełnie zawiodłaś. Dlatego zaczął traktować jedną z córek jak chłopca.

– Isabelle, nie sądzisz, że zapędziłaś się nieco za daleko?

– I wiesz co jeszcze ci powiem? Ciągniesz tę maskaradę, bo masz wyrzuty sumienia. Tak właśnie! Wiesz, że obowiązkiem żony jest dać mężowi co najmniej jednego syna, a ty urodziłaś trzy dziewczynki. Nie możesz się z tym pogodzić, dlatego traktujesz ją jak chłopca i wmawiasz sobie...

– Obawiam się, moja droga – wtrąciła matka lodowatym tonem – że wkrótce zacnie padać. Widzisz, jak ciemno się zrobiło? Wydaje mi się, że powinnaś wyjść jak najszybciej, jeśli nie chcesz zniszczyć w deszczu tej, och, z pewnością drogiej sukni...

* * *

W niedzielę sklep pana Hoggeveena był zamknięty, więc Nes zgodziła się zabrać siostry do Parku Fontann na obrzeżach miasta. Matka uparła się, by z tej okazji wynajęły powóz, choć wydatek ten oznaczał skromne posiłki przez większość następnego tygodnia. Nes ciężko było zrozumieć, dlaczego nie mogą pójść na piechotę, ale matka stanowczo twierdziła, że dobrze urodzonym pannom nie wypada paradować pieszo po mieście, jakby były córkami zwykłego sklepikarza albo – co gorsza – robotnicami. Po pewnym czasie dziewczyna, patrząc na to, jak powoli i ostrożnie stąpały jej siostry w swoich dopasowanych, sięgających ziemi sukniach – które, choć nie były nowe, dzięki zręcznym rękom matki zostały dostosowane do obowiązującej mody – musiała przyznać, że powóz nie był takim złym pomysłem. Ona sama może i doszłaby do Parku w ciągu dwóch kwadransów, ale jej siostronom zajęłoby to co najmniej dwa razy dłużej, a ich głupie suknie w tym czasie zebrałyby cały brud i kurz z ulic.

Teraz wszystkie trzy rozsiadły się na trawie, a między sobą postawiły kosz piknikowy. Juliana i Sofie osłaniały się przed słońcem parasolkami, za to Nes bez skrępowania wystawiała twarz ku ciepłym promieniom. Pełnienie roli brata, który strzeże reputacji siostr i honoru rodziny, miało wiele zalet.

– Popatrzcie na tamto małżeństwo – rzuciła w pewnym momencie Sofie. – Wyglądają bardzo pięknie, prawda?

Nes niechętnie przerwała kontemplowanie pierzastych chmur i spojrzała w kierunku wskazanym przez siostrę. Elegancko odziany mężczyzna właśnie strofował bez większego przekonania syna, który wdrapał się na gałąź drzewa i teraz śmiał się triumfalnie. Żona mężczyzny rozsiadła się na kocu, od stóp do głów odziana w wyglądającą na bardzo kosztowną i bardzo niewygodną suknię z zupełnie nierozsądną ilością koronek, i zajmowała się chyba po prostu byciem.

– Widziałam taki wzór w ostatnim żurnalu – trajkotała tymczasem Sofie do Juliany. – Jak myślisz, ile sukien w ciągu roku będzie ci kupował pan Dassen?

– Skąd może wiedzieć? – wtrąciła się Nes z irytacją. Skóra cierpła jej za każdym razem, gdy ktoś wspominał przy niej o przyszyłym mężu Juliany. – Spotkała go dwa razy. Skąd mamy wiedzieć, że w ogóle będzie dla niej dobry?

– Pan Dassen jest szanowanym dżentelmenem – upomniała ją Juliana.

– A o ile lat jest starszy od ciebie? Bo mnie się wydaje, że jest w wieku, w jakim byłby tata, gdyby...

– Przestań! – Juliana pobladła ze złości. – Mówisz tak tylko dlatego, że mi zazdrościsz.

– Czego? Że będziesz musiała spędzić życie z dwa razy starszym od ciebie człowiekiem, o którym nic nie wiesz?

– Wściekasz się – powiedziała zimno Juliana – bo jesteś uparta, nieładna i nie zostało w tobie już nic z kobiety, i doskonale wiesz, że żaden szanujący się mężczyzna nie zechce cię poślubić.

– Jakby mi zależało!

– Nie będziesz mogła całe życie udawać chłopaka. Co zrobisz? Poślubisz tego swojego brudnego robotnika?

– On ma na imię Valco! – Nes potrząsnęła wściekle głową. – I wcale nie zamierzam wychodzić za mąż. Kiedy już uda mi się pokazać akwagrafowi moje mapy...

– Ty ciągle o nich! – prychnęła Juliana. – Mogłabyś już dać sobie z tym spokój. Przecież i tak nikt nie przyjmie cię na uniwersytet. Możesz sobie udawać, ile chcesz, ale jesteś dziewczyną i nigdy nie zostaniesz naukowcem – dokończyła mściwie.

– A co ty możesz wiedzieć! – rzuciła Nes ze złością, ale siostra trafiła celnie; bolało.

Resztę popołudnia przesiedziała w milczeniu.

* * *

Wieczorem Nes rozłożyła się na poddaszu ze swoimi mapami. Długo wpatrywała się tępo w arkusze papieru, często pognięcione, z naddartymi rogami albo pokryte plamami od tłustych palców. Pomyślała z goryczą, że daleko im do przejrzystości i elegancji map, które ojciec pokazywał jej na uniwersytecie, albo do wspaniałej mapy Rzeki i jej stałych Strumieni, która wisiała w miejskim ratuszu. Dzieła Nes pokrywała plątanina niebieskich i czerwonych linii, ciągłych albo przerywanych, zależnie od tego czy Strumień pojawiał się regularnie, czy stanowił tylko jednorazową anomalię. Niektóre fragmenty były przez to zupełnie nieczytelne.

Na jednej z map ulica Tkacka – przecięta niebieską ciągłą linią, oznaczającą regularnie pojawiający się Strumień – wyglądała na krótszą niż biegnąca równolegle Piwna, choć w rzeczywistości było dokładnie na odwrót. Trakt Rybny i Mewia przecinały się pod niewłaściwym kątem, zaś plac Węglarzy nie zmieścił się między murami dawnego więzienia a ulicą Kanclerską, więc wyglądał jak nędzne podwórko, a nie największy plac targowy w mieście.

W przypiływie frustracji Nes chwyciła arkusz, zgniotła go w kulę i cisnęła o ścianę. Mimo lat prób wciąż nie potrafiła narysować porządnej mapy: liniom brakowało schludności i precyzji, nie umiała właściwie oddać perspektywy i gubiła się przy obliczaniu skali. Być może Juliana miała rację: po prostu się do tego nie nadała, bo jako kobieta miała jakiś defekt gdzieś w głowie, z powodu którego rzeczy zupełnie naturalne dla naukowców dla niej były nieosiągalne. W końcu nikt nie słyszał o kobietach uczonych czy badaczkach; o kobietach, które by coś odkryły albo wynalazły.

– Co robisz?

Nes drgnęła, zaskoczona. Nie usłyszała kroków Sofie na schodach ani skrzypnięcia otwieranych drzwi. Teraz siostra stanęła w wejściu, ogarnęła spojrzeniem rozrzucone po podłodze mapy, a potem smętną kulę zgniecionego papieru, leżącą dokładnie u jej stóp.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytała, gdy podniosła mapę i zaczęła ją ostrożnie rozprostowywać. – Jest taka piękna i tyle się nad nią napracowałam.

– Jest do niczego.

– Nieprawda. Mówisz tak tylko z powodu tego, co powiedziała Juliana. A ona wcale nie ma racji i nawet tak nie myśli, tylko...

– Ale przecież to prawda: nigdy nie dostanę się na uniwersytet
– rzuciła gorzko Nes.

Sofie podeszła do niej, zawahała się na widok pokrywającego podłogę kurzu, ale w końcu przysiadła obok z szelestem sztywnej satynowej spódnicy.

– To prawda, kobiety nie studiują – przyznała. – Ale ty kochasz te mapy i Rzekę, prawda? Poza tym tata chciał, żebyś się uczyła tyle, ile się da. – Przez jej twarz przemknął grymas żalu. – Zawsze uważał, że jesteś z nas najmądrzejsza. My byliśmy jego ślicznymi córkami, jego skarbami, ale to ty byłaś jego ulubienicą. Tylko z tobą naprawdę rozmawiał.

Nes nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że siostry mogą czuć się źle z powodu tego, że ojciec poświęcał im nieco mniej uwagi, nie zabierał ze sobą do pracowni uniwersyteckiej czy na spaceru brzegiem Rzeki. Zawsze sądziła, że Sofie i Juliana po prostu wolały siedzenie w domu, wyszywanie i rozmowy o pięknych strojach.

– Ale wiesz – podjęła Sofie – myślę, że bez trudu znalazłabyś sobie inną pasję, której mogłabyś oddawać się bez żadnych przeszkód jako kobieta. Z twoim zamiłowaniem do wzorów i precyzji na pewno umiałabyś wyszywać cudowne rzeczy...

– Na co mi wyszywanie? – zdenerwowała się Nes. – Ja chcę robić coś pożytecznego!

Za późno zorientowała się, co powiedziała. W oczach jej siostry odbił się ból: Sofie spędzała godziny nad haftami, kochała je i była z nich naprawdę dumna.

– Nie chciałam... – wymamrotała Nes, czując się okropnie. – Wcale nie uważam, że to, co robisz, jest niepotrzebne.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Sofie. – Przecież masz rację, to ty pracujesz i przynosisz do domu pieniądze.

A potem jakimś cudem się uśmiechnęła, a Nes pomyślała, że jej siostra doskonale opanowała jeszcze inną poza haftowaniem niezbędną kobietom sztukę: umiejętność uśmiechania się nawet wtedy, gdy ktoś zadaje ci ból.

* * *

O tej porze roku rezydencje na Morwowej były w większości opuszczone: z zamkniętymi okiennicami czekały na koniec upałów i powrót właścicieli z zamiejskich posiadłości. Niektóre zostały być może porzucone na dobre, gdy wraz z coraz

częstszymi wylewami Rzeki bardziej pożądane stały się domy wzniesione na palach, sztucznych kopcach albo po prostu dalej od centrum. Jednak przed bramą na końcu ulicy stało dwóch strażników w barwach królewskiej gwardii – niezawodny znak, że w rezydencji za murem przebywał królewski akwagraf. Nes na widok mundurów i bagnetów poczuła się cokolwiek nieswojo, ale zacisnęła dłoń na pasku torby, w której schowała mapy, i zmusiła się do zrobienia ostatnich kroków.

– Dzień dobry. – Pozdrowiła strażników oszczędnym ukłonem, choć jakiś głupi, dawno wpojony odruch nakazywał jej dygnać. – Chciałbym porozmawiać z hrabią de Ellian.

– Hrabia cię oczekuje? – spytał jeden ze strażników, wyższy i o bardziej nieprzyjemnej twarzy.

– Nie, ale ja... Chciałbym mu coś pokazać. Zasięgnąć jego opinii na temat map.

– Hrabia nie udziela konsultacji. – Strażnik zmierzył Nes krytycznym spojrzeniem. – Kim ty w ogóle jesteś? Studentem tutejszego uniwersytetu?

Dziewczyna nabrała przemożnej ochoty, by zgarbić się i skulić ramiona. Nie znosiła, gdy ktoś przyglądał jej się z tak bliska i tak uważnie, zawsze bała się, że dostrzeże w niej coś, co ją zdemaskuje – może nieco za długie jak na chłopca rzęsy albo niewłaściwą linię szyi. Zawstydzona, spuściła wzrok i zauważyła, że chwasty pomiędzy kamieniami brukowymi rosły w niewłaściwy sposób: nie ku górze, ale płózając się po ziemi, i to wszystkie w jednym kierunku. Niezawodny znak, że ulicą często przepływał Strumień, nawet jeśli był zbyt słaby, by wyrzucić efekt na coś większego niż rośliny. Nes odszukała w pamięci obraz jednej ze swoich map; pamiętała, że wzdłuż Morwowej narysowała błękitnym tuszem cienką, przerywaną linię. Strumień był zauważalny w tym miejscu tylko raz, nieco ponad półtora roku wcześniej. Podobno żebrak, który nie zdążył wtedy uciec, został wyleczony z krwawego kaszlu, ale za to jakiś zabłąkany szlachcic stracił wzrok i słuch oraz dorobił się żabiej błony między palcami. Choć to ostatnie mogło być tylko wymysłem złośliwych plotkarzy.

– Nie jestem studentem – przyznała w końcu, czując, jak się rumieni. – Ale chciałbym pomówić z hrabią o moich mapach i odkryciach. Czy moglibyście mu przekazać, że proszę go o spotkanie? I powiedzieć, że umiem wyjaśnić, czemu trzy dni temu Rzeka niespodziewanie przybrała.

– Oczywiście – parsknął drugi ze mężczyzn. – Tak jak połowa naciągaczy i szarlatanów w tym mieście, którzy twierdzą, że potrafią wywróżyć przybory z kości kurczaka albo miauczenia kotów.

– Jeśli masz coś do przekazania hrabiemu, możesz napisać list – doradził pierwszy strażnik, ale Nes miała wrażenie, że wyczuwa w jego tonie nutę złośliwości. – A na razie nic tu po tobie. Wynocha.

* * *

Była tak wściekła, rozczarowana i upokorzona, że zupełnie nie zauważała tego, co się wokół niej dzieje. Dopiero wysoki dziewczęcy głos – prawie płacz – który rozległ się tuż obok, wyrwał ją z zamyślenia.

– Proszę zostawić mnie w spokoju!

Nes poderwała głowę i zobaczyła Katrien, córkę sędziego, zdybaną przez jakiegoś wyrostka. Chłopak mógł być studentem, subiektem w jednym ze sklepów albo po prostu znudzonym synem jakiejś ważnej rodziny – po stroju ciężko było poznać. Zagradzał dziewczynie drogę i stał zdecydowanie zbyt blisko. Powiedział coś do niej, tak cicho, że Nes nie dosłyszała, ale wydawało jej się, że z oczu córki sędziego ciekną łzy. Niewiele myśląc, ruszyła ku nim.

– Proszę dać mi spokój! – zażądała Katrien drżącym głosem. – Jestem przyzwoitą kobietą i...

– Jasne! Przyzwoite kobiety nie chodzą same po ulicy. Przyznaj, że...

Nes usłyszała sugestie, wulgarnie podającą w wątpliwość prowadzenie się córki sędziego, i aż zatchnęło ją z oburzenia, a jednocześnie na policzkach poczuła gorąco. Jak ten człowiek śmiał sugerować coś równie nieprzyzwoitego?

Katrien stała jak sparaliżowana i cała się trzęsła – trudno powiedzieć, ze złości czy ze strachu – a jej prześladowca zrobił jeszcze jeden krok i jakby nigdy nic dotknął pasma jasnych włosów, które wysunęło się spod kapelusza.

– Zostaw ją! – wrzasnęła Nes.

Wyrostek obrócił się, zaskoczony, a potem uśmiechnął się kpiąco.

– Znasz ją? Chyba możemy się jakoś dogadać...

Wtedy go uderzyła.

To był odruch i nie potrafiłaby wyjaśnić, co ją do tego popchnęło: czy widok łez Katrien i jej zupełnej bezradności, czy wulgarność chłopaka, czy może po prostu zżerająca Nes frustracja, która musiała w końcu znaleźć ujście.

Wyrostek zachwiał się, zaskoczony i może trochę zamroczony, ale zaraz otrząsnął się i zamachnął, by oddać. Był wyższy, cięższy i prawdopodobnie o jakieś dwa lata starszy, ale Nes umiała się bić; musiała, bo inaczej żaden z tragarzy czy chłopaków na posyłki, z którymi zdarzało się jej pracować, nie nauczyłby się jej szanować. Jej przyjaźń z Valco właściwie zaczęła się od bójki.

Poza tym w ciągu ostatnich tygodni nadzwigała się wielu towarów, nie tylko worków z cukrem, i wcale nie była słaba.

Przeciwnik zdołał trafić ją w skroń i żebra, a także zostawić ślad paznokci na policzku, ale ona rozbiła mu nos i zdołała powalić go na ziemię, a dla podkreślenia zwycięstwa wymierzyła jeszcze kilka kopniaków w brzuch. Gdy zwinął się z bólu, plując krwią ciekącą z rozbitego nosa i wargi, pochyliła się nad nim, zbliżając swoją twarz do jego, tak by nikt inny ich nie usłyszał.

– Coś ci powiem – wyszeptła z uśmiechem. – Ja też jestem dziewczyną.

Widok absolutnego wstrząsu na twarzy chłopaka wywołał u niej miłe, trzepocące uczucie w brzuchu. Otarła rękawem krew z czoła i podeszła do Katrien.

– Więcej nie obrazi ani ciebie, ani żadnej innej dziewczyny – powiedziała pogodnie.

– Ja... dziękuję. – Katrien nawet w takiej sytuacji pamiętała o manierach. – Erik, dobrze pamiętam? Syn pani Vestering i brat Juliany?

– Juliana to moja siostra – przyznała ostrożnie Nes, bo z jakiegoś powodu nie podobało jej się okłamywanie Katrien. – Bawiliśmy się razem jako dzieci w ogrodzie twojego ojca.

– Pamiętam. – Cień uśmiechu, ale Nes nie potrafiła odgadnąć, czy był on szczery, czy tylko wyuczony.

– Dobrze się czujesz? – spytała. – Okropnie cię nastraszył ten drań, prawda?

Córka sędziego spuściła wzrok. Och jej, pomyślała Nes, ależ ona jest śliczna. Ładniejsza nawet od Sofie. I te włosy... Ciekawe, czy moje byłyby choć w połowie tak ładne, gdyby kiedyś udało mi się je zapuścić?

– Nie powinnam była sama wychodzić – mruknęła Katrien, wciąż patrząc na czubki swoich butów. – Nic dziwnego, że wziął mnie za...

– Jest zwykłym padalcem, ot co. A teraz chodźmy stąd, nim zlecą się ludzie.

Ruszyły ulicą. Katrien wciąż trzymała głowę spuszczoną, a Nes z jakiegoś powodu bardzo chciała móc spojrzeć jej w oczy. Już prawie poprosiła ją, by przestała tak wpatrywać się w chodnik, nie ma tam przecież nic ciekawego, ale przypomniała sobie, że matka zawsze powtarzała Sofie i Julianie, by nie nosiły brody zbyt wysoko i nie patrzyły prosto na rozmówców, bo to nieskromne. Katrien najwyraźniej była doskonale wychowaną młodą damą.

A jednak znalazła się na ulicy bez opieki, co zdecydowanie nie przystawało dziewczynie o jej pozycji.

– Dlaczego wyszłaś sama? – spytała Nes, starając się, by w jej głosie było słycać jedynie serdeczne zainteresowanie.

Ale Katrien i tak się zarumieniła, jakby została przyłapana na czymś absolutnie karygodnym.

– Chciałam zobaczyć sztukę uliczną – wyznała wreszcie głosem tak drżącym, że Nes prawie wybuchła śmiechem. – Ale mój brat wyjechał na studia, a ojciec przebywa poza domem, więc ja...

– Więc postanowiłaś pójść sama.

– To była „Opowieść jesienna”. Czytałam inne sztuki tego autora i uważam, że są wspaniałe. – Katrien przygryzła wargę, jakby uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo. – Myślałam, że nic się nie stanie. Ale teraz widzę, jaka byłam głupia.

– Przecież nic się nie stało – pocieszyła ją Nes. – Obraził cię i nastraszył, ale to wszystko.

– Na moich krewnych spadnie wstyd z powodu tego, co zrobiłam. A gdybyś się nie zjawił...

– On nie zrobiłby ci krzywdy. – Nes poczuła przemożną chęć, żeby objąć dziewczynę ramieniem, i sama zdziwiła się swoją reakcją. – Tak naprawdę po prostu chciał cię zawstydzić. Twój strach sprawiał mu przyjemność. Niektórzy chłopcy tak mają.

– Dlatego go uderzyłeś?

Gdybym naprawdę była chłopcem, pomyślała Nes, to mógłby być początek jednego z tych głupich romansów, o jakich uwielbiają plotkować ludzie w rodzaju ciotki Isabelle. Przysyłałabym jej kwiaty i liściki, a ona machałaby do mnie z okna i zastanawiała się, jak dyskretnie podarować mi kosmyk swoich włosów... I tak do czasu, aż musiałyby wyjść za jakiegoś zupełnie obcego mężczyznę, którego wybiorą jej rodzice.

– Pani Vestering nie ma synów – wypaliła. – A Juliana nie ma brata.

– Co takiego?

– Mam na imię Agnes, nie Erik. Proszę, przestań wreszcie wpatrywać się w ten bruk i popatrz na mnie!

Córka sędziego zawahała się, ale w końcu podniosła głowę.

– Moja matka została wdową z trzema córkami i nędzną rentą. – Nes, gdy już podjęła decyzję, nie mogła powstrzymać potoku słów. – Nie chciała wychodzić ponownie za mąż, bo naprawdę kochała tatę, ale potrzebowaliśmy pieniędzy, a moje siostry męskiej opieki. Któraś z nas musiała iść do pracy. Padło na mnie.

Katrien była całkiem zmieszana, ale najwyraźniej coś – może widok długich rzęs i zupełnie gładkich policzków Nes, a może zapalczywa szczerość w jej głosie – w końcu przekonało ją, że to, co słyszy, nie jest tylko nieprzyzwoitym dowcipem.

– Więc przebierasz się za chłopaka?

– Od siedmiu lat – powiedziała Nes z dumą.

– I pracujesz?

– Uhm. W tej chwili w sklepie. Wcześniej byłam skrybą i chłopcem na posyłki, pomocnikiem kantora, a przez chwilę nawet stajennym.

Podziw w oczach Katrien okazał się nadspodziewanie przyjemnym widokiem i Nes znowu poczuła to dziwne, trzepocące coś w okolicach żołądka.

– I nikt się nie zorientował?

– Kiedy wydaje mi się, że zaczynają się domyślać, zmieniam miejsce pracy i tyle.

– Ale to musi być strasznie ciężkie życie.

– Jest ciężko – zgodziła się Nes z ważną miną. – Ale za to jestem wolna i mogę pójść obejrzeć każdą uliczną sztukę, jaką tylko zechcę.

Nie wspomniała ani słowem o bólu, jaki musiała znosić. Ani o strachu, jaki towarzyszył jej właściwie codziennie: strachu, że kolejny pracodawca, który odkryje prawdę, okaże się mniej wyrozumiały od poprzednich i nie poprzestanie na zwolnieniu jej z pracy. A także świadomości tego, co grozi młodej dziewczynie w chłopięcym przebraniu, której nie chroni rodzina ani reputacja.

Chciała wyglądać w oczach Katrien na silniejszą i bardziej pewną siebie, niż była, dlatego nie wspomniała o tym wszystkim ani słowem.

– Właściwie to... to następnym razem mogę pójść z tobą – zaproponowała po chwili. – Wtedy nikt cię nie zaczepi.

– To byłoby miłe, ale... – Katrien zawahała się. – Ale ludzie zaczną gadać. Już i tak dość naraziłam swoją reputację. Nie chcę bardziej szkodzić rodzinie.

Dlaczego chłopcy nie muszą przejmować się reputacją? – pomyślała Nes. To takie niesprawiedliwe. Chciałam zabrać Katrien na jakąś sztukę.

– W takim razie przynajmniej odprowadzę cię do domu – zaoferowała.

* * *

Miała nadzieję, że zdoła przemknąć do swojego pokoju niezauważona. Czuła, że warga jej spuchła, na skroni miała lepki strup i zapewne malowniczy siniec, a bok, w który zarobiła cios kolaniem, zaczął rwać bólem. Nie chciała tłumaczyć się z tego matce. Ledwie jednak postawiła stopę na schodach, głos dobiegający z salonu osadził ją w miejscu.

– Agnes.

Ton matki i fakt, że użyła jej pełnego imienia, nie wróżyły niczego dobrego. Nes wymamrotała pod nosem przekleństwo, które podsłuchiwała kiedyś w sklepie – choć nie do końca je rozumiała – i posłusznie zawróciła.

Na kanapach w salonie rozsiadli się stryjowie Elbert i Jacob, młodszy bracia ojca. Nes nie pamiętała, kiedy ostatni raz składali wizytę jej matce, i ich obecność wywołała nieprzyjemny dreszcz na plecach dziewczyny. Stryjowie odziedziczyli po śmierci ojca Nes cały jego majątek, ale na podstawie umowy przedślubnej musieli wypłacać matce wdowią rentę tak długo, jak pozostawała niezamężna. Nigdy nie ukrywali, że woleliby, by wyszła ponownie za mąż i zdjęła z ich barków obowiązek opieki nad nią i jej córkami. Nes z kolei uważała za szczyt małostkowości żywienie żalu o rentę – suma była przecież tak skromna, że wystarczała najwyższej na wynajęcie nędznego szeregowego domu, bez porównania z piękną kamienicą przy Teatralnej, która dostała się stryjowi Elbertowi.

– Co ci się stało? – spytała matka surowo.

Dziewczyna nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

– Przewróciłam się i uderzyłam głową o murek w parku – wypaliła.

– Sądziłam, że lepiej cię wychowałam. Najpierw wszczynasz bójkę na środku ulicy, a potem jeszcze kłamiesz?

Nes potrafiła tylko stać i patrzeć. Skąd matka mogła wiedzieć?

– Stryj Jacob cię widział – powiedziała matka, do reszty ją dobijając. – Opowiedział mi, jak zaatakowałaś tego młodzieńca...

– Napastował Katrien! Musiałam coś zrobić.

– Sama widzisz, Elise – odezwał się stryj Elbert. – Zupełnie jej się w głowie przewracało od tego udawania chłopaka. Zapomniała już, że jest kobietą.

Nes rzuciła mu wściekłe spojrzenie i prawie spytała, co w takim razie powinna była zrobić, ale w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że w ten sposób tylko pogorszy sprawę. Choć gotowało się w niej ze złości, zmusiła się do spuszczenia wzroku.

– Wiem, że było ci ciężko i dlatego podjęłaś taką decyzję – wtrącił łagodniejszym tonem stryj Jacob. – To było dziwaczne i zupełnie nie na miejscu, ale nawet cię wtedy wspierałem, pamiętasz?

Nes pamiętała doskonale. To stryj przyniósł do ich domu jej pierwsze chłopięce ubranie. Podobno sam znał jakąś rodzinę, w której jedna z córek przez kilka lat pracowała jako chłopiec w ojcowskim kantorze; może dlatego był tak pełen zrozumienia.

Ale gdy matka zaproponowała, by dla bezpieczeństwa zatrudnić Nes w jednym ze sklepów stryja, mężczyzna natychmiast odmówił. Tłumaczył, że nie może narażać własnej reputacji i interesów.

– Uważałem, że kilka lat aż tak jej nie zaszkodzi – ciągnął. – Ale to trwa już zdecydowanie zbyt długo i teraz widać, że szkody, jakie to wyrządziło w jej umyśle...

– Z moim umysłem jest wszystko w porządku!

– Agnes, przestań. – Matka wydawała się jednocześnie rozczarowana, zdjęta poczuciem winy, zdenerwowana i zmęczona.

– Jest pełna agresji. – Stryj Elbert bębnił palcami po poręczy krzesła i z jakiegoś powodu wydawał się całkiem zadowolony z siebie. – Nie jestem pewien, czy to da się w ogóle wyleczyć. Obawiam się, że jej przyszły mąż będzie miał życie nie do pozazdroszczenia.

Mąż? – chciała zapytać Nes. Co tu ma do rzeczy mąż? Przecież to Juliana bierze ślub, nie ja.

– Nie przeczę, że jej siostry skorzystały na tej maskaradzie i dzięki temu mają reputację bardzo przyzwoitych panien, ale co z nią? Będzie ci ciężko znaleźć dla niej partię, Elise.

– Wiem – westchnęła matka. – Ale pozwolicie, że tym zajmę się sama. Dziękuję wam za wizytę, ale teraz chciałabym porozmawiać z córką, jeśli pozwolicie.

Mężczyźni ukłonili się matce i ruszyli do wyjścia; na odchodnym stryj Jacob rzucił Nes zatroskane spojrzenie. Dziewczyna z kolei otaksowała wzrokiem jego elegancki frak, laskę z kunsztownie kutą srebrną rączką oraz pierścienie na palcach i porównała to ze skromną, wielokrotnie naprawianą suknią matki oraz jej nagimi nadgarstkami. Niechęć, jaką odczuwała do braci ojca, w tym momencie jeszcze wzrosła.

Matka odczekała, aż za gośćmi zamkną się drzwi, po czym opadła na sofę i ukryła twarz w dłoniach.

– Och, dziecko – wymamrotała przez palce. – Nie zrobił ci krzywdy? Wyglądasz okropnie.

– To nic takiego, mammo. On oberwał dużo gorzej.

Matka wzdygnęła się i rzuciła jej udręczone spojrzenie.

– Właśnie o tym mówiliśmy! Czasem naprawdę mam wrażenie, że patrzę na nieposłusznego chłopaka, a nie...

– Bo nie pozwoliłam jakiemuś gnojkwowi straszyc Katrien?

– Nie jesteś jej bratem! Nie jesteś mężczyzną!

Nes cofnęła się, zaskoczona tym nagłym wybuchem.

– Cóż, to z całą pewnością moja wina – powiedziała matka, odzyskując panowanie. – Powinnam była to przerwać, gdy dostałaś pierwszych krwawień. Powinnam była pomóc ci stać się na powrót kobietą. Teraz na pewno będzie ci trudno, ale jakoś damy radę.

– Ale dlaczego? Mam pracę. Potrzebujemy tych pieniędzy, mammo!

– Nie mogę ciągle poświęcać córki dla pieniędzy. Och, na jaką matkę przez to wychodzę! Ale skoro Juliana łąda dzień bierze ślub, będę mogła zacząć szukać męża dla ciebie...

Nes była pewna, że się przesłyszała.

– Męża? Ale po co?

– Agnes, masz niemal szesnaście lat. – Matka ujęła jej rękę w swoje dłonie. – Owszem, to trochę wcześniej, ale nie musisz brać ślubu od razu, wystarczą zaręczyny. Poza tym sama widzisz, że prawie nie zachowujesz się już jak kobieta. Myślę, że im szybciej znajdziesz się w małżeństwie, tym łatwiej będzie ci wrócić do normalności.

– Nie. – Nes wyrwała się i odruchowo cofnęła w stronę drzwi. – Nie!

– Agnes, uspokój się. Przecież to nic niezwykłego. Każda dziewczyna w końcu wychodzi za mąż.

– Nie! – Strach chwycił ją za gardło, poczuła się oszukana, zdradzona. – Mammo, ale ja nie chcę. Nie możesz mi tego zrobić.

– Agnes...

– Przecież nigdy cię o nic nie prosiłam. – Nes sama słyszała, że głos jej się łamie. – Nigdy nie byłam dla ciebie ciężarem. Dlaczego nie mogę po prostu zostać z tobą? Nie możesz mieszkać sama, potrzebujesz syna, który się tobą zajmie. – Doskoczyła do matki i objęła jej kolana. – Doskonale damy sobie radę we dwie, prawda? Proszę, mamoo...

– Dziecko, dlaczego ty płaczesz? Przecież to żadna krzywda, tylko normalna kolej rzeczy...

– Nie! Nie możesz mnie zmusić!

– Będziesz miała męża, Agnes – powiedziała matka twardo. – Tak postanowiłam. Zobaczysz, wyjdzie ci to na dobre – dokończyła miękko.

* * *

Następnego dnia Nes zjawiała się przed bramą rezydencji akwagrafa już o świcie. Pod pachą miała torbę z mapami, a w kieszeni list.

– Chciałabym przekazać wiadomość hrabiemu – rzekła, wręczając jednemu ze strażników kopertę, najdroższą i najbardziej elegancką, jaką zdołała kupić za swoje nędzne oszczędności.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem, ale przyjął list i odszedł na chwilę, by przekazać go komuś ze służby – a przynajmniej taką nadzieję miała Nes.

– Będziesz tu teraz stać? – burknął drugi ze strażników, gdy dziewczyna nie ruszyła się sprzed bramy.

– Na wypadek gdyby hrabia chciał mnie od razu widzieć.

Nad miastem zawisły chmury i zaczął siąpić paskudny deszcz, drobny i zimny jak odpryski lodu, ale Nes nie zamierzała nigdzie iść. Czowała, że to może być jej ostatnia szansa na studia albo przynajmniej kontynuowanie badań. Gdyby zdołała przekonać akwagrafa, by przyjął ją na asystenta...

Ulewa przybierała na sile, a odpowiedź z rezydencji wciąż nie nadchodziła. Może hrabia był zajęty i nie przeczytał jeszcze listu? A może przeczytał i cisnął go do kominka, zupełnie niezainteresowany? Dziewczyna zaczęła krążyć wokół rezydencji, by się rozgrzać. W pewnym momencie dotarła do wąskiego przesmyku pomiędzy murem a ślepą ścianą dawnego archiwum. Spojrzała na pęknięcia i nierówności kamieni i przyszło jej do głowy, że w tym miejscu, z dala od oczu strażników, mogłaby po prostu

wspiąć się i przejść na drugą stronę. Może gdyby zdołała wśliznąć się do domu i odnalazła akwagrafa...

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się krzywo, odpędzając tę niedorzeczną myśl. Włamanie do rezydencji hrabiego, też coś. To z całą pewnością nie nastawiłoby go przychylnie.

W końcu nie mogła dłużej ignorować lepiącej się do ciała odzieży, chlupoczącej w butach wody, pustego żołądka i zimna, od którego dostawała dreszczy. Zaczęła się też bać, że mapy – choć owinięte w skórę i schowane do torby, którą z kolei trzymała bezpiecznie pod kurtką – zamokną i całkiem się zniszczą. Rozczarowana, powlekła się do domu.

* * *

Panna młoda płakała.

Nes obserwowała z kąta pokoju, jak matka krąży wokół Juliany, dokonując ostatnich poprawek w jej ślubnej sukni; były one niezbędne, bo w ciągu ostatnich tygodni dziewczyna znacznie schudła. Siostra stała prosto i starała się zachować spokój, ale zdradzały ją zaszklone oczy. Gdy pociągała nosem, próbując zapanować nad płaczem, wyglądała na dużo młodszą i dużo bardziej ludzką niż zazwyczaj.

Nes obserwowała to i czuła, jak serce pęka jej z żalu.

– To nie w porządku – powiedziała do Sofie i ciotki Isabelle. – To powinien być jej szczęśliwy dzień, tak? Skoro płacze, to nie jest szczęśliwa. Dlaczego jej to robicie?

– Och, daj spokój. – Ciotka zamachała absurdalnie drogim i kolorowym wachlarzem z prawdziwych piór. – Panna młoda powinna płakać, tego wymaga grzeczność wobec rodziców. Gdyby nie uroniła ani jednej łzy, ludzie pomyśleliby, że nie kochała rodziny i nie będzie za nią tęsknić. Albo że zbyt prędko jej do małżeńskiego życia, a to byłoby bardzo nieprzyzwoite.

Nes była jednak zdania, że jej siostra płacze nie z poczucia przyzwoitości, ale dlatego, że pan młody jest dwa razy od niej starszy, surowy i małomówny. A także dlatego, że do tej pory zwracał się wyłącznie do matki i stryjów, nigdy do samej Juliany, jakby ta była tylko ozdobą, nie człowiekiem.

Nes chciała powiedzieć siostrze, że nie musi się bać, że obroni ją, jeśli będzie trzeba, ale wspomnienie słów matki zakłuło ją jak igła.

„Nie jesteś jej bratem! Nie jesteś mężczyzną!”

Dlatego nie powiedziała nic i tylko patrzyła, jak matka i ciotka odprowadzają Julianę do drzwi. Siostra nie pociągała już nosem i tylko drżąca lekko dolna warga zdradzała, że dziewczyna wciąż bliska jest płaczu.

* * *

Minął tydzień, odkąd Nes wręczyła strażnikowi list do królewskiego akwagrafa, i musiała wreszcie zaakceptować, że nie dostanie odpowiedzi. Ta świadomość przepełniła ją goryczą; nie umiała zdecydować, czy ma ochotę krzyknąć i coś rozwalić, czy raczej zwinąć się w kłębek w sypialni – tak dziwnie puste, odkąd Sofie zajęła pokój Juliany – i przeplakać całą noc.

Gdybym była prawdziwym chłopakiem, pomyślała, umiałabym znaleźć wyjście z tej sytuacji. Ale jestem tylko głupią, słabą dziewczyną przebraną w spodnie, więc jedyne, co potrafię, to się rozbeczeć.

– Jutro musisz powiedzieć panu Hoggeveenowi, że nie będziesz już u niego pracować – powiedziała matka wieczorem, gdy skończyły kolację.

Nes zamarła w drzwiach.

– Nie rozumiem – wymamrotała.

– Znalazłam ci męża – oznajmiła po prostu matka. – Naprawdę uważam, że to ci wyjdzie na dobre.

Nes poczuła potrzebę, by przytrzymać się framugi; wbiła w nią palce, kalecząc je o drewno, ale nawet ból nie pomógł jej się obudzić z tego absurdalnego snu.

– Nie mówisz poważnie – wydukała, podczas gdy jej myśli i serce tłukły się jak oszalałe. Nie teraz. Nie tak szybko...

– Oczywiście nie musisz wychodzić za niego od razu. Zresztą co by ludzie pomyśleli, gdybyś pokazała się na ślubie z takimi krótkimi włosami? Minie trochę czasu, nim doprowadzimy cię do ładu, ale...

Do Nes nagle dotarło, że milczenie akwagrafa, nieudane mapy i zamknięte bramy uniwersytetu to wcale nie najgorsze, co mogło ją spotkać.

– Pamiętasz pana Ingesa? – spytała matka, jakby zmieniając temat. – To wykładowca uniwersytecki, przyjaciel twojego ojca.

– Tak. Może. Nie wiem! Co to ma za znaczenie?

Matka mięła w palcach róg jedwabnego szala i wyraz jej twarzy powiedział Nes wszystko.

– Przecież on musi być w jego wieku!

– To prawda, jest już dojrzałym mężczyzną. – Matka nerwowo poprawiła spódnicę, jakby na chwilę ogarnęły ją wątpliwości, jednak natychmiast odzyskała opanowanie i pogodny wyraz twarzy. – Ale to tylko zaleta. Będzie miał więcej cierpliwości i zrozumienia niż ktoś młodszy. No i być może nie będzie miał nic przeciwko temu, byś dalej zajmowała się tymi swoimi... rysunkami. Oczywiście w wolnym czasie.

– Mamo!

– Wie, jaka była nasza sytuacja. Twoje dotychczasowe prowadzenie się nie wzbudza w nim... niesmaku. Jest w stanie to zaakceptować.

– A skąd pewność, że ja zaakceptuję jego? – wycodziła Nes, chwytając się ostatecznego, co powstrzymywało ją przed płaczem: gniewu.

– Nie masz wyboru. Jak myślisz, ilu porządnych mężczyzn zgodziłoby się ciebie poślubić? Nie masz posagu ani reputacji. Nie masz też urody swoich siostr, ich dobrego usposobienia ani biegłości w kobiecych umiejętnościach. Właściwie jestem pewna, że pan Ingres zgodził się na to małżeństwo tylko przez wzgląd na pamięć o twoim ojcu.

– Niech zatrzyma sobie swoją pamięć i swoją łaskawość – warnęła Nes. – Nie wyjdę za niego.

– Agnes, zdecydowałam już.

– Nie wyjdę!

– Więc co będziesz robić?

– Coś wymyślę! Ale nie poślubię go, choćbym musiała stąd uciec!

Matka zmrużyła oczy i wysunęła podbródek, co nagle upodobniło ją do brzydkiego, starego ptaszyska, i po tym Nes poznała, jak bardzo jest rozgniewana. Zwykle robiła wszystko, by wyglądać elegancko, urodziwie i pogodnie, choćby jednocześnie cierpiała albo miała ochotę się rozplakać.

– I dokąd byś poszła? – spytała chłodno.

– Pojechałabym na północ! Daleko stąd, tam gdzie kobiety mogą pracować i zarabiać i gdzie nikt nie wydaje ich siłą za mąż.

– I gdzie zimą domy opala się łajnem, a większość ludzi wciąż mieszka pod jednym dachem z bydłem? – Matka uśmiechnęła się kpiąco i bardzo brzydko. – Zresztą jak byś się tam dostała? Piechotą i wplaw? Bo nie masz pieniędzy na podróż statkiem. Ani na zaczęcie tam jakiegokolwiek interesu. Kim planowałaś zostać, ulicznicą?

Nes czuła na policzkach gorąco od rumieńców i okropną, zawstydzającą wilgoć łez.

– Jeszcze zobaczysz! – krzyknęła i nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to okropnie dziecinnie. – Nie zostaną jego żoną!

Miała ochotę wybiec z domu, ale od kilku godzin zacinąca straszliwa ulewa, więc po chwili namysłu zadowolona się trzaśnięciem drzwiami do sypialni, od czego spomiędzy szpar w suficie posypały się kłęby kurzu.

* * *

Następnego dnia ulewy ustały, ale miasto żyło opowieścią o górnikach, którzy utonęli w kopalni, gdy woda nagle wypełniła korytarze. Najpierw mówiono o kilku ciałach. Potem o ponad dwudziestu. Ludzie wyrażali doskonale udawane zdziwienie i przerażenie, że większość z nich należała do dzieci.

Nes już przed południem stanęła przed rezydencją akwagrafa. – Mam list dla hrabiego – powiedziała strażnikom.

Po ich minach domyśliła się, że koperta zostanie zgnieciona i wyrzucona zaraz za bramą, ale to już nie miało znaczenia. Przystała liczyć na łaskawość akwagrafa i na to, że mapy dadzą jej wolność i szansę na studia. Tym razem czekała na Rzekę.

Usiadła w podcieniu pięknej opuszczonej kamienicy po drugiej stronie ulicy, objęła kolana rękoma, by w ten sposób zapanować nad targającym nią zdenerwowaniem, i po raz kolejny zaczęła analizować swój plan. Kopalnia węgla znajdowała się kilka mil na południe od miasta. Gdy ostatnim razem w wybuchu gazu i pożarze, który nastąpił potem, zginęło kilkunastu górników, Rzeka przybrała jak szalona. O ile Nes było wiadomo, nikt nie powiązał tego akurat ze zdarzeniem w kopalni, ale pamiętała, że podczas tamtego wylania Strumienie pokryły miasto jak najprawdziwsza pajęczyna, na kilka dni zmieniając je w niebezpieczny labirynt, w którym jeden zły krok mógł oznaczać szaleństwo. To wtedy ulicą Morwową popłynęła struga, którą dziewczyna naniósł błękitnym tuszem na swoją mapę.

Cała jej nadzieja leżała w tym, że Rzeka nie jest jednak tak nieprzewidywalna, jak mówiono.

Godzinę po południu do bramy przybiegł posłaniec: Nes była zbyt daleko, by usłyszeć, co mówi, ale jego gwałtowna gestykulacja natchnęła ją odrobiną otuchy.

Dwie godziny później zaczęła zauważać pierwsze oznaki rodzącego się Strumienia. Taką właśnie miały naturę: były zbyt słabe, by wytworzyć to dziwne migotanie, jakie charakteryzowało główny nurt Rzeki, ale dało się dostrzec efekty ich działania.

Nes patrzyła zafascynowana, jak trawa między kamieniami zaczyna falować niczym rośliny poruszane łagodną falą jeziora; jak źdźbła zmieniają kolor z zielonego na biały, czarny albo siniofioletowy. Zaraz potem na bruku zaczęły pojawiać się wzory, jakby coś stopiło jego powierzchnię i zmarszczyło ją tak, jak wiatr marszczy wodę. Dziewczyna zrobiła krok do przodu i pozwoliła, by nadgryzione jabłko przypadkiem wyslizgnęło jej się z palców, a potem patrzyła, jak owoc wiruje jak szalony, na zmianę puchnie i zapada się w sobie, by wreszcie szernieć niczym węgiel.

Nad miastem odezwały się dzwony, obwieszczając gwałtowny przybór Rzeki i nadchodzące zalanie.

Ich przejmujący, wibrujący ton zawsze budził w Nes dreszcze. Teraz dziewczyna poczuła, jak opadają ją wątpliwości. Być może siła przyboru była większa, niż zakładała, a Rzeką bardziej niebezpieczna. Odruchowo pomyślała o matce i siostrach. Czy były bezpieczne? Czy nie powinna wrócić i upewnić się, że z nimi wszystko w porządku? Odepchnęła jednak tę myśl. Ich dom leżał daleko od zagrożonych terenów, Strumienie nigdy tamtędy nie przepływały. Matka i Sofie na wszelki wypadek schronią się na strychu, ale nic im się nie stanie, Nes wierzyła w mapy. Poza tym nie miała większego wyboru.

Czekała, wciśnięta w podcień kamienicy, aż przez bramę wyjechał zdobiony błękitem powóz akwagrafa. W przypadku nagłego wylania Rzeki bogatsi mieszkańcy chronili się we wzniesionych na sztucznych kopcach azylach, a zwyczajni ludzie zwykle po prostu przeczekiwali zagrożenie na wyższych kondygnacjach domów – jeśli oczywiście nie byli z powodu biedy skazani na robotnicze klitki na parterze czy, jeszcze gorzej, sutereny.

Nes obserwowała kolejne osoby opuszczające posiadłość w ślad za powozem hrabiego, ale nie była naiwna – wiedziała, że część służby zostanie, by strzec domu, choćby miało im grozić podtopienie. Liczyła jednak, że w pośpiechu nie zdążyli spakować wszystkich przyrządów i po prostu pozostawili je na wyższych piętrach.

Kilka razy zacisnęła i rozprostowała palce, szukając w sobie odwagi. Nie znalazła jej, więc w końcu ruszyła do przodu, uzbrojona jedynie w desperację. Przebiegła ulicę, choć przekraczanie

wzbierającego Strumienia wywoływało dziwne, mrowiące uczucie w stopach i łydkach, i pomknęła do przesmyku między murem rezydencji a archiwum, gdzie wcześniej zauważyła pęknięcia i nierówności jakby stworzone dla złodzieja.

Kamień, jeszcze wilgotny po ostatnich ulewach, nie dawał zbyt dobrego oparcia dla dłoni i stóp, ale Nes jakoś zdołała wgramolić się na górę, zostawiając po drodze tylko nieco zdartej skóry. Podciągnęła się na szczyt muru, przerzuciła ciało na drugą stronę i skoczyła. Trawa, gdy patrzyła na nią z wysokości, przypominała gruby i miękki dywan, jednak w momencie lądowania kostka dziewczyny eksplodowała bólem.

Pozbierała się z ziemi i rozejrzała. Ogród otaczający rezydencję został urządzony w starym stylu: był pełen drzew i krzewów posadzonych tak, by tworzyły nastrojowy gąszcz, w którym zaciełała się granica pomiędzy pożądanym efektem dzikości a zwyczajnym zaniedbaniem. Nes miała nadzieję, że dzięki temu zdoła pozostać niezauważona. Gdyby ktoś ją przyłapał, zamierzała zarzekać się, że chciała tylko osobiście dostarczyć hrabiemu list, ale miała świadomość, że to marna obrona. Przesuwała się wzdłuż ściany domu, aż znalazła otwarte okno: parapet znajdował się akurat w zasięgu jej rąk, więc za trzecią próbą zdołała się podciągnąć i wślizgnąć do środka.

Pomieszczenie wyglądało na pralnię i na szczęście okazało się puste. Nes nasłuchiwała przez chwilę z uchem przyciśniętym do drzwi, po czym zebrała się na odwagę i wyszła na korytarz. Z początku w głowie miała tylko pustkę, przez którą przebijało się jedno pytanie: co by powiedział ojciec? Chciał przecież, żeby jego córka się uczyła, a nie okradała uczonych.

Ale jeśli zostanie żoną jakiegoś obmierzłego starca, to nigdy już niczego nie osiągnę, powiedziała sobie dziewczyna. Jeśli jedyną szansą jest ucieczka na północ, to ucieknę, a do tego potrzebuję pieniędzy.

Jednak nieprzyjemne, kotłujące się uczucie w żołądku podpowiadało jej, że to żalosne wytłumaczenie.

Rezydencja była stara – wzniesiona jeszcze w czasach, gdy miasto było mniejsze, a Rzeką spokojniejsza – i rozrastała się wszcz, nie wzwyż, zaś pomieszczenia na dole najwyraźniej służyły kiedyś wysoko urodzonym, a nie służbie. Zdradzały to kunsztownie rzeźbione drzwi, puste obecnie cokoły w każdym rogu korytarza i piękne malowidła na sufitach. Mimo to Nes od razu skierowała się na piętro: nikt przy zdrowych zmysłach nie trzymałby niczego

cennego na parterze, jeśli dom stał w pobliżu Rzeki. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się pracownia, więc po prostu ruszyła korytarzem, cały czas nasłuchując i zaglądając za każde drzwi, które była w stanie otworzyć. Niektóre pokoje były zamknięte, a te, do których udało jej się wejść, okazywały się całkiem nieinteresujące, pełne ciężkich bibelotów i kurzu. Ani śladu cennych przyrządów.

Choć spędziła w rezydencji już ponad kwadrans, nie natknęła się na nikogo; najwyraźniej hrabia zarządził ewakuację niemal całej służby. Być może zdawał sobie sprawę z zagrożenia lepiej niż Nes, która naiwnie uwierzyła, że podobnie jak kilka lat wcześniej Strumień nie przybierze na tyle, by sięgnąć rezydencji. Dziewczyna zawahała się, ale wreszcie odtrąciła myśl o ucieczce. Kilka przyrządów wyniesionych z pracowni, sprzedanych na czarnym rynku w którymś z miast portowych – najlepiej zagranicznemu kupcowi – mogło jej zapewnić małą fortunę. Więcej niż dość, by przedostać się na północ i tam jakoś ułożyć sobie życie. Kto wie, może nawet mogłaby otworzyć kantor albo księgarnię...

Kolejne drzwi ustąpiły i Nes znalazła się w pomieszczeniu dużo skromniejszym od poprzednich: bez zaścielających podłogę dywanów i obrazów na ścianach, bez miękkich sof, krzeseł o rzeźbionych poręczach, wazonów ze sztucznymi kwiatami i idiotycznych kruchych porcelanowych figurek. W tym pokoju królował stół: ogromny, drewniany, na prostych nogach bez żadnych rzeźbień. Na blacie spoczywały zaś mapy.

Zbliżyła się do nich bardzo powoli, ogarnięta onieśmieniem i podziwem. Największa z map, rozłożona pośrodku stołu – z rogami przyciśniętymi tym, co akwagraf akurat miał pod ręką, od ametystowej geody po pusty kubek – przedstawiała miasto i przepływającą przez nie Rzekę. Pokolorowano ją z użyciem złota i srebra, wszystkie znane Strumienie zostały odwzorowane czytelnymi pociągnięciami, perfekcyjne cieniowanie doskonale oddawało ukształtowanie terenu, a każda ulica i każdy plac wyglądały dokładnie tak, jak powinny. Nes z wahaniem wyciągnęła rękę i musnęła palcami pergamin. Przy tej mapie jej własne przypominały rysunki dziecka. Jeśli tak wyglądało dzieło uczonego, to jak ona mogła liczyć, że kiedykolwiek zostanie przyjęta do ich grona? Teraz na własne oczy widziała, że jako dziewczyna zwyczajnie nie dysponuje nawet ćwiercią potrzebnego talentu.

Ta myśl zaboliała, ale też pozwoliła jej otrząsnąć się z zaurwienia. Zaczęła rozglądać się po pokoju. Na blacie ciągnącym

się wzdłuż ściany ustawione były sprzęty do pomiaru, większość z nich tak dziwaczna, że Nes nie potrafiła ich nazwać, choć ojciec oprowadzał ją kiedyś po pracowni kartograficznej uniwersytetu. Sięgnęła po zamkniętą w sieci zachodzących na siebie obręczy kulę z nibyszklą, której akwagraf używał na kładce. Była lżejsza, niż dziewczyna się spodziewała, ale na pewno bezcenna, więc natychmiast wsunęła ją do torby. Urządzenie przypominające mikroskop uznała za zbyt nieporęczne, by je zabierać, choć fascynowały ją kolorowe soczewki. Zwalczyła chęć, by dotknąć którejś z zębatek w przyrządzie, wyglądającym jak bardziej skomplikowany sekstant, i zamiast tego zabrała wspaniale oprawioną lunetę. Dorzuciła coś, co w pierwszej chwili wzięła za niewielki zegar z wahadłem, ale co nie wskazywało wcale godzin; dziwaczne symbole na tarczy skojarzały jej się ze zwojami ze wschodu, które kiedyś pokazał jej ojciec, doszła więc do wniosku, że ten przedmiot akwagraf przywiózł z jednej z zamorskich podróży. A to oznaczało, że musiał być wart fortunę.

Tyle wystarczy aż nadto, powiedziała sobie, wpychając łup do torby. Czowała na biodrze jej ciężar, ale jeszcze gorszy zalegał w jej żołądku. Każda rzecz w tym pomieszczeniu stanowiła wyraz zamiłowania do nauki, tej nauki, której ona pragnęła zostać częścią. Jednak jej starania okazały się nic niewarte i na końcu mogła tylko okraść człowieka, który osiągnął coś, o czym ona bezskutecznie marzyła.

Ogarnęło ją obrzydzenie do samej siebie. Te bezcenne sprzęty były podstawą pracy królewskiego akwagrafa, jego kluczem do zrozumienia Rzeki. Być może część z nich sam skonstruował. Upłyną lata, nim zdoła ponownie zdobyć te, które zbierał podczas swych dalekich podróży.

Ojciec nigdy nie wybaczyłby jej czegoś takiego.

Ręce jej drżały, gdy w pośpiechu wyciągała przyrządy z torby, odkładała po kolei na miejsca. Gdy ostatni znalazł się z powrotem na stole, Nes jeszcze raz spojrzała na mapę. Jaka szkoda, pomyślała, że to nigdy nie będzie częścią mojego życia.

A potem uciekła.

* * *

Następnego ranka siedziała w jadalni, tępo wpatrując się w imbryk z wystygłą herbatą. Rozważała, czy nie spróbować zaokrętować się na jeden ze statków płynących na północ jako

chłopak do szorowania pokładu. Znała jednak mnóstwo okropnych opowieści o nieokrzesianiu marynarzy i cierpła ze strachu na myśl o tym, co by zrobili, gdyby jej płeć wyszła na jaw. A nie miała pojęcia, jak zdołałaby coś takiego ukryć na wypełnionym ludźmi statku.

Jej rozmyślania przerwało łomotanie do drzwi. Była w połowie korytarza, gdy do domu wpadli policjanci. W pierwszej chwili Nes ucieszyła się, że wbrew prośbom matki założyła spodnie i koszulę. W następnej nogi się pod nią ugięły, bo zrozumiała, że przyszli po nią. Kto ją wydał? Pan Hoggeveen?

Szarpnęła się, gdy dwóch mężczyzn złapało ją pod ramiona, ale jedyne, co zdołała uzyskać, to boleśnie wykręcona ręka. Poddała się więc i pozwoliła, by powlekli ją za sobą. Zastanawiała się, na ile lat ją zamkną za udawanie mężczyzny, i doszła do wniosku, że to nie będzie dużo gorsze od małżeństwa.

– Co się dzieje?! – Na schodach pojawiła się matka, z nieułożonymi włosami, blada i zagniewana. – Czego chcecie od mojego dziecka?

Nie powiedziała „córki”, zauważyła tępo Nes.

– Pani syn jest oskarżony o włamanie i kradzież.

Coś w jej głowie przeskoczyło. Nie wiedzieli, że jest dziewczyną!

– To nonsens! – Matka próbowała przepchnąć się między policjantami, a Nes pomyślała, że nigdy nie widziała jej zachowującej się tak... niegodnie damy. Tak zdesperowanej. – Puście go natychmiast. Daję słowo, że on nie...

– Szanowna pani, jesteśmy zmuszeni przeszukać ten dom. Proszę tego nie utrudniać.

Nes, zupełnie skołowana, dała się wyprowadzić na ulicę i skuć kajdankami. Nim wepchnięto ją do powozu, zdążyła jeszcze zauważyć, jak jeden z policjantów wnosi naręczce jej map. Na widok tego, jak bezceremonialnie je traktuje, zapragnęła się na niego rzucić.

* * *

– Powtarzam: nic nie zginęło. – Królewski akwagraf, hrabia Casper de Ellian, skrzyżował ramiona na piersi i obrzucił oficera miejskiej policji niechętnym spojrzeniem.

Nes zupełnie nie tak wyobrażała sobie spotkanie z uczyonym. Teraz stała w salonie hrabiowskiej rezydencji, ramiona miała wykręcone do tyłu, a nadgarstki spięte kajdankami. Na policzku

rósł jej siniec zarobiony od jednego z policjantów – miała wrażenie, że ta część twarzy jest dużo bardziej opuchnięta i jakby obca.

– Z całym szacunkiem – odezwał się policjant – tego chłopaka widziano kilka razy, jak kręci się wokół rezydencji. Był tu także w dniu wylania...

– W takim razie jest wybitnie uparty. To chyba nie przestępstwo? – Akwagraf zabębnił palcami o blat stołu. – Ach, właśnie. To twoje były te listy?

Czyli jednak je dostał, pomyślała Nes. I nie okazały się warte nawet tyle, by udzielić odpowiedzi. Pognębiała do reszty, skinęła tylko głową.

– Ten chłopak – odezwał się akwagraf – od wielu dni próbuje zwrócić na siebie moją uwagę. Chciałby chyba, żebym go przyjął na asystenta. To dlatego z taką... namolnością przychodził pod bramę.

– Służąca twierdzi, że widziała, jak ktoś wspina się na mur – upierał się policjant. – A w jego domu znaleźliśmy mapy. Jest pan pewien, że nie wyniósł ich stąd?

– No tak, mapy. – Akwagraf podniósł jeden z arkuszy. – Przyglądał im się pan może? Bo ja to zrobiłem. I zapewniam pana, że w całym tym domu nie ma i nie było ani jednej tak beznadziejnie skreślonej mapy, jak te tutaj. Właściwie nawet ciężko nazwać to mapą, to raczej niewprawne rysunki.

Nes odczuła te słowa jak cios w brzuch, o dziesięciokroć boleśniejszy niż którykolwiek z razów, jakie otrzymała od policjantów. Spuściła głowę, by ukryć napływające do oczu łzy.

– Ani jeden z moich asystentów – ciągnął tymczasem hrabia – nie stworzyłby czegoś tak... nieużytecznego. O sobie oczywiście nawet nie wspominam.

– Czyli są bezwartościowe? – zdziwił się policjant. – Wyglądają na dość... szczerogłowe.

– Dla niewprawnego oka być może. Ale nie dla kogokolwiek, kto ma jakieś pojęcie o akwagrafii i o sztuce tworzenia map w ogóle. Zapewne ten dzieciak rysował je sam i był przekonany, że nie są wcale najgorsze. Cóż, tak bywa z tymi, którzy nie mieli dostępu do edukacji.

Nes zadrzęta, słysząc dźwięczący w głosie hrabiego niesmak. Wiedziała, że jej mapy są dalece niedoskonałe, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogą być aż tak złe.

– Sugeruję, by zakończyć tę sprawę w tym miejscu – odezwał się akwagraf surowym, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Schwytaliście osobę, która niczym nie zawiniła. Wypuście ją i proszę, nie marnujcie dłużej mojego czasu.

Policjant wymamrotał przeprosiny, a potem rozkuł Nes, dziewczynie było jednak już wszystko jedno. Właściwie gdyby znalazła się teraz w więzieniu, nie czułaby się bardziej parszywie.

– Zostawcie mi chłopaka – rzucił nieoczekiwanie hrabia. – Skoro już się tu znalazł, to wyjaśnię z nim sprawy tych... map. – Ostatnie słowo wymówił z wyraźną pogardą.

Nes wcale nie miała ochoty zostawać, ale usłuchała.

– Usiądź – rzekł akwagraf, wskazując jej krzesło przy stole.

Nie chciała siadać, chciała zniknąć w jakimś ciemnym, pustym miejscu, w którym mogłaby zostać sama ze swoimi zniszczonymi marzeniami. Posłuchała jednak, bo opór wydał jej się dziecinny i nie na miejscu.

– Jak się nazywasz? – spytał hrabia, gdy zajęła miejsce.

– Erik.

Uderzenie linijką po palcach nie było zbyt mocne i dziewczyna krzyknęła raczej z zaskoczenia niż z bólu.

– Jak się nazywasz? – powtórzył spokojnie akwagraf.

Pochwyciła jego spojrzenie; to było spojrzenie człowieka, który wie.

– Agnes Vestering – powiedziała ochryple, a imię zabrzmiało jakoś niewłaściwie, prawie jakby należało do obcej osoby.

Mężczyzna nie sprawiał wrażenia zaskoczonego czy oburzonego. Przeciwnie, wydawał się zadowolony, z jego twarzy zniknęła nawet pogardliwy grymas.

– Rozumiesz, że to, co powiedziałem o mapach, powiedziałem po to, by policja dała ci spokój?

– Co?

– Twoje mapy. Musiałem ich przekonać, że są nic niewarte, bo inaczej drażyliby temat. A to nie było nam potrzebne, prawda?

Nes potrzebowała chwili, by zrozumieć słowa hrabiego, i kolejnej, by poczuć odrobinę nadziei.

– Więc nie są okropne?

– Są... interesujące. – Powiódł palcem po leżącej przed nim karcie. – Och, jeśli chodzi o technikę, są złe. Odległości, perspektywa, sposób prowadzenia linii... Coś takiego byłoby nie do zaakceptowania u jakiegokolwiek studenta. Czy ty w ogóle robiłaś jakieś pomiary? Wiesz, co to sieć triangulacyjna?

– Liczyłam kroki – wymamrotała Nes. – I oceniałam na oko. Nie miałam żadnych instrumentów.

– Widać – parsknął hrabia. – Ale twoja spostrzegawczość i upór są godne podziwu. Tak jak i to, że na twoich szkicach są Strumienie, jakich nie znalazłem na żadnej oficjalnej mapie. Ale to, co jest naprawdę ciekawe... – Wyciągnął ze sterty papierzysk kilka kartek pokrytych ciasnym pismem. – Nawet nie wiedzieli, co to jest. Dobrze, że tego nie wyrzucili. Możesz mi o tym opowiedzieć?

– To listy zdarzeń – zaczęła niepewnie. – Ważne wydarzenia albo wypadki. Byłam ciekawa, czy w jakiś sposób wpływają na Rzekę. Czy da się w tym znaleźć wzór.

– To ty krzyczałaś o pożarze. Wtedy na kładce.

Nes wbiła spojrzenie w kolana, niepewna, czy akwagraf ją gani, czy chwali.

– Uważam, że te zapiski są szalenie interesujące. Sam od kilku lat badam zależności między tym, co dzieje się na brzegach Rzeki, a jej zachowaniami. Z chęcią wykorzystałbym twoje notatki dotyczące tego miasta.

– Och.

– Uważam też, że gdyby nauczyć cię odpowiedniej techniki i zasad robienia pomiarów, to może jeszcze coś by z ciebie było.

Serce Nes poderwało się do szaleńczego galopu.

– Proszę pana...

– Wydaje mi się, że mogę pozwolić sobie na zatrudnienie jeszcze jednego asystenta.

Nie chciała w to wierzyć, za bardzo bała się rozczarowania.

– Mimo że jestem dziewczyną?

– Wierz mi, nie wszyscy popierają te dalece niepraktyczne obyczaje. Ja na przykład uważam, że kobietom nie brakuje inteligencji, by studiować. Myślisz, że byłabyś pierwsza? – Akwagraf wydał z siebie parsknięcie, które prawie było śmiechem. – A wiesz, że nibyszkło wynalazła kobieta?

– Przecież stworzył je lord Hern.

– Tak naprawdę to była lady Hern. Jednak ponieważ akademia nie potraktowałaby poważnie wynalazku kobiety, zdecydowali wspólnie z mężem, że to on zostanie wskazany jako twórca. Przykra sprawa, ale cóż, od zawsze tak było. Ludzie nie zaakceptowałyby rewolucji.

Nes poczuła sensację w brzuchu. Nibyszkło, jeden z najważniejszych wynalazków ostatnich dziesięcioleci. Jeśli jedna kobieta była zdolna wynaleźć coś takiego, to przecież inne też mogłyby...

– Jeden z profesorów biologii na Uniwersytecie Królewskim przez lata prowadził badania razem z kobietą. Jednak

by uniknąć skandalu, ona zawsze przedstawiała się jako mężczyzna. To są przypadki, które znam z pierwszej ręki. Z pewnością jednak było ich więcej.

Dziewczyna poruszyła się na krześle, usiłując przetrwać to wszystko.

– A kobiety, które nie ukrywały swojej płci? – spytała wreszcie, choć wiedziała już, co usłyszy. Przecież nikt nigdy nie widział kobiety naukowca.

– Tak jest łatwiej – odparł akwagraf prawie łagodnie. – Skandale to ostatnie, czego potrzebujemy w nauce, nie uważasz?

Zrozumiała postawiony jej warunek. Nie potrafiła znieść spojrzenia akwagrafa, więc odwróciła głowę. Stała przed szansą, o której marzyła, a jednak czuła przede wszystkim rozgoryczenie, złość i trochę mdłości. Zatem do końca życia będzie zmuszona udawać chłopaka? Nigdy nie udowodni, że kobiety też mogą kreślić mapy i zostawać uczonymi. Nigdy nawet nie podpisze żadnego swojego dzieła swym prawdziwym imieniem.

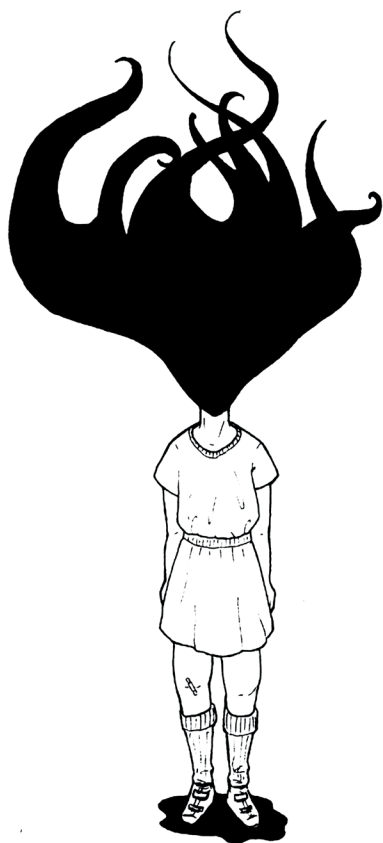
– Rozumiem – powiedziała powoli, a słowa miały okropny posmak. – I chciałabym zostać pana asystentem.

Akwagraf skinął głową, wyraźnie zadowolony.

– To jak się nazywasz? – spytał.

– Erik Vestering.

Agnieszka Żak
WSPOMNIENIA



Agnieszka Żak – Autorka opowiadań fantastycznych i autystyczna wiedźma. Członkini Śląskiego Klubu Fantastyki. Ukończyła bibliotekoznawstwo, ale obecnie robi w grach komputerowych. Publikowała m.in. w „Magazynie Biały Kruk”, „Silmarisie” i antologiach „Ścieżki wyobraźni”.

Jadalnię wypełniały dźwięki życia – stukanie sztućców o talerze, mlaskanie i przeżuwanie, okrzyki dzieci ganiających się dokoła stołu, tubalne śmiechy mężczyzn, krajowe wiadomości podawane przez spikera poważnym tonem, płacz niemowlęcia mojej starszej siostry, jeszcze nieprzyzwyczajonego do wiecznej kakofonii tej rodziny. A przez to wszystko przebijał się dźwięczny, silny głos naszej matki, upominającej nas, byśmy nie rozlali sosu na obrus.

Krzysiek co chwila mi dogryzał i nie byłam pewna, czy robi to przyjaźnie, w ramach typowego braterskiego przekomarzania się, czy też mi autentycznie zazdrości, bo jako pierwsza i na razie jedyna w rodzinie poszłam na studia. Odpowiadałam mu z uśmiechem, wyolbrzymiając uroki życia w wielkim mieście, ale uważałam ze złośliwościami, by jednak nikogo nie urazić. Choć ciężko było powiedzieć, czy ktokolwiek był mnie w stanie w ogóle usłyszeć: Karolina porównywała drugą ciążę – w której trzecim miesiącu właśnie była – z tą pierwszą, tata z zięciem krzyczeli na piłkarzy w telewizorze, żony moich braci plotkowały o czymś konspiracyjnym szeptem w drugim końcu pokoju, a mama usilnie próbowała wcisnąć we wszystkie dokładki.

Gdy już wyciąłowałam wszystkich na dobranoc i zamknęłam za sobą drzwi mojego starego pokoju, aż zadzwoniło mi od cisy w uszach. Kiedyś dzieliłam go z Karoliną, później jednak stał się tylko mój. Urządziłam go bardzo starannie, rozstawiając wokoło wszelkiego rodzaju durnostojki, ozdóbki i kwiatki. Półki wypełnione były seriami dziewczyńskich książek, niekochanymi już pluszakami, zapomnianymi pamiątkami z wycieczek szkolnych, wypisanymi długopisami, koralikami i innymi drobiazgami. Gdy wyjeżdżałam na studia, mówiłam mamie, by to wszystko pochowała, bo będzie się tylko kurzyć. Ona jednak zostawiła wszystko na swoich miejscach. Chciała, bym wiedziała, że zawsze mogę tu wrócić,

że mam swoje miejsce w tym domu „w razie czego”. Byłam jej za to wdzięczna, bo dużo łatwiej snuło się wielkie plany ukończenia studiów, znalezienia dobrej pracy i mieszkania, wiedząc, że ma się poduszkę powietrzną, na którą zawsze będzie można upaść. Wiedziałam, że nie każdy ma tyle szczęścia, i starałam się to doceniać. Jednocześnie jednak, przeglądając tę świątynię dawnych czasów, ciężko było mi nie odczuwać lekkiego zażenowania. To były dobre czasy, dobre dzieciństwo, ale przyszła pora, by dorosnąć. Może sama powinnam popakować to wszystko do pudeł, skoro mama usilnie próbuje zrobić ze mnie małą dziewczynkę.

Zdjęłam z półki jedną z książek i zaczęłam bezmyślnie kartkować, próbując przypomnieć sobie fabułę. Nagle spomiędzy stron wypadło zdjęcie. Schyliłam się, by je podnieść. Sądząc po okrągłych twarzach i warkoczykach, zrobiono je w czasach podstawówki. Na środku ja w zielonej sukience. Po prawej bliźniaczki Anna i Hanna, z którymi do tej pory utrzymywałam kontakt. I...

Ręka mi zadrżała i zdjęcie wypadło spomiędzy palców. Poleciało łukiem pod łóżko. Przez chwilę stałam bez ruchu, zastanawiając się, czy jeśli schylę się i tam zajrzę, to je jeszcze zobaczę. Czy może zniknęło, jak na marę z przeszłości przystało.

Musiałam odsunąć mebel, by w końcu wyciągnąć zdjęcie z lepkiej pajęczyny kurzu, do której nie dosięgał odkurzacz. Oczywiście, że magicznie nie zniknęło. Skarciłam się za tak absurdalną myśl. Patrząc na nie znów, nie rozumiałam, co mnie za pierwszym razem tak zaszokowało. To, że nie widziałam twarzy kiedyś najlepszej przyjaciółki od sama nie wiem ilu lat? Że przez cały ten czas o niej nie myślałam? Że nie potrafiłam sobie od razu przypomnieć jej imienia? Przecież to głupoty. Nikt nie pamięta imion wszystkich swoich kolegów z czasów szkolnych.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Mama stanęła w drzwiach, bardziej zciekawiona niż zaniepokojona. Musiała usłyszeć szuranie łóżka po podłodze.

– Tak. Coś mi upadło. – Uniosłam w górę zdjęcie.

– Ooo, a słyszałaś, że Hanna bierze w przyszłym roku ślub? Ten jej narzeczony...

– Tak, jestem zaproszona.

– ...to nigdy mi się zbytnio nie podobał, taki łobuz z niego od dziecka był. Kradł rowery. Za rękę nikt go nigdy nie złapał, ale wiadomo, że to on. Potem jeździł po wsiach i sprzedawał...

Czułam, jak paplanina mamy otula mnie niczym miękkie koc. Nie słuchałam zbyt uważnie, bo nigdy nie lubiłam niepodpartych

niczym plotek, które mama zbierała po całym miasteczku, ale sam dźwięk jej głosu był przyjemnie kojący, znajomy. Miałam ochotę zamknąć oczy i pozwolić, by mnie ukołysał. Jednak jedno spojrzenie na zdjęcie starczyło, bym z powrotem się spięła. Wciąż coś mi się nie zgadzało.

– ...i zrobiła się wielka afera, bo jego siostra cioteczna...

– A wiesz, co u... Kasi? – Zawahałam się, z trudem przywołując z pamięci dawno niewypowiedzane imię.

Cisza, która nagle zapadła, była zimna i szorstka. Nieprzyjemna jak nagle ściągnięcie kołdry ze śpiącego człowieka. Mama wyjęła powolnym gestem zdjęcie z moich dłoni.

– Trzeba to schować do albumu. Żeby się nie zgubiło.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Poczekalam, aż dom całkiem umilknie, i zakradłam się na parter. Coś mi podpowiedziało, że nie ma sensu sprawdzać albumów. Skierowałam się od razu do kuchni, gdzie w śmietniku znalazłam lekko zamokłe, pogięte, ale całe zdjęcie.

Stałam na środku salonu, wciąż promieniującego ciepłem ludzkich ciał. Powietrze wibrowało ledwo wyczuwalnie od ech rozmów. Zanim wróciłam do sypialni, poczułam silną potrzebę, by wyjrzeć przez okno. Ulica była pusta, a wszystkie domy – ciche i śpiące.

* * *

Pamiętam, że tamtego lata żuki były naprawdę wielkie. Thuste i ciemne, latały za szybą w górę i w dół jak ciągnięte na sznurku, odcinając się na tle powoli ciemniejącego sierpniowego nieba. Miałam nadzieję, że któryś wleci przez uchylone okno do pokoju. Mogłabym go wtedy złapać w dłonie i bardzo powoli wynieść na zewnątrz, przez taras do ogródka; w tym czasie żuk chodziłby mi po palcach, zabawnie łaskocząc skórę.

– Wyobraź sobie, że Martyna zagadła o... ..dza Antoniego! – usłyszałam fragment oburzonej wypowiedzi mamy, przekrzykującej grający na pełny regulator telewizor. Od zawsze lubiła właśnie tak rozmawiać, w hałasie, z telewizorem czy radiem grającym w tle; nigdy nie przeszkadzały jej krzyki czwórki jej dzieci.

– Eee, co on tam może wiedzieć. – Tata zdawał się niewzruszony tą informacją, więc i ja słuchałam tylko jednym uchem, nie przywiązując do słów mamy zbytnej uwagi, wciąż zajęta żukami. Czarne tańczące kropki hipnotyzowały mnie. Oczy szczypały od niemrugania.

– Na kolędę chodził... ..tylko powtarzać nie wypada...

Z góry dobiegło szuranie i głucho uderzenia piętami o podłogę. Żyrandol zakołysał się lekko. Po chwili schody zatrzeszczały, jakby zbiegło po nich całe stado słońi, a nie dwóch nastoletnich chłopaków. Gonił ich oburzony krzyk Karoliny.

– Chłopcy, bądźcie mili dla siostry! – upomniała ich odruchowo mama.

– Kolęda to nie spowiedź – burknął tata.

– Ale księdzu ufasz, że nie rozgada... Paulina! Odsuń się!

Odskoczyłam posłusznie od parapetu, wystraszona ostrym tonem, choć nie rozumiałam, co jest złego w siedzeniu na parapecie i obserwowaniu owadów. Nie brałam przecież udziału w kolejnej kłótni mojego starszego rodzeństwa, to oni zasłużyli na skarceniu! Mama miała w spojrzeniu coś tak dziwnego... bardziej zmartwienie niż gniew, bardziej strach niż oburzenie. Jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jestem w pokoju. Zaciągnęła zasłony, mruczając pod nosem, że już późna godzina. Zerknęłam na tatę; siedział wyraźnie zakłopotany, trąc dłonią łysinę. Czułam się, jakby czas zwolnił; żarówki mrugnęły i lekko przygasły. Nawet telewizor przycichł w zawstydzeniu. Spuściłam głowę w geście dziecięcej skruchy za niezrozumiałe przewinienie.

Wtedy do pokoju wbiegła Kasia. Rozchichotana, przebrana już w piżamę i owinięta w puchaty niebieski szlafrok; miała częściowo mokre włosy i pachniała mydłem – w tamtych czasach często nocowałyśmy u siebie na zmianę. Jej podekscytowanie przecięło niezręczną atmosferę jak gorące ostrze kostkę masła. Podbiegła do mnie i szepnęła mi do ucha zachęcająco:

– Powiedzieć ci sekret?

Natychmiast zapomniałam o żukach i krzykach. Czas gwałtownie ruszył do przodu. Reklama w telewizorze wybuchła dźwiękami i kolorami, Karolina znowu wrzasnęła coś z oburzeniem przez sufit, a mama skoczyła do kuchni szykować nam wieczorne przekąski. Złapałam Kasię za rękę i pociągnęłam do mojej sypialni. Pamiętam, jak przystanęła na chwilę u dołu schodów, by popatrzeć, jak w ciemności korytarza moi bracia przepychają się w półotwartych tylnych drzwiach i wzajemnie uciśzają, bo jeśli matka się dowie, że wyglądają na ulicę... ale nie dało mi to wówczas nic do myślenia. Zapytałam zamiast tego z rozbawieniem, który z nich się tak Kasi spodobał, że aż nie mogła oczu oderwać. Przyjaciółka trochę na poważnie, a trochę z rozbawieniem nazwała mnie głupią i ruszyła biegiem po schodach.

Wskoczyłyśmy pod kołdrę, gdzie zanurzyłyśmy się w bezpiecznym, ekscytującym świecie dwunastolatek.

To był pierwszy raz – a przynajmniej pierwszy, który potrafię sobie przypomnieć – gdy wydarzyło się coś ważnego, ale ja nie patrzyłam ani nie słuchałam dość uważnie.

* * *

Ze szkoły wracałyśmy zawsze w czwórkę – ja, Kasia oraz bliźniaczki. Miałyśmy szczegółowo opracowaną trasę, prowadzącą poboczami asfaltowych, popękanych dróg, najpierw obok starego, przechylającego się drzewa, na które lubiłyśmy się wspinać, a następnie mijając niebieski dom, gdzie mieszkał czarny kundelek. Przeciskaliśmy dłonie przez dziury w ogrodzeniu, a on lizał nas po palcach. Kolejnym punktem był mały spożywczy, gdzie kupowałyśmy – w tajemnicy przed rodzicami – słodycze. Potem zataczałyśmy jeszcze koło, by minąć wystawy paru sklepów, czasem gdzieś zajrzeć. Dość czasu na zjedzenie i pozbycie się papierków, nim dotrzemy do domu bliźniaczek, a potem mojego. Ostatni odcinek drogi Kasia pokonywała sama.

Pani Grażynka, bardzo miła i gadatliwa sprzedawczyni, była tak zajęta plotkowaniem z klientką, że nie potrafiła skupić się ani na nabiciu na kasę paru lodów, ani na przyjęciu zapłaty czy prawidłowym wydaniu reszty. A dla nas, dzieci, „będę winna grosika” nie istniało, bo każda moneta była majątkiem.

Znudzona czekaniem, zostawiłam moje pieniądze Ani i wyszłam przed sklep. Początek października wciąż był przyjemnie ciepły. Przed sklepem stało dwóch mężczyzn i aby uniknąć zaczepienia, przebiegłam na drugą stronę ulicy. Dla rozrywki postanowiłam spróbować przespacerować się kawałek chodnikiem bez stawiania na liniach. Pęknięcia w płytkach stały się szybko zbyt gęste i omal się nie przewróciłam, próbując utrzymać równowagę na palcach.

Rozłożyłam szeroko ręce i wróciłam do pionu, wciąż stojąc na jednej nodze. Niespodziewanie poczułam coś jakby ukłucie, nieprzyjemne mrowienie w koniuszkach lewej dłoni. Przyciągnęłam do siebie rękę, kuląc się odruchowo, jakbym próbowała się przed czymś osłonić. Zapomniałam natychmiast o liniach i sprawdziłam palce, ale nie zobaczyłam śladów ugryzień ani niczego takiego. Spojrzałam w lewo, w boczną, biegnącą w dół uliczkę. Nic się w niej nie czaiło.

Nikt przy tej drodze nie mieszkał – nie zauważyłam żadnych furtek, co najwyżej tylne ogrodzenia posiadłości wychodzących na inne strony. Nikt tędy nie jeździł, na co wskazywały całkiem spore krzaczory, które zdążyły powyrastać z asfaltu. W dali po jednej stronie widziałam gęsty las, połykający resztki chodnika, a po drugiej – opuszczoną działkę, na której stały już tylko fundamenty zburzonego domu. W oddali spomiędzy drzew wyzierała charakterystyczna, mocno czerwona dachówka domu Kasi. Zaskoczyło mnie, że jest tak blisko. Poza tym jednak nie zauważyłam nic niepokojącego... pomyślałam, że to październikowy powiew zimnego wiatru musiał mnie zaskoczyć.

– Masz. Już się trochę rozpuścił. – Ania wybiła mnie z zamyślenia, podając loda. Odwinęłam papierek, natychmiast brudząc sobie przy tym ręce, brodę i buty.

– Mama kupiła nam po nowej sukience, ale teraz nie pozwala ich założyć, bo jest za zimno! – narzekała Hania.

– Mamie zawsze jest zimno – zauważyła Ania. – Paula, idziesz?

– Może chodźmy tędy? Kaśka zawsze musi wracać sama, może raz ją wszystkie odprowadzimy – zaproponowałam niepewnie, zaintrygowana zapomnianym skrótem.

– Ale ja chcę kupić spinki do włosów – zaprotestowała Hania, podążając za siostrą, która najwyraźniej nie zamierzała na mnie czekać. – Poza tym możemy dłużej pogadać, co nie, Kaśka?

Spojrzałam z nadzieją na Kasię. Przyjaciółka stanęła u wylotu ulicy dziwnie poważna, mechanicznie gryząc czekoladową polewę. Milczała dłuższą chwilę, aż zaczęłam czuć się nieswojo, ale nie odważyłam się odezwać pierwsza. W końcu Kasia zrobiła niezdecydowany ruch stopą w przód i zaraz z powrotem w tył. Pokręciła głową, odrzucając pusty patyczek po lodzie na pobocze. Widać nie śpieszyło jej się do domu.

* * *

Zmarzłam, siedząc w kościelnej ławie. Nie słuchałam kazania zbyt uważnie, głównie zastanawiając się, jak rozejrzeć się wokoło i nie ściągnąć przy tym na siebie uwagi. Próbowałam odnaleźć w tłumie Katarzynę lub chociaż jej rodziców. Albo zmienili się na tyle, że nie potrafiłam ich rozpoznać, albo nie przyszli. Nie rozumiałam, dlaczego. Wyprowadzili się? Rozchorowali?

– Mamo, co się stało z księdzem Antonim? – spytałam, gdy wsiadaliśmy do samochodu.

– A to nie wiesz? Zmarł, ledwo parę miesięcy temu. Teraz ten młody się rządzi. Niby dobrze mówi, ale głos ma jakiś nieprzyjemny. I brak mu powagi...

Na tylnym siedzeniu było mi ciasno. Tata twierdził, że ma długie nogi, więc fotel musi być przesunięty do tyłu i pochylony, bo inaczej plecy bolą. Próbowałam przyciągnąć kolana do brody, jakby to mogło pomóc. Mama wciąż opowiadała o młodym księdzu.

– Zatrzymasz się na chwilę? Zmarzłam w kościele. Rozgrzeję się na słoneczku, rozprostuję kości.

– Po co, przecież cię zawiozę! – protestował tata, a mama wtórowała mu, twierdząc że nabrałam na studiach dziwnych zwyczajów i że nasze miasteczko się do spacerowania nie nadaje. W końcu się jednak ugięli.

– Pójdź Jana Pawła, dobrze? W zeszłym roku wyremontowali chodniki, taka ładna jest pogoda, to pewnie dużo rodzin chodzi. Nie włócz się po jakichś bocznych uliczkach, bo to nigdy nie wiadomo.

Przyrzekłam, że pójde ulicą Jana Pawła II, i pomachałam za odjeżdżającym samochodem. A potem odwróciłam się i skierowałam na świetnie znaną mi trasę. Przeszłam obok podstawówki i głośnego placu zabaw do przechylonego drzewa... które musiało zostać niedawno wycięte, bo rana na pieńku, jaki po nim pozostał, wyglądała na świeżą. Może w końcu pękło pod własnym ciężarem i zagroziło przejście. Może w trakcie wichury gałęzie poleciały na samochód. Postawiłam stopę na pieńku i zdążyłam sobie sprawę, jak głupio muszę wyglądać w tej pozie. Jak zdobywca. A gdyby to drzewo wciąż rosło, wcale bym się na nie nie wspięła. Byłam już na to za stara.

Przed niebieskim domem, który zdążył bardzo wyblaknąć, odkąd ostatnio go widziałam, nie czekał na mnie mały czarny pies. Nikt nie czekał. Budynek sprawiał wrażenie opustoszałego. Głupio byłoby oczekiwać czegoś innego, w końcu psy nie żyją długo w porównaniu z ludźmi, wciąż jednak czułam się rozczarowana. Pocieszyłam się myślą, że sklep „U Grażynki” był otwarty również w niedzielę, mogłam więc kupić sobie rozweselającą czekoladę, zupełnie jak kiedyś... może drugą wziąć dla Katarzyny i zobaczyć, czy jest w domu.

Już z daleka zauważyłam, że coś jest nie tak. Sklep nie był po prostu zamknięty – po literach na szyldzie pozostały tylko wyblakłe, zardzewiałe cienie, drzwi były zasłonięte ciężką kratą, a okna zabite deskami. Farba obłaziła ze ścian, na schodkach

leżały odłamki cegieł. Chmury przysłoniły słońce i zrobiło mi się zimno, znacznie zimniej niż powinno. Zatrzymałam się przed skrzyżowaniem i nie potrafiłam się zmusić, by pójść dalej. Zdałam sobie sprawę, że nie tylko sklep był opuszczony i zniszczony. Cała okolica zdawała się wymarła – wokoło nie było żadnych ludzi, żadnych zwierząt, nawet drzewa zdawały się odwracać ode mnie. Czy to były te okolice, po których mama kazała mi się nie szlajać? Wymarłe zakątki powiatowego miasteczka, stopniowo porzuconego przez ludzi i biznesy? Puste skrzyżowania, gdzie hulał wiatr i coś jeszcze, coś zimnego i odstraszącego?

Po przeciwnej stronie zamkniętego sklepu piętrzyła się sterta śmieci, zagrządzając skrót, który pamiętałam z dzieciństwa. Przejście było zasłonięte zardzewiałą, zwiniętą w rulon siatką, przewróconym wózkiem sklepowym z urwanym kółkiem, starym materacem, pleśniejącą meblóścianką. W wystającej szufladzie jakieś zwierzę uwiło legowisko. Ledwo byłam w stanie dostrzec las po drugiej stronie; nie zachwycał złotem wczesnej jesieni – bure liście zlewały się z nagle poszarzałym niebem. Dobiegający od sterty smród ostatecznie zniechęcał do udania się w tamtą stronę. Ale nie mogłam też iść w żadną inną.

Stałam jak wryta w ziemię. Nie potrafiłam się zmusić, by przebiec skrzyżowanie, minąć skrót, minąć sklep i pobiec do domu, ale zawrócić też nie mogłam, bo za mną były tylko opuszczone domy, ścięte drzewa i martwi księża.

* * *

– Ja tego nie rozumiem. Za moich czasów nie było takich rzeczy.

Potrząsnęłam czekoladowym jajkiem, uważnie wsłuchując się w dobiegające ze środka chrząszczczenie i próbując zgadnąć, jaką zabawkę może oznaczać. Przeglądałam uważnie skarby ułożone na regale przed kasą, zastanawiając się, co uda mi się przemycić w ostatniej chwili do koszyka z zakupami, w czasie gdy moja mama zajęta była plotkowaniem.

– Bezstresowe wychowanie – wtrąciła jedna z kobiet tonem znawcy.

– Dzieci mają za dużo wolnego czasu. Ja po szkole pomagałam a to w domu, a to na polu, nie było czasu na głupoty.

Wymieniłyśmy z Kasią spojrzenia i obie teatralnie przewróciłyśmy oczami. Zachichotałyśmy. Nikt z dorosłych nie zwrócił na to uwagi, tak jak my też tak naprawdę nie słuchałyśmy ich

rozmowy. Na małej przestrzeni sklepu „U Grażynki” istniały obok siebie dwa światy. Ten należący do dzieci, w którym chłopcy przekonywali, że papierosy kupują dla ojca, a dziewczyny chowały się za regałami i przeglądały młodzieżowe czasopisma, i ten dorosłych, w którym mężczyźni udawali trzeźwych, a nasze matki oceniały wszystkich i wszystko.

– A ta twoja kuzynka to się tym nie zajmowała? – ktoś spytał moją mamę, na co ta od razu odparła z oburzeniem:

– Bo co? Bo policja? My z tym nic nie mamy wspólnego!

– Niektórzy się podobno już tacy rodzą. – Pani Grażynka wykonała znaczący gest ręką przy skroni, przerywając skanowanie produktów. Nachyliła się do kobiet i dodała coś szeptem, czego nie usłyszałam. – Tragedia w sumie.

– Wiadomo.

– Rodziców szkoda.

Parę osób jeszcze przytaknęło, padło parę ogólnikowych wypowiedzi. Wybrałam już jajko i zaczynałam się nudzić.

– Czyich rodziców? – zapytała Kasia niby od niechcienia, szukając najmniej pogniecionej paczki herbatników.

Upuszczona puszka fasoli potoczyła się po podłodze, zostawiając za sobą ślad z wyciekającej zalewy. Atmosfera zgęstniała, a kobiety zamilkły, patrząc na nas z oburzeniem, jakby ta fasola to była nasza wina. Mama Kasi nerwowo wrzuciła pozostałe zakupy do torby, ale nie mogła zapłacić, bo sprzedawczyni postanowiła pójść po ścierkę. Zaczęłam nerwowo międlić w palcach brzeg koszulki.

– A słyszałyście, że Piotrek od Malinowskich zrobił prawko na motocykl? – wystrzelił niespodziewanie ktoś z końca kolejki.

– Tylko czekać, aż się rozbije o drzewo.

Sklep wybuchł kakofonią potakiwań i oburzonych pomruków.

– Dlatego szkoda rodziców Piotrka? – powtórzyła pytanie Kasia.

Nikt już jednak nie słuchał. Bałagan został sprzątnięty, a pani Grażynka wróciła za kasę. Mama Kasi była jednak dalej zdenerwowana, aż poczerwieniała na twarzy.

– Jeszcze to. – Dziewczyna podała jej jajko z niespodzianką.

Kobieta złapała ją za rękę, mocno, aż knykcie stały się białe, a nadgarstek czerwony niczym fasola. Czekolada została zgniecioną wewnątrz sreberka.

– Mamol Boli!

– Chodź szybko! Wstyd mi robisz! – syknęła przez zaciśnięte zęby. – I nie jedz tego, będziesz gruba.

Kasia obróciła jeszcze w moją stronę głowę, śląc mi wystraszone spojrzenie. Uśmiechnęłam się do niej na pocieszenie. Postanowiłam, że zatrzymam moje jajko na później, byśmy mogły je zjeść na pół.

* * *

Nadeszła zimna, nieprzyjemna jesień, a wraz z nią deszcze – długie, rześiste i męczące. Szłyśmy we czwórkę, ściśnięte pod trzema parasolami, z kapturami zaciągniętymi mocno na twarz. Droga zmieniła się w rzekę błota, w której utykały nam kalosze. Zastanawiałam się, czemu nie poczekałyśmy w świetlicy, aż pogoda się choć trochę uspokoi. Może trzeba było zadzwonić po mamę... Chciałam jak najszybciej dostać się do ciepłego i suchego domu.

– Chodźmy na skróty – zaproponowałam, gdy zaczęłyśmy zbliżać się do sklepu.

– Którędy?! – zapytała Ania, przekrzykując stukot wody uderzającej o parasole.

– Tędy!

Dziewczyny sceptycznie spojrzały na boczną uliczkę, którą woda spływała gwałtownie w dół, ciągnąc ze sobą drobne gałęzie i śmieci. Na jej drugim końcu słabe światło latarni ledwo przebijało się przez ścianę deszczu, zaś sama droga tonęła w ciemnościach. Nagle ja też straciłam pewność, czy aż tak zależy mi na oszczędzeniu piętnastu minut.

Kasia chciała mnie wyminąć, potknęła się jednak o ukryty w kałuży kamień i wywaliła w błoto. Woda nalała jej się do butów, spodnie i kurtka całe się wybrudziły, a mokre włosy obkleiły twarz. Pomogłam jej wstać, a wówczas zauważyłyśmy, że poraniła sobie dłonie.

– Moje ulubione spodnie! – załkała, oglądając wielkie przetarcie na lewym kolanie. – Chcę do domu! Teraz!

Drzewa, przygięte do ziemi przez ulewę, zdawały się zagradzać przejście – czarne demony ukryte w mroku. Kasia była jednak na tyle rozsierzdona, że postanowiła pójść skrótem. Bliźniaczki naradziły się szybko między sobą, a potem z nami pożegnały.

Szłyśmy najszybciej, jak się dało. Wiatr napierał, jakby chciał nas zawrócić, i pochyliłam się do przodu, by dać mu opór. Wzrok wbiłam pod nogi – trochę po to, by się nie potknąć, a trochę dlatego, że w tej ciemności nagle ogarnął mnie strach.

– Już chyba blisko! – krzyknęłam poprzez ulewę. Uniosłam trochę kaptur i zobaczyłam światła w domu Kasi. Jej samej nie było jednak obok mnie.

Stała kawałek z tyłu z parasolką wykręconą przez wiatr, trzymaną w opuszczonych rękach. Niezdarnie próbowała naprawić wygięte druty. Nagle się poddała. Myślałam, że ruszy biegiem w moją stronę, ale tylko stała i patrzyła w las.

– Zaraz cała będziesz mokra. – Osloniłam ją od deszczu. – Chodź!

Kasia spojrzała na mnie niepewnie, jakby chciała coś powiedzieć albo oczekiwała, że ja powiem coś konkretnego. Nie wiedziałam jednak, o co może jej chodzić.

– Wszystko w porządku?

Skinęła z rezygnacją głową. Pociągnęłam ją do domu.

* * *

Nagły deszcz otrzeźwił mnie i zmusił do ruszenia się w końcu z miejsca. Wpadłam do domu, trzęsąc się bardziej ze stresu niż zimna. Ktoś skomentował moje mokre włosy i głupie pomysły, ale nie słuchałam. Na głowę narzucono mi ręcznik, z moich stóp ściągnięto buty. Pozwoliłam, by rodzina objęła mnie rozgrzewającym rytuałem suszenia, pojenia ciepłymi napojami, obdarzania troskliwymi spojrzeniami i zafrasowanymi jęknięciami. Żarówki w łazience jaśniały tak mocno, że zostawiały mi gorące powidoki pod powiekami.

I nie mogłam znaleźć w sobie odwagi, by im przerwać. Deszcz się uspokoił, a nawet jeśli ostatnie krople wciąż uderzały o okna, to grube zielone zasłony tłumiły wszelkie dźwięki z zewnątrz. Obiad był gorący i sycący. Rozleniwiający. Wieczorne wiadomości przebrzmiały w telewizorze, a mnie było ciepło i dobrze. Sennie. Prawie zapomniałam, co chciałam powiedzieć. Bańki z mydlin tańczyły mi przed oczami.

– Mamo... Grażynka zamknęła sklep? – zagaiłam nieśmiało, odkładając wytarty talerz do szafki. Musiałam przetrzeć klejące się oczy.

– Co mówisz? – zapytała, ale nie przestała agresywnie szorować naczyń. Talerze tłukły o siebie tak głośno, że aż dziw, że się jeszcze całkiem nie potłukły.

– Sklep „U Grażynki” jest zamknięty – powtórzyłam na tyle głośno, by usłyszała mnie mama, ale nikt inny z domowników.

Mama oceniła surowym okiem przypaloną patelnię.

– Straszna szkoda. W ogóle coraz gorzej się robi w okolicy. Po dobrą rybę muszę jeździć na drugi koniec miasta.

Skinęłam głowę. „U Grażynki” nie sprzedawano nigdy świeżych ryb.

– A jak tam w tym akademiku? Masz gdzieś w okolicy dobry sklep?

– Tak, jest taka hala...

– To dobrze. – Zdawała się rozkojarzona. Odstawiła szklanekę na ociekacz z głośnym stuknięciem. – Czasem się o ciebie martwię, sama w tym wielkim mieście, tyle niebezpieczeństw... Jak byłaś mała, to mogłam mieć zawsze na ciebie oko, a teraz nigdy nie wiem, co się tam u ciebie dzieje, nigdy do mnie nie dzwonisz...

– Daj spokój, mammo. – Zaczęłam czuć zażenowanie.

– Po prostu zawsze starałam się ciebie chronić.

Powiedziała to jakoś nie po swojemu, cicho i niechętnie, jakby przyznawała się do czegoś, czegoś się wstydziła. Patrzyłam, jak szoruje patelnię, i nagle wydała mi się starsza i mniejsza niż do tej pory.

– Wiem, mammo. Wiem.

* * *

– Nie powinnaś się bawić z Kasią – usłyszałam parę dni po incydencie w sklepie.

W głosie matki było coś nieprzyjemnego, prawie jak obrzydzenie. Kąciki jej ust wygięły się w niezadowolony, tak jak gdy na przykład znajdowała w lodówce przeterminowaną śmietanę albo gdy jakieś zwierzę grzebało w śmietniku. Nie wiedziałam jednak, co we wspólnym oglądaniu bajek, zgrywaniu piosenek z radia na kasety czy obgadywaniu niemiłych nauczycielek może być aż tak odpychającego.

– Dlaczego?

– Ona mówi brzydkie rzeczy.

– Jakie? – naciskałam.

– Pomóż mi rozpakować zakupy – nakazała, włączając radio. Głośna reklama miała zagłuszyć mój dalszy opór.

– Ale to moja przyjaciółka! – zaprotestowałam jeszcze głośniej, widząc, że mama próbuje zmienić temat.

– Powiedziałam, że to zła dziewczyna i nie będziesz się z nią zadawać, rozumiesz?!

– Jak ciotka Martyna?

Mama aż pobladła na twarzy. Poczułam, że uderzyłam w czuły nerw, i w ataku dziecięcej złości postanowiłam uderzyć jeszcze raz.

– Niczego mi nie mówisz! Nie wiem, czemu się pokłóciłaś z ciotką Martyną, ale ja i Kasia zawsze będziemy przyjaciółkami.

– Nie pyskuj. Zrobisz, jak ci każę.

Praktycznie nigdy się na mnie nie wściekała – największym wyrazem dezaprobaty było głośne, teatralne westchnienie, a większość moich przewin przechodziła bez echa. Także tym razem na mnie nie krzyknęła, ale w głosie miała coś tak ostrego, tak groźnego, że skuliłam się w sobie. Skinęłam posłusznie głową i uciekłam do swojego pokoju.

Gdy trochę się uspokoiłam, zdałam sobie sprawę, że zakaz – jakkolwiek stanowczy – miał w praktyce niewielką moc. Przecież chodziłyśmy z Kasią do jednej klasy, miałyśmy się zobaczyć następnego dnia w szkole. Musiałabym przestać chodzić do szkoły, a na to rodzice z pewnością nigdy by się nie zgodzili.

Kasia jednak – przeziębiona – nie zjawiała się następnego dnia na lekcjach. I następnego też nie, a potem nadszedł weekend i nie mogłam zaprosić jej do domu. W poniedziałek zaś była dziwnie markotna i gdy próbowałam ją zaczepiać, pani od polskiego tak się zirytowała, że nas rozsadziła. Pamiętam, że po pewnym czasie straciłam cierpliwość. Próbowałam utrzymać Kasię w naszej grupie, ale ona sama coraz bardziej się od nas odsuwała, coraz mniej z nami rozmawiała, a bliźniaczkom nie zależało na ratowaniu przyjaźni. Kasia blakła i szarzała, aż stopniowo zniknęła gdzieś na końcu ponadtrzydziestoosobowej klasy.

* * *

Ze szkoły wracałyśmy zawsze w trójkę – ja oraz bliźniaczki Ania i Hania. Najpierw mijałyśmy wielkie, częściowo spróchniałe drzewo i wspinałyśmy się na jego pochylone gałęzie. Potem odwiedzałyśmy małego czarnego psa. Przez oczka w siatce dawałyśmy mu szynkę wyciągniętą z kanapek. Na koniec wchodziłyśmy do sklepu, by kupić batona i gazetki. Wycinałyśmy z nich potem zdjęcia ulubionych piosenkarzy i z wypiekami na twarzy czytaliśmy treści, na które byłyśmy jeszcze trochę za młode.

Zaniedbana uliczka naprzeciwko sklepu zaczęła wypełniać się śmieciami – rozbitymi butelkami, połamanymi skrzynkami, rozmiękłymi kartonami, porwanym leżakiem. Wszystko śmierdziało

moczem. Raz czy dwa przez myśl przebiegło mi, że nie wolno tak składować śmieci na ulicy, poza tym jednak niewiele o tym myślałam. Skrót nie był nam do niczego potrzebny. Żadna z nas nie mieszkała w tamtym kierunku.

A potem poszliśmy do gimnazjum, wszystko się zmieniło i resztki dzieciństwa zostały zapomniane.

* * *

Czułam ciarki na całym ciele, miliony wbijających mi się w skórę szpileczek; męczyły mnie mdłości. Wyrazne oznaki zdeenerwowania. Nie rozumiałam, co mnie aż tak stresowało – im bliżej domu Katarzyny podchodziłam, tym bardziej miałam ochotę zawrócić na pięcie i pobiec do własnego. Nawet pogoda zdawała się przeciwko mnie, od rana było szaro i deszczowo. W ogóle nie wyszłabym dzisiaj z domu, gdyby nie świadomość, że czas mi się kończy – za trzy dni powinnam wsiąść w pociąg, wrócić do pracy na pół etatu i rozpocząć kolejny rok studiów. A czułam, że po prostu muszę odbyć tę rozmowę twarzą w twarz, bo jeśli tego nie zrobię, to z pewnością nigdy już nie zagadam, nie będę szukać telefonu ani profilów na portalach społecznościowych.

Furtka była otwarta. Weszłam na podwórko i zapukałam do drzwi. Przez chwilę miałam wrażenie, że ze środka dobiegają uniesione głosy – jakby ktoś się kłócił.

– Cześć – powiedziała słabym głosem do Katarzyny, gdy mi otworzyła. Przynajmniej miałam nadzieję, że to ona, bo po tylu latach ciężko było mi ją rozpoznać.

Zdażyłam już złożyć parasolkę, ale dawna przyjaciółka nie zaprosiła mnie do środka. Stałyśmy w ciszy i mokłyśmy, aż w końcu dała mi ruchem głowy znać, bym weszła. Przywitałam najuprzejmiej jak mogłam jej rodziców, ale tylko coś odburknęli, wymienili z córką parę wyraźnie wrogich spojrzeń i zniknęli gdzieś w głębi domu.

– Nie przejmuj się nimi – rzuciła w moją stronę Katarzyna, nastawiając wodę na herbatę.

Wyglądała bardzo... nijak. Znoszone dresy ukrywały jej sylwetkę, włosy miała niedbale związane w kucyk, twarz pozbawioną wyrazu, urodę całkiem przeciętną. Gdybym teraz zamknęła oczy, nie umiałabym jej sobie wyobrazić.

– Przyjechałam na kilka dni do domu... i pomyślałam... kiedys byłyśmy przyjaciółkami... – plątałam się w słowach. Miałam

wrażenie, że brzmią zbyt głośno w nienaturalnie cichym domu. Kompletnie zapomniałam, co chciałam powiedzieć. – Tak jakos głupio wyszło...

– To było wieki temu – zbyła mnie. Postawiła przede mną pudełko z herbatami do wyboru. Nie pachniały.

– Tak, ale... – Mój wzrok krążył po pomieszczeniu, szukając punktów zaczepienia. – Nic się tu nie zmieniło! Tak często tu przychodziłam, a ty do mnie! Trzymałam w szafie zapasową piżamę dla ciebie. A tu miałam swój własny kubek, taki w kwiatki...

– Zbił się.

Nie potrafiłam powiedzieć, czy jest na mnie zła, czy też po prostu znudzona moją obecnością. Wpatrywała się we mnie twarzą zupełnie bez wyrazu. Może i nie spodziewałam się ciepłego przyjęcia, ale ta obojętność kompletnie zbiła mnie z tropu. Już wolałam, żeby mi miała za złe, że ją opuściłam.

– Chciałam po prostu spróbować odnowić znajomość.

– Paulina, byłyśmy dziećmi – powiedziała bardziej ze współczuciem niż złośliwie. – Teraz nie mamy ze sobą nic wspólnego.

Zamrugłam szybko parę razy, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. Może dla niej rzeczywiście to nie miało znaczenia. Było odległą, nic nieznaczącą przeszłością, a ja byłam głupia, że przejmowałam się jakimiś dziewczynskimi przyjaźniami.

– Przepraszam, że zmarnowałam twój czas. Chciałam... – Nagle głos mi się załamał i przypomniało mi się, co chciałam powiedzieć. – Po prostu znalazłam to zdjęcie i zdałam sobie sprawę, że tak wiele zapomniałam... i zaczęłam sobie przypominać, ale cały czas mam takie wrażenie, że coś się nie zgadza...

Katarzyna nachyliła się do mnie gwałtownie przez stół. Potrafiła kubek i herbata rozlała się na stół, ale nie zwróciła na to uwagi. Sięgnęłam po chusteczkę, tylko po to, by zatrzymać się w pół ruchu, sparaliżowana przez spojrzenie jej wielkich ciemnych oczu.

– Masz je? – spytała drżącym głosem, jakże nagle inna, skupiona i przejęta.

Wyjęłam fotografię z torebki. Katarzyna prawie wyrwała mi ją z ręki. I prawie natychmiast zobaczyłam, że jest rozczarowana. Jakby spodziewała się, że zobaczy kogoś innego.

– Jestem głupia. – Zakryła twarz dłońmi. – Oczywiście, że nic nie pamiętasz. Nic przecież nie widziałas. Nie zadawałaś głupich pytań. Twoja mama zawsze była taka dobra w okrągłych, pustych słowach...

– Nie rozumiem.

– Czego ode mnie właściwie chcesz?

– Sama nie wiem... Żebyś mi wytłumaczyła, co się stało pod koniec podstawówki. Czemu przestałyśmy się przyjaźnić? Próbowałam sobie przypomnieć... Nie ma już księdza Antoniego, nie ma pani Grażynki, mama mi nic nie powie, a ja mam wrażenie, że... takie swędzenie pod czaszką, którego nie mogę się pozbyć. Nie wiem, kogo pytać, i nie wiem o co pytać!

– O Boże, ty naprawdę próbujesz... – Wyglądała na szczerze zaskoczona moimi mizernymi próbami znalezienia odpowiedzi. – Słuchaj, ja nie będę z tobą o tym gadać, zwłaszcza nie tu. Rodzice do dziś mi nie wybaczyli. I nie chcę cię mieć na sumieniu. Ale... – zawahała się, ściszyła głos – jeśli naprawdę ci zależy, to szukaj dalej. Nie wiem, z jakiego śmietnika wygrzebałaś to zdjęcie, ale musisz kopać głębiej. Poszukaj czegoś starszego.

Zerknęła nerwowo w stronę drugiego pokoju. Obie czułyśmy obecność za ścianą, dwie milczące osoby, oddychające płytko, próbujące wyłapać choćby pojedyncze słowa z naszej rozmowy. Katarzyna złapała mnie za łokieć i siłą prawie wyrzuciła za drzwi. Zdążyłam jeszcze zobaczyć za jej plecami wychylające się zza futryny złowrogie cienie.

* * *

Przejrzałam wszystkie albumy, choć wiedziałam, że to bez sensu. Zasłaniając się porządkami, przerzuciłam wszystkie książki i zeszyty w moim pokoju, powywracałam szuflady na lewą stronę, poprzestawiałam szafki, na wypadek gdyby coś wpadło pod nie. Poszłam na strych, gdzie zgodnie z podpowiedzią Katarzyny kopałam w pudłach pełnych zabawek. Znalazłam tak wiele fotografii z wczesnego dzieciństwa; z niemowlęctwa, gdzie leżę w wanience; z przedszkola ze Świętym Mikołajem; z rodziną; z przyjaciółmi; z czasów przed moim urodzeniem. Żadne nic mi nie mówiło, nie budziło żadnych skojarzeń, nie stawiało włosów na karku do góry.

Zostały zniszczone. Zdjęcia, których szukałam, zostały podarte albo spalone, wyrzucone do śmietnika – tak jak parę dni temu mama próbowała wyrzucić to jedno przegapione. Byłam o tym całkowicie przekonana, choć nie potrafiłam sobie przypomnieć choćby jednego z nich.

* * *

Została mi jeszcze jedna osoba, do której mogłam się zwrócić. Gdyby moja mama się o tym dowiedziała, pewnie dostałaby palpacji serca. Odkąd pamiętam, nie lubiła ciotki Martyny i prawie nigdy o niej nie wspominała – jak i o całej jej części rodziny, jakimś chyba kuzynostwie – poza zdawkowymi uwagami na Wszystkich Świętych, gdy wypatrzyła obcy znicz na grobie, komentując krótkim „Widzę, że oni już byli”.

Czułam się dziwnie, wchodząc na posterunek policji. Stresowałam się i nie byłam pewna, co powiedzieć, nikt jednak specjalnie nie zwracał na mnie uwagi. Policjantka dyżurująca była zajęta wpatrywaniem się w ekran komputera.

– Słucham? – zapytała w końcu znużona, nawet nie spoglądając w moją stronę.

– Szukam Martyny Sokołowskiej. – Z zażenowaniem pomyślałam, że nie znam jej stopnia, a pewnie wypadałoby go podać.

– W jakiej sprawie?

– Jestem kuzynką... yyy... w sprawie rodzinnej? – dodałam niepewnie.

Policjantka w końcu obrzuciła mnie zdawkowym spojrzeniem, po czym gdzieś zadzwoniła. Usiadłam na plastikowym krzeselku. Oczekiwanie przeciągało się na tyle, że zaczynałam wątpić, czy cokolwiek doczekam. Szykowałam się już powoli, by wstać i wyjść. Jednak w pół ruchu, gdy już nie siedziałam, ale jeszcze nie wstałam, drzwi nagle się otworzyły i stanęła w nich ciotka Martyna.

Rozpoznałam ją, choć wydawała się bardziej żyłasta i twarda, niż pamiętałam. Twarz też miała twardą i dziwnie gładką, suchą, pozbawioną charakterystycznych zmarszczek powstających od uśmiechu. Ciemnoblond włosy przetykały już liczne siwe pasma.

– Paulina. – Bardziej zgadła niż wiedziała.

Wyszliśmy przed komisariat. Dzień wydawał się pogodny, słoneczny, ale pierwsze jesienne zimno zajmowało już zacienione szczeliny w murach i kałuże. Na przedramionach dostałam gęsiej skórki.

– Twoja matka się w końcu przekręciła?

– N-nie – zająknęłam się, zdeprymowana bezpośredniością ciotki. – Tylko tak powiedziałam, że to sprawa rodzinna... nie wiedziałam, co powiedzieć... Mam osobistą prośbę – tłumaczyłam pokrętnie. Pociłam się od stresu, a zimny wiatr mroził wilgoć na moim ciele.

– Mów w takim razie – odpowiedziała z drugim westchnieniem.

– Zastanawiałam się... kiedy byłam dzieckiem, na początku podstawówki, ty już pracowałaś w policji, prawda? Zastanawiałam się, czy pamiętasz jakieś wydarzenie... coś, co się wtedy stało.

– Musisz być bardziej konkretna. Przez lata wydarzyło się bardzo dużo rzeczy – odparła.

Jej ton wydał mi się, o dziwo, nie wrogi, lecz zachęcający, kontynuowałam więc:

– Właśnie o to chodzi, że nie znam szczegółów. Ale to byłoby coś dużego. Coś, o czym aż strach rozmawiać.

Martyna spojrzała na mnie bardzo miękko, prawie przyjaźnie. Nagle przestałam się jej bać. I wiedziałam, że ona doskonale wie, o co pytam. Lepiej ode mnie.

– Na co ci to, dziewczyno? – zapytała bardziej z ciekawości niż karcąco.

To pytanie mnie zaskoczyło; nie zastanawiałam się nad tym. Gnała mnie jakaś siła, chęć odkrycia tajemnicy. Być może zwykła, niezdrowa ciekawość? Zawstydziłam się na tę myśl. Moje milczenie musiało jednak wystarczyć ciotce Martynie za odpowiedź, bo skinęła głową i ruszyłyśmy wzdłuż ulicy dość szybkim tempem.

– Dom na Krótkiej zawsze sprawiał problemy, ale w tamtych czasach takie rzeczy się ignorowało... zresztą nie będę ci wmawiać, że dzisiaj jest lepiej. No, może trochę. Może zresztą wtedy też mogło być lepiej, tylko jakoś nikt się o to nie postarał... Ech, robię się zrzędliva na starość! Wtedy byłam...

Nie dosłyszałam jej kolejnych słów, nie będąc w stanie dalej za nią biec po nierównym chodniku. Ciotka to zauważyła i zwolniła. Dziwnie stawiała nogi, jakby powolny spacer był dla niej nie-naturalny. Kontynuowała:

– Próbowалаm pomóc, ale wiesz, jak to jest: szybko wyczerpały się narzędzia, a tak w ogóle to nie ma podstaw... Wtedy sobie wymyśliłam, że może napiszę jakieś pismo, nie dam sprawie umrzeć... za to tak się obraziła na mnie twoja matka.

– Za wysyłanie listów? – Nie rozumiałam.

– Za rozgrzebywanie ran. Nawet coś próbowałam załatwić, ale jakoś się to rozeszło po kościach i po prostu o tym zapomniałam... Byłam zavalona inną robotą, a potem była ta słynna sprawa porwania, straszny cyrk się zrobił. Odwróciłam wzrok.

Zamilkła. Znow stwardniała. Zrozumiałam, że wcale nie chciała mi niczego wytłumaczyć, jedynie ulżyć swojemu sumieniu,

wytłumaczyć siebie i – być może – otrzymać rozgrzeszenie. Zrzuciła z siebie ciężar, ale nic mi nie dała.

– A teraz? Czemu teraz czegoś nie zrobisz? – zapytałam, czując narastającą złość.

– Teraz już za późno.

– W takim razie nic dziwnego, że się za siebie wstydzisz.

Znów spojrzała na mnie tym miękkim, ciepłym spojrzeniem, nijak niepasującym do jej surowej twarzy. Nie była na mnie zła, choć przecież odezwałam się niegrzecznie. Nie była też rozczarowana, że nie powiedziałam tego, co chciała usłyszeć.

– Cieszę się, że przyszaś. Cieszę się, że wiem, na kogo wyrosłaś.

Czyżby chciała mnie w ten sposób do czegoś zachęcić? Czy była to tylko typowa pochwała od dawno niewidzianego, starszego członka rodziny? Coś, co się po prostu mówi młodym dziewczynom? Albo gorzej – zawołowana złośliwość?

Sprawdziłam na telefonie, gdzie jest ulica Krótka.

* * *

...

Nie umiałam już przywołać żadnych obrazów z przeszłości. Żadnych twarzy.

* * *

Katarzyna stała przed furtką mojego domu, paląc papierosa.

– Przepraszam. – Rzuciła niedopałek na środek ulicy. – Za tamto. Po prostu mnie zaskoczyłaś i się zdenerwowałam, a powinnam się cieszyć.

Zauważyłam, że ma długi zadarty nos. Cienkie jasne brwi. Przebarwienie na knykciu palca wskazującego prawej ręki. Uderzyły mnie wszystkie szczegóły, których wczoraj nie zauważyłam. Zaczęłam widzieć Katarzynę wyraźniej.

– Dlaczego?

– Bo w końcu ktoś nie chowa głowy w piasek... Ktoś chce coś zrobić, a nie tylko rzucać ogólnikami i trochę pozałamywać z bezsilności ręce, żeby uspokoić własne sumienie. A ja byłam wtedy dzieckiem i nie rozumiałam, że nie wolno zadawać pytań wprost. Zaglądałam w okna, ciekawiłam się. Musiałabym być ślepa, żeby tego nie robić, w końcu coś działo się naprzeciwko mojego domu...

– W domu na ulicy Krótkiej. Tym, po którym zostały tylko fundamenty.

Katarzyna spojrzała na mnie z politowaniem. Zacisnęłam usta, czując narastającą irytację. Na wszystkich – mamę, ciotkę, Katarzynę.

– Wiesz, co jest najlepsze? Że nigdy nie powiedzieli mi, o co chodziło. To jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Ja nic nie wiem. Mimo to na wszelki wypadek zostałam odizolowana, razem z moją rodziną. Jakbyśmy byli nosicielami jakiejś paskudnej choroby i wszyscy bali się zarazić poprzez moje głupie dziecięce pytania... – Skrzywiła się w złości i wyciągnęła paczkę papierosów z kieszeni. Poczęstowała mnie, ale odmówiłam. – Widziałas sklep „U Grażynki”? Musieli go zamknąć, bo przecież jesienią i zimą, gdy liście spadają z drzew, poprzez gałęzie można czasem dojrzeć dom na Krótkiej... A zasady są takie, żeby nie patrzeć, nie interesować się.

– Katarzyna! Cały czas nie rozumiem...

– A ja nie wiem, jak ci to wyjaśnić. To cię po prostu połyka. – Mocno zaciągnęła się papierosem. – Byłam zła na ciebie, na Annę i Hannę, że mnie zapomniałyście. Byłam zazdrosna, że wam się w życiu układa, bierzecie śluby, studiujecie... ale może to dobrze, że wyjechałaś. Może dlatego możesz spojrzeć na to wszystko inaczej. Chodź. – Wyciągnęła rękę w moją stronę.

Serce waliło mi ze zdenerwowania, w głowie miałam mętlik, ale podałam jej dłoń i pozwoliłam, by pociągnęła mnie za sobą. Ledwo zrobiłam jeden krok wprzód, jesienny wiatr przypomniał o sobie. Wbił mi się mroźnymi szpilkami w twarz, aż musiałam przymknąć oczy.

Ciągnęła mnie na Krótką, na tę małą stromą uliczkę, którą ani razu nie przeszłam. Moje nogi zrobiły się ciężkie i zatrzymałam się, nie chcąc iść dalej. Zaczęłam wątpić, czy ta rozmowa ma jakikolwiek sens. Katarzyna zachowywała się i mówiła jak wariatka. Rozbolała mnie głowa.

– No rusz się, podobno chcesz odpowiedzi.

– Ale ty żadnych nie masz! – krzyknęłam oskarżycielsko i puściłam jej dłoń. Chciałam odejść, ale Katarzyna podbiegła do mnie, objęła mocno ramionami.

– Bronisz się przed spojrzeniem tam. Ja to rozumiem, teraz już rozumiem, że wszyscy desperacko próbowali nie patrzeć, a ja, głupia, spojrzałam. A teraz ty chcesz spojrzeć... wydaje ci się, że nie chcesz, ale teraz już musisz!

W jej głosie rozbrzmiała desperacja. Zawahałam się. Nagle kompletnie nie wiedziałam, czego chcę. Wrócić do domu? Pójść za Katarzyną? O co mi w ogóle chodziło... jakby na mój umysł opadła mgła. Moje ciało zdawało się stawiać opór samo z siebie. Gdyby Katarzyna mnie nie ciągnęła, nie ruszyłabym się sama. Szurałam nogami po ziemi, bo ich podnoszenie nagle stało się za trudne. Zdałam sobie nagle z zaskoczeniem sprawę, że zaczął padać deszcz – musiał padać już od dłuższej chwili, bo włosy miałam całkiem przemoczone. Katarzyna jednak nie ustawała w wysiłkach. Ciągnęła mnie na drogę... tę, którą się nie chodziło.

– Dzień dobry, piękne panienki! – Z furtki wyłonił się sąsiad, pan Niedzielski, wraz z rowerem. Podbiegł do nas w pośpiechu, uderzając mnie przednim kołem w łydkę. Pomyślałam, że to niepraktyczne, jechać gdzieś rowerem w taką pogodę. – A gdzie to się panienki wybierają o tej porze? Zaraz ciemno się zrobi, niebezpiecznie tak po ciemku, może lepiej do domu, do rodziców...

– Nie jesteśmy dziećmi – ucięła ostro Katarzyna i przewróciła rower pana Niedzielskiego. – Rusz się. – Znowu mnie pociągnęła. – Będą cię próbowali powstrzymać.

Rozumiałam z sytuacji jeszcze mniej, ale to paradoksalnie zmusiło mnie w końcu do przełamania wewnętrznego oporu, dziwnego paraliżu, jaki mnie ogarnął. Rzuciłam się biegiem do przodu, byle dobiec jak najszybciej na Krótką. Woda spływała z góry w moim kierunku, mocząc mi kompletnie buty. Poczułam, jak marzną mi palce u stóp.

– Patrz! Patrz uważnie! – krzyknęła Katarzyna, łapiąc mnie za rękę.

Zatrzymałam się gwałtownie na środku ciemnej, zarośniętej uliczki. Deszcz przyklejał mi się do rzęs i cała drżałam. Twarz Katarzyny rozmazywała mi się przed oczami.

* * *

Twarz Kasi rozmazywała mi się przed oczami.

Stała kawałek z tyłu, z parasolką wykręconą przez wiatr, trzymaną w opuszczonych rękach. Niezdarnie próbowała naprawić wygięte druty. Nagle się poddała. Myślałam, że ruszy biegiem w moją stronę, ale tylko stała i patrzyła w las.

– Zaraz cała będziesz mokra. – Osloniłam ją od deszczu. – Chodź!

Kasia spojrzała na mnie niepewnie, jakby chciała coś powiedzieć albo oczekiwała, że ja powiem coś konkretnego. Dopadło mnie silne uczucie déjà vu.

– Wszystko w porządku?

Skinęła z rezygnacją głową, ale się nie ruszyła. Nie poganiałam jej. Opuściłam parasolkę i ściągnęłam kaptur. Moje włosy natychmiast zmokły, deszcz przyklejał mi się do rzęs. W starym, ciemnym lesie stał równie stary dom z ciemnymi oknami.

* * *

Wyglądał jak wiele domów w mniejszych miastach – zaniedbanych, opuszczonych, z odpadającym tynkiem. Czasem z drzwiami zabitymi deskami. Czasem z tabliczką „Uwaga! Spadające dachówki”. Tu żadnej tabliczki nie było. Z mroku wystawały tylko jego kontury. Bardziej wyczuwałam ten dom, wyobrażałam go sobie, niż rzeczywiście go widziałam. Niepewnie obejrzałam się za siebie. Światła wydawały się odległe o kilometry, ledwo widoczne przez ulewę, a przecież nie odeszłyśmy tak daleko.

– No, idź – pogoniła mnie wyraźnie zdenerwowana Katarzyna.

– Co tam jest w środku? – spytałam niepewnie.

– Nie wiem. Nie weszłam nigdy do środka. I po tym, jak na mnie nawrzeszczeli, już tu więcej nie przyszłam. Mimo to... uch, byłam taka głupia! Sam fakt, że wiedziałam o tym domu, kładł się cieniem na całym moim życiu!

– Nie pójdziesz ze mną?

– Nie. Ja już miałam swoją szansę. Ty idź.

W środku było ciemno i duszno. Na podłodze zalegała gruba, puchata warstwa kurzu. Gdy zrobiłam krok naprzód, nie podejrwała się do góry, lecz ciasno otuliła moje buty. Czułam się, jakbym brodziła przez chmury w ciemną, bezksiężycową noc. Gdy oczy w końcu zaczęły z wolna przyzwyczajać się do mroku, udało mi się rozróżnić parę kształtów wokół mnie. Chyba fotel. Chyba stół. Kominek? Czy tylko pęknięcia na ścianie?

Nie wiedziałam, gdzie iść ani czego szukać. Może powinnam zawołać, przywitać się, ale nie mogłam otworzyć ust. Moje wargi były suche i sklezione. Zamknęłam na chwilę szczypiące oczy i straciłam poczucie czasu. Powietrze wokół mnie miało dziwną temperaturę, ani za zimną, ani za ciepłą. Nie czułam swojego ciała, jakby jego granice zaczynały się rozmywać, jakbym zaczęła wtapiać się w kurz wokół mnie.

Zrobiłam jeden niepewny krok i z ciemności przede mną wyłoniły się schody. Z ulgą natychmiast podjęłam decyzję, by po nich wejść. Po prostu wydało mi się to właściwe. Jakbym już tu kiedyś była. Weszłam do pokoju po lewej.

W pierwszej chwili myślałam, że na środku pomieszczenia leży coś na kształt zwiniętego tobołka. Dopiero gdy podeszłam bliżej, z trudem rozpoznałam konkretniejsze kształty. Posklejane włosy zasłaniające twarz. Palce zatopione w grubym włosiu dywanu. Buty lekko zsunięte z pięt. Przysiadłam ostrożnie obok. Bałam się, że nawet delikatny ruch powietrza może zaszkodzić, rozsypać tę postać w pył. Zaczęłam płytko oddychać, by mój oddech nie zaburzył spokoju. Nie wiem, kiedy i jak, ale sama też osunęłam się na podłogę. Chciałam zapaść się w tę ciszę, zasnąć, zapomnieć...

Nie. Nie po to tu przyszłam.

– Hej – szepnęłam, a słowo zabrzmiało jak grzmot.

Postać zadrżała tak gwałtownie, że kłęby pyłu wzbiły się w powietrze. Dźwięk, ruch i życie wdarły się przemocą w ten dziwny świat. Spomiędzy włosów spojrzało na mnie oko – niedowierzająco, nieufnie.

* * *

Ze szkoły wracaliśmy zawsze w piątkę... nie, to nieprawda. Byliśmy na to za małe, nie wolno nam było chodzić samym po miasteczku. Spędzałyśmy razem czas w przedszkolu. Czasem się odwiedzałyśmy. Być może z okazji urodzin. Chyba ktoś nam zrobił zdjęcie na pamiątkę. Cztery z nas uśmiechają się szeroko do aparatu. Jedna trochę mniej.

A potem o tym wszystkim zapomniałam.

* * *

Podnoszenie jej było jak odrywanie zbyt świeżego strupa – otwierało ranę w rzeczywistości wokół nas, rozsiewając zapach skażonej krwi. Czułam jej lepkość na dłoniach, czułam kurz wdzierający się w płuca. Brzydziło mnie to i chciałam przestać, ale przecież zaszłam tak daleko. Wiedziałam, że ona żyje, ale jej ciało było ciężkie i bezwładne, jakbym ciągnęła trupa. Zastygłam w pół ruchu, czując, że mój kręgosłup nie da rady bardziej się wyciągnąć, a jednocześnie odmawiałam ją puścić. Postanowiłam odpocząć tylko chwilkę przed następnym wysiłkiem i nagle

wystraszyłam się, że gdy raz się zatrzymamy, już zostaniemy w tej pozycji na zawsze.

Wtedy ona w końcu ruszyła nogą. Powoli, ociężale, ale postawiła stopę na podłodze, zyskując punkt podparcia. W końcu dałam radę podciągnąć ją do pozycji pionowej. Zasłoniłam usta rękawem, bo zaczęłam z wysiłku ciężko dyszeć, a nie chciałam więcej wdychać tego przesiąkniętego chorobą powietrza.

Wyszliśmy przed dom. Wilgotne nocne powietrze orzeźwiło nas. Nie wiedziałam, która godzina, a na niebie nie było gwiazd ani księżyca. Trzęśliśmy się z zimna, ale dzięki temu opadały nam z włosów pajęczyny. Mięśnie paliły od wysiłku, ale nie zatrzymałyśmy się. Udało nam się wydostać z Krótkiej. Zobaczyłam, że Katarzyna wyszła na ganek. Jakieś ręce zza uchylonych drzwi próbowały wciągnąć ją do środka. Warknęła coś w ich stronę i na chwilę odpuściły. Skinęła mi głową, a ja odpowiedziałam jej tym samym.

Skierowałam się w stronę rodzinnego domu. Wszystko mnie bolało i marzyłam o matczynym rosole. Uszy zatkały mi się w wysiłku, wszystko było przytłumione. Chciałam tylko dostać się do domu... ale on czekał na mnie ciemny i zimny. Okna były zasłonięte i nikt nie wyglądał zza firanki. Dźwięk przekręcanego w drzwiach zamka zabrzmiał jak uderzenie batem. Ostro i ostrzegawczo.

Stałam przed bramą na podwórko. Miałam ochotę się zbuntować, zacząć wrzeszczeć, wołać rodziców. Chciałam wyważyć drzwi, dostać się do środka, pozapalać wszystkie światła, rozkręcić grzejniki, włączyć radio i telewizor. Otoczyć się ciepłem i hałasem.

Wiedziałałam, że w tym domu zawsze jest dla mnie miejsce „w razie czego” – ale najwyraźniej nie wolno mi było się nim podzielić. Spojrzałam na moje ręce – były poszarzałe, ledwie widoczne w mroku nocy. Latarnia nad nami gasła powoli, jakby zawstydzona. Spojrzałam pod nogi i zobaczyłam, że asfalt stał się miękki i syпки – zachęcał, by się położyć i rozpuścić wraz z nim. Kałuże wokół nas zdążyły wyschnąć, byśmy nie mogły się obmyć. Świat próbował nas ukryć... Moja mama nie mogła pozwolić, żebym wprowadziła takie nieszczęście do jej pełnego życia, radosnego domu, nawet kosztem swojego najmłodszego dziecka. Przez krótką chwilę nawet trochę ją rozumiałam. Nie zamierzałam się jednak cofnąć.

– Dasz radę iść dalej? – zapytałam, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Tylko kościste dłonie ciśnień zaciśniły się na moim rękawie.

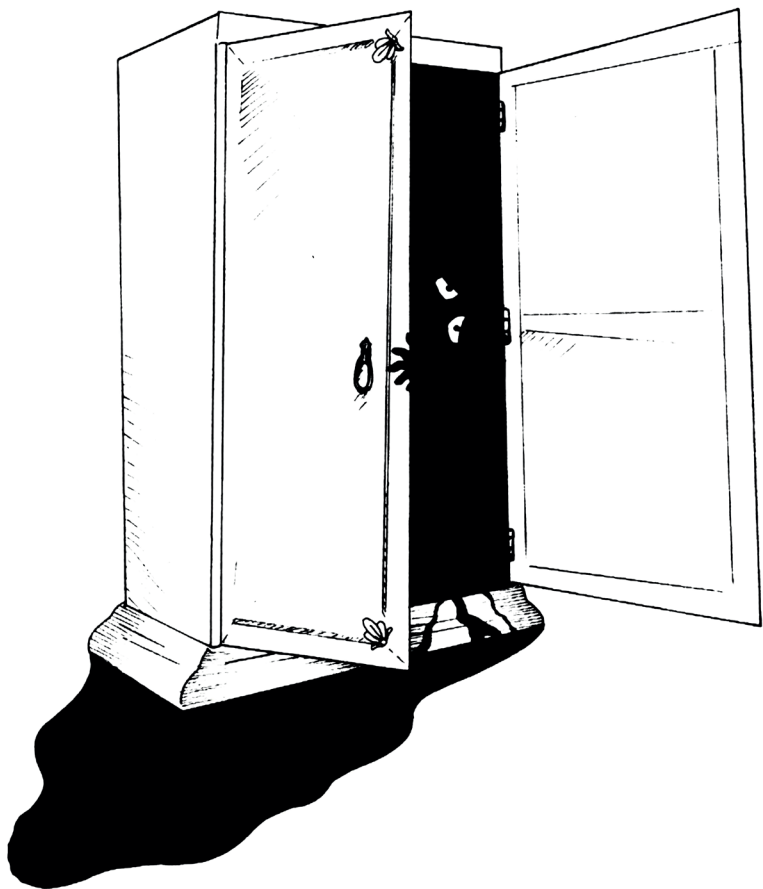
* * *

Zapomnienie podąża za nami, ale zbyt wolno. Już nas nie dogoni. Trawa łaskocze nas po kostkach. Na horyzoncie widzimy poświatę. Powoli wszystko wokół nabiera barw, ale jeszcze nie my. Nam jest dalej ciężko, ale jednak lżej niż na początku. Widzimy, jak parę podłużnych, poszarpanych chmur zabarwia się na pomarańczowo od wschodzącego słońca. Niedługo się rozgrzejemy.

Postać obok mnie zwalnia. Przez chwilę boję się, bo nie wiem, co to oznacza, ale ona też chce się uważniej przyjrzeć niebu. Nie zatrzymujemy się – ja patrzę nam pod nogi, byśmy mogły iść, gdy ona wyciąga twarz w stronę słońca po raz pierwszy od dawna. Jej dłoń w mojej nabiera barw, staje się różowa z niebieskimi liniami żyłek pod skórą, z białymi czubkami paznokci.

– W tym domu... – odzywa się po raz pierwszy głosem ochrypłym, z trudem wydobywającym się z suchego gardła. Wybucho kaszlem. Pluje w piach, oblizuje spierzchnięte usta. Przez chwilę znów jest trudniej. – Gdy byłam dzieckiem...

Marta Ryczko
CHŁOPIEC W SZAFIE



Marta Ryczko – Urodziła się w 1989 roku. Skończyła psychologię stosowaną i studium pedagogiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Debiutowała opowiadaniem „O kobiecie od kurczaków”, które ukazało się w zbiorze „Ścieżki wyobraźni: Sztuka przegrywania”.

Po opuszczeniu rolet w pokoju zapanował przyjemny półmrok. Kuba zdjął spodnie i przepoconą koszulkę, rzucił ubranie na podłogę, po czym padł na łóżko. Melatonina, zażyta przed wyjściem z pracy, zaczynała działać. Teraz wystarczyło zamknąć oczy.

Przez kilka słodkich minut leżał otulony ciszą, gdy nagle – tup, tup, tup – odgłos małych stópek wyrwał go z półsnu, w który zdążył zapaść. Zirytowany, podniósł powieki i wbił wzrok w sufit.

Tup-tup, tup-tup, tup, tup, tup: znów szybki hałas, a po nim – eksplodujący śmiech, tak wyraźny, jakby rozbawiony gówniarz siedział tuż przy łóżku i rechotał Kubie do ucha.

I pomyśleć, że początkowo nowa lokatorka zrobiła na nim dobre wrażenie. Po raz pierwszy spotkał ją trzy tygodnie temu na klatce schodowej. Wychodził właśnie na nockę, a dziewczyna wspinała się po schodach, postukując wysokimi, cienkimi obcasami. Jej biodra, opięte materiałem krótkiej czerwonej sukienki, balansowały ponętnie przy każdym kroku.

– Witaj, sąsiedzie. – Posłała Kubie śmiały uśmiech. Na ustach miała szminkę w krwistym odcieniu czerwieni.

Nie pamiętał, co odpowiedział. Wszystko, co działo się po zachodzie słońca, zapamiętywał trochę niedokładnie, jakby jego mózg funkcjonował w tym czasie na zwolnionych obrotach.

Automatycznie założył, że seksowna sąsiadka żyje sama, i był bardzo zaskoczony, kiedy następnego ranka usłyszał nad głową wrzaski i tupanie dzieciaków. Od tamtej pory powtarzało się to każdego dnia: smarki krzyczały, śmiały się, rzucały zabawkami i biegały, jakby chciały zarwać strop. Czasem nawet śpiewały piosenki, podobne do tych, jakie babcia Kubie nuciła, gdy był dzieckiem:

*Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju rośla potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kąpała.*

Ile ich tam jest? Przecież to tylko dwa pokoje, myślał Kuba, wpatrzony w sufit oczami, które z każdym dniem stawały się coraz bardziej przekrwione.

* * *

– Nie myśli pan, że ta nowa sąsiadka jest trochę dziwna? – Kuba przepchnął worek ze śmieciami nad krawędzią kontenera. Cienka czarna folia zahaczyła o coś i pękła. Większość odpadków spadła, gdzie powinna, ale kartonik po daniu instant wylądował na bucie chłopaka. Kuba potrząsnął stopą, żeby pozbyć się z tenisówki resztek rozmiękłego makaronu.

Sąsiad emeryt, stojący obok, obrzucił młodego krytycznym spojrzeniem.

– Nie jest dziwniejsza od pana – mruknął i wrzucił skórkę banana do pojemnika z odpadami bio.

– A nie przeszkadzają panu hałasy?

– Hałasy? – Starszy mężczyzna uniósł brwi.

– No, te dzieci. Bieganie i krzyki.

– Ja nic nie słyszę. – Emeryt podniósł palec, wskazując na aparat włożony w ucho.

Kurwa, pomyślał Kuba, kiedy zepsuły mi się słuchawki i chciałem odpalić „Wiedźmina” na głośnikach, od razu łomotał w kaloryfer. Teraz nagle jest głuchy.

– Widział pan? – Tymczasem staruszek skinął ręką w stronę kartki wiszącej na pobliskim słupie. – Niech pan na to rzuci okiem.

Kuba podszedł do ogłoszenia.

– Zaginęła – odczytał nagłówek.

Zdjęcie otoczone tekstem przedstawiało kilkuletnią dziewczynkę o pyzatej, uśmiechniętej buzi.

– Już troje dzieci zniknęło od początku roku – sąsiad pośpieszył z wyjaśnieniem.

– To dużo?

– Bardzo dużo, proszę pana. – Mina emeryta wyrażała głęboką dezaprobatę wobec takiej młodzieńczej ignorancji. – To więcej niż przez cały zeszły rok.

– Aha. – Kuba zakładał, że w miastach zaginięcia dzieci po prostu się zdarzają, podobnie jak kradzieże samochodów, zimowe zatrucia czadem albo inne niefortunne wypadki, których nie

sposób uniknąć. Żeby nie wdawać się w dalsze dyskusje, ruszył szybko do klatki, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczy.

* * *

*U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie.*

– Szlag by to...

Otworzył oczy. Pod powiekami miał piasek. Po ośmiogodzinnej harówce należała mu się chyba odrobina spokojnego snu. Czy ta baba myśli, że może pozwalać gówniarzom na wszystko? Najwyraźniej potrafi tylko kręcić tyłkiem, a matka z niej żadna.

– Jakbym wziął pasa... – wymruczał, wyciągając spod łóżka wczorajsze ubranie.

Chwilę później stał już przed drzwiami mieszkania piętro wyżej i pospiesznie dopinał guziki. Wsunął jeszcze brzeg koszuli w spodnie, po czym energicznie nacisnął dzwonek.

Nic. Cisza.

Spróbował ponownie, ale tym razem dłużej zatrzymał palec na przycisku. Przesząpił nerwowo z nogi na nogę. Może dzwonek po prostu nie działał? Złożył dłoń w pięść, zapukał. Przed momentem słyszał przecież wyraźny śpiew dzieci, a czerwonousta nie zostawiłaby chyba swojej gromadki bez opieki. Były tam, po drugiej stronie. Może właśnie chichotały, stłoczone przy wizjerze. „Tak, to ten frajer, co wynajmuje na dole. Zobaczcie, jaki wściekły”.

– Wiem, że tam jesteście! – Kuba zadudnił pięściami w drzwi. – Nie róbcie ze mnie idioty!

Po chwili przerwał łomotanie i przyłożył ucho do płyty pilśniowej w nadziei, że wychwyci jakiś dźwięk, dowód na obecność żywych ludzi w mieszkaniu.

Kolejne sekundy mijały. Wstrzymał oddech.

Wreszcie coś usłyszał. Cichy, rzęzący odgłos...

– Co pan wyrabia?

Spłoszony, odskoczył od drzwi.

Tęga baba w kwiecistej podomce spoglądała na niego podejrzliwie zza progu sąsiedniego lokalu.

– Chcę tylko porozmawiać – wyjaśnił. – Jestem po trzeciej nocce z rzędu i te hałasy mnie dobijają. Pani rozumie.

– Hałas z tego mieszkania? – upewniła się, a jej wzrok stał się jeszcze bardziej nieufny.

– U pani pewnie tego tak nie słychać, bo to inny pion, ale naprawdę idzie zwariować...

Zmrużyła oczy.

– Niech się pan nie dobija. Ona wyszła.

– Wyszła? Jest pani pewna?

W takim razie kto został z dziećmi? Musiały być małe, przecież nie chodziły jeszcze do szkoły.

– Mijałam ją, jak wracałam z jajkami. Mówiła, że idzie do pracy.

– Aha. – Kuba cofnął się na schody, ale zamiast zawrócić do siebie, zastygł na najwyższym stopniu.

Właśnie coś sobie uświadomił.

Gdy poprzednia właścicielka mieszkania czerwoustej, miła, ale naiwna staruszka, szła na operację, zostawiła mu klucz i pięćset złotych, żeby raz dziennie karmił jej kota i wymieniał żwirek w kuwecie. Babcia nigdy nie wróciła ze szpitala, za to już po kilku tygodniach jej krewni przeznaczyli osierocony lokal na wynajem. I nie zmienili zamków...

Tylko co z tego? Nawet jeśli dzieci zostały same, czy to była jego sprawa?

– Źle pan wygląda – zauważyła kobieta w podomce.

– Mówiłem, że kiepsko śpię – odburknął.

* * *

– Kuba? Kuba! – Głos dobiegał jakby z oddali. – Nie śpij, bo cię okradną!

Chłopak jeszcze przez chwilę miał przed oczami resztki snu (krwistoczerwone wargi i białe obojczyki, seksownie obnażone), potem czyjaś dłoń klepnęła go w policzek. Niewyraźny obraz zniknął.

Kuba zorientował się, że opiera czoło o blat stolika. Wyprostował się, zamrugał kilka razy i poruszył zdrętwiałą szyją. W knajpie panował gwar, w tle grała smętna muzyka, a powietrze było gęste od papierosowego dymu.

– Zasnąłeś. – Mati, który siedział obok, przyglądał mu się z rozbawieniem.

Kuba potarł twarz. Pod palcami poczuł kilkudniowy zarost i wiotką, suchą skórę.

– Zrób coś z tym, chłopie – poradził kolega – bo wyglądasz jak żywy trup. Jak chcesz zmienić robotę, znam jednego faceta...

– Nie chcę. Ta jest najlepsza.

– Koniecznie musisz chodzić na nocki? Nadal możesz spać tylko w dzień?

Zamiast odpowiedzieć, Kuba sięgnął po kufel i zamoczył wargi w piwie. Było mu trochę niedobrze. Może nie powinien więcej pić.

Mati sprawiał wrażenie, jakby chciał drążyć temat, ale dał za wygraną.

– Zanim wałnąłeś w kimę – odezwał się – opowiadałem o Zuzi, tej małej, której szuka pół miasta.

– Widziałem jakiś plakat.

– Moja ciotka i tamta rodzina mieszkają po sąsiedzku. Mówiła, że matka Zuzi wyszła drugi raz za męża, za jakiegoś, tfu, profesorka. Wiesz, facet wykształcony, niby na poziomie, ale podobno niezły świr, znęcał się nad dziećmiakami psychicznie. Małej nie wolno było nawet pisnąć, żadnego biegania ani hałasu. Całymi dniami siedziała zamknięta z książkami. Wyobrażasz sobie, jacy ludzie są popierdoleni? Miała dopiero cztery lata! – Pociągnął łyk piwa. – Jak tego słuchałem, od razu przypomniała mi się twoja matka.

Palce Kuby mocniej zacisnęły się na szkle kufła.

– Czemu? Ona nie miała drugiego męża.

Najlepiej udawać, że nie rozumie, o co chodzi. Kłamstwo, jeśli je wystarczająco długo powtarzasz, obraca się w końcu w prawdę. Właśnie tak robił w dzieciństwie, kiedy siedział na dnie szafy: zaciskał powieki i tyle razy mówił sobie, że jest sam, aż wreszcie nadchodził świt i światło dnia przeganiało potwory.

– Też musiałeś być cicho, jak sprowadzała sobie gachów – zauważył Mati. – Dlatego zamykała cię w komórcę, nie?

Szafa. To była szafa, a nie komórczka, pomyślał Kuba, po czym dopił duszkiem piwo i odstawił szkło na blat.

– Idę.

– Odlać się?

– Do domu.

Mati zrobił niepewną minę.

– Słuchaj, stary, nie chciałem...

– Duszno jest. Chcę zdążyć przed burzą.

* * *

Największa wada trzeciej zmiany polegała na tym, że po kilku przepracowanych nockach przychodziła pora przymusowego odpoczynku. Kuba najchętniej spędzałby ją w barach, ale zwykle

brakowało mu na to pieniędzy. Zostawał więc w mieszkaniu, zapalał światła (wszystkie żarówki wymienił na mocniejsze) i opuszczał rolety, by zasłonić nocne niebo.

Oczywiście to nie wystarczało, żeby w pełni oddzielić się od ciemności.

Zabijał więc czas pozostały do świtu zdobywaniem kolejnych poziomów w grze komputerowej czy oglądaniem porno. Jednak z tyłu głowy nieustannie miał świadomość, że słońce umarło, a ziemia dusi się w objęciach mroku. Pójścia spać w ogóle nie brał pod uwagę. Nawet w ciągu dnia brudny sufit wynajętej klitki przywodził na myśl wieko betonowego sarkofagu, a po zmierzchu było tylko gorzej.

Tamtej nocy szalała burza i krople deszczu zacinały w szyby jak wściekle. Kuba przeglądał właśnie memy w sieci, gdy nad miastem przetoczył się grom. W tej samej chwili żarówki zgasty, a komputer umarł z cichym sykiem.

Kuba zaklął. Zaczął na oślep przesuwać dłońmi po blacie biurka w poszukiwaniu komórki. Palce trochę mu się trzęsły, ale usiłował nie ulegać panice. Był przecież dorosły.

Usłyszał brzęk pękającego szkła. Sąsiadka z góry musiała coś upuścić.

Blask kolejnej błyskawicy rozświetlił pokój.

W krótkim momencie jasności Kuba dostrzegł sylwetkę przy drzwiach. To był ułamek sekundy, nim wszystko pożałł jeszcze gęstszy mrok – a mimo to rozpoznał drobną postać. Była malutka, o wiele mniejsza, niż sobie wyobrażał, kiedy oglądał jej zdjęcie.

Zuzia. Zaginiona dziewczynka.

Nie miała prawa tu być.

Jeszcze miał nadzieję, że to tylko przywidzenie, gdy usłyszał cichy, dźwięczny głosik:

– Burza nigdy nie przejdzie. Ona nie ma nówek.

Poczuł ciarki spływające po kręgosłupie. Przez dłuższą chwilę siedział w bezruchu, wpatrzony w ciemność, wytężając słuch. Cisza aż wibrowała. W końcu wydało mu się, że usłyszał ciche skrzypnięcie drzwi, chociaż równie dobrze mógł to być jęk gałęzi szarpanych przez wiatr.

– Jesteś...? – wykrztusił.

Prąd wrócił. Żarówka zawieszona pod sufitem zalała pokój jaskrawym blaskiem.

Kuba jeszcze przez dłuższą chwilę nie śmiał się poruszyć, chociaż był już pewien, że w pomieszczeniu nie ma nikogo więcej.

* * *

Obudził się z uczuciem mdlącego posmaku w ustach. Sprawdził godzinę na telefonie – szesnasta. O której zasnął? Pamiętał tylko tyle, że słońce stało już wtedy wysoko na niebie.

Utkwił wzrok w suficie. Piętro wyżej tuptały małe nóżki. Dzieci tam były. Wciąż je słyszał.

Wstał i włożył pierwsze lepsze ciuchy, jakie wpadły mu w ręce. Nie znalazł czystych skarpetek, więc wsunął buty na gołe stopy i tak wyszedł do sklepu.

Piętnaście minut później wracał do domu, niosąc siatkę z dwiema kajzerkami i paprykarzem szczecińskim. Wszecobecna jasność upodabniała wspomnienie burzowej nocy do mglistego snu. Kuba ślizgał się zmęczonym spojrzeniem po błyszczących kałużach, skłonny wyprzeć z pamięci to, co zobaczył wczoraj.

Nagle zauważył sąsiadkę z góry, która właśnie wychodziła z klatki. Znowu w obcisłej sukience, wyglądała jak hollywoodzka celebrytka albo gwiazdka porno. Na widok Kuby uśmiechnęła się drapieżnie, ale nie zwolniła kroku. Postukiwała obcasami w rytmie, który odpowiadał uderzeniom jego serca.

– Te dzieci... – rzucił chrapliwie, gdy próbowała go wyminąć.

Przystanęła, jakby zaciekawiona.

– Te dzieci – powtórzył – one są pani?

– Dlaczego pytasz? – Spontanicznie przeszła na ty. Stała tak blisko, że mógł zajrzeć jej w oczy. Były piękne, piwne, ale na ich dnie kłębiły się cienie.

– Po prostu to dziwne. – Spróbował zamaskować niepokój nie dbałym wzruszeniem ramion. – Nie widać po tobie, żebyś kiedyś była w ciąży.

– Przemawiają przez ciebie stereotypy.

Chciała ruszyć dalej, ale Kuba pod wpływem impulsu chwycił jej cienkie ramię.

– Nie są twoje, mam rację? – zapytał, zaskakując samego siebie. Zawsze trzymał się z dala od cudzych spraw i nie rozumiał, czemu los dzieci zaczął go tak bardzo obchodzić. Może chodziło o to, co powiedział Mati? Gdy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że nie tylko Zuzia, lecz także maluchy uwięzione w mieszkaniu rzeczywiście były do niego pod pewnymi względami podobne.

Sąsiadka nie próbowała się wyrwać. Zamiast tego zrobiła krok w stronę Kuby. Jędrne piersi otarły się o żebra chłopaka,

a uszminkowane wargi musnęły małżowinę jego ucha, gdy wspięła się na palce i wyszeptwała zmysłowo:

– Jesteś ciekaw, co się dzieje w moim mieszkaniu? Przyjdź i sam sprawdź. Chętnie się z tobą pobawię.

Odskoczył jak oparzony.

Kobieta wybuchnęła drapieźnym śmiechem, po czym pożegnała sąsiada niedbałym machnięciem dłoni i odeszła, postukując obcasami.

* * *

Po powrocie do mieszkania położył swoją starą nokię na wytartym parkiecie i usiadł przed nią, krzyżując chude nogi. W skupieniu analizował wydarzenia ostatnich dni. Najpierw w sąsiedztwie pojawia się ta dziwna kobieta, potem odwiedza go zaginiona dziewczynka...

Chciał uznać wizytę Zuzi za niewart uwagi majak, ale z jakiegoś powodu nie potrafił tego zrobić. Przecież jeśli to nie był sen, jeśli ona naprawdę poprzedniego dnia weszła do jego mieszkania, a on nikomu tego nie zgłosi, to grożą mu kłopoty. Możliwe nawet, że uznają go za współnika porywaczy albo oskarżą o utrudnianie śledztwa. Za grosz nie ufał psom. Żaden szlachetny policjant nie przybył na pomoc, kiedy Kuba był krzywdzonym dzieckiem.

Ale jeśli mi się przywidziało, a zacznę robić aferę, to wyjdę na wariata, pomyślał.

Bardzo długo bił się z myślami. W końcu wziął głęboki wdech i podniósł telefon.

Czekał na połączenie tylko chwilę. Wkrótce beznamiętny głos funkcjonariusza poinformował Kubę, dokąd się dodzwonił, i zapytał, w czym może pomóc.

– Chodzi o zaginioną Zuzię. – Chłopak wyrzucił z siebie słowa niemal jednym tchem. – Prawdopodobnie mogę pomóc ją odnaleźć, bardzo podobne dziecko przyszło do mnie wczoraj.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza.

– Halo? Słyszał pan, co powiedziałem?

– Tak, słyszałem. – Tym razem w głosie policjanta wyraźnie brzmiała irytacja. – Zastanawiam się tylko, czy pan na poważnie, czy robi sobie jaja.

– Jaja? To chyba pan jest niepoważny. Mówię, że mogę mieć ważne informacje. Może dzięki mnie znajdziecie...

– Proszę się rozłączyć i nie marnować mojego czasu. Nie potrzebujemy teraz atencjuszy. Pan nie ma telewizora? Media od rana trąbią, że wyłowiliśmy ciało.

* * *

Ośmioletni Kubuś, który w ostatni wtorek trafił do szpitala po brutalnym pobiciu przez ojczyca, znajduje się nadal w stanie śpiączki. Nie wiadomo, czy chłopiec kiedykolwiek odzyska...

Ekspedientka ściszyła radio.

– Co podać? – zapytała.

Kuba przebiegł wzrokiem po półkach z pieczywem.

– Krojony firmowy.

Kobieta przełożyła bochenek na krajalnicę i włączyła maszynę. Cienkie ostrza z warkotem przecięły złotobrazową skórkę i zato piły się w jasnym cieście.

Jak by to wyglądało, gdyby na miejscu chleba leżała ludzka dłoń? Podobne myśli nachodziły Kubę, odkąd usłyszał o wyłowieniu Zuzi. Mimowolnie wyobrażał sobie różne makabryczne sceny, a między nimi napuchłe, nadgniłe ciało, unoszone przez brudną rzekę wezbraną po burzy. Eksperci twierdzili, że truchelko znajdowało się pod wodą co najmniej od dwóch tygodni.

Ale ja ją widziałem. Słyszałem jej głos, pomyślał.

Gdy wracał pamięcią do tamtej nocy, nabierał coraz większego przekonania, że spotkanie z dziewczynką nie było przywidzeniem. Jednak kiedy próbował poskładać wszystko w całość, napotykał na mur.

Może Zuzia uciekła porywaczom i wbiegła do pierwszego otwartego mieszkania? Zdezorientowana i przerażona grzmotami, rzuciła to niedorzeczne zdanie o burzy i popędziła dalej, nim rozbłysła kolejna błyskawica? Albo inaczej: porywacze dopadli uciekinierkę i wywlekli ją na korytarz. Kuba słyszał przeciecz trzask drzwi. Słyszał... Może.

Ale co z mediami? Co z patologiem, który stwierdził, że zwłoki Zuzi znajdowały się pod wodą co najmniej od dwóch tygodni? Czy on też był częścią spisku?

Już sam nie wiedział, co myśleć. Pewna część jego umysłu, na co dzień zepchnięta daleko poza obręb świadomości, wierzyła nawet, że zdanie wypowiedziane przez dziecko wcale nie było absurdalne: wręcz przeciwnie, miało głęboki sens. Możliwe, że burza nigdy nie minie i Ciemność zawiśnie nad światem na zawsze.

– Halo? Słyszysz pan? Trzy sześćdziesiąt trzeba zapłacić. Ma pan pieniądze?

Zamrugał.

– Już. – Wyrzubał z kieszeni drobne i rozsypał je na spoczonej dłoni. Wszystkie monety wyglądały podobnie. – Pięćdziesiąt groszy, jeszcze dwa, pięć... Ile miało być?

Zniecierpliwiiona ekspedientka spojrzała na niego, jakby był zulem.

– Niech pan da, ja odliczę. – Przechyliła się nad ladą i sama wybrała potrzebą kwotę.

Kuba nie poszedł do piekarni dlatego, że był głodny. W ciągu ostatnich dni w ogóle nie czuł łaknienia, chociaż spodnie leciały mu z bioder i musiał zrobić kolejną dziurkę na pasku. Wyszedł na zakupy tylko po to, by opuścić mieszkanie i choć na chwilę uciec od wszechobecnych chichotów, stuków i śpiewnych wylicznerek, które pobrzmiwały echem pod sklepieniem jego czaszki na przemian ze słowami kobiety w czerwieni: „Przyjdź i sam sprawdź. Chętnie się z tobą pobawię”.

Szef zmusił go do wybrania zaległego urlopu, więc przez trzy ostatnie doby Kuba praktycznie bez przerwy koczował przy wizjerze. Oczekiwał, że prędzej czy później zobaczy na korytarzu wielkich, groźnych facetów, łysawych mafiosów o masywnych karkach i w czarnych skórach – bo mniej więcej tak wyobrażał sobie handlarzy żywym towarem.

Tymczasem oprócz kobiety w czerwieni i jej sąsiadki nikt nie wchodził na górę. Dzieci nie opuszczały mieszkania. Nie chodziły do szkoły ani do przedszkola, mimo ładnej pogody nie biegały po boisku. W ciągu dnia Kuba słyszał odgłosy zabaw, cichnące wraz z nastaniem nocy.

Czy kobieta w czerwieni faszerowała swoje małe ofiary środkami nasennymi? To by tłumaczyło, dlaczego po zmroku nie próbowały uciekać. Kuba wyobraził sobie pokój pełen nawet nie szaf, lecz niewysokich komód – w każdej z nich leżało bezwładne małe ciało. Ta wizja przypominała trochę jego własne chłopięce nieszczęście, tyle że zwielokrotnione i przejaskrawione.

Kidnaperka opuszczała mieszkanie o różnych porach. Raczej nie pracowała na etacie, więc dokąd chodziła? Na to pytanie Kuba szybko znalazł odpowiedź: pewnie szukała kolejnych ofiar. Przesiadywała na placach zabaw czy w parkach i obserwowała rozkrzyczane drobne istotki o buziach umazanych czekoladą i smarkami. Samotny mężczyzna gapiący się na dzieci

natychmiast wzbudziłby podejrzenia, ale na kobietę nikt nie zwracał uwagi.

Kuba rozmyślał o tym wszystkim, przeżuując kromkę firmowego na ławce przed blokiem. Chleb miał przypaloną, twardą skórkę, która pozostawiała na języku gorzkawy posmak. Mężczyzna gryzł ją cierpliwie mimo bólu dziąseł. Właśnie ta czynność – jedzenie – podsunęła mu kolejny temat do rozważań. Nigdy nie widział, by kobieta w czerwieni wracała do mieszkania z zakupami. Nawet jeśli sama jadła poza domem, to co z posiłkami dla dzieci? Przecież każde stworzenie potrzebuje pożywienia. W każdym razie dopóki jest żywe.

* * *

„World War Z”, „Pociąg do Busan” i kilka odcinków „The Walking Dead” – przez cały dzień karmił swoje najfantastyczniejsze domysły. Były chwile, że prawie zasypiał przed komputerem, jednak niepokój oraz hałasy dobiegające z góry szybko go cuciły.

Tym razem słyszał przede wszystkim dzwonienie i dźwięk przypominający turkot. Gdy spróbował wyobrazić sobie zabawkę, która mogłaby wydawać taki odgłos, stanęła mu przed oczami jego własna drewniana wiewiórka na kółkach, podarunek od babci. Pomarańczowe zwierzątko z wiejskiego odpustu podczas jazdy pocieszenie poruszało główką i potrzasało dzwoneczkiem trzymany w łapkach. Niestety, matka wyrzuciła je za karę, kiedy Kuba był niegrzeczny.

Po zachodzie słońca w mieszkaniu na piętrze zapanowała cisza. Niedługo potem na schodach zastukały obcasy i po chwili Kuba zobaczył przez okno, jak kobieta w czerwieni przecina parking pod blokiem. Odczekał jeszcze pięć minut, po czym wyszedł na klatkę. Serce biło mu szybko, gdy wbiegał po schodach.

Zatrzymał się przed drzwiami feralnego mieszkania, rozejrzał się i wyjął z kieszeni klucz. Zrobił głęboki wdech. Otworzył zamek.

Przedśionek był ciasny i ciemny, jak trumna albo wnętrze szafy. Kuba włączył światło. Żółtawa, sztuczna jasność zmusiła go do zmrużenia oczu. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętał, nawet drobinki kurzu dryfujące w powietrzu i makatka z napisem „Miłość i zgoda to domu ozdoba”.

Otworzył kolejne drzwi i znowu zapalił światło.

Duży pokój miał kształt litery L. Jej krótsze ramię tworzyła wnęka z aneksem kuchennym. Naprzeciw wejścia znajdowała się łazienka, a po prawej – drzwi do sypialni. Jednak ciężkie meble

z minionej epoki zastąpiono nowym wyposażeniem z sieciówki, a ze starych dekoracji został jedynie tandetny widoczek nad telewizorem. Tam, gdzie dawniej wisiał drewniany krzyż, farba wciąż miała jaśniejszy odcień.

Bezkresna ciemność zagłębiała do pokoju przez koronkowe czy białych firanek.

Brakowało zabawek, rysunków na ścianach, czegokolwiek, co potwierdzałoby obecność dzieci. A może właśnie tak wyglądały mieszkania przeciętnych rodzin dbających o porządek? Kuba nie wiedział. Nie miał pojęcia, jak żyją normalni ludzie.

Przeszedł przez pokój, by zajrzeć do kuchni. Zlew i kuchenka sprawiały wrażenie nieużywanych, blat pokrywała warstewka kurzu. Kuba otworzył każdą z szafek, jednak w żadnej nie znalazł dziecka, a jedynie sprzęty kuchenne, lśniące czystością.

Przed wejściem do sypialni zawahał się, ale tylko przez moment. Nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Wewnątrz panowała niemal całkowita ciemność. Spanikowany, zaczął macać ścianę w poszukiwaniu włącznika.

Znalazł – żarówka w kloszu żyrandola zajaśniała – i odetchnął płytko.

W pokoju znajdowały się tylko dwa meble: łóżko oraz szafa.

Kuba poczuł ucisk w żołądku. Od razu rzucił nerwowe spojrzenie na okno. Żaluzje były opuszczone, ale i tak miał wrażenie, że gęsty mrok usiłuje precyzyjnie się między ich listwami. Przeniósł wzrok na szafę. Cisza wokół nagle wydała się głębsza, bardziej zupełna. Nawet powietrze znieruchomiało i nic nie zdradzało upływu czasu.

Bardzo długo stał, wpatrzony w szafę. Wreszcie otrząsnął się i ruszył gwałtownie do przodu. Zrobił dwa długie kroki i otworzył drewniane drzwi, nie dając sobie czasu na zastanowienie.

Co to, kurwa, jest?

Na półkach stały puste litrowe słoiki. Cztery były zakręcone, reszta otwarta.

Zdumiony, sięgnął po jeden z tych zamkniętych. Zważył go w dłoni, obejrzał dokładnie. Przezroczyste ścianki bez śladu zabrudzeń, złotawe wieczko. W podobnych babcia przechowywała przetwory na zimę. Czyżby kobieta w czerwieni była miłośniczką weków? Nie, to nie trzymało się kupy. Dlaczego nie układała słoików w kuchni albo w piwnicy, tylko tutaj, koło łóżka?

A może w szklanych pojemnikach jednak coś było? Coś lekiego i niewidocznego. Jakiś... Gaz?

Uniósł słoik wysoko i zbliżył go do twarzy. Po chwili odniósł wrażenie, że dostrzega coś wewnątrz. Subtelny ruch, jakby drgnienie powietrza.

– Co tu robisz?!

Obrócił się, spłoszony krzykiem. Jego palce ześliznęły się po szkle, słoik upadł i stłukł się z głośnym brzdękiem.

Poczuł, że coś przemyka mu po skórze. To było dziwne wrażenie, słabsze niż dotyk, raczej jak muśnięcie wiatru. W ułamku sekundy przez głowę Kuby przeleciała setka obrazów, jakby ktoś wyświetlił mu przed oczami film w przyspieszonym tempie. Scen było zbyt wiele, by wszystkie zarejestrować, zapamiętał urywki: obszerne, ciepłe ciało, zapach mleka, potem ciemność, ból i strach, tulipan z butelki po piwie, krople krwi na betonie oraz słodycz gumy malinowej.

– Zwariowałeś?! – Czerwonousta nadbiegła od progu. Padła na kolana i zaczęła zbierać kawałki szkła. Ręce jej się trzęsły, kaleczyła palce.

Początkowo Kuba wodził za nią półprzymotnym spojrzeniem, ale z każdym kolejnym uderzeniem serca czuł, jak wraca mu trzeźwość umysłu. W końcu złapał swoją sąsiadkę za nadgarstki i zmusił, by wstała.

– Co to było, do cholery?!

Próbowała uciec, ale przytrzymał mocniej.

– Mów! Już!

Zrozumiała chyba, że jest słabsza, i przestała się szarpać.

– Najpierw mnie puść.

Za grosz jej nie ufał, mimo to zwolnił uścisk. Natychmiast odsunęła się na bezpieczną odległość.

– Więc? Co się właśnie stało?

– Widziałeś przecież: strzaskałeś słoik. – Roztarła nadgarstki z nienawistnym błyskiem w oku.

– Kpisz sobie? Co było w środku?!

– Nic, był pusty. Sam widziałeś.

– To czemu tak krzyknęłaś?

– Bo jesteś w moim mieszkaniu i dotykasz moich rzeczy? – Wydęła wargi. – Jak się tu dostałeś?

– Zapomniałaś zamknąć drzwi.

– Wchodzisz do wszystkich otwartych mieszkań?! Jeśli zaraz nie znikniesz, wezwę policję.

– Wezwij! – warknął, choć w duchu modlił się, by tego nie zrobiła. – Zobaczymy, co im powiesz o zaginionych dzieciach!

– Jakich dzieciach? – prychnęła. – Nikt oprócz ciebie nie widział ani nie słyszał dzieci.

Żartowała? Nie, wyglądała na śmiertelnie poważną.

Cała ta sytuacja przypominała niedorzeczny sen. Kuba nie wiedział, jak się zachować. Z jednej strony krew uderzała mu do głowy, z drugiej zupełnie tracił grunt pod stopami. Zrobił krok w kierunku dziewczyny, ona cofnęła się o krok.

– Chcesz powiedzieć, że tylko ja o nich wiem? – zapytał. – Co to wszystko ma znaczyć?

– Muszę ci tłumaczyć? Jesteś na tyle dorosły, że powinieneś wiedzieć, jak nazywa się ludzi, którzy słyszą głosy. No, rozejrzyj się. Gdzie niby miałabym trzymać dzieci? Czym bym je karmiła? A może chcesz przeszukać mieszkanie? – Rozłożyła ręce w zapraszającym geście. – Lepiej zostaw nas w spokoju, chyba że planujesz zamieszkać w domu bez klamek.

Kuba poczuł się jak chłopiec, który próbuje złożyć obrazek z wybrakowanych puzzli. Coś mu nadal umykało, jakiś czynnik, którego nie wziął do tej pory pod uwagę. Jeszcze raz spojrzął na szafę. Jaki był jej sekret?

Kobieta w czerwieni oparła ręce na biodrach.

– No więc?

– Pójdę – zdecydował.

– Będę wdzięczna.

* * *

Trzydzieści sekund później wszedł do własnego mieszkania i padł na łóżko. Ciało miał obolałe, jak po całodniowej fizycznej pracy. Echo w jego głowie powtarzało: „Zostaw nas”.

„Nas”.

Bardzo długo leżał, gapiąc się w przestrzeń i gryząc z myślami. W pewnym momencie opuścił zmęczone powieki, ale przed oczami natychmiast stanęła mu szafa, więc szybko je podniósł.

W końcu usiadł na łóżku i żeby zająć czymś umysł, włączył małe radio stojące na parapecie. Trafił akurat na późny serwis informacyjny.

– ...nie dawali mu szans – podniecone słowa przedzierały się przez kurtynę trzasków – więc gdy się wybudził, byłam tak oszołomiona i szczęśliwa, że nie mogłam w to uwierzyć, a on popatrzył na mnie tak niewinnie i zapytał o swoją ulubioną gumę malinową.

– Mówiła babcia małego Kubby – wyjaśnił spiker. – Przypomnijmy, chłopiec zapadł w śpiączkę w ostatni wtorek na skutek brutalnego pobicia przez ojczyrna, będącego pod wpływem alkoholu. Mimo złych rokowań mały pacjent przed niecałą godziną odzyskał przytomność. Ta rodzinna tragedia wywołała w mediach falę dyskusji na temat...

Kuba przejechał językiem po podniebieniu. Obrazy, które zobaczył w chwili rozbicia słoika, zdążyły rozmyć się w jego pamięci, jednak w ustach wciąż czuł smak gumy malinowej.

* * *

Promienie słońca przeciskały się przez baldachim liści, rzucając nieregularne plamy światła na parkową alejkę. Kuba z daleka rozpoznał siedzącą na ławce kobietą postać w intensywnie czerwonej sukience. Tym razem sąsiadka założyła czarny kapelusz z szerokim rondem. Na oparciu ławki, tuż przy ramieniu czerwonoustej, przycupnęła duża wrona, a kilka innych spacerowało po trawniku i dziobało darń. Było coś niewłaściwego w ich obecności. Długie ciemne pióra lśniły w słońcu złowroźnie, jakby na przekór spokojnej atmosferze pogodnego dnia.

Na widok sąsiada kobieta przekrzywiła głowę i dokładnie to samo zrobił towarzyszący jej ptak.

Kuba podszedł powoli i usiadł na ławce po drugiej stronie wąskiej parkowej alejki. Mogli sobie teraz patrzeć w oczy, oddzielni jedynie pasem asfaltu szerokim na metr.

– Nieładnie się spóźniać – czerwonousta odezwała się pierwsza. Na razie zachowywała obojętny wyraz twarzy, ale kpiący uśmiezek czaił się już w kącikach jej uszminkowanych warg. – I czy nie sądzisz, że wsuwanie pod drzwi swojej sympatii kartki wyrwanej z zeszytu jest nieco infantylne? „Chcę się spotkać o dwunastej w parku...”. Liściki tego typu piszą chłopcy w szkole podstawowej. Jeśli zamierzałeś zaprosić mnie na randkę, a nie miałeś numeru...

– Wiem, co jest w słoikach – przerwał, bo teraz, kiedy odkrył prawdę, każde słowo płynące z jej ust wydawało mu się obrzydliwe i niemal nie do zniesienia.

– Czyżby? – Spojrzała wyzywająco. – Co takiego?

– Dusze.

W pierwszej chwili wyglądała, jakby uderzył ją w twarz, ale szybko się opanowała.

– Czyli wpadłeś na coś takiego... – zamruczała. – Uważasz, że przechowuję dziecięce dusze w słoikach po ogórkach.

– Nie dawali mu żadnych szans, a nagle mały Kubuś otworzył oczy i jak gdyby nigdy nic zapytał o swoją ulubioną gumę. I wiesz co? To wydarzyło się dokładnie w tym czasie, kiedy stłukłem słoik.

– Tak?

– Szkło pękło, a uwieczona w nim dusza wróciła do ciała. Nie mogłem jej zobaczyć, ale poczułem, kiedy przeleciał obok mnie... Przeze mnie.

Wspomnienie przeszło go dreszczem. Wcisnął ręce głębiej w kieszenie bluzy. W jednej trzymał różaniec, w drugiej pojemniczek z wodą święconą. Czerwonousta zostawiła na ścianach wynajętego mieszkania obraz i makatkę, ale zdjęła krzyż. Kuba obstawiał, że to nie był przypadek.

– Podczas burzy – podjął – przyszła do mnie Zuzia. Już wtedy nie żyła, od dwóch tygodni leżała pod wodą. Najpierw myślałem, że media kłamią na ten temat, podejrzewałem spisek. Teraz uważam, że dusza dziewczynki uciekła, kiedy przypadkiem stłukłaś słoik, i zaczęła błądzić bez celu, bo jej ciało było już zepsute i nie miała dokąd wrócić.

Twarz kobiety nie zdradzała żadnych emocji, pod jej skórą nie drgnął ani jeden mięsień, jednak coś zmieniło się w wyrazie piwnych oczu. Kuba zdołał to dostrzec, mówił więc dalej, a każde kolejne zdanie wypowiadał pewniej niż poprzednie:

– Kiedy myślałem o tobie, dzieciach i szafie ze słoikami, wydawało mi się, że nic tu nie ma sensu. Dlaczego mieszkańcy bloku nie słyszą hałasów? Co jedzą dzieci, skoro nie robisz zakupów? Przychodziły mi do głowy najbardziej niestworzone pomysły. Handlarze ludźmi, zombie... Po wizycie w twoim mieszkaniu brałem nawet pod uwagę, że wariuję. Jak w jednym z tych filmów, gdzie na końcu bohater odkrywa, że wszystko działo się tylko w jego głowie. Pewnie bym w to uwierzył, gdyby nie to, że wiem... Zawsze wiedziałem, że istnieją rzeczy... Złe rzeczy. Takie, które nie każdy może zobaczyć.

– Masz na myśli potwory z szafy?

– Tak – przyznał, przelknąwszy ślinę.

Nigdy wcześniej nie odważył się mówić o tym na głos. Teraz miał nadzieję, że słowa obedrą przeszłość z otoczki grozy oraz wstydu, że koszmar ubrany w zdania da się wreszcie oswoić i pokonać.

– Jako chłopiec zobaczyłem coś, co powinno być niewidoczne dla ludzi. Prawdziwy mrok. Chciałem o nim zapomnieć, ale nie

potrafiłem. Dorosli tłumaczyli mi, że potwory nie istnieją, i przez wiele lat sam to sobie wmawiałem, ale każdej nocy miałem poczucie, że zło jest tuż-tuż i dopadnie mnie, jeśli tylko zamknę oczy...

– Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie... – Skrzyżowała ręce na piersi. – Załóżmy, że masz rację i nie jestem człowiekiem, tylko jedną z tych... Złych rzeczy. Nazwijmy mnie Babą Jagą. – Wyszczrzyła bielutkie ząbki. – Myślisz, że to poważne: rzucić wyzwanie istocie o stulecia starszej od ciebie? Nie wiesz, do czego jestem zdolna. Może za chwilę zmienię się w krogulca i rozplątam twoje miękkie gardło?

Kuba prawie poczuł na grdyce ostre, lakierowane paznokcie. Ścisnął różaniec tak mocno, że drewniane paciorki wpiły mu się w palce, ale nadal miał nadzieję, że wszystko będzie dobrze. W końcu zaledwie wczoraj chwycił demoniczną kobietę za ramię, a ona, bezbronna i krucha, nie potrafiła się oswobodzić.

– Myślę, że nic mi nie zrobisz.

– Dlaczego? – Oczy wiedzmy błysnęły.

– Bo jestem dorosły.

– Ach. Więc tak to sobie wymyśliłeś...

Opadła plecami na oparcie ławki i zastanawiała się nad czymś przez chwilę.

– Przyznaję, masz całkiem niezłą intuicję – powiedziała wreszcie – ale co do jednej rzeczy się mylisz. Zgadłeś, że moja magia ma ograniczenia. Mogę wpływać jedynie na młode, niedojrzałe dusze. Jednak wbrew temu, co myślisz, nie jestem potworem, który przemocą wyrывa je z ciała. Ja chciam dzieci.

– Kochasz?! To co powiesz o małej Zuzi?! Ona tygodniami gniła pod wodą!

– Nigdy nie zmusiałam dziewczynki, żeby ze mną poszła. Po prostu pokazałam jej alternatywę.

– Alternatywę dla czego?! Dla życia?!

– Dla piekła, które zgotowali jej dorośli. Kto jak kto, ale ty powinieneś to doskonale rozumieć.

Kuba parsknął pogardliwie.

Jaga nachyliła się w jego stronę. Chociaż nadal dzielił ich chodnik, wydawało się, że jest bardzo blisko.

– „Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę” – wyrecytowała. – „Żałuję, że urodziłam taką fujarę. Dlaczego po prostu nie zdechniesz? Idź i się zabij. Zrób to! Zniknij wreszcie z mojego życia. A jeśli nie masz jaj, siedź przynajmniej cicho w tej pieprzonej szafie. Włóż tam. Kurwa, nie rozumiesz, co mówię?! Jesteś niedorozwinięty?!”.

Kuba zeszytniał. Myślał, że zapomniał o słowach matki, minęło przecież tyle lat, ale one nadal tkwiły w nim jak drzazgi.

– Skąd... – wykrztusił. – Skąd to wszystko wiesz?

Wiedźma zrobiła niewinną minę, poprawiła rondo kapelusza.

– Potrafię zajrzeć w dusze śmiertelników. Czy to nie oczywiste? W przeciwnym razie jak odnajdywałabym te, które mnie interesują? Słyszałeś kiedyś, jak starsza kobieta mówi do wnuka: „Bądź grzeczny, bo pani cię zabierze”? Właśnie ja jestem tą tajemniczą panią. Przychodzę po dzieci, które są nieszczęśliwe, i uwalniam je od bólu.

– Gówno prawda! Jesteś morderczynią!

Splószone ptaki poderwały się, kracząc.

Mógłbym chwycić tę sukę za szyję. Mógłbym nawet skręcić jej kark, pomyślał Kuba, a jego pięści zacisnęły się, gotowe do ciosu.

Może od samego początku właśnie tego pragnął. Może dlatego doprowadził do konfrontacji, chociaż wcale nie musiał się z nią spotykać. Za chwilę ktoś mógł wejść do parku, ale na razie byli całkiem sami...

– Nic mi nie zrobisz. – Jaga bez lęku patrzyła mu w oczy. – Ciekawi cię, co jeszcze w tobie widzę? Ogromny gniew, owszem, taki, który narastał latami, ale też bezsilną słabość zagradzającą mu drogę. Nie jesteś typem bohatera. Nie zakradniesz się nocą do mojej sypialni z osikowym kołkiem. Nic mi nie zrobisz, tak jak nie zrobiłeś nic swojej matce, nawet gdy zrozumiałeś, że jesteś już od niej silniejszy. Nadal będziesz udawał, że wszystko było złym snem, i brał tabletki, wychodząc z nocnej zmiany. Po prostu nie masz odwagi.

Kuba odetchnął kilka razy. Usiłował się uspokoić i częściowo mu się to udało.

– Może nie mam odwagi – wyszczał – mam za to klucze do twojego pieprzonego mieszkania. Wczoraj wcale nie zapomniałaś zamknąć drzwi. Otworzyłem je swoim kluczem. I dzisiaj, kiedy upewniłem się, że wyszłaś na nasze spotkanie, powtórzyłem to.

Minęła chwila, nim do czarownicy dotarło znaczenie tych słów, i jej pewność siebie pękła jak tłuczony słoik. Kuba spodziewał się takiej reakcji: zdążył już zauważyć, że była przeczulona na punkcie zawartości szafy.

– Co...

– Co zrobiłem ze słoikami? – Z tryumfalnym uśmiechem obserwował zmiany na jej twarzy. – Oczywiście zbiłem je. Jeden po drugim.

– Kłamiesz! Nie śmiałyś...!

– Sprawdź sama, jeśli nie wierzysz.

Poderwała się z ławki, zacisnęła śmiesznie pięści i zaczęła naprzemiennie zamykać i otwierać usta, nadymając przy tym policzki poczerwieniałe od gniewu. Jej złowrogi urok przysnął. W tej chwili przypominała rybę wplątaną w sieć.

– Nie myśl, że ci to zapomnę! – wykrzyknęła w końcu, po czym odwróciła się i ruszyła biegiem w kierunku przystanku tramwajowego.

Kuba odprowadził ją wzrokiem. Parsknął nawet śmiechem, gdy potknęła się na nierówności chodnika.

– Nie myśl, że jeszcze mnie spotkasz, szmato. – Odchrząknął i splunął na trawę, jakby w ten sposób chciał odczarować resztki lęku.

* * *

Powietrze w starym mieszkaniu było duszne i gęste, miało słodkawą zapach, tak jak wtedy, gdy umierała tu matka. Kuba przeciął okraszoną plamami wilgoci sień, minął ciasną kuchnię i wszedł do pokoju. Rzucił plecak na ziemię i usiadł na wysłużonej wer-salce, a jej sprężyny zatrzęszczały pod jego ciężarem.

Szafa stała naprzeciw, jak zawsze. Nie była ani tak duża, ani tak straszna, jak Kuba zapamiętał. Żadne Wrota Mordoru: ot, zwykły stary grat. Tu i ówdzie odpryskiwał lakier w bladezielonym, szpitalnym odcieniu, a jedno skrzydło trochę opadło na zawiasach, więc drzwi się nie domykały. Dawniej wyglądało to inaczej: mebel był nowszy, bardziej solidny, zamykany na rygiel.

Kuba westchnął.

Trzeba w końcu sprzedać tę norę i zapomnieć o wszystkim. Zajmie się tym, gdy tylko zakończy sprawę z wiedźmą.

Przypomniał ją sobie: czarny kapelusz, ponętne biodra i demoniczny uśmiech. Niby taka przebiegła, obdarzona mądrością stuleci, a nie wpadła na pomysł, by założyć w szafie kłódkę.

Zaśmiał się na myśl o swoim małym kłamstwie. Oczywiście, że nie stłukł słoików. Nie mógł tego zrobić, skoro nie wiedział, jakie to będzie miało konsekwencje dla dusz zamkniętych wewnątrz. Ukryte w dworcowej skrytce, czekały bezpiecznie, aż przekaże je egzorcyście, którego numer znalazł na stronie diecezji. Wiedźma miała rację w jednym – nie był ani bohaterem, ani mordercą. Po spotkaniu ze specjalistą zamierzał umyć ręce

i zostawić całe to nadprzyrodzone gówno za sobą. Zastanawiał się tylko, kiedy będzie mógł wrócić do wynajmowanego mieszkania. Ostatnie dni naprawdę dały mu w kość. Potrzebował odpoczynku.

Sięgnął po plecak i wyjął z bocznej przegródki słoiczek z lekiem nasennym. Odkręcił go i wysypał kilka tabletek na otwartą dłoń. Wypadły cztery. Niech będzie, pomyślał i połknął wszystkie.

* * *

Śniło mu się, że znów był dzieckiem i leżał z głową opartą na kolanach babci. Staruszka przeczesywała jego cienkie włosy stwardniałymi placami i śpiewała piosenkę, której nienawidził:

*A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę.
Z żalu straciła swoją urodę...*

Z każdym wersem głos babci coraz bardziej się oddalał, aż wreszcie zupełnie ucichł. Kubusia otoczyła bezbrzeżna ciemność. Jednak po zapachu rozpoznał, gdzie się znalazł.

Szafa.

Z zewnątrz dobiegały hałasy, tłumione przez lakierowane drewno. Śmiech matki mieszał się z głosem obcego mężczyzny, a na ich tle rozbrzmiewały jeszcze inne dźwięki, ciche, rzęzące. Wydawały je oślizgłe stwory, żyjące w czarnej czeluści na górnej półce szafy.

Kubuś wiedział, że tam są. Im mocniej zaciskał powieki, tym lepiej je widział. Lepkie kłęбки mroku, otoczone tysiącami macek, rysowały się wyraźnie wewnątrz jego głowy.

Ciemność lizała kark skulonego chłopca. Po jego policzkach płynęły łzy, a po chudych udach – stróżki moczu. Nawet gdyby zaczął krzyczeć, nikt by nie przyszedł z pomocą. Był sam, całkowicie opuszczony. Bezbronny i zdany na łaskę otchłannych maszkar.

Zgrzytnął rygiel i drzwi się uchyliły. Malec myślał, że to matka, i nie śmiał na nią spojrzeć. Mogła mieć dobry humor, przytulić go i pogłaskać, ale mogła też odepchnąć i nazwać pomyłką.

– Pobawisz się z nami?

Cieniutki, dziecięcy głosik zaskoczył chłopca. Kuba otworzył oczy i ostrożnie uniósł głowę.

W szerokiej smudze światła zobaczył uśmiechniętą jasnowłosą dziewczynkę, a po chwili – także wyższego chłopca, który szarpnął drzwiami szafy tak mocno, że opadły na zawiasach. Trzeci urwis podszedł z boku i podał Kubusiowi pomarańczową drewnianą figurkę.

– Moja wiewiórka! – Uradowany chłopiec wyciągnął ręce, ale zaraz je cofnął. Coś go powstrzymało, jakaś nieuchwytna myśl, świadomość, że o czymś zapomniął.

– Chcesz zobaczyć też moje zabawki? – zapytała dziewczynka, przyjaźnie szczerząc wybrakowane ząbki.

Kubus zawałał się po raz ostatni i wreszcie przytaknął.

* * *

Jaga usiadła na kanapie i ułożyła sobie głowę śpiącego na kolanach. Zaczęła głaskać jego włosy, przeciągając długie, przetłuszczone pasma pomiędzy smukłymi palcami.

– Biedaczek – powiedziała cicho, gdy mężczyznę wstrząsnął dreszcz. – Zapomniałeś, że dorosło tylko twoje ciało. Moje dzieci od razu wiedziały. Wyczuły, że jesteś jednym z nich: skrzywdzonym, niekochanym chłopcem, zamkniętym w powłoce mężczyzny. Nie zastanawiałeś się, dlaczego tylko ty jeden je słyszysz? Od początku cię wzywały. Zapraszały do zabawy. – Musnęła chłodnymi wargami skroń Kuby. Szminka naznaczyła skórę purpurową smugą. – Teraz możesz zapomnieć o wszystkim, co złe. Zaopiekuję się tobą. Twój ból zastąpię beztrząską.

Sięgnęła po leżący na pościeli słoik, zakręciła go i pogłaskała.

– A potem cię zjem.

Lakierowany paznokciek skrzypnął na szkle.

Alicja Tempłowicz
ŻEGNAJ, MIĘSO



Alicja Tempłowicz – Naznaczony rocznik '89. Przecinkolog z wykształcenia i powołania, ale skończyła w księgowości z nosem w fakturach. Poznaniara pełną gębą, choć obecnie w stałym i stabilnym związku z Wrocławiem. Publikowała w kilku tomach „Fantazji zielonogórskich”, w antologiach z cyklu „Ścieżki wyobraźni”, w antologiach Fantazmatów, parokrotnie w zinach. Wykonywała też ilustracje – tu i ówdzie. Autorka artykułów zahaczających tematyką o językoznawstwo diachroniczne, demonologię ludową i wierzenia słowiańskie. Filkerka w stanie zawieszenia, wielbicielka akwareli, tuszu i kawy w kilku wydaniach – w tym jako materiału malarskiego. Po światłowodach biega jako Kruffachi.

Zima roku tysiąc osiemset szóstego jest ciemna i smutna. Wieje zły wiatr, sirocco, naszą łodzią szarpie we wszystkie strony, a sól osadzająca się skorupą na wargach ma gorzki posmak. Wczoraj spadł czerwony śnieg. Widziałem różowawe hałdy na brzegach Wielkiego Kanału, gdy przechodziłem tamtędy po raz ostatni, pędzony jak bydło do portu.

Zły omen. Kolejny zły omen, jakbyśmy nie wycierpieli już dość.

Zima ta w niczym nie przypomina swoich poprzedniczek z czasów mojej młodości: kolorowych, roześmianych i soczystości grzesznych. Na placu Świętego Marka spokój, schody Pałacu Dożów opustoszały, na ulicach dzwoniąca cisza. Słysząc co prawda jakieś rozmowy, jakieś narzekania, jeden czy dwa rubaszne żarty, ale nie ma muzyki Vivaldiego, okrzyków ani huku petard – nie ma karnawału.

Trzy lata temu zmarł Ludovico Manin, podobno na płuca, choć po wszystkim, co się tu stało, nie mam pewności i nigdy już mieć jej nie będę. W powietrzu dało się wtedy wyczuć kolejną ostateczną zmianę. Dokonało się. Odszedł ostatni, nawet jeśli były, doża Wenecji. Na zawsze. I nigdy – Boże, naprawdę nigdy – nie wybiorą następnego, a całe Vento wraz z Dalmacją i Istrią należeć będą zawsze do kogoś, nie do siebie samych. Co za różnica – Austria czy Napoleon?

Serenissima, niewyciężona Pani Mórz, została na kolanach. Bierna i bezsilna wobec prądów losu.

To już dziewiąta tak cicha zima, ale ludzie jeszcze nie przywykli. Jedni stąpają ostrożnie, niby bojąc się zbudzić napoleońskie licho, złośliwe echo płonnych nadziei zwolenników reform. Inni wręcz przeciwnie – chodzą ciężko, władczo, jakby chcieli oświadczyć nie wiadomo komu i po co, że wolny duch Republiki nie umarł, a bruk, który tak maltretują okutymi buciorami, należy do nich. Tak pierwsi, jak i drudzy czują się tu tak naprawdę obco,

ciągle jakby we śnie, oderwani od wszystkiego, co dobrze znali. Ich dłonie są wysuszone, ich oczy zapadnięte. Między nimi przeemykają cienie i zbierają żniwo. Nikt już nawet nie pyta, gdzie podział się ten czy tamten – wszyscy wiedzą, że pytać nie należy. Wszyscy znają nazwę Poveglia, choć nie wypowiadają jej głośno.

Ja tylko obserwuję. Tyle mi zostało. Z plecami wciśniętymi w mokrą deskę i z głową pełną nieswoich doznań czekam, aż mój własny los się dopełni.

– Wujku, opowiedz mi jeszcze, jak to było...? – Mała Luisa ciągnie mnie za luźny rękaw.

Spoglądam na nią z połową uśmiechu. Tak naprawdę nie jestem jej wujkiem, ale nie ma nikogo poza mną. Mnie w sumie też nie został nikt inny, więc przez ostatni tydzień staliśmy się dla siebie rodziną.

Luisa jest dzielna, dzielniejsza ode mnie, czemu dała wyraz pierwszej nocy po aresztowaniu, gdy podarowała mi swoją lalkę, żebym się nie bał i przestał płakać. Jednak, jak każdy, potrzebuje czegoś, by przetrwać, a jej sposób to wysłuchiwanie w kółko tej samej historii o tym, dlaczego się tu znalazła.

– Dobrze, opowiem ci. – Przygarniam ją mocniej, czuję sól i piasek w splełanych włosach.

* * *

Pamiętam bardzo dobrze, jak było ostatniej normalnej zimy, w dziewięćdziesiątym siódmym. Mimo mrozów miasto pęczniało, zdawało się dusić własną wesołością. Z perspektywy czasu sądzę, że była to wesołość nieco historyczna – wszyscy czuliśmy zapowiedź wiszącą nad wyspami jak mgła. Niektórzy twierdzili, że słyszą ostrzegawcze szepty morza. W każdym razie karnawał tamtego roku był największy, najjaśniejszy i najdroższy w historii. Jaśniał jak spadająca gwiazda i tak samo zwiastował zagładę, a my, oślepieni jego blaskiem, nie mogliśmy dostrzec niczego w ciemności.

Noc z drugiego na trzeciego lutego spędzałem na Lido, na dachu jednego z budynków, w miejscu, w którym ze skosów tworzyła się przytulna kolebka osłonięta od wiatru. Niby ciał mróz, ale tak naprawdę w domu byłoby niewiele cieplej, bo matka oszczędzała na ogrzewaniu, ile się dało, a tu miałem ze sobą gąsior wina, lekko tylko kwaśnego, i Bellę. Bella była przemiłą i pulchną kokotą, na której regularne towarzystwo mogłem sobie pozwolić – jeśli

odłożyłem trochę grosza albo sprzedałem przeczytaną już księgę, zazwyczaj zresztą pożyczoną od poczciwego Umberta. Dziewczyna miała nie tylko ciepłutkie ciało, ale też aureolę z ciemnych loków, w które wplatała czerwone wstążki, rumiane policzki i najpełniejsze usta, jakie widziano na ziemskim padole. Do tego piersi duże i ciężkie oraz skore do drżenia uda. W tamtej chwili, oparta o renesansowy gzyms, z którego po tej stronie odpadał tynk, kończyła powoli jeść wafle i oblizywała lubieżnie palce. Myślałem czasem, że w jakiś perwersyjny sposób jestem w niej zakochany, a nawet miewałem obrzydliwe wyobrażenia o wzięciu jej za żonę. Wiedziałem, że nikt by mi tego nie zabronił, i wiedziałem, że uczyniłoby to nas nieszczęśliwymi i zgorzkniałymi. Wizja ta, póki odległa, przedziwnie mnie cieszyła.

Póleželiśmy na tym dachu: ona na plecach, ja na boku, przytuleni do siebie tak z chęci, jak i z konieczności. Patrzyliśmy na spadające gwiazdy. Od strony pozostałych wysp były łuny nocnych zabaw, ale aksamitna ciemność nad Adriatykiem pozwalała w pełni rozkoszować się niezwykłym widokiem złotych, ulotnych warkoczy.

– To dziwne. – Bella wyduła obłądne usta, nawinąwszy ciemny pukiel na palec. – Spadające gwiazdy? W lutym?

– Mhm – mruknąłem, nie za bardzo przejęty jej uwagą, a znacznie bardziej skupiony na tym, co dostrzegałem w rozcięciu sukni tureckiego kroju.

– Ależ wieje! – Kobieta zasłoniła się kokieteryjnie.

Wcale nie wiało.

– Mogę cię rozgrzać.

Ochoczo wzięłem się do pracy przy wtórze rozkosznego chichotu. Pod nami Lido płonęło setkami świateł, mgła nasiąkała muzyką wiolonczeli jak tkanina wodą, a echo niosło okrzyki uczestników jednego z licznych tej nocy pochodów. Wszystko było odległe i nierealne, a jednocześnie wciąż na wyciągnięcie ręki.

Po tym jak, chwilowo nasyceni, zesłaliśmy z dachu i pomagałem Belli, nie omieszkując raz jeszcze złapać ją za rozgrzane pod ciepłą spódnicą uda, wpakowaliśmy się niemal w sam środek procesji. To nie był radosny orszak, przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Sześciu zamaskowanych, odzianych w czarne domina mężczyzn dźwigało na barkach przyozdobioną wstążkami i kwieciami trumnę, podczas gdy pozostali uczestnicy zabawy zawodzili, a ich ciała skręcały się w dramatycznych, nieomal ekstatycznych pozach.

– Śmierć! – zawył straszliwym głosem akrobata na szczudłach, za którym ciągnięto platformę z postacią (lub też posągiem, nie

jestem pewien) przykrytą czarnymi całunami i łańcuchami z chyba najprawdziwszych kości. – Nadchodzi śmierć! Złóżcie jej pokłon!

Z jego rękawów trysnęły zimne ognie.

Widok był fascynujący i przerażający. Poczulem przyjemny dreszcz pod żołądkiem, a Bella przylgnęła trwożnie do mojego ramienia.

Uliczka była wąska, a ludzi mrowie, więc chcąc czy nie, musieliśmy dołączyć do pochodu. Kochanka ścisnęła moją dłoń, czułem, że jest lekko zdenerwowana, ale już po chwili sama skandowała ochoczo: „Śmierć! Niech żyje śmierć!”. Ktoś założył Belli świeże kwiaty za ucho i rytm naszych kroków powoli zmieniał się w posuwisty, upiorny taniec.

Mało wówczas wiedziałem o świecie, choć wydawało mi się, że jest zgoła odwrotnie. Nie miałem pojęcia także o tym, że w tym samym czasie, kiedy ja oddaję się miłośnikom na cudzym dachu, wojska napoleońskie biorą w niewolę kilkanaście tysięcy obrońców Mantui i że pętla czasów powoli zaciska się także wokół niezdobytej nigdy Wenecji. Chciałem się bawić i uważałem, że mam do tego pełne prawo. Całe miasto tak uważało, w większości równie co ja niezainteresowane wojnami na kontynencie. W końcu żyliśmy poza nimi. Od wieków dawaliśmy azyl innym – odrzucanym i uciekinierom, od rzeźmieszków po królów. Zawieruchy to nie nasza rzecz. Nasze było prawo do wolności, nasze było światło w mroku dziejów.

Cudzoziemców mijało się codziennie na ulicach, nawet w tej części miasta, w której nie mieli prawa się osiedlać. Sam miałem wśród nich paru znajomych i opowiadali mi niekiedy mrozące krew w żyłach historie na temat barbarzyńskich obyczajów poza Wenecją. Jednocześnie nie stronili od oceniania nas. Twierdzili, że jesteśmy niedouczeni, rozwiązli i niezdolni do filozoficznej myśli.

Ja sam miałem się akurat za myśliciela, artystę i konesera wszelkiego piękna, choć zaiste czytałem dość powoli i edukację, nie licząc paru lat szkoły, odbierałem głównie w domu, gdzie ojciec przygotował mnie do zawiadywania jego kupieckim interesem. Trwonilem pieniądze na operę, karty i Bellę, wpłatywałem się w przeróżne burdy i bywałem to tu, to tam, a że rodziców miałem bogatych oraz wzorowo oszczędnych, zawsze lądowałem na cztery łapy jak kot. Powszechnie uchodziłem za próżnego, ale uroczego nicponia. Niania mówiła, że kiedy się rodziłem, wył sirocco – jak wówczas, gdy lata później po raz ostatni spoglądałem na miasto swojego życia i śmierci – a morze szeptało

niespokojnie, jakby ostrzegało przed nadciągającą *aqua alta*, i że to z wichury wzięła się moja paskudna natura. Tak, niania za mną nie przepadała. Miała ku temu powody.

A jednak, prawdę powiedziawszy, nie stanowiłem wcale ewenementu. Wielu moich znajomych lekką ręką przegrywało większe sumy i miało kontakty z większą liczbą kochanek. Może też, w przeciwieństwie do mnie, szczylicili się odrobiną honoru, ale czy mógłbym ich winić za naiwność? Wszyscy korzystaliśmy z takiego życia, jakie nam dano, w mieście kochających ciał i nienawidzących dusz.

Zresztą trwał karnawał, a ten miał swoje odwieczne, uświęcone prawa. Najważniejsze z nich zakładało nieprzejmowanie się niczym. Jak w tamtej chwili, gdy pochłaniał mnie upiorny menuet i ekstatyczna mieszanka strachu z przyjemnością.

* * *

Następnego dnia okazało się, że spadające gwiazdy przykuły uwagę nie tylko Belli.

– W lutym? – Głos Kulawego Franco zabrzmiał mi w uszach niemal jak echo jej słów. – Kto widział spadające gwiazdy w lutym?

Był to mężczyzna sześćdziesięcioletni, obły w swoim kształcie i rysach, łysiejący. Złośliwi mówili, że zadaje się z nami, młodymi libertynami, bo lubi sobie popatrzeć, stary zboczeniec. Ale to gadał nie nie miało w sobie ani krztę prawdy. Po pierwsze, Franco cierpiał na kurzą ślepotę i czasem było z nim tak źle, że podmienialiśmy mu bezkarnie karty albo wmawialiśmy, że pałki to miecze, a denary – kielichy. Oczywiście robiliśmy to, tylko grając z nim prywatnie, żaden z nas nie był aż tak głupi, żeby oszukiwać w domu gier. Po drugie, on zwyczajnie się nudził, a my dostarczaliśmy mu więcej rozrywek niż ktokolwiek inny, z kim mógłby spędzać czas. Niekiedy zabieraliśmy go nawet do opery, gdzie ludzie odsuwali się od niego, bo śmierdział dokiem, i strasznie nas bawiło ich obrzydzenie.

Nie miał co robić od czasu redukcji floty. Okropnie go to denerwowało; wiedzieliśmy skądinąd, że w ostatnich tygodniach podejmuje się różnych prac, z których część pachniała cmentarzem – dosłownie i w przenośni. Wśród wszystkich moich ówczesnych znajomych to Franco najbardziej niecierpliwie wyczekiwał nadejścia Napoleona. Wyobrażał sobie, że ten zaprowadzi u nas jakieś nowe, lepsze porządki. Ale kiedy wybrano Manina na dożę, jak wszyscy stał w tłumie, wiwatował i łapał liry lecące w motłoch.

Ja sam, pytany – choć rzadko – czy widzę w Napoleonie szansę na reformy, odpowiadałem pokrętnie i niejasno. Nie obchodził mnie Napoleon, tak jak nie obchodziły mnie spadające zimą gwiazdy. Muratoriego czytałem potajemnie dlatego, że był zakazany, nie dlatego, że cokolwiek pojmowałem z jego idei, czy – co gorsza – je popierałem.

– No i co z tego, że w lutym? – parsknąłem śmiechem. – Gwiazdy są równie wolne, jak wszyscy, mogą sobie spadać, gdzie i kiedy chcą.

– A jednak p-prawa natury t-to p-p-praaaawa natury – burknął wpatrzony w swoje karty Umberto, drugi z moich towarzyszy. – Ż-żaba nie zoo-stanie paprotką tylko d-dlatego, że chce.

Po jego minie łatwo dało się wywnioskować, że i podczas tego rozdania nie uśmiechnęło się do niego szczęście. Tak naprawdę nie lubił gier losowych – najwyraźniej z wzajemnością.

Moja znajomość z tym szczególnym człowiekiem stanowiła jeden z najdziwniejszych zbiegów okoliczności, jakie spotkały mnie do tamtej pamiętnej zimy. Byliśmy tak różni, jak to tylko możliwe, i to pod każdym względem. Ja – bogaty, przystojny i pusty, on – zahukany jąkała, który przeczytał w życiu więcej książek, niż kiedykolwiek widziałem na oczy. Przy tym, choć zawsze schludnie ubrany i nienagannej postawy, miał w sobie coś, co sprawiało, że niewiele odróżniał się od mgły. W dodatku nieszczęśliwy wypadek z petardą w dzieciństwie częściowo pozbawił go słuchu i należało ciągle pilnować, by mówić z jego lewej strony. Przypałość ta sprawiła, że od małego stanowił obiekt kpiny, i wpędziła go w jąkanie, nad którego leczeniem ostatnio mocno pracował. Nie bez sukcesów zresztą, co musiałem mu przyznać. Plotka głosiła, że się zakochał, i to dla swojej ukochanej ćwiczył poprawną wymowę po parę godzin dziennie.

Ja i mnie podobni po nocach bawiliśmy się do upadłego, przebieając w kochankach, a on stał przed lustrem i uparcie powtarzał problematyczne zbitki głosek, by zdobyć tę jedyną i najprawdopodobniej pierwszą. Czy można było wyobrazić sobie większą rozbieżność charakterów?

A mimo to przypadliśmy sobie do gustu nieomal przy pierwszym spotkaniu, kiedy to próbowałem obstać na szybko wynik bójki dwóch rozwścieczonych gondolierów, okładających się wiosłami, a on zbierał próbki żyjątek z solnych osadów na murze pobliskiego budynku. Obaj zaaferowani, wpadliśmy na siebie plecami, i tak nas ta sytuacja rozbawiła, że godzinę później siedzieliśmy razem w kawiarni, bo Umberto uparł się, że jest mi winien

przynajmniej ciastko w związku z faktem, że ostatecznie nie dopiąłem zakładu. Jak się okazało, wrócił wówczas dopiero co z Padwy, gdzie studiował na Universitas Artistarum. Jego lekką nieporadność wziąłem więc za efekt zagubienia – jak niebawem wyszło na jaw, niesłusznie. Umberto taką miał po prostu naturę.

Wyłożyliśmy karty i od razu wiedziałem, że wygram – co nie było trudne ze ślepym i pechowcem przy stole.

– No to może to były petardy. – Wzruszyłem ramionami. – Nie wiem, czym tu się ekscytować. Albo, o, wiem! To były latające ryby.

– Latające ryby? – Franco spojrział na mnie z powątpiewaniem, mrużąc na wpół ślepe oczy.

– Bez wątpienia – przytaknałem, wykładając kolejne karty, czym przypieczętowałem los moich towarzyszy. Zgarnąłem pieniądze z zaimprovizowanego stołu szybkim, pewnym ruchem. Franco natychmiast wziął się do ponownego tasowania talii, co Umberto przyjął skrzywieniem warg. Honor nie pozwalał mu jednak odejść od gry, zresztą i tak był uwięziony z nami w gondoli. – Jak nic olbrzymie latające ryby ze świecącymi oczami.

– Czy ty już gorączki n-nie masz o-od tego świętowania? P-powinieneś ooo-odpocząć. Bzdury pleciesz b-baaardziej niż zwykle.

Posłałem Umbertoowi szeroki uśmiech – zrobiłem to bez problemu, bo gra w karty wymagała od nas zdjęcia masek.

Prawda, że mój drogi przyjaciel mógł mieć trochę racji. Kolejne miesiące zabawy były męczące i niekiedy kończyły się chorobą, ale to stanowiło część uroku karnawału, ciągłe balansowanie między jawą, snem a wszelkimi stanami pośrednimi, wynikającymi z potwornego zmęczenia. W zeszłym roku zdołałem się doprowadzić do nieustających majaków i było to najbardziej podniecające doświadczenie mojego życia.

Nawet jeśli jednak trawiła mnie gorączka, nie przeszkodziło mi to w wygraniu również drugiej partii. Od trzeciej porażki moich towarzyszy wybawił fakt, że dotarliśmy na miejsce.

– Gotowi na bal, panowie? – zapytałem, zakładając bautę i trójgraniasty kapelusz z piórami.

Kiedy uczynili to samo, staliśmy się dla siebie obcy – jak nazywało święte prawo karnawału, które zwykłem bezcześcić jedynie dla Belli.

* * *

Następną noc planowałem spędzić z Giovanną. Giovanna nie miała takich ust jak Bella, wymagała też, żeby się bardziej dla niej postarać, ale nad moją ulubioną kochanką górowała tym, że była darmowa. Albo prawie darmowa. W każdym razie w większości wypadków dało się ją kupić opowieściami o tym, czego to jej nie podaruję, kiedy już przejmę interes ojca. Zaczynałem od białej jak mleko klaczy, kończyłem na florenckich sukniach. Była we mnie w oczywisty sposób zakochana – ja z kolei byłem zakochany w Belli. Ponieważ obie te miłostki nie miały żadnej przyszłości ani sensu, uważałem cały układ za doskonale uczciwy.

Inna sprawa, że za Giovanną zdążyłem odrobinę zatęsknić. Przez kilka poprzednich dni nie była w nastroju na schadzki czy choćby zabawy na ulicach. Przydarzył się jej pewien przykry incydent. Została przypadkowo świadkiem śmierci schorowanego żebraka w jednym z zaułków, a że wąż miała nie tylko kibić, lecz także głowę, odniesiono ją zemdloną do domu. Na szczęście jednak, otoczona dobrą opieką, szybko doszła do siebie i owego popołudnia wysłała mi zalotny liścik.

Miasto – jak w każdą noc karnawału – nie spało, i przez niedokładnie zasłonięte okno, którym zresztą tu wszedłem, wlewały się do środka gwar ulic i złoty blask ognisk. Ciepłe światło wydobywało z mroku zarys ciała mojej kochanki: rozłożonej na poduszkach, z rękami w górze i z rozchylonymi ustami, wyprężonej, przyjmującej łakomie bardzo już śmiałe pieszczoły. Była całkowicie naga, jeśli nie liczyć aksamitnych rękawiczek. Nie zdejmowała ich od paru dni, odkąd oparzyła się trującymi liśćmi jakiejś rośliny. Podobno nie było to nic groźnego, ale lekarz zalecił aplikację maści i osłanianie zranionych miejsc aż do zagojenia.

– Och, Cesare... – wyszeptwała Giovanna drżącym głosem. – Jak ja cię kocham...

– Ja ciebie też, słoneczko moje – skłamałem, uznawszy jej słowa za przyzwolenie.

Ledwie jednak zdążyłem przygnieść ją swoim ciężarem, jej miękkie, rozgrzane ciało zamarło, a w oczach pojawił strach.

Nie, nie strach. To było przerażenie. Pierwotne przerażenie. Tak też zaczęła w jednej chwili cuchnąć: wystraszonym zwierzęciem, zbitym łagą kundlem, kulącym się w zaułku. Jej powieki trzepotały, oddech przyspieszył, dłonie uderzały o poduszki w rytmicznych spazmach.

– Giovanna...? – spytałem niepewnie, jednocześnie nieco wystraszony i zły, bo poczułem, jak na widok tej wykrzywionej twarzy odchodzi mnie cała ochota.

Próbowała odpowiedzieć, widziałem, jak jej usta poruszają się bezradnie, ale z gardła wydobywał się świst, a strach w oczach narastał.

– Po-mo... c... y-y-y – zdołała wreszcie wykrztusić, przedłużając ostatnią głoskę w tym samym rytmie, w którym zamykała i otwierała oczy oraz uderzała ciałem o pościel.

To był moment, w którym i ja zacząłem się bać. Odstąpiłem od niej wreszcie, gwałtownie, z obrzydzeniem, i spoliczkowałem w nadziei, że ją to ocuci.

– Giovanna! – zakrzyknąłem. – Ocknij się!

Wszystko to stanowiło wyraz mojej bezsilności i nie przyniosło oczywiście żadnego skutku. Dziewczyna charczała, wiła się i wlepiła ogromne oczy w sufit, a na jej policzku zaczął pojawiać się przedziwny wykwit. Skóra pękała niczym wysuszona ziemia, a kiedy zaczęła się z niej wydobywać gęsta ropa i zapachniało gnijącym mięsem, straciłem rozum do końca. Chwyciłem czym prędzej swoje culotte, koszulę i frak. Zacząłem ubierać się roztrzęsiony, gdy tymczasem kobieta na łóżku dusiła się własnymi wydzielinami i rozkładała na moich oczach, aż na jej czole błysnęła naga kość.

Miałem wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu zakładanie przyodziewku nie zajmowało mi tyle. Na pończochy i buty nie traciłem już czasu. Wziąłem je w rękę i uciekłem przez okno, zostawiwszy Giovannę, wciąż wijącą się na poduszkach, samą. Kiedy przeskakiwałem przez parapet, dobiegł mnie jej agonalny skowyt.

Teraz to ja sam śmierdziałem zbitym kundlem, spocony mimo mrozu wpijającego szpony w półnagie ciało. Przedzierałem się w amoku przez rozbawiony tłum, który nigdy nie wydawał mi się równie groteskowy i gęsty, niemal oleisty. Zamaskowane twarze odwracały się ku mnie – zamiast oczu miały tylko czarne otchłanie, cienie wydłużały ozdobne nosy masek noszonych przez biedaków i ostre zakończenia baut, malowane usta uśmiechały się szyderczo, kobiety w czarnych morettach zdawały się pozbacone twarzy. Oblicza sodomitów, ukryte za kocimi gnagami, śledziły mnie wzrokiem. Dopiero dwa zaułki dalej dotarło do mnie, że gdy zeskoczyłem z okna, zrobiłem sobie coś w kostkę. Ból przyszedł zupełnie nagle i uderzył tępo pod kolanem. Dalej musiałem więc pełznąć przy pokrytym solą murze, ale ani myślałem

się zatrzymywać. Chciałem dotrzeć do jakiegokolwiek spokojniejszego miejsca. Byłe mniej było w nim zamaskowanych twarzy, spośród których każda mogła należeć do kogoś znajomego. Kogoś, kto wyłowiłby mnie wzrokiem spośród tłumu i nie zapomniał tak szybko, jak szybko gnałem na wpół nagi, wystraszony i z butami w ręce.

Chichot kochanków w zaułku brzmiał jak złowieszczy śpiew ptactwa.

Byłem głupi. Sam też mogłem założyć maskę, wmieszać się w masę świętujących, zatrzeć ślady. Ale w panice zostawiłem swoją bautę przy łóżku konającej Giovanny de Simone.

Trucizna? – rozpamiętywał gorączkowo mój umysł. Choroba? Nie, na chorobę zbyt szybkie, zbyt nagłe. Zatem trucizna. Czy ja też jestem otruty...?

Poczułem ścisk w żołądku i zwymiotowałem na niewielką stertę świeżego śniegu. Nie myślałem już kompletnie o tym, że zostawiłem umierającą dziewczynę samą, że uciekłem, zamiast sprowadzić pomoc – a tylko o sobie. Tylko o tym, że ja też zaraz mogę zacząć wic się na bruku i charczeć. Pomacałem się po policzku. Każda drobna nierówność wydawała mi się nabrzmiewającym znamieniem: takim samym jak to, które w ostatniej chwili dostrzegłem na twarzy Giovanny.

Umrę, umrę, umrę.

Nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

Jednak nie umarłem. Długo jeszcze włożyłem się po mieście jak w gorączce, by nad ranem dotrzeć do swojego łóżka, z którego zamierzałem nie wychodzić przez kolejne dziesięć lat.

Wysoko nad moją głową nadal spadały gwiazdy.

* * *

– Paniczu? Goś...

– Jestem chory! – uciałem, nim Marta skończyła mówić, i na potwierdzenie tych słów rozkaszałem się spazmatycznie.

– Jaki tam chory! Cesare, nicponiu, wyłaż z nory!

Żołądek związał mi się w supeł. Marco. Mój dobry druh, owszem, ale też gorąca głowa i olbrzym taki, że najwymyślniejsza maska nie mogłaby ukryć jego tożsamości. Nie wątpiłem, że jeśli straci cierpliwość, po prostu wybije okno, pod którym stał, jako że nie miał wstępu do naszego domu.

Myśl! – powiedziałem sobie i rozejrzałem się nerwowo po pokoju.

Moja izba wyglądała zaiste koszmarnie, ale raczej jak miejsce pijackiej burdy niż cierpień chorego człowieka. Nie pamiętałem, kiedy doprowadziłem ją do takiego stanu. Prawdę powiedziawszy, nie potrafiłbym nawet powiedzieć, jak dostałem się do łóżka. Uspokajał mnie fakt, że wciąż miałem na sobie tę samą koszulę i culotte, w których odwiedziłem Giovannę. Frak leżał porzucony na podłodze. To zdawało się dowodzić przynajmniej tego, że Marta tu nie wchodziła. Gdyby weszła, z pewnością postanowiłaby oporzędzić panicza – w końcu za to jej płacono.

Natomiast moja twarz... Spojrzałem w lustro. Och, moja twarz wyglądała, jakbym cierpiał na suchoty od jakichś czterdziestu lat. Miałem wrażenie, że nocny strach wrył mi się w rysy, że mam go nadal pod paznokciami. I śmierdziałem okropnie, ugotowany we własnym pocie.

– Chociaż okno odsłoń, niedołęgo! – darł się Marco pod oknem.

– Ja nie wiem, panie... – usłyszałem zza drzwi trwożny szepc Marty. Sądząc po jej tonie, rozmawiała z moim ojcem, najpewniej zwabionym serenadami pod balkonem syna. – Rano taki rumor stamtąd dochodził, że się wejść bałam...

– Spiłeś się! – stwierdził Marco i w szybę uderzył jakiś przedmiot, na razie lekki. – I to beze mnie! Taki z ciebie przyjaciel!

Niewiele myśląc, dałem susa pod koldrę. Nie chciałem widzieć ani jego, ani tym bardziej swojego ojca.

– Naprawdę źle się czuję! – zawołałem. – Możesz przestać się wydzierać?!

– A bo to ci choroba kiedykolwiek przeszkadzała? – Tu mnie miał. – Zapomniałeś, żeś się z nami umówił do opery?! Wiesz, ile musiałem namawiać Umberta, żeby drugi dzień z rzędu wyszedł ze swojej jaskini?! Jak to zmarnujesz, przegonię cię po całym Rialto, przysięgam na pamięć mojej babki i wszystkich jej siedmiu szpiców!

Prawdę powiedziawszy, tak, zapomniałem, że byłem z kimkolwiek na cokolwiek umówiony, choć taka okoliczność wydawała się oczywista podczas karnawału. Poza karnawałem zresztą też: nie lubiłem bezczynności i nie lubiłem braku towarzystwa.

– Jest jeszcze jasno... – zajęczałem.

– No, za tymi twoimi kotarami na pewno! Wyłaź! Zanim się przygotujesz, słońce zdąży zająć trzy razy!

Potem słyszałem jeszcze jakieś głosy, ale już znacznie cichsze, i zgadywałem, że to służba na polecenie mojego ojca strofuje wrzaskliwego olbrzyma.

Westchnąłem i niechętnie wyszedłem z łóżka. Z kołdry wzbil się niewielki obłok kurzu. Ostatecznie to był jakiś sposób – rzucić się z powrotem w wir zabawy, zapomnieć o tym, co mnie spotkało poprzedniego dnia. Wprawdzie straciłem jedną maskę, ale wciąż gdzieś miałem zeszlóroczną. Wygładziwszy koszulę, wyszedłem, by nakazać Marcie poszukiwania, a w ostateczności zakup nowego egzemplarza. Jednak miałem szczerą nadzieję, że obędzie się bez wydatków – ojciec był już wystarczająco zdenerwowany, co wnioskowałem z sapnięcia, jakie mi posłał, gdy minęliśmy się na korytarzu.

– Skaranie boskie z tobą i tymi twoimi kolegami – warknął, poprawiając luźną domową szatę. – Zaiste, następnym razem każę poszczuć tego rozwydrzonego głupca.

Zabawne, bo to moich rodziców tu i ówdzie zwano rozwydrzonymi lub wręcz wywrotowymi. Wszystko dlatego, że ojciec głośno domagał się miejsca w *Maggior Consilio*. Podobno nawet zwrócił na siebie uwagę inkwizytorów, ale inkwizytorów od dawna już nikt się nie bał. Jak dotąd jednak ani jemu, ani jemu podobnym, choć zaiste krzyczeli głośno, nie udało się przebić do grona zatwardziałych arystokratów. Ci bronili swojej władzy jak wychudzony pies ostatniej kości. Cóż, wychudzeni na pewno nie byli: dalej ubierali brzuchy w drogie materiały, a ich kobiety pływały kanałami w gondolach kawiarnianych, w obstawach jak małe armie. A jednak ich szeregi topniały – tak przynajmniej twierdzili starsi ode mnie.

Mimo swych sporów z władzami ojciec mój, podobnie jak matka zresztą, nie wypatrywał Napoleona jako wybawienia. Uważał, że sprawy Wenecji powinni załatwiać Wenecjanie – i była to opinia, którą w tamtym czasie słyszałem dość często, nawet jeśli niewyrażaną wprost. Powtarzał je też zresztą mój dziadek, a wcześniej pewnie także i jego dziad. Od setek lat przyjmowaliśmy obcych chętnie, ale im nie ufaliśmy. Mieli swoje dzielnice, swoje wyspy, jak Żydzi, lub – jak Niemcy – nieomal pałace w stylu *Fontego dei Tedeschi*.

Ja sam rzadko się z przyjezdnymi zadawałem – może poza paroma wyjątkami. Jednym z nich była Cyntia, interesująca sopranistka, której rodzinę na nasze piękne wyspy przygnała ucieczka z samego ogarniętego rewolucyjną pożogą Paryża. Rewolucja stanowiła już tylko wspomnienie, ale dziewczyna i jej trzy siostry zasiedziały się u nas i ani myślały wracać. Zresztą tu błyskotliwa blondynka rozwijała karierę dość swobodnie i w sposób

inteligentny, a niektórzy twierdzili nawet, że ma prawdziwy talent. Tego ostatniego akurat ocenić nie potrafiłem, bo natura dała mi wytrawne oko, ale za to drewniane ucho.

Zresztą – może na szczęście, wziąwszy pod uwagę okropieństwa poprzedniego wieczoru – wygląd Cyntii nijak mnie nie podniecał: prawda, uważałem ją za szalenie miłą, ale też nazbyt kościstą i wysoką. Wyróżniała się na tle tutejszych kobiet, i to wyróżniała się w sposób dla mnie nieprzyjemny. Wciąż jednak towarzyszką była doskonałą, więc kiedy Marco oznajmił przed paroma dniami, że będzie w obsadzie przedstawienia, a potem możemy pójść na bal razem, nie oponowałem.

Wieczór tamtego dnia, gdy ruszyliśmy na spotkanie Umberta do gmachu La Fenice, był równie paskudny co mój nastrój. Podniosła się nebbia, mgła gęsta jak chmury, i ledwie widzieliśmy końce własnych nosów. Zeszłoroczna maska, którą Marta jakimś cudem zdołała wygrzebać ze stosu rupieci na dnie kufra, wydawała się dziwnie niedopasowana, więc postanowiłem, że będę zwlekał z założeniem jej do ostatniej chwili, czyli do rozpoczęcia balu. Marco zlitował się nade mną i postanowił towarzyszyć mi w tych planach.

– Patrz pod nogi! – upomniał mnie, kiedy przechodziliśmy brzegiem kanału. – Skończysz jak twój dziadek.

Zaiste, nieszczęśnik poślizgnął się dwa lata temu i wpadł prosto do czarnej wody. Znalaziono go po trzech dniach, zamrożonego na kość, a mimo to uszczkniętego przez ryby. I tak miał szczęście, że zaczął peleryną o jeden z pomostów dla gondoli. Inaczej morze niechybnie porwałoby trupa albo wciągnęło w miejsce, z którego nikt by go już nie wydobył.

Nie był pijany. Wiem to, bo dziadek nie pił. Nie miał też wrogów większych niż zajadły pies sąsiadów. Wszystko wskazywało więc na to, że umarł śmiercią, na jaką sobie zasłużył – w wyniku pospolitego zbiegu okoliczności. Poza domem rodzice moi rozpaczali wręcz wzorowo, wewnątrz dało się wyczuć wyraźną ulgę. Jakby zimne mury i wszystkie pochowane w kątach myszy, a nawet babka na ciemnym, zamówionym po tanioci portrecie odetchnęły razem z nimi, uwolnieni od starego despoty.

Ostatni kielich wina w swoim życiu wychylił ponoć w dzień moich narodzin. Ten nagły zwrot ku abstynencji wywołała u niego bynajmniej nie radość z wnuka, a potworny ból nerek po przepiciu. Toast, o którym wspomniałem, nie był bowiem wzniesiony na moją cześć, lecz stanowił zwieńczenie pamiętnej,

ponadtygodniowej popijawy żałobnej. On i jego koledzy urządzili ją po zamknięciu Ridotto, największego domu gier w mieście. Stary chorował dobrych kilka dni i paru medyków, w tym dwóch Żydów, postawiło na nim krzyżyk. Jednak najwyraźniej mojego dziadka bała się nawet śmierć, bo nie odważyła się sięgnąć po niego wówczas. Zaatakowała z kryjówki w ciemnym zaułku dwadzieścia trzy lata później.

W każdym razie dziadek prawdopodobnie nie był nawet świadomy, że jego córka powiła. Czasem miałem wrażenie, że nigdy nie przyjął tego do świadomości. Grunt, że ojciec przejął jego pieniądze, a ja miałem je przejąć po nim. Czasem, jeśli akurat naszedł mnie poważniejszy nastrój i chciało mi się myśleć o ekonomii, prosiłem Najświętszą Panią o długie życie dla ojca. Nie dlatego, że był mi jakoś szczególnie drogi i że ceniałem sobie jego towarzystwo, ale dlatego, że miałem nadzieję, iż uda mu się przeżyć matkę. Wtedy w moje ręce wpadłoby też jej wiano.

Tak czy inaczej moja przyszłość jawiła się w jasnych barwach – wszystko wskazywało na to, że odziedziczę trzy doskonale prosperujące sklepy z importowanymi towarami, jeden warsztat szklarski i świeżo założoną kawiarnię, której moja matka poświęcała ostatnio sporo czasu i pieniędzy.

Przekomarzając się, dotarliśmy wreszcie na plac Świętego Marka. Obie kolumny przyozdobiono świeżymi girlandami: między nimi na polowej scenie występowali kuglarze, a pod nią kłębił się tłum rozbrzmiewający wieloma językami. Same schody La Fenice także tonęły w żywym przybraniu, a na nich czekał na nas Umberto, wyraźnie trochę zagubiony w hałasie i natłoku atrakcji. Obaj uznaliśmy, że dobrze będzie go wybawić z tej przykrej opresji.

* * *

Marco, choć wielki jak wrota Pałacu Dożów, był wewnątrz swojego olbrzymiego jestestwa wrażliwym melomanem i bodaj jedyną znaną mi osobą, która chodziła do opery dla przedstawień. Wszyscy inni uczęszczali tam, żeby wzajemnie podglądać się przez lornetki. To jawny i powszechny zwyczaj: każdy był tu łowcą i każdy był ofiarą, a jedyną drogą obrony – zaprezentowanie takiej twarzy, jaką chciało się zaprezentować potajemnym obserwatorom.

Nie zdziwiło mnie więc, że w czasie, kiedy Marco z wypiekami na policzkach studiował libretto, Umberto wypatrywał już kogoś

w jednej z łóż. Minę miał przy tym dziwnie rozanieloną i wyrwało mu się nawet ciche westchnienie.

– Co tam? – Dźgnąłem go łokciem w bok. – Czyżby ta twoja Wenus?

Kącik jego ust uniósł się odrobinę, ale już po chwili Umberto odjął lornetkę od twarzy, wyraźnie speszony.

– Jest dzi-dzi-dziś taka p-piękna... – wyszeptał, jękając się odrobinę wyraźniej niż w ostatnich dniach.

– No! – Rozbawiony Marco zerknął na niego znad książeczki, która w jego wielkich dłoniach wydawała się nie większa niż liść. Dyskretnie zerknąłem na treść, bo nie byłem pewien tytułu przedstawienia, a nie chciałem stracić twarzy podczas ewentualnej dyskusji po spektaklu. – Przyznaj się wreszcie, kto to!

– N-nie mooogę! – Umberto obruszył się ze szczerością, do jakiej zdolni są tylko dzieci i naukowcy. – P-przyszła w masce!

Ja i olbrzym skwitowaliśmy to śmiechem.

– Przecież już i tak dałeś do zrozumienia, że ją rozpoznałeś – zauważyłem i uniosłem oskarżycielsko palec ku nosowi Umberta, czerwonego po czubki uszu z zawstydzenia. – Co ci szkodzi? Przecież cię nie wydamy, hultaju.

Przygryzł wargę i strzelił oczyma na boki, wahając się jeszcze chwilę, a potem pochylił się ku nam konspiracyjnie.

– Ma na i-iiimię Giovanna. Giovanna d-de Siiimone.

Poczułem, jak żołądek zalewa mi szlam z samego dna Wielkiego Kanału.

– Giovanna de Simone! – ryknął Marco wybitnie niedyskretnie. – A to ci heca! Słysza... Na Boga, Cesare, strułeś się czymś?

Potrząsnąłem głową, choć istotnie, czułem się, jakbym miał usta wypełnione wymiocinami. Wiedziałem, że ich tam nie ma, a mimo to coś w mojej głowie uparło się, że jeśli spróbuję się odezwać, zacznę pluć mulistą mazią.

– M-mówiiilem m-mu, że p-p-powinien trochę odpuścić. – Umberto zmierzył mnie wzrokiem tyleż krytycznym, ileż zmarzwionym. – Roz-rozcho-ooruje się. P-pewnie g-gorączka g-go d-d-dooopadła. – Odetchnął ciężko, wyraźnie zmęczony tak długą wypowiedzią, po czym podał mi swoją batystową chusteczkę.

Przyjąłem ją z grzeczności oraz w nadziei na to, że uzna przyjacielski obowiązek za spełniony i przestanie zwracać na mnie uwagę.

Na to ostatnie czekałem zbyt długo. Zdążyła się już rozpocząć pierwsza symfonia – dziwnie nerwowa w moim odczuciu,

nabrzmiała od niespokojnych smyczków. Fotel palił mnie do samych kości, treść żołądka podchodziła do gardła jak wiosenne powodzie, złocenia łóz i sufitu wwierały się boleśnie w oczy.

W końcu nie dałem rady i chwyciłem Marco za ramię.

– Chodź – szepnąłem do niego, przerywając mu kontemplację muzyki. Skorzystałem z faktu, że Umberto był do nas zwrócony niesprawnym prawym uchem. Czułem, że powinienem zdążyć, nim na scenie pojawi się Cyntia, bo w końcu dla niej tu przyszliśmy. – Musimy porozmawiać.

Umberto zorientował się, że wychodzimy – nie usłyszał nas, ale zobaczył ruch. Niemniej Marco miał dobry refleks. Chwycił mnie pod ramię i gestem dał naszemu druhowi do zrozumienia, że potrzebuję dyskretnego wyprowadzenia na świeże powietrze.

– Co jest? – zapytał tak poważnym tonem, że zrobiło mi się jeszcze gorzej. – Może ty faktycznie jesteś chory...? – To ostatnie dodał z wyraźnym powątpiewaniem. Znał mnie zbyt długo.

– Nie... – wychrypiałem. – Na Najświętszą Panią, Marco... – Przywarłem plecami do jednej z kolumn przed wejściem i zakryłem twarz dłońmi. Było zimno, ale pod ubraniem cały spływałem potem, a policzki płonęły mi żywym ogniem i miałem wrażenie, że palcami zdzieram sobie skórę z twarzy. – Mam olbrzymie klopoty, druhu. Albo zwariowałem, albo... – Pokręciłem głową.

Ruch ten wystarczył, bym nagle stracił zakotwiczenie w rzeczywistości. Nogi zmiękły mi kompletnie i zacząłem się osuwać na kolana. Olbrzym złapał mnie za ramiona z siłą imadła.

– Cesare, na zarazę! Cesare, w coś ty się znowu wpakował?!

Och, chciałyby, żeby to było podobne do którejkolwiek z afer, w których uprzednio maczałem palce.

– Giovanna. – Podniosłem na niego wzrok, ale zamiast szerokiej twarzy przyjaciela zobaczyłem tylko miliony niewyraźnych, iskrzących się punkcików. Kwiaty, którymi przyozdobiono schody La Fenice, pachniały tak intensywnie, jakby chciały mnie udusić.

– Muszę... Pomóż mi...

– W czym?!

– Muszę spotkać Giovannę na osobności. Jeszcze dziś. Jak najszybciej. Muszę się przekonać. Inaczej oszaleję.

– Przekonać o czym?!

Zza drzwi dobiegły pierwsze dźwięki arii jak jęk konającego.

– Co chowa pod maską.

* * *

Czekaliśmy przy schodach zmarznięci: ja drżący dodatkowo z nerwów, a Marco – z irytacji. Kiedy zaczął dopytywać, co też mi strzeliło do głowy, stanąłem przed bardzo trudnym wyborem. Mogłem go okłamać albo opowiedzieć prawdę. W pierwszym przypadku wyczułby kłamstwo, bo znał mnie od lat; w drugim uznałby, że żę, bo prawda była tak niewiarygodna. Tak czy inaczej by mi nie uwierzył, więc postanowiłem grać na zwłokę.

– Na razie po prostu za nią pójdziemy, dobrze? Przecież to nic złego – przekonywałem.

– Potajemne śledzenie kobiety? – Marco skrzywił się z niesmakiem. – Jeśli ktoś nas przyłapie...

– Powiemy, że po prostu przechodziliśmy tą samą ulicą.

Pokręcił głową niezadowolony i chuchnął w dłonie, by je rozgrzać. Oczywiście nie chciał przykładać ręki do czegoś podobnie obrzydliwego, zwłaszcza że spodziewał się, iż Giovanna nie przyszła do La Fenice sama. Nie widział powodu, dla którego miałby pakować się w aferę towarzyską. Jego rodzina była biedniejsza od mojej i od rodziny de Simone, więc oczywiście, na kogo spadałaby cała wina i hańba.

Głupi byłem. Powinienem sam się jej przyjrzeć – przecież miałem lornetkę pod ręką. Strach mnie jednak sparaliżował i to oczywiście rozwiązanie przyszło mi do głowy, dopiero gdy stałem na schodach opery, w napięciu oczekując końca spektaklu. Owszem, miała na twarzy maskę, ale w jej postaci musiała tkwić jakaś wskazówka. Jakakolwiek.

– Co powiesz Cyntii i Umbertowi?

– Nic. – Wzruszyłem ramionami. – Zamierzam się z nimi minąć. Zresztą sądzę, że zostaną wewnątrz, na balu.

– A jeśli panna... – Zawiesił głos, jakby nie chciał, by ktokolwiek go z nią kojarzył. – Jeśli ona też zostanie na balu?

– Nie zostanie. Nie lubi bali, nie lubi tańczyć. Ma nieco krótszą prawą nogę, lekko utyka, jeśli się nie pilnuje, a po tańcach bołą ją biodra.

Marco spojrział na mnie z ukosa i zmarszczył brwi.

– Sporo o niej wiesz.

– Zdecydowanie więcej, niżbym chciał, uwierz mi. – Poczulem, jak znów robi mi się słabo na wspomnienie gnijącej twarzy.

Od Kulawego Franco słyszałem opowieści o trędowatych, których widywał, kiedy jeszcze wypływał do odległych krajów. Czy tak mogli

wyglądać? A jeśli, to czy naprawdę mogliśmy mieć w Wenecji nową zarazę...? Ja sam od tamtej nocy nie zaobserwowałem niczego niepokojącego, ale słyszałem plotki. Paru moich znajomych, w tym dorabiający na cmentarzu Kulawy Franco właśnie, wspomniało ostatnio o dziwnych, cichych pogrzebach, ktoś zasugerował chorobę...

Tłum na placu gęstniał z każdą chwilą i dyskretna rozmowa powoli przestawała być możliwa. Zwłaszcza wobec ludzi gromadzących się wokół schodów – tych, którzy darowali sobie przedstawienie, ale zamierzali wziąć udział w balu.

– Wycofajmy się. – Pociągnąłem Marka za ramię.

Czekanie dłużyło się w nieskończoność. Denerwowało mnie wszystko: muzyka, śmiechy, zimne ognie, ludzie przeciskający się obok nas lub po prostu podchodzący za blisko. Czuję się, jakby mogli mi zajrzeć do głowy.

Wreszcie jednak drzwi La Fenice otworzyły się i na schody wypłynęła fala światła, a wraz z nią ludzie opuszczający budynek. Wyteżyłem wzrok.

Poznałem ją, bo wiedziałem, jak wygląda jej karnawałowy strój – w końcu parokrotnie zdzierałem go z jej ciała. Przyodziewała się na wzór ubogich imigrantów, co było częste, ale materiały, z jakich uszyto jej ubiór, wybrano zbyt drogie, a kroje zbyt wykwintne, by ktokolwiek mógł się na to nabrać. Panna de Simone chciała wyglądać pięknie nawet w łachmanach.

Wskazałem na nią Marco. Obaj patrzyliśmy w milczeniu, jak Giovanna schodzi ze stopni, a potem, zupełnie nagle, odłącza się od tłumu zmierzającego na plac wypełniony rozrywkami.

– Zobacz, nie ma żadnego towarzystwa. Niewiasta jej statusu nie powinna spacerować sama po nocach. – Próbowałem z drugiej flanki.

– Jest karnawał.

– A ciemne zaułki nadal są ciemne.

Olbrzym pokręcił głową.

– Proszę cię. – Już nieomal skomlałem jak kundel o skrawek mięsa. – To ważne. Dla Umberta. Jeśli się nie mylę, może być w poważnym niebezpieczeństwie.

– Przestań już kłamać – syknął Marco z lekką odrazą.

Tak, przesadziłem, wiedziałem o tym. Dobro innej osoby zawsze leżało na samym dnie worka z rzeczami, które mogły mnie zmotywować do jakiegokolwiek wysiłku.

– Możesz mi po prostu zaufać?

– Tobie? Nigdy. Ale w porządku, pójdę z tobą. – Marco zmarszczył brwi. – Kawalek.

Odetchnąłem z ulgą, choć jednocześnie wciąż drżałem z napięcia. Nie chciałem być w tym sam. Cokolwiek nie miałyby się stać, po prostu nie chciałem być w tym sam.

Miałem więcej szczęścia niż rozumu, bo Giovanna – czy też osoba podszywająca się pod Giovannę – zachowywała się na tyle dziwnie, by zaniepokoiło to nawet idącego po mojej lewicy olbrzyma, wciąż obruszonego i okazującego jawnie niechęć wobec całego planu. Kiedy niespodziewanie zerwała się do biegu, ruszył za nią bez zastanowienia.

– Myślałem, że jednak pójdzie się bawić na placu! – sapnął, gdy pędziliśmy kolejnymi uliczkami, wśród których Giovanna, piekielnie szybka, przemykała niczym zając. – Do domu też nie zmierza!

Z całą pewnością znaleźliśmy się w rejonie miasta, po którym żadna kobieta, nieważne jakiego stanu, nie powinna chodzić bez męskiego towarzystwa. Rzadko bywałem w dzielnicy cudzoziemców, ale dało się ją rozpoznać natychmiast. Stroje były tu tańsze, budynki odrapane, zapachy obce, a muzyka dziksza. Usłyszałem jakieś nieludzkie wręcz wrzaski i głuchy łoskot.

– O co chodzi? Powiedz mi wreszcie! – syknął nalegająco Marco. Chwył mnie przy tym za ubranie i bezceremonialnie pociągnął za sobą, bo nie dotrzyzymałem mu kroku.

Mimo szaleńczego biegu zadrżałem pod peleryną.

– Sądzę, że... to nie jest... Giovanna – wysapałem. Płuca paliły mnie od wysiłku. – A jeśli jest... Jeśli jest... sam zobaczysz. Kiedy... zdejmiesz... jej... maskę...

Zaafierowany szaleńczą pogonią, nie zwróciłem uwagi na wznagające się wrzaski wokół nas i zaskakująco dużo – nawet jak na karnawał – ciekawskich głów w oknach i figur na balkonach. Nie zauważyłem też dziwnej pustki na samej ulicy.

– Jezus, Maria! Cesare! – Marco szarpnął mnie mocniej, omal nie przewracając.

Mgnienie oka później ktoś wybiegł zza moich pleców, potrącił w ramię. Był zdyszany, przerażony, podniecony i szybki jak sam diabeł. Tuż po nim dogoniło mnie jeszcze dwóch innych mężczyzn (z czego jeden rzucił się ku niższym balkonom i próbował się na nie wspiąć) oraz łomot kopyt.

Serce podeszło mi do gardła.

Bóg mnie nienawidził – to było pewne. Tuż za nami odbywała się gonitwa byków. Sądząc po ciężkim sapaniu, wrzaskach, piskach i potwornym, mokrym plaśnięciu – mocno już rozjuszonych. Raz jeden oglądałem taką gonitwę z balkonu. Od tego wspomnienia zakręciło mi się w głowie.

Olbrzymie wściekle bestie wypadły zza rogu. Miałem wrażenie, że ich gorące oddechy owiały mnie całego i staję w płomieniach.

– Nie zwalniam, na litość boską!

Nie, nie zwolniłem – to świat przyspieszył. W jednej chwili zmienił się w pędzącą smugę oszalałych światła, by potem wyhamować gwałtownie. Serce biło mi ciężko i głośno, ale porażająco wolno, jakby musiało walczyć o każde uderzenie. Ja sam musiałem walczyć o każdy krok. Wszystko we mnie krzyczało, bym stanął, skulił się i potulnie przyjął niechybny koniec. Noc gęstniała między moimi palcami, zaciskała kościiste dłonie na gardle.

Wściekle gwizdy wdzierały się pod moją skórę, ujadanie pobudzonych psów przewiercało głowę.

Ostatnie, co powinienem był wówczas zrobić, to się odwrócić.

Buhaj znalazł się tuż za mną – wielki i czarny jak piekielna bestia. Ogniska i fajerwerki odbiły się w jego ślepiach krwawą łuną, gdy kopyta uderzyły o ziemię. Zrozumiałem, że patrzę w oczy śmierci.

Ludzie na obu krańcach mostu, na który wbiegłem, wyli przeobraźliwie, wydłużeni, nierealni, jakbym już trafił między potępionych. Trudno było stwierdzić, czy bardziej skandują, żądni krwi i śmierci, czy krzyczą ze strachu.

Cios wypełnił mnie bólem. Krzyknąłem zaskoczony, choć przecież spodziewałem się rogów miażdżących moje ciało.

Ale to nie były rogi, co zrozumiałem nagle, gdy moje plecy nie uderzyły w bruk. Ułamek przed tym, jak wraz z Markiem wpadłem do ciemnego kanału, dotarło do mnie, że uratował nam obu życie.

* * *

Tonałem.

Nie, nie ja: mój dziadek. Ja – dziadek. Umierałem z wodą w płucach, a potem znów wpadałem do kanału i patrzyłem, jak zamyka się nade mną czarna otchłań. Wiedziałem, że zamarznię, że zaczepię się peleryną o pomost i że moje ciało będą skubać ryby. Wiedziałem też, że goniły mnie byki. Wiedziałem, że moja córka i zięć uronią nad

moim grobem jedynie wymuszone łzy i mimo że ich rozumiałem, byłem też na nich wściekły. Widziałem nad swoją trumną wnuka – siebie, jak stoję znudzony, niezadowolony z konieczności uczestnictwa w ceremonii. Wszystko to działo się równocześnie.

W efekcie we własnym łóżku obudziłem się nieomal zdziwiony.

Nigdy wcześniej nie znalazłem się tak blisko śmierci. Nigdy nie zamierzałem się tak blisko niej znaleźć. Prowokowanie z bezpiecznej odległości, trącanie kijem, jak ciekawskie dziecko trąca ptaka ze złamanym skrzydłem albo martwą rybę, oglądanie z dystansu, fascynowanie się nią – to było coś kompletnie innego. To była część wspólna nam wszystkim. W końcu żyliśmy tu od wieków, wystawieni na kaprysy żywiołów, dręczeni strasznymi zarazami przywożonymi z dalekich krain przez marynarzy. Rodziliśmy się z umieraniem, żyliśmy z umieraniem.

Ale nie przygotowało mnie to na przytłaczająco fizyczne doznanie, jakim spotkanie ze śmiercią okazało się w praktyce.

Nieco wstyd mi się do tego przyznawać, nawet po latach, ale sądzę, że przytomność straciłem nie dlatego, że w coś uderzyłem czy zachłysnąłem się wodą z kanału, lecz ze strachu. W każdym razie przebieg dalszych wydarzeń poznałem z relacji Marka, choć mówił o tym niechętnie. Właściwie powarkiwał wściekle, gdy spotkaliśmy się dwa dni później, kiedy opadła mi już gorączka.

– Twoja matka nie wpuściła mnie za próg – szczeknął. – Uratowałem cię przed bykiem, a potem wyłowilem z kanału jak kundla, byłem mokry i bliski zamarznięcia, ale ona nie zaferowała mi nawet kubka wrzątku. Pewnie bym ukradł. – Parsknął z pogardą, nie patrząc na mnie, a na niebo czerwieniejące nad niebotycznie wysokimi dachami Cannaregio.

Wybraliśmy się na spacer do getta, bo tam, wśród budynków wysokich nawet na osiem pięter i potwornego gwaru, jak na ironię mogliśmy swobodnie porozmawiać bez strachu o to, że ktoś usłyszy zbyt wiele. Sami ledwie się słyszeliśmy.

– Mam cię za nią przeprosić?

– Nie. Mógłbyś po prostu podziękować.

Słowa uwięzły mi w gardle. Tak, racja. Oczywiście.

To nie była zwyczajna rzecz. Marco był ode mnie większy, silniejszy i szybszy. Na pewno miał znacznie większe szanse, żeby wyjść z tej niefortunnej przygody cało, gdyby zostawił mnie na pastwę śmierci. Ale zrobił coś innego – wepchnął mnie do kanału i zaryzykował własnym życiem.

A potem nie dostał nawet kubka wrzątku, kiedy zaniósł mnie omdlałego do domu.

– Przepraszam. – Nie mam pojęcia, dlaczego przeprosiny wydały mi się łatwiejsze od podziękowań.

– Mówiłem, że nie musisz.

Stłumiłem kichnięcie, a potem jeszcze trzy.

– Umberto? – rzuciłem trochę w przestrzeń.

– Jest przekonany, że strułeś się nieświeżą rybą. Zresztą mówił, że wymknął się dość wcześnie, a dziś mamy po niego nie zachodzić, bo dostał nowe książki i zamierza z nimi spędzić wieczór, bo za dnia był na jakiejś wycieczce.

Skinąłem głową.

– Sam nie wiem, czy mam dziś na coś ochotę – odparłem.

– Brzmisz jak bardzo stare drzwi na wietrze, to prawda.

Przymknąłem oczy – były spuchnięte i swędzące. Miałem wrażenie, że gdybym nieco dłużej przytrzymał powieki spuszczone, po prostu bym zasnął.

Skupiłem się. Podjąłem jeszcze jedną próbę.

Jednak i tym razem nie udało mi się podziękować.

Pozwoliłem, by jazgot na Campo de Ghetto Nuovo zagłuszył niewygodne myśli i wspomnienie dziadka.

* * *

Matka nie sprawiała wrażenia szczególnie zaskoczonej, kiedy stanąłem w progu domu.

– Przynajmniej tym razem poszedłeś po rozum do głowy – skomentowała, gdy mijałem ją w zimnej sieni. – Masz pojęcie, ile kosztują usługi doktora Hirsha?! Puść nas z torbami przez te swoje błazeństwa.

Oczywiście wiedziałem, że przesadza. Wystarczyłaby połowa majątku, którym dysponowaliśmy, żeby żyć bardzo wygodnie. Cóż, mogłem ją zrozumieć. Nie wiedziała o bykach, Giovannie i wszystkim, co mnie spotykało w ostatnich dniach. Wyobrażała sobie zapewne, że wskoczyłem do kanału w wyniku jakiejś głupiej zabawy. Sądzę, że dlatego pogoniła Marka – wzięła go za towarzysza moich wybryków, co poniekąd było prawdą.

Zwykle było.

Nie miałem sił na kłótnie, a poza tym obawiałem się natknąć na ojca, więc czym prędzej poszedłem do swojego pokoju, gdzie natychmiast opadłem w pachnącą kurzem pościel i odpłynąłem

w chorobliwą drzemkę. Ta jednak nie przyniosła mi wytchnienia, a zamiast tego wepchnęła w kolejny koszmar o dziadku i podnoszącej się w całym mieście wodzie.

Obudziłem się nieco później, w okolicach wieczery. Na zagraconym kabinecie dostrzegłem dwie koperty. Jedna była duża, elegancka, ale praktyczna; druga – niewątpliwie wysłana przez damę i mocno skropiona perfumami.

Zacząłem od pierwszej.

Najdroższy mój Przyjacielu,

mam szczerą nadzieję, że wszelkie dolegliwości już przestały Cię dręczyć i niebawem będziesz mógł korzystać z karnawału w pełni. Ogromnie mi przykro, że nie było nam dane spędzić poprzedniego wieczora razem. Liczę jednak na szybkie spotkanie niebawem, jeśli pozwolisz się zaprosić na filiżankę kawy do Caffé Florian, ponieważ mam Ci, Przyjacielu, niebywałe rzeczy do opowiedzenia! Nie uwierzysz, co oglądałem podczas dzisiejszej wycieczki za miasto! Sądzę nawet, że mógłbyś być zainteresowany, żeby zobaczyć te cuda osobiście.

Twój oddany

Umberto

Musiałem przyznać, że odrobinę mnie zaintrygował, choć miałem świadomość, że mogę doznać srogiego rozczarowania. Umberto potrafił ekscytować się trylobitem albo krzakiem rzadkiego gatunku. Właściwie w odpowiednich okolicznościach cieszyło go wszystko.

Sięgnąłem po drugą kopertę.

Pomóż mi

Uniosłem brwi.

Tylko tyle, żadnego podpisu, żadnego zwrotu, nawet kropki na końcu zdania. Skupiłem się na moment, usiłując rozpoznać woń perfum, ale miałem zapchany nos, więc docierał do mnie głównie drażniący zapach spirytusu.

Wobec tej niemocy postanowiłem zignorować sprawę, zwłaszcza że rozległ się dzwonek wzywający na kolację.

* * *

– To n-nie m-mooożliwe! – Umberto załamał ręce. – Jeszcze wczoraj tu było! – Wskazał na połac zmalretowanej ziemi. Minę miał bezradną i zawiedzioną. Kiedy tak stał, smutny, w płaszczu targanym wiatrem, z szarym morzem w tle, wyglądał trochę jak namalowany.

Prawdę powiedziawszy, nie miałem ochoty podchodzić bliżej. Sam nie wiedziałem dlaczego. To było tylko przelotne uczucie niepokoju, jakiś instynkt. Tym to sobie wówczas tłumaczyłem – tym i napięciem poprzednich dni.

Stojąc tak z zawiedzionym Umbertem na wybrzeżu, powiedziałem w duchu, że koniec z tym. Nie pozwolę sobie dłużej zabierać radości życia i od dziś nie będę się już bał. W końcu nic wielkiego się nie stało. Ot, Giovanna nabawiła się jakiejś paskudnej egzemy, a ja myślałem, że umiera. Spanikowałem, uciekłem, a potem gorączka i zmęczenie sprawiły, że uroiłem sobie nie wiadomo co, podczas gdy dziewczyna spokojnie przysłała obejrzyć przedstawienie w operze.

Własna paranoja i głupota rozbawiły mnie i omal nie zacząłem się śmiać. Musiałem na moment podnieść kołnierz płaszcza, żeby zasłonić przed Umbertem nieposłuszne wargi.

– Zatem, druhu, będziesz mi musiał opowiedzieć, co widziałeś – podsunałem tonem nieco bardziej żartobliwym, niż zamierzałem.

Umberto skwitował to spojrzeniem i dość kwaśną miną. Potem jednak odwrócił głowę ku przeoranej ziemi i pogładził podbródek w zamyśleniu.

– Ch-chciaaałbym u-umieć ci t-to oopisać – odparł nieobecnym tonem. – Św-światło. T-to b-było świ-świ-światło, p-przyjacielu. Ale j-jakby... inne. N-nie t-takie, j-jak świaaaatło ognia a-albo sło-ńca. I ro-robiło c-coś z-z ziemią, z-zmieniaaalo ją.

Podszedł do jednego z kręgów i przykucnął, a po chwili, gdy dostrzegł, że nie kwapię się, żeby mu towarzyszyć, wezwał mnie gestem.

– S-spójrz. – Przesunął dłonią po resztkach zeszłorocznej trawy.

Gdyby ściał ją mróz, powinna się lekko kruszyć albo może ugiąć jak zgniłe siano, którym w gruncie rzeczy teraz była. Tymczasem wydawała się... Wyzuta z wilgoci, a w dodatku mieniła się rozmaitymi kolorami, w zależności od tego, jak ułożyły się źdźbła.

– Ta-aakich m-miejsc jest tu kilka. We-weedług mooooich o-obliczeń to tutaj spa-spadły te... hmm, „gw-gwiazdy”, które widyyywaliśmy os-tatnio.

Uniosłem brwi.

– Byłeś kiedyś wcześniej w miejscu, w którym spadła gwiazda? – spytałem.

– Nie. – Pokręcił głową.

– Może to normalne? Kiedy światło spada na ziemię?

Umberto wstał powoli, wyprostował się, poprawił płaszcz, po czym zmierzył mnie bardzo uważnym spojrzeniem. Był nad wyraz grzecznym i spokojnym człowiekiem, więc niemalże udało mu się ukryć, że patrzy na mnie z pobłażaniem należnym nieukowi. Wcześniej widziałem u niego taki wzrok bodajże raz, gdy pewna dama, chyba nawet nieco zaintrygowana jego łagodną naturą, zdiagnozowała u niego zbyt wysoki poziom flegmy w stosunku do czarnej żółci.

– Jestem n-nieemaal p-pewien – powiedział – że g-gdyby spaadła t-tutaj p-prawdziwa gw-gwiaazda, nie rozmaaawialibyśmy dzisiaj.

Na widok mojej nierozumiejącej miny westchnął bezgłośnie.

– Je-eśli z-zechcesz – powiedział – mo-mogę po-pożyczyć ci nieco t-tomów o astronoomii. Swoją d-drogą... Masz m-może m-moją „A-arytmetyyyykę po-powszechną”?

– Obawiam się, że nie – odarłem zgodnie z prawdą.

Zaiste nie miałem.

Już.

– Szko-szkoda. Mu-musiałem g-gdzieś zguuubić... A-albo po-pożyczyć ko-komuś inneemu. – Umberto roztarł dłonie i stłumił dreszcz. Zaiste, pogoda była paskudna, wiatr przynosił znad morza marznącą wilgoć. – Wracaaajmy, najwyraaaźniej n-nic tu p-po nas. P-pozwoolisz się za-aprooosić? – spytał jeszcze, wspinając się już po stopniach dorożki. – Chętnie wykorzystam two-oją uprzeeejność i po-opowiadam ci o s-swoich przemyśleeniach. T-to mi p-pomaga p-p-porządkować hipotezy.

– Z przyjemnością. – Uśmiechnąłem się.

Tak naprawdę niewiele rozumiałem z jego wywodów, ale zmarzłem potwornie i miałem nadzieję się ogrzać. Umberto mieszkał o wiele skromniej niż ja czy chociażby Marco, ale jego małe lokum miało tę zaletę, że szybko wypełniało się ciepłem. Najchętniej też ze wszystkich moich znajomych wpuszczał ludzi za swój próg. Widziałem błysk dumy w jego oczach za każdym razem, gdy podziwiali jego imponującą bibliotekę, globusy i przyrządy optyczne sprowadzane z Francji i Szwajcarii, a także projekt teleskopu rozwieszony na ścianie. Pracował nad szkicem od roku, choć ostatnio, kiedy z nim

rozmawiałem na ten temat, składał zamówienie u szklarzy z Murano. Sądzę, że właśnie z tego powodu nie było go stać na porządniejsze mieszkanie. I na lepszą gospodynię. Zaiste, kawa, jaką przyrządzała stara Matilde, stanowiła najskuteczniejsze, najdosadniejsze „Wynosicie się już”, jakie można sobie wyobrazić.

– A tamten wieczór w operze? – zagadnąłem, kiedy już obaj zajęliśmy miejsca w powozie. – Dobrze się bawiłeś?

Przez twarz Umberta przemknęło skrzywienie.

– P-prawdę m-mówiąc, nie zaaa b-bardzo – odparł. – N-nie b-byłem tam szczeeególnie dłu-ugo. T-trochę poookonwersowa-łem z Cy-cyntią. Wyobraaażasz s-sobie, że też interesuje si-się astronoomią? Wy-ymieniliśmy się p-paroma uwagami, o-opowiadałem j-jej o s-swoim z-znalezisku t-tu i wyyydawa-aała się sz-szczerze z-zainteresowana. R-rozmaaawialiśmy t-też o-o k-korpuskuuułach ś-światła i stawiała trafne pytania, muszę przyznać.

W przeciwieństwie do mnie, przemknęło mi przez myśl.

– A udało ci się porozmawiać z panną de Simone? – Te słowa ledwie przeszły mi przez gardło. Czuję jednak nieodpartą potrzebę zacierania śladów.

Mój towarzysz roześmiał się z jakąś taką niespodziewaną lekkością.

– Nie i n-nie s-sądzę, by kiedyyyk-kolwiek do tego d-do-szło. Wyobraaażasz s-sobie? Ktoś taki j-j-jak ja miałby z-z nią ro-rozmawiać?

– Przecież jesteś w niej zakochany, a trwa karnawał! Jest ci równa, przynajmniej na razie.

– B-być m-może, a n-nawet jeeeśli, tym b-bardziej n-nie po-powinieenem z-z nią ro-rozmawiać. N-na razie d-dla niej n-nie issstnieję, a m-mógłb-bym się s-stać p-przykrym wspomnieeniem.

– Masz zdecydowanie zbyt mało wiary w siebie.

Czy to, co robiłem, było okrutne? Możliwe. Nie powinienem wzbudzać w Umbercie nadziei ani na zwrócenie uwagi Giovanni, skoro najpewniej nie żyła albo przynajmniej poważnie chorowała, ani na uwagę jakiegokolwiek kobiety.

Przyjaciel nie odpowiedział mi na tę uwagę i przez resztę drogi nie odezwał się więcej. Wziąłem więc na siebie obowiązek prowadzenia konwersacji i opowiadałem niestworzone historie z zabaw, które go dotąd ominęły. I tak nie mogłem zweryfikować prawdziwości moich słów – nie sądzę, by kiedykolwiek próbował. Sprawiał

wręcz wrażenie, jakby się odprężył przy moich małych łgarstwach. Bawiły go, może tym bardziej że nie odczuwał potrzeby weryfikowania prawdziwości informacji, skoro z góry wiedział, że konfabuluje.

W swoim mieszkaniu pośród stosów książek znów nieco się ożywił. Wolumenów było tu mnóstwo i władały tym królestwem niepodzielnie – do tego stopnia, że kiedy gospodyni, równie obrażona na istnienie innych ludzi jak zawsze, przyniosła nam podwieczorek, musiałem ostrożnie je poodsuwać, żeby zrobić miejsce na talerzyk. Na pomoc kobiety nie miałem co liczyć.

– P-przyszły nn-iedawno. – Umberto uśmiechnął się z dumą, kiedy spojrział na książki, z którymi walczyłem o miejsce. – Euler i Cl-aaairaut.

Niczego mi te nazwiska nie mówiły, ale chyba były znaczące, więc kiwnąłem głową z powagą i upiłem łyk kawy, żeby zamaskować lekkie zmieszanie.

– S-sprowadziłem s-sobie też p-prace Williaaama i Caaaroline Herschelów. F-f-fascynujące rzeczy, tyle ciał niebieskich... A wciąż t-tak wiele p-p przed naaami do o-odkrycia!

Nawet w półmroku, rozświetlonym jedynie ogniem w kominku, widziałem, jak twarz Umberta oblewa rumieniec ekscytacji. Nie potrafiłem tego zrozumieć, doprawdy. Żadna rozrywka, żadne towarzystwo nie było w stanie wzbudzić w nim podobnego podniecenia jak sterty zakurzonych ksiąg i patrzenie w niebo – lub wręcz przeciwnie, pod nogi, gdzie, jak mawiał, toczyło się mikro-zycie wcale nie mniej fascynujące od naszego. W swoim mieszkaniu miał nawet doniczki, w których uprawiał różne rośliny, i twierdził, że dzięki ich badaniu jesteśmy w stanie zrozumieć, dlaczego jedni mają oczy ciemne, a inni niebieskie.

– Zresztą kto wie, k-kto wie! – Usiadł na fotelu jakoś tak tanecznie, jakby kończył piruet. Klamry u jego pantofli błysnęły w świetle płomieni. – M-może właśnie jesteeesmy na t-tropie p-p-przełomowego odkrycia! Cesare, p-przyjacielu, nie uwieeerzysz, kiedy ci t-to wszyyystko wyjaśnię.

– Hm?

– W-widzisz, s-sądzę, że taaam nie s-spadła gwiaaaazda, ale w p-pewnym sensie m-możesz m-mieć ra-rację. – Sięgnął po arkusz i rysik. Rozłożył je przede mną, odsunawszy inny stosik ksiąg, i zaczął coś rozrysowywać. Zajrzałem mu przez ramię i zmarszczyłem brwi. Kółka. To były kółka. Rozumiałem z tego coraz mniej.

– Zobacz. – Wskazał na jeden z okręgów. – To naaasze S-słońce, to M-mercury, We-wenus, Ziemia, M-mars, Jowisz i nasz nowy kolega U-uran. Tyle planet! Już d-dawno Giordano B-Bruno wysnuł hipoteezę, że taaakich s-słońc jak na-nasze jest w-wiele, a wokół nich krążą i-inne zieceemie. I te jego d-domysły zdają się pootwierdzać. Spalili go za t-to na s-stosie, uwieeerzysz?

Przełknąłem ślinę.

– I taka ziemia miałaby tu spaść? Nie byłaby za duża?

Umberto roześmiał się, szczerze rozbawiony.

– Oczywiście, że by b-była! Choć w su-umie, skąd m-możemy wieceedzieć? M-może są gdzieees tam – machnął ręką w stronę sufitu – taaakie ma-maleńkie ziemie? Tyle d-do odkrycia, tyle do odkrycia... W każdym raaazie B-bruno uważał też, że na t-tych zie-ziemiach moogą żyć inni, gwiazdni ludzie. I te-eraz p-po-oomyśl o czymś ta-takim. Po-oomyśl, że na innych zie-emiach nie ma na p-przykład p-p-przyciągania, bo-oo to jest możliwe, kto wie. I że można się unosić w pooowietrzu, wysoko, wysoko, aż do innych zie-ziem.

Absurdalne wnioski tego wywodu docierały do mnie powoli, falami.

– Umberto...

– Naaawet Cyntia uważa, że t-to intereesujące. A jeszcze teraz po-oomyśl o t-tych, że na nie-ebie widzieliśmy światła. Mo-ożna było po-pomyśleć, że to d-deszcz meteoryyytów, ale nie zgadza się a-ani po-ora ro-oku, a-ani ich po-położenie, aaani nic. Nawet jeśli to nie są przy-przybysze z innej zie-ziemii, to może jakaś nieznaną fooorma istnienia...?

– Wydaje mi się, że trochę ponosi cię fantazja, druhu.

Przyjął tę uwagę z zaskakującą lekkością.

– B-być moooże – stwierdził, wzruszając ramionami – ale pomyśl, jakie byyyłoby to fascyyynujące...!

* * *

– Sama z domu wyszła, samiuteńka! Na własne oczy widziałam! Upadek obyczajów!

Przełknąłem ślinę z ogromnym trudem, a potem, korzystając z faktu, że miałem na twarzy maskę, przysunąłem się nieco bliżej rozmawiających na moście kobiet. Udawałem, że podziwiam popisy polykacza ognia, odbywające się na brzegu kanału. Dziwnie współodczuwałem gorąc płomieni w gardle.

– Signior de Simone powinien z tym czym prędzej coś zrobić! Jeśli tak dalej pójdzie, dziewczyna straci reputację! I kto ją będzie chciał, taką łajzję?

To nie był pierwszy raz, kiedy słyszałem plotki na temat Giovanny. Wcześniej nie było ich zbyt wiele – och, panna de Simone miała swoje sposoby, żeby udawać cnotkę – ale od trzech dni, czyli od pamiętnego wieczoru w La Fenice, zauważyłem wzrost zainteresowania jej osobą.

To był zdecydowanie powtarzający się motyw – że chodzi sama, choć nie przystoi to niewieście z dobrego domu. Zawsze w moretacie. Niby nie było wolno zdradzać tożsamości zamaskowanych uczestników karnawału, ale przecież powtarzając plotki, nikt tak naprawdę tego nie robił.

Dokąd chodziła? Nie miałem pojęcia i nie byłem już pewien, czy chcę się przekonać.

Może powinienem zapomnieć o tej sprawie. Skoro nikt nie zatrzymał mnie przez tyle dni, to może nikt nie będzie mnie w związku z tą sprawą szukał. Może sama Giovanna – o ile to była Giovanna, a nie uzurpatorka – uznała, że daruje mi występki, jakim było porzucenie jej w potrzebie. Przecież mnie kochała.

Wtem jedna z kobiet, które jeszcze przed momentem rozmawiała o panie de Simone, zaczęła krzyczeć wniebogłose.

– Na Najświętszą Panię! – darła się. – Trup! Trup!!! – Wskażała ręką w dół.

Istotnie. Kanałem, odwrócone twarzą w stronę dna, płynęły powoli zwłoki. Widziałem męskie ubranie, ale więcej nie zdążyłem dostrzec, odepchnięty przez służby porządkowe, które zjawiły się na moście w mgnieniu oka. Kiedy odzyskałem równowagę, gapie wisieli już na murku zwartą grupą i musiałem powalczyć o lepsze miejsce łokciami. Gdy dopchałem się odpowiednio blisko, strażnicy przy wtórze okrzyków i pisków wyciągali ciało na brzeg.

Praktycznie nie miało twarzy: na wpół zgniła, na wpół zdeformowały ją paskudne narośla.

Znałem ten widok.

Na Boga, znałem ten widok.

Wszystkie moje wnętrzości skręciły się z obrzydzenia i trwogi. Zrobiło mi się słabo i przed oczy wystąpiły mroczki.

– Co robicie, panie?! – Poczulem mocny chwyt na kołnierzu. – Panie, chcecie do wody wylecieć, *oder*?!

Bez słowa w amoku pokręciłem tylko głową, odepchnąłem dłonią jakąś niewidzialną przeszkodę i zatoczyłem się na drugą – pustą niemal – stronę mostu. Ktoś mnie popchnął i najpewniej okradł, ale nie miałem sił zareagować.

– *Mein Gott!* Ja go znam!!! – zabrzmiał męski głos z cudzoziemskim akcentem. – Przecież to Kulawy Franco!

Kolana się pode mną ugięły, uszy wypełnił szum.

Zmusiłem się, żeby raz jeszcze spojrzeć na trupa. Tak, to był Franco. Jego rysy stały się nieomal nierozpoznawalne, ale gdy dostałem wskazówkę i wiedziałem już, czego szukać, znalazłem potwierdzenie.

Nie chciałem dłużej tam być. Nogi same sprowadziły mnie z mostu, same wybrały kierunek. Dłuższą chwilę zajęło mi zrozumienie, że zmierzam w stronę domu.

A kolejną – dlaczego stoję przed własnymi drzwiami z ręką uniesioną i zamarłą w połowie drogi ku kłamce.

POMÓŻ MI – głosił wydrapany na deskach napis.

* * *

– Mam dość... – Chyba nie powinienem być tyle pić, ale myśl ta przyszła do mnie, dopiero kiedy broda zaczęła samoistnie opadać na mostek, a głowa kolebać się na boki. – Marco, druhu, mam tak bardzo dość...

Też nie był trzeźwy – nos i policzki miał czerwone nie tylko od mrozu, a zanim mi odpowiedział, stłumił czknięcie.

– Nie wiem, Cesare. – Spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi. – Może ktoś sobie po prostu stroi z ciebie żarty? Jakiś rywal? Zazdrosna kochanka? Miałeś się komu narazić.

Owszem, miałem, ale czy którykolwiek z moich obecnych lub potencjalnych wrogów chciałby poświęcać tyle energii, żeby konstruować i realizować równie skomplikowaną i okrutną zemstę?

Po uspokajających myślach, jakie zdołałem wykrzesać z siebie podczas wyprawy za miasto z Umbertem, nie został już nawet nędzny ślad. Bałem się. Bałem się tak bardzo, że zanim poszedłem pić z Marco, odwiedziłem też kościół, w którym wzywałem opieki Najświętszej Paniienki i świętego Zachariasza najżarliwiej w życiu, a potem zaszedłem na plebanię, by porozmawiać z naszym proboszczem, ojcem Palumbo. Wypytywałem go o to, czy mogę być opętany, czy to możliwe, by piekło wyciągało po mnie swoje szpony już za życia.

Był zobowiązany ze mną rozmawiać, bo regularnie co niedzielę moja rodzina w komplecie zajmowała swoją łóżę, a poza tym przeznaczaliśmy też pewne sumy na chwałę Bożą. Ojciec Palumbo nie odpowiedział mi jednak wprost, za to przez cały czas przyglądał mi się bardzo, bardzo uważnie. Ostatecznie zaproponował spotkanie w późniejszym terminie – miałem czekać na zaproszenie.

Marco westchnął ciężko i to dopiero uświadomiło mi, że tak pograżyłem się w myślach, aż na chwilę straciłem poczucie rzeczywistości. Zdarzało mi się to coraz częściej, choć dawniej zdecydowanie nie było zgodne z moją naturą.

– Zaczynam się o ciebie naprawdę martwić – powiedział. – Bredzisz, dziwnie się zachowujesz, wyglądasz na chorego. Ostatnio omal nie przyplącaliśmy tego szaleństwa życiem. Zastanawiam się, czy rozwiązanie tej sytuacji nadal należy do ciebie, czy może... Może powinieneś zgłosić to strażom?

– I co powiem? – prychnąłem. – Że prześladowuje mnie duch dziewczyny, którą zostawiłem umierającą? W najlepszym razie wezmą mnie za niegroźnego pomyłeńca i odeślą, w gorszym aresztują, a w najgorszym wyślą do azylu. Nie chcę skończyć w azylu, Marco... – Spojrzałem na niego błagalnie, jakby sam planował mnie tam umieścić.

Położył dłonie na moich barkach i zacisnął grube palce, zdolne łamać kości. Przez chwilę po prostu patrzył na mnie w milczeniu. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale alkohol nagle odebrał mu zdolność formułowania zdań. Ostatecznie tylko pokręcił głową i wskazał dłonią drzwi na ulicę.

– Ty. W azylu. Chyba wypileś za dużo – mruknął, wstając od stołu z pewnym trudem.

Nie klóciłem się z nim. Nawet przez moment nie zastanawiałem się, czy ma rację – prawdopodobnie zresztą miał. Po prostu nie starczało mi już sił na nic więcej ponad istnienie.

– Wyprowadzę cię tyłem. Nikt niepożądany nie powinien... nas... oglądać.

Wyszliśmy na ulicę jako jedno niezdarne czworonożne stworzenie o ciele splecionym w spocony mięsny węzeł, szereg rozpaczliwych prób utrzymania się w pionie. Słońce jeszcze nie wstało, ale niebo nad nami zaczynało się już rozjaśniać. Mgła pięła się wysoko ku dachom kamienic, a na wysokości naszych kolan była tak gęsta, że z trudem dostrzegałem wzór bruku pod stopami.

Cisza dzwoniła w uszach, nagle tak obca. Pustka wydawała się nienaturalna, a ciemne kształty dekoracji i zdeptane śmieci

zdawały się powidokiem innego, złego i przerażającego świata. Miasto wokół nas nie spało, a tylko czuwało wygłodniałe, niespokojne, czekające na pierwszą nutę wygraną na wiolonczeli i pierwszy rozbłysk sztucznych ogni, by obudzić całą swoją drapieżność.

Zachwiałem się, gdy Marco wyciągnął rękę, by coś mi pokazać.

Wyłoniła się z mgły jak upiór. I wyglądała jak upiór. Suknia na niej była brudna i podarta, włosy potargane – rozwiązane wstążki zwisały między ciężkimi od wilgoci lokami i połamanymi piórami jak żalodne wspomnienie wymyślnej fryzury. Maską była porysowana, aksamit poszarpany, zasłona zerwana. Jedną skaza biegła przez sercowate usta powleczone czarnym materiałem, drugą przez policzek. Zjawa nie miała na sobie płaszcza ani innej ciepłej garderoby. Skóra opuszczonych swobodnie dłoni zdawała się sina od mrozu, martwa, choć to ostatnie mogło być już wytworem mojej wyobraźni, wszak znad morza wspinał się dopiero przedświt ze swoją szarą, kłamliwą imitacją światła.

– Giovanna... – Moje usta złożyły się do jej imienia, zanim intelekt zdołał zrozumieć, na co patrzę.

Nie odpowiedziała oczywiście. Jak wiele dam nosiła morettę wymagającą przytrzymywania zębami.

Postąpiła krok w naszą stronę. My, wciąż spleceni, cofnęliśmy się odruchowo o tyle samo.

Ja mogłem się bać, tak, moje życie w ostatnich dniach stanowiło nieustający ciąg przerażających wypadków, ale Marco? Przecież wiedział tak niewiele, nie zobaczył twarzy Giovanny, nie znał wszystkich szczegółów zajścia. Zatem dlaczego w tamtym momencie zaczął przeklinać pod nosem i drzeć?

Poczułem, że nerwowo szuka czegoś w kieszeni.

– Odejdź! – rozkazał niskim głosem i wyciągnął przed siebie różaniec. – Na Pannę Przenajświętszą! Zaklinam cię!

Giovanna zbliżyła się kolejny krok. Przekrzywiła głowę.

A potem skoczyła ku nam z wyciągniętymi rękoma, wyjąc jak ranne zwierzę.

Upadłem, kiedy Marco mnie puścił. Zakręciło mi się w głowie, żółć podeszła do gardła i na moment przed oczyma stanęła ciemność. Kiedy z wysiłkiem zdołałem dźwignąć się na rękach i podnieść głowę, mój przyjaciel przytrzymywał już Giovannę, przyciskał jej plecy do ściany budynku, z którego przed chwilą wyszliśmy. Jej jęki stały się głośniejsze, a głowa zaczęła rytmicznie uderzać o mur.

Marco zdecydowanym ruchem zdjął dziewczynie maskę. Wraz z nią z ust wypadły dwa luźne zęby.

Twarz Giovanni, niegdyś tak powabna, wydała mi się jeszcze obrzydliwsza niż tamtej pamiętnej nocy. Na ile potrafiłem ocenić, zmiany postępowały, teraz przypominały jątrzące się oparzenia. Czoło groteskowo błyskało kością, oko wywróciło się na drugą stronę. Tkanki wylewały się przez oczodół na zdeformowany policzek.

Marco wzdrygnął się z odrazą.

– C-co...

Oblicze kobiety wykrzywiło się upiornie. Patrzyła na olbrzyma, jęcząc i bezradnie poruszając ustami.

Nie mogłem tego znieść.

– Zrób coś! – zawyłem z klęczek.

– Co, na Boga?!

– Nie wiem! Zabij ją!

Nie mam pojęcia, dlaczego mnie posłuchał. Może zadziałało obrzydzenie, niezrozumienie sytuacji, może jego własny strach. Pchnął ją, chwycił za szyję. Próbowwała się bronić, ale rozkładające się mięśnie nie były w stanie walczyć z wielkim mężczyzną, nawet jeśli pijanym i przerażonym.

A może zwłaszcza pijanym i przerażonym.

Marco oplótł jej szyję różańcem. Docisnął.

Docisnął mocniej.

Różaniec pękł i paciorki okręciły się wokół palców olbrzyma, a te – wokół szyi ofiary.

Wszystko trwało wieki. Widziałem jej dłonie bezradnie szarpiące mgłę, wybałuszone oko, częściowo bezzębne, rozchylone usta. Sam dławilem się szlochem i żółcią.

Wreszcie ciało bezwładnie opadło na bruk.

Marco odstąpił od trupa gwałtownie. Knykcie dłoni, w której ścisnął różaniec, zupełnie mu zsiniały. Oddychał ciężko, powoli. Pochylony, oszołomiony, nierozumiejący, co właśnie zrobił.

Kiedy wreszcie odwrócił ku mnie twarz, zobaczyłem nie olbrzyma, którego znałem, a zrozpaczona dziecko.

Zerwałem się na nogi i uciekłem.

* * *

Ciało znów zadecydowało za mnie i nogi poprowadziły mnie nie do domu, nie gdzieś, gdzie mógłbym się schronić i załamać, a na posterunek straży.

Myślałem, że mi nie uwierzą. Zadawali tak wiele pytań.

Tak wiele... niepotrzebnych... pytań...

Szary poranek wdzierał się przez okna, chłód mroził do kości, a ja siedziałem tam, trzeźwiejący, roztrzęsiony i zupełnie bezbronny, podczas gdy strażnik spisywał moje zeznania.

Nawet gdybym kłamał, nie miałyby to znaczenia – obaj o tym wiedzieliśmy. Zeznawałem przeciw komuś gorzej ode mnie urodzonemu w najpoważniejszej sprawie, jaką można było sobie wyobrazić. Ale nie kłamałem i nie wiem, czy przez to cała sytuacja nie wydawała się jeszcze gorsza. Gdyby przyłapano mnie na kłamstwie, Marco wciąż miałby szanse. Przy odpowiednim wsparciu i w sprzyjających okolicznościach biedniejsi od niego wychodzili cało z niesłusznych procesów.

Zadbałem, żeby tak się nie stało.

Opisałem zajście ze szczegółami. Wspomniałem o miejscu, czasie, narzędziu zbrodni. Wyjaśniłem, że z powodu stanu upojenia nie zdołałem zapobiec tragedii.

Szybko odnaleziono ciało, które Marco najwyraźniej zostawił w szoku tam, gdzie upadło. Ślady na szyi potwierdzały moją wersję – odciski koralików różańca i dłoni znacznie większych niż moje, rozbity tył głowy. Podobno kiedy straż dotarła na miejsce, zdołał się już zebrać tłumek gapiów i organizowano jakieś zakłady.

Mogłem odejść. Spełniłem obywatelski obowiązek. A jednocześnie zrobiłem najpodlejszą rzecz w całym moim żalonym życiu.

– Nie miałeś wyjścia – przekonywałem potem samego siebie, siedząc przed zwierciadłem, gdy nieistniejąca woda kanału znów wlewała mi się do płuc, a kopyta byków dudniły na moście nad moją głową. – Skazaliby was obu. Nie uratowałbyś go. Mogłeś uratować tylko siebie.

Moje odbicie nie sprawiało wrażenia przekonanego. Patrzyło na mnie zmęczone i wyzute z wszelkiej woli walki.

Było stare.

* * *

– Oho, chyba wpadł pan komuś w oko! – zachichotała lekko zaprawiona winem zamaskowana dama, przechodząca obok mnie niby przypadkiem.

– Słucham? – spytałem zdziwiony.

– Tamta kobieta – nieznajoma wskazała ręką jedną z postaci – ciągle mówi o tym, jakby to chciała z panem zatańczyć! Koniecznie powinien ją pan poprosić, bo biedna jeszcze zemdleje!

Uśmiechnąłem się szeroko pod białą, po czym niedyskretnie odwróciłem głowę w stronę swojej tajemniczej wielbicielki. Byłem nieco pijany – od paru dni byłem nieco pijany, jeśli mam być szczery – i cała sytuacja podnieciła mnie, jak już dawno nic nie zdołało.

Bardzo uważnie pilnowałem, żeby nie wyjść ze stanu upojenia, odkąd Marco trafił do aresztu. Nie chciałem o tym myśleć. O niczym nie chciałem myśleć. Dlatego wino i bale stały się moimi najlepszymi przyjaciółmi – zwłaszcza że unikałem innych.

Tańczyło mi się lekko, śmiałem się głośno, a nad ranem leżałem w łóżku, wstrząsany dreszczami i zbyt zmęczony, żeby się nad czymkolwiek zastanawiać. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem nawet, ile dni i nocy tak spędziłem. Póki trwał karnawał – a tego zostało jeszcze odrobinę – nie zamierzałem się zatrzymywać.

Tanecznym krokiem podszedłem do swojej wielbicielki i ukłoniłem się z gracją. A przynajmniej miałem taką nadzieję.

– Czy szanowna dama pozwoli się porwać? – zapytałem zalotnym tonem.

Dłonią w rękawicze zakryła na moment usta schowane pod białą i stłumiła chichot. Chyba także była nie do końca trzeźwa. Wysokiej postury, raczej niezbyt krągła... Ale nie przeszkadzało mi to w tamtym momencie. Poza tym niewiele mogłem powiedzieć, bo całe ciało i włosy ukryła pod kostiumem.

Pociągnąłem ją na parkiet, gdy zabrzmiały pierwsze takty menueta, wygrywane przez orkiestrę. Tańczyła bardzo dobrze, z pewnością lepiej ode mnie, ale miała dość gracji, by nie okazywać tego z nadmiarem.

Wirowaliśmy wśród złota i roziskrzonych w blasku świec brokatów, w tłumie białych i czarnych masek. Moja partnerka kibić miała zbyt wąską i ręce za długie, ale mimo to czułem się w jej towarzystwie tak, jak już dawno nie czułem się w pobliżu żadnej kobiety. To było niczym powrót do domu po długiej podróży. Może

jednak śmierć Giovanni – druga, ostateczna śmierć – w jakiś sposób mnie wyzwoliła? Może ten wrzód należało przeciąć i zbyt długo broniłem się przed zabiegiem? Może przeżycie tamtej okropnej nocy stanowiło cenę, za którą kupiłem zbawienie dla swojej duszy – lub przynajmniej doczesnego ciała?

Kiedy podczas jednego z piruetów kobieta nachyliła się ku mnie, moje ciało przeszedł przyjemny dreszcz.

– Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolony – usłyszałem szept tuż przy uchu.

Dreszcz momentalnie zmienił swoją naturę, gdy poznałem głos Cyntii.

– O czym szanowna pani raczy mówić? – zaśmiałem się nerwowo, strzelając oczami na boki. Miałem nadzieję, że nie przysłuchuje nam się zbyt wiele par uszu, choć rozum podpowiadał, że w miejscu takim jak to trudno liczyć na takie szczęście.

– Och! – Kiedy odsunęła się od mojej szyi, jej głos też przeszedł w chichot, ale znacznie lepiej kontrolowany niż mój. Brzmiała jak podchmielona trzpiotka, podniecona plotką. – Ludzie opowiadają ostatnio takie straszne rzeczy! Najpierw ta nowa zaraza, teraz te wszystkie morderstwa! Zbrodnie! Już druga nieboszczka po tamtym biedaku wyłowionym z kanału! W jednym tygodniu!

– Takiej ślicznej głowy nie powinno się zaprzętać takimi brzydkimi sprawami – odparłem, usiłując dorównać jej lekkiemu tonowi.

– Podobno uduszono ją różańcem! Różańcem! – powtórzyła Cyntia, jakby było to wyjątkowo zabawne. Taneczna figura pozwoliła mi złowić jej uśmiech jedynie kątem oka, ale i tak wydał mi się upiornie drapieżny. – I to jeszcze porządny obywatel! Kto by się spodziewał!

– Czego chcesz, żmijo? – syknąłem, gdy nasze twarze znów na mgnienie oka znalazły się blisko.

Jak mogła? Ona, którą mimo płci i pochodzenia przygarnęliśmy do naszego grona, której karierę wspieraliśmy. Jak śmiała?

I, co ważniejsze, skąd i ile tak naprawdę wiedziała?

Szarpnąłem ją nieco mocniej, niż wymagały tego taneczne kroki. Skrzywiła się, bardziej z odrazą niż z bólu. Cmoknęła.

– Czego chcesz? Niewiele. Żebyś przez chwilę przestał myśleć tylko o sobie – odparła przy następnej okazji. – I może wreszcie do myślenia użył głowy.

Jej plecy drżały pod moją dłonią i dotarło do mnie, że drżą z tłumionej wściekłości.

– Tu jest tak duszno! – Teatralnie powachlowała się dłonią.

Zrozumiałem sugestię, oczywiście. Wszystko we mnie trzęsło się z odrazy, ale Cyntia dała do zrozumienia, że wie więcej, niż powinna, i że jest gotowa wykorzystać to przeciwko mnie.

Gdy wyprowadzałem ją na balkon i przeciskaliśmy się pomiędzy tańczącymi parami, cały czas walczyłem z chęcią uderzenia jej w twarz. Choćby tu i teraz, w świetle, na oczach wszystkich. Zaciskałem i prostowałem palce w prawdziwej bitwie z samym sobą. Jak śmiała?! Nie potrafiłem zrozumieć. Nie przychodziło mi do głowy żadne inne wyjaśnienie poza tym, że jest Francuzką i jej cudzoziemska natura wreszcie dała o sobie znać. Ha, czuła się lepsza od nas. Uznała, że może mnie oceniać. Oczywiście. Jak wszyscy obcy. Tak nam się odplacali za opiekę i gościnę.

– Nic nie wiesz! – wybuchnąłem, gdy tylko znaleźliśmy się sami. Nie zamierzałem zdejmować maski, na wypadek gdyby ktoś obserwował nas z oddali.

Splotła dłonie i opuściła ramiona, zalotnie odchylając biodro w bok. Uśmiechała się słodko, ale w jej oczach, widocznych w szparach maski, nie było ani szczypty rozbawienia.

– Tak się składa, mój drogi – odparła – że w przeciwieństwie do ciebie mam przyjaciół. A moi przyjaciele mają swoich przyjaciół. Oboje wiemy, że oskarżenia, które ciążyą na naszym wspólnym znajomym, nie są do końca... adekwatne.

– Są dowody. – Wzruszyłem ramionami.

Uśmiech zniknął z twarzy Cyntii.

– Jest też jeden załamany człowiek w celi, który wie, że pójdzie wisieć za to, że ratował parszywego szczura. Nie pierwszy raz zresztą, o ile pamiętam – warknęła kobieta. – Jest też drugi, najpewniej załamany człowiek, którego nie widziałam od kilku dni. Wiesz może, mój drogi, co ich łączy?

– Co?

– Uważali cię za swojego druha.

Zacisnąłem dłonie na kamiennej balustradzie. Patrzyłem w dół, na kwiecisty pochód, i nie mrugałem. Próbowiałem skupić się na oddychaniu i tylko na tym. Znów tonąłem.

– Usiłujesz wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia? – spytałem, nie odwracając się ku Cyntii.

– Nie sądzę, żebyś był do nich zdolny – prychnęła z pogardą.

– Ale owszem, życzyłabym sobie, żebyś przynajmniej jeden raz zachował się godnie i odwiedził Umberta.

– Dlaczego?

– Bo się o niego martwię.

– W takim razie sama do niego pójdz.

Francuzka westchnęła ciężko.

– Spodziewałam się, że będziesz się bał spojrzeć mu w oczy – powiedziała – po tym, jak przez ciebie utracił dwie ważne osoby. Chętnie poszłabym za twoją radą, ale widzisz, mój drogi, nigdy u niego nie byłam.

– To popytaj o adres.

– Kobiecie nie wypada. Nawet cudzoziemce. – Ostatnie słowo wypowiedziała kwaśnym, niskim głosem, jakby kogoś przedrzeźniała. – Aż tak bardzo się boisz wybrać ze mną na jeden nocny spacer?

Zakląłem pod nosem wściekły, ale też – owszem – przerażony.

* * *

Umberto oczywiście nie chciał nikogo widzieć i jego gospodyni dała mi to wyraźnie do zrozumienia, tym razem znacznie mniej subtelnie niż paskudną kawą. Ja sam z chęcią uległbym presji i potulnie się wycofał, ale Cyntia oponowała.

– Nie możesz go tak zostawić – oznajmiła kategorycznie, biorąc się pod boki, kiedy zniknęliśmy z oczu wojowniczej gospodyni. – Wiesz, że to samotnik. Nie ma wielu przyjaciół, nikt inny tu nie przyjdzie.

To, że oblizuję wargi, zauważyłem dosłownie o mgnienie oka za późno, by to powstrzymać.

– Posłuchaj mnie – wycodziłem przez zęby nieco bardziej ostro, niż zamierzałem. – Panna de Simone to nawet nie była dla niego bliska osoba, rozumiesz? Tylko miłostka. Kobieta, którą podziwiał z daleka. Sam się otrząśnie i nie ma powodu, żeby mu przeszkadzać. Tym bardziej że mężczyźnie to nie przystoi.

Cyntia zmierzyła mnie wzrokiem zimniejszym niż śnieg z deszczem, osiadający na naszych ubraniach.

– Miałem cię tu przyprowadzić, to wszystko – przypomniałem. – Chciałaś znać adres.

– Chciałam też wiedzieć, jak czuje się Umberto.

– Ta potworzyca Matilde i tak mnie nie wpuści.

– Do tego potrzebujesz mnie. – Kobieta odgarnęła złoty lok z ramienia. – Odwróć jej uwagę. Ukryj się za drzwiami, a kiedy wyjdzie, szybko wskoczysz do środka.

– Cyntia...

– Lepiej ze mną nie dyskutuj.

– Jesteś diabolicą, samo piekło cię przysłało, przysięgam.

Wobec wszystkich ponurych wydarzeń absurdalność planu Francuzki dziwnie mnie poraziła. Przywarłem plecami do mokrego muru i obserwowałem – czy raczej słuchałem – w oszołomieniu. Jak wspomniałem wcześniej, nie potrafiłem ocenić talentu Cynthii, ale to, co mogłem powiedzieć z całą pewnością, to tyle, że potrafiła śpiewać bardzo głośno oraz bardzo wysoko. Nie minęło wiele czasu, od kiedy rozpoczęła swój występ pod oknem, a drzwi do kamienicy otwały się gwałtownie i omal nie uderzyły mnie w ramię. Na schodach pojawiła się uzbrojona w miotłę i wściekła stara Mathilde.

Nie czekałem już na rozwój wydarzeń i przemknąłem za jej plecami do wilgotnego wnętrza budynku, cuchnącego gotowanymi warzywami i rybą.

Do gabinetu mojego przyjaciela mógłbym trafić i po omacku. Pchnąłem drzwi bez zastanowienia, a potem zamknąłem je za sobą szybko, by odgrodzić się od zapachu z sieni i wrzasków dwóch kobiet kłócących się na progu.

Umberto wyglądał jak swój własny cień na ścianie – szary i jeszcze łatwiejszy do przeoczenia niż zwykle. Siedział na podłodze, z rozchełstaną koszulą i oczami opuchniętymi od łez. Nie potrzebowałem nawet szybkiego spojrzenia na butelkę w jego dłoni, by zgadnąć, że pił, i to ostro – zwłaszcza jak na niego – bo w całym pokoju unosiła się przykra woń trawionego wina. Miał na sobie tylko culotte i koszulę, peruka leżała ciśnięta w kącie, nieopodal domowej szaty. Palce bosych stóp trzymał podkurczone, jakby podłoga go parzyła lub nadto ziębiła.

– Czego chcesz?

Nawet na mnie nie spojrzał. Nie zająknął się też, ale postanowiłem to zignorować. Sytuacja i bez tego była wyjątkowo niewygodna.

– Nie jestem pewien – odparłem zgodnie z prawdą.

– To się wynoś.

Bardzo chętnie bym to zrobił, ale wiedziałem, że pod parapetem czeka Cynthia, gotowa mnie rozszarpać, jeśli spróbuję uciec.

– Nie możesz tak... – Uciałem pod jego spojrzeniem nie mniej gwałtownie, niż gdyby mnie spoliczkował.

– Nic nie rozumiesz – zachrypiał i roześmiał się upiornie, a jego oczy znów zaszczyły łzami. – Nie możesz zrozumieć. Jak? Jak miałbyś zrozumieć? Ty! Ty nie wiesz nawet, czym jest miłość. Nie masz też pojęcia... czym... jest... prawdziwa śmierć, bo nigdy nie kochałeś.

– Przestań – obruszyłem się odruchowo. – Giovanna była... – Co chciałem powiedzieć? „Była mi bliska”?

Skłamałbym, oczywiście. Znałem każdy zakamarek jej ciała, owszem, ale skłamałbym.

Umberto prychnął i zapadł się w sobie.

– Była... – powtórzył głucho, jak echo stłumione przez mgłę.

Oblizalem usta, przełknąłem ślinę i rozejrzałem się po zagrancyjnym pokoju. Nagle do reszty przestałem rozumieć, co ja tu właściwie robię. Cyntia miała rację – nie byłem dobrym przyjacielem. I przywleczenie mnie tu na siłę nie mogło tego stanu rzeczy zmienić.

– Jesteś mężczyzną – powiedziałem więc najgorsze, co mogłem. – Powinieneś się otrząsnąć.

Tym razem nie obdarzył mnie nawet spojrzeniem. Kielich z zielonego szkła zakolysał się między jego palcami.

– Nie mówi mi takich rzeczy. Nie mów mi takich rzeczy po tym, jak... – Westchnął, przetarł dłonią opuchniętą twarz. – Czy powinienem był się domyślić? – Niespodziewanie podniósł ku mnie oczy. – Marco tak o nią wypytywał. Ale jak mógłbym go podejrzewać o złe zamiary...?

Najprawdziwszy mróz ściał mi żołądek.

– Nie wiem – wyszeptalem nagle nieposłusznym, ochryplym głosem. – Nikt z nas by go nie podejrzewał.

* * *

Marka powieszono po południu kolejnego dnia – przy akompaniamencie wrzasków i wiewatów, w samym środku karnawałowej zabawy. Nie poszedłem na egzekucję, ale następnego ranka jakoś samoistnie znalazłem się w okolicy. Nie planowałem tego. Zwyczajnie zamyśliłem się nad czymś i nagle byłem już na placu.

Padał drobny śnieg.

Bardzo starałem się nie patrzeć w tamtą stronę, ale coś, jakaś piekielna wola, zdecydowało za mnie. Jakbym nagle stał się tylko postacią w sztuce, bohaterem skazanym przez fatum na tragiczne zakończenie. Czuję się... zredukowany. Zużyty. Znoszony.

Zwyczajnie pusty.

Utkwiłem wbrew sobie wzrok w kołyszącym się powoli na szubienicy trupie. Oczy wysychały mi powoli, aż do granicy bólu.

Ruchy Umberta nigdy nie wydawały mi się bardziej zdecydowane, a postawa pełna zimnego wyrachowania. Kiedy zbliżał

się pewnym krokiem do wisielca, mógłbym przysiąc, że to jego wola osadziła mnie w miejscu, choć zapewne nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności w pobliżu – tłum, gotów na kolejną noc zabaw, zaczynał już gęstnieć, a Umberto nie rozglądał się na boki. A przynajmniej tak mi się wydawało, bo zakrył twarz maską. Miał przy sobie zupełnie niepasującą do stroju sporą torbę z narzędziami. Wdrapawszy się na podest, stanął plecami do mnie. Cokolwiek właściwie robił, robił to powoli, dokładnie, ale z determinacją – jak gdyby nic innego nie miało już znaczenia. Kiedy podeszła do niego straż, nie stawiał oporu. Schował swoje rzeczy do torby, uklonił się, życzył funkcjonariuszowi miłego dnia i odszedł. Zrobił to tak zwyczajnie i naturalnie, że minęła długa chwila, nim czar przysł i ktoś zorientował się, że należy złapać przestępcę, który właśnie zbezcześcił zwłoki, odcinając im palec.

Oszołomiony, ledwie poczułem, jak ktoś na mnie wpada.

– Och, najmocniej przepraszam! – Chudy dzieciak, który ledwo co zderzył się ze mną w pełnym pędzie, odsunął się i nerwowym gestem poklepał mnie po piersi, jakby chciał otrzepać nieistniejący pył.

Ze podczas tego dziwnego wypadku wsunięto mi do kieszeni wiadomość, zorientowałem się dopiero wieczorem, gdy miałem zamiar wymienić płaszcz na strój odpowiedniejszy na nocne szaleństwo.

Jeśli chcesz wyjść z tego cało, zwróć się do świętego Zachariasza. Gołąb wyprowadzi Cię z piekła.

Diablica

Gołąb. Ojciec Palumbo. Czy to możliwe, że on wydał moją tajemnicę...?

* * *

Ojciec Palumbo miał na twarzy maskę, owszem – parafianie nie wybaczyliby mu, gdyby zlekceważył karnawał – ale resztą stroju się już nie kłopotał, więc przyodziany był tamtego wieczora w swoją zwyczajną sutannę, wystającą spod zimowego płaszcza.

– Bóg was opuścił... – westchnął, komentując cenę, jaką podała uliczna sprzedawczyni za porcję wafli.

– Może i opuścił – kobieta wzruszyła ramionami – ale nie na długo! Lepszych słodczy to On nigdzie nie znajdzie!

Proboszcz roześmiał się, ale jednocześnie pogroził niewieście palcem, po czym włożył jej do pomarszczonej dłoni odpowiednią sumę. Poczekalem, aż oddali się od stoiska i zacznie przeciskać przez tłum.

Dlaczego to wszystko musiało tyle trwać? Dlaczego musiało kosztować mnie tyle nerwów?

Ojciec Palumbo uśmiechnął się do mnie spod maski. Wprawdzie jedynie nieznacznie obejrzał się przez ramię i obiektywnie rzecz biorąc, ten gest mógł oznaczać cokolwiek i być skierowany do kogokolwiek, ale ja nie miałem wątpliwości. Może obawiał się, że go przeoczę, może chciał mi dodać otuchy.

Nie rozumiałem, nadal nie rozumiałem, czym sobie na to wszystko zasłużyłem. Przecież trzymałem się tak daleko od poważnych spraw, jak to tylko możliwe. Miałem czas, byłem młody, nie planowałem się żenić przed trzydziestką, rodzinny interes prosperował znakomicie. Wszystkie aferki, w jakie pakowałem się dla rozrywki, dotyczyły drobiazgów, nic nieznaczących figli.

Byłem wściekły, zwłaszcza na Cyntię. Jak mogła mnie tak omać? Przecież miałem ją za przyjaciółkę, za bystrą osobkę, ale jednak kobietę, w dodatku artystkę i uciekinierkę, która szukała w naszym pięknym mieście utraconej przyszłości. Kogoś zdanego na naszą łaskę i sympatię.

Na moją łaskę i sympatię.

Minęliśmy kilka ulic – parokrotnie omal nie zgubiłem swojego przewodnika, zaczepiony między innymi przez wróżbitę i dwóch żebraków w maskach z tureckimi nosami – aż w końcu ojciec Palumbo zniknął w drzwiach prywatnego domu. Zakryłem twarz, nim podszedłem bliżej, bo nie była to rezydencja szczególnie wystawna i nie chciałem, żeby ktoś zauważył mój nieprzystający do budynku status. Zbliżywszy się do drzwi, usłyszałem chichot dochodzący znad mojej głowy. Był tam niewielki balkon, a na nim kobieta, oczywiście zamaskowana, ubrana krzykliwie, obserwująca tłum świętujących i spacerującego nad nim linoskoczek. Wysoki kołnierz sukni i czarna maska nadawały jej wygląd bardziej upiorny niż tajemniczy.

– Signor Maschera – zwróciła się niby nie do mnie, niby to na mnie nie patrząc. Ślad obcego akcentu w jej głosie był wyraźnie słyszalny. Podobnie jak gorzka kpina. – To dla nas zaszczyt.

Przełknąłem jej pogardę i pchnąłem drzwi w nadziei, że są otwarte. Były. Otoczyły mnie ciemność i zapach kurzu. Gdyby ktoś dostał się tu przypadkiem, wzięłby niechybnie dom za opuszczony. Niepewnie, skulony, wkroczyłem głębiej w ciemną sień, którą chwilę później rozświetlił przygaszony blask lampy olejnej.

Diablica – Cyntia – patrzyła prosto na mnie. Twarz miała śmiertelnie poważną, co przy jej odrobinę ptasich rysach i w ciężkim, zimnym półmroku zrobiło na mnie niepokojące wrażenie.

– Jak...? – Rozejrzałem się bezradnie, niczego nie rozumiejąc.

– Nie chciałam wciągać w to jeszcze ciebie, wierz mi – powiedziała. – Nie przez wzgląd na sympatię, tylko na kruchość twojego kręgosłupa. Ale to było najlepsze wyjście.

Nie byłem pewien, ale chyba usłyszałem w jej głosie zmęczenie.

Prócz niej i ojca Palumbo w pomieszczeniu było jeszcze kilka osób – sami mężczyźni, na ile mogłem się zorientować w niemal całkowitej ciemności.

– Ktoś za wami jeszcze szedł? – śpiewaczka zwróciła się do księdza.

– Nie sądzę, signora. – Pokręcił głową.

– Cóż, mam nadzieję, że w razie czego Sisi nas ostrzeże. Nie przedłużajmy tego. Pozwól za mną, Cesare. – Cynthia wskazała drzwi w głębi budynku.

Zawahałem się. Coś mi mówiło, że podążanie za nią to bardzo, bardzo zły pomysł.

Westchnęła na widok mojego ociągania.

– Jeśli sam nie pójdziesz, chłopcy będą zmuszeni zaciągnąć cię siłą – wyjaśniła uprzejmym tonem, nieprzystającym do słów. – Nie martw się, nic ci nie grozi. O ile będziesz współpracował.

– Ale... Ale ja nie rozumiem. – Odruchowo postąpiłem krok do tyłu.

Poczułem lekkie ukłucie w okolicy nerki i zapach wody kolońskiej.

– Proszę słuchać pani – odezwał się za mną głos z wyraźnie francuskim akcentem.

Miałem wrażenie, że należą mi się wyjaśnienia, ale trudno się wyklócać, kiedy sztych napiera na lędźwie. Ruszyłem więc przed siebie.

Już na progu uderzyły mnie przykre, kwaśne zapachy, w których zidentyfikowałem pot i moc. W półmroku oświetlanym jedną tylko lampą dostrzegłem siedzącą na krześle postać o kobiecych kształtach. Ręce i nogi miała przytwierdzone do mebla sznurami, paznokcie prawej dłoni zdarte do krwi, a głowę zakrytą workiem.

Cyntia rzuciła coś po francusku do jednego z mężczyzn, a ten zdjął szmatę szybkim ruchem.

Cofnąłem się o krok, gdy moim oczom ukazała się kolejna zniszczona twarz. Była w stanie tylko odrobinę lepszym niż oblicze Giovanni, gdy widziałem ją po raz ostatni. Deformacje biegly też po lewym boku szyi i znikaly pod rozchełstaną koszulą.

Powoli, bardzo powoli zaczęło docierać do mnie, na czyje rysy patrzę.

– Ce... sa... re...

Postąpiłem kolejny krok w tył, ale czyjaś dłoń opuszczona na ramię osadziła mnie w miejscu łagodnie, ale stanowczo.

– Dlaczego?! Dlaczego mnie w to mieszasz?! – zawyłem do Cyntii.

– Powtarzała twoje imię – odpowiedziała, wpatrzona nie we mnie, a w unieruchomioną kobietę.

Potrząsnąłem głową. Tego było po prostu za wiele.

– Nie zasłużyłem na to... – jęknąłem, ukrywszy twarz w dłoniach. – Niczym sobie nie zasłużyłem na to, co mnie spotyka, przysięgam...

Cyntia milczała chwilę.

– Masz rację – wycodziła wreszcie. – Niczym nie zasłużyłeś sobie na kobietę, która by pamiętała twoje imię nawet po śmierci.

Osunąłem się na kolana, złapany w szpony hysterii. Moje zachowanie nie przystawało honorowemu mężczyźnie, ale nie byłem w stanie wytrzymać ani minuty dłużej. Kiedy próbowałem podnieść głowę, mój wzrok nieubłaganie zatrzymywał się na wysokości stóp kobiety. Nie miałem sił przesunąć go wyżej – po niegdyś tak ponętnych kształtach, burzy potarganych teraz czarnych loków, ku resztkom wspaniałych ust Belli.

– Dlaczego... – wycharczałem.

– P-próbujemy się d-dowieedzieć. – Głos Umberta zdecydowanie nie był tym, co spodziewałem się usłyszeć. Wyłonił się z mroku jednego z kątów. Przez łzy nie widziałem wiele, ale z jego sylwetki biła ta sama obca determinacja, jaką pamiętałem spod szubienicy.

Nie, nie była obca. Była po prostu dotąd ukryta.

– Właśnie tak – potwierdziła Cyntia. – Musimy czym prędzej ustalić, z czym mamy do czynienia i co naprawdę zagraża miastu, a potem przekazać te informacje odpowiednim ludziom, którzy będą w stanie zapobiec kolejnym nieszczęściom. Umberto ma bardzo interesujące teorie, ale istnieje szansa, że dzięki tobie...

Koniec wywodu Francuzki utonął w ciężkiej ciemności.

* * *

Obudziłem się jakiś czas później w hotelu, zeszywniały i nieco zziębnięty. Pomieszczenie było nieco lepiej oświetlone, co moje zmęczone oczy z początku przyjęły bardzo niechętnie.

– Dobrze, już myślałam, że zamierzasz spać do końca tygodnia.

Potarłem powieki. Wiedziałem, że jestem w okropnym stanie i straciłem godność, ale byłem zbyt załamany, by odczuwać wstyd. Zresztą utkwione we mnie spojrzenia zdradzały pewne zniecierpliwienie. Ludzie Cynthii nie zamierzali dawać mi czasu na uzalanie się nad sobą.

– Jesteś w stanie rozmawiać?

– Jestem – odparłem ochryple.

Cyntia wstała ze swojego miejsca i zaczęła chodzić po pokoju. Wyprostowana, z uniesionym podbródkiem i rękoma za plecami. Nie przywykłem do takich widoków. Kobiety, które znałem, zachowywały się inaczej, poruszały się inaczej. I zwykle poza swoim domem nie były w stanie zdominować grupy mężczyzn.

– Kim naprawdę jesteś...? – zapytałem, zanim zdążyłem pomyśleć, że to niekoniecznie dobry pomysł.

– Jedynie wysłanniczką większych od siebie, Cesare. I, kto wie, być może niespodziewanie nadzieją dla tego miasta, choć nie prosiłam o tę rolę.

Przygryzłem wargę, gdy w moim żołądku wezbrała żółć.

– A więc jesteś zdrajczynią – wycedziłem. – Cudzoziemską oszustką.

Przystanąła, spojrzała na mnie z góry, pokręciła głową. W niczym już nie przypominała sopranistki, którą znałem.

– Pracuję dla Francji, jeśli to masz na myśli – powiedziała spokojnie. – Tak. I jednocześnie należę do wąskiego grona osób, które w ogóle przejęły się dziwnymi problemami Wenecji w ostatnim czasie.

– A książd? – zdziwiłem się głośno. – Myślałem, że Napoleonowi nie po drodze z Kościołem.

Siedzący w drugim hotelu ojciec Palumbo wzruszył ramionami.

– A mnie nie po drodze z Napoleonem – odparł. – Ale pani ma rację. Nikt inny nie interesował się, kiedy próbowałem rozmawiać o problemie. Wręcz przeciwnie. Zasugerowano mi wyraźnie, że powinienem odwrócić wzrok od tego, co się dzieje. Ale jakże mógłbym to zrobić, kiedy nagle tyłu moich parafian zaczęło umierać w podejrzanych okolicznościach? Moim obowiązkiem

jest dbać o ich dusze, owszem, ale życie doczesne nie jest mi całkiem obojętne, a nasze władze zasugerowały mi, cóż, że powinno być. Boga nie obchodzą nasze rządy, Cesare.

Potrząsnąłem głową.

– Umberto, i ty z nimi...?

Nie odpowiedział. Patrzył w sufit.

– Umberto to wybitny umysł, którego śmiałych tez potrzebujemy – odezwała się zamiast niego Cyntia. – Nie jest u was łatwo znaleźć naukowców, wierz mi, Cesare. Umberto zaimponował mi swoją wiedzą i wyobraźnią, ty wskazałeś mi adres. Potem porozmawialiśmy, wymieniliśmy się pewnymi racjonalnymi argumentami. My potrzebowaliśmy jego wiedzy i pasji, on nowego, dobrego celu, który pozwoliłby mu się otrząsnąć po tragediach, jakie na niego sprowadziłeś.

Zakląłem pod nosem. No tak. Gdybym tylko wiedział wcześniej...

– A Bella...? – wychrypiałem. To imię, niegdyś tak słodkie, teraz okrutnie ironiczne, z trudem przechodziło mi przez gardło.

– Tej nieszczęsnej dziewczynie przytrafiło się to samo, co Giovannie de Simone, Kulawemu Franco, a później, w wyniku bezpośredniego kontaktu ze skażoną, także Marco. Co potwierdziła próbka zebrana przez Umberto. Nalegałam zresztą, by tym ostatnim zajął się któryś z moich wysłanników, ale uznał, że to sprawa honoru.

– To jakaś zaraza...? – Znow dławił mnie strach, że i ja mogę zostać zarażony.

– N-nie. – Umberto wreszcie odzyskał głos, ale mówił cicho i jakby nie do mnie, choć jąkał się wyraźnie mniej niż jeszcze niedawno. – O-owszem, t-to... skażenie przechoodzi z ofiary na o-ofiarę, ale, na ile u-udało nam się ustaalić, wyłącznie w p-przypadku śmierci po-poprzedniego nosiciela. Zawsze jest... peeewna stała liczba zakażonych. Widać też związki, najczęściej k-kolejnymi nosicielami zostają świadkowie śmierci po-poprzedniej ofiary. To b-bardziej... pasożyt.

– Pasożyt...? – powtórzyłem bez zrozumienia.

– Tak, ale... inteligentny. Świadomy pasożyt.

– Po to właśnie tu jesteś – przerwała Cyntia. – Wygląda na to, że skażony ma pewną możliwość porozumienia się z tym... czymś. Możliwość, której my nie mamy, choć próbowaliśmy różnych metod. Liczymy na to, że uda ci się porozmawiać z tą kobietą, skoro cię zna i wymienia twoje imię.

– Tylko moje...?

– Nie, ale twoje byliśmy w stanie powiązać z konkretną osobą. Poza tym, cóż – Cyntia uniosła kąciki ust, choć jej oczy pozostały

nieruchome – wierzę, że masz dość rozsądku, by wiedzieć, że jestem w stanie cię teraz dopaść i zniszczyć wszędzie. Wpływy Francji sięgają daleko, a wkrótce będą sięgać jeszcze dalej, zobaczysz. Zatem po wszystkim będziesz siedział cicho i współpracował.

Trudno mi było się z nią nie zgodzić – przynajmniej w tamtym momencie.

– Wiadomo cokolwiek o tych... pasożytach? – Wcisnąłem plecy w oparcie, jakbym miał nadzieję się z nim zespolić i zniknąć.

Umberto westchnął.

– To ludzie z gwiazd – powiedział na wpół z zachwytem, na wpół z zawodem.

* * *

– Bella...? Bella, słyszysz mnie...?

Z jej ust niemal nieprzerwanie dochodził cichy jęk. Wznosił się i opadał jak morskie fale, wibrował. Wodziła nieprzytomnie wzrokiem po ścianach, szczykała zębami. Prócz dźwięków, jakie wydawała, w pokoju dało się słyszeć jedynie skrzypienie pióra Umberta, przesuwanego szybko po papierze. Miałem wrażenie, że nikt nawet nie oddycha.

– Ceee... saaa...

– Tak, to ja. – Zebrałem w sobie całą siłę woli, żeby wyciągnąć dłoń ku jej twarzy i pogłaskać po niepożartym przez zmiany fragmente czoła. Wciąż nieco się obawiałem, mimo wielu zapewnień Umberta, że nie ma możliwości, abym się w ten sposób zaraził. Zbyt wiele słyszałem marynarskich opowieści o trądzie. Jednak stłumiłem dreszcz obrzydzenia i odgarnąłem jej czarne loki. – Chcę ci pomóc – skłamałem.

Nie chciałem. Chciałem, żeby zniknęła z mojego życia. Ale jedyny sposób, żeby do tego doprowadzić, polegał na zmuszeniu jej do mówienia.

Czy ja naprawdę kiedyś kochałem tę kobietę? Czy kochałem kiedykolwiek kogokolwiek? Choćby i siebie? A jeśli nie byłem zdolny do miłości, czy stanowiło to moją winę? Przecież jedyne, czego pragnąłem, to żyć.

Po zdeformowanych policzkach zaczęły spływać łzy. Widziałem, jak Bella krzywi resztki ust, jak próbuje coś powiedzieć. Palce jej przywiązanej do poręczy dłoni poruszyły się bezradnie, jakby chciała mnie złapać. Spojrzałem na nie, potem na swoją dłoń. Wyobraziłem sobie dotyk tego gnijącego mięsa...

Patrzyła na mnie błagalnie załzawionymi oczami, a ja nie potrafiłem się przełamać, żeby choćby odwzajemnić jej gest.

– Kim on jest? – spytałem najłagodniej, jak potrafiłem, choć głos mi drżał. Miałem nadzieję, że Bella uzna, że nie zauważyłem jej niemej prośby. – Kim jest ten, który cię zabiera?

– To... – Opuściła na chwilę jedyną ocalałą powiekę. – Jest światłem... Światłem z gwiazd... – Nagły spazm wykrzywił jej rysy, szarpnęła głową. – Nie przyszedłeś...! – jęknęła. – Pro... siłam...! A ty... Ty...

Poczułem, jak coś rośnie mi w gardle.

– O czym ty mówisz? – spytałem z rezerwą, choć tak naprawdę już wiedziałem. Bella potrafiła napisać proste słowa, ale niczego skomplikowanego. Wyperfumowany liścik. A potem, pewnie gdy nie była już w stanie utrzymać pióra, wydrapany na drzwiach napis. Jej zdarte paznokcie...

– ...zosta... wileś mnie... sama...

Niespodziewanie sam poczułem wilgoć na policzkach.

– Ono... – Bella głośno, z wysiłkiem nabrała powietrza. – Nie chce mi zrobić krzywdy... Próbowano... nie... ale... nie potrafi...

Gdzieś za moimi plecami pióro Umberta jeszcze bardziej przyspieszyło. Słyszałem też, że zaczęło mu nerwowo podskakiwać kolano i chyba powstrzymywał płacz.

– Jest światłem... – powiedziała Bella nagle wyraźniej, zogniskowawszy wzrok na mojej twarzy. – Jest światłem, a ja jestem mięsem...

Jej ciało objęły drgawki, a ja zerwałem się w mgnieniu oka i rzuciłem ku ścianie. Dwóch ludzi Cyntii podbiegło do krzesła i przytrzymało je, bo konwulsje wstrząsające dziewczyną stały się tak silne, że prawie przewróciła mebel. Z jej gardła zaczęły wydobywać się nieludzkie dźwięki i dotarło do mnie, że to ta sama „melodia”, którą wcześniej dało się usłyszeć w jej jękach. Teraz jednak nie było w niej niczego ludzkiego.

Niczego, co dawało nadzieję.

* * *

Bella umarła niedługo po naszej rozmowie – jej organy rozkładały się w równym stopniu co powłoka zewnętrzna. Nosicielem jej egzemplarza, który Umberto skatalogował jako „Czerwień”, został ojciec Palumbo, udzielający jej ostatniego namaszczenia. Wiedział oczywiście, czym ryzykuje, ale uznał, że posługa

jest ważniejsza. Kiedy tylko zauważył pierwsze zmiany za uchem i na opuszkach palców, oddał się dobrowolnie w ręce ludzi Cyntii jako obiekt dalszych studiów.

W ciągu kolejnych paru tygodni Umberto opisał też „Błękit”, „Żółć” i „Zieleń” – jak twierdził, nazwy te zaczerpnął z badań niejakiego Newtona nad czymś, co nazywał „widmem”. Starannie notował sekwencje dźwięków, którymi próbowały się porozumiewać istoty z gwiazd, rytmy wybijane bezwiednie przez kolejne ofiary. Pracował w ukryciu, często zmieniał miejsca zamieszkania i nazwiska, aż wreszcie zupełnie straciłem go z oczu, a wraz z nim – wieści o postępie badań.

Zobaczyliśmy się ponownie pod koniec czerwca, już po tym, jak po serii absurdalnych wydarzeń nasza Republika przestała istnieć i do Wenecji wkroczyły siły Napoleona. Umberto powiedział wówczas, że na rozkaz Bonapartego ma wyjechać do Paryża, by tam bezpiecznie kontynuować swoje prace – teraz objęte klauzulą absolutnej tajności. Przyszedł się ze mną pożegnać.

Powiedział, że mi wybaczają.

Jego wymarzeni ludzie z gwiazd, choć policzeni i nazwani, nadal zbierali krwawe żniwo w Wenecji.

Ja sam, zgodnie z obietnicą, zostałem zniszczony, gdy tylko podjąłem nierozważną próbę ucieczki do Austrii. Cyntia i jej szpiedzy zrobili ze mnie wariata. Odesłania do azylu uniknąłem tylko dzięki wstawiennictwu rodziny, ale miałem skutecznie zamknięte usta i zrujnowane życie. Nie mogłem odziedziczyć sklepów i kawiarni, do mojej dyspozycji została jedynie wypłacana przez rodziców renta.

A potem matka odeszła i nagle zupełnie już nie miałem dokąd iść.

Spędzałem więc dzień za dniem na bezcelowej tułaczce w mieście, które umierało na moich oczach. Francuzi zmieniali je gwałtownie i nieodwracalnie. Napoleon zabronił karnawału. Miałem świadomość, że należę do niewielkiego grona osób, które miały szansę zrozumieć, co naprawdę kryje się za tą decyzją. Jak bowiem zgodnie twierdzili wszyscy zaangażowani, to, że zimą, u progu inwazji z gwiazd, zasłanialiśmy swoje twarze, znacznie utrudniło wczesne rozpoznanie problemu i zrozumienie skali zjawiska. Bez masek było po prostu łatwiej nas znaleźć i wyłapać.

Mówię „nas”, bo wreszcie i na moim ciele pojawiły się zmiany.

Napoleon, odebrawszy Wenecję z powrotem Austrii, znalazł dla nas specjalne miejsce.

Jasna bryła twierdzy z wysoką wieżą rośnie przed nami powoli, ale nieubłagane, w miarę jak dziób łodzi tnie fale, gdy zmierzamy ku brzegom przekłętej wyspy. Poveglia jest oficjalnie zamknięta od dwóch lat. Dawne więzienie dla ofiar epidemii, potem port, do którego zawijały statki z marynarzami zarażonymi dżumą, a teraz – miejsce cieni. Nasze szczątki spoczną w zbiorowych mogiłach na kościach nieszczęśników, którzy umierali tu wcześniej. Niewiele się tak naprawdę zmieniło.

Ostatecznie na określenie naszego stanu także używa się słów „choroba umysłu”, choć dotyczy ona głównie ciała. Myślę, że to przez awersję cywilnych władz napoleońskich do określenia „opętanie”.

Wiem, że zanim zamkną mnie w celi, będę przesłuchiwany. Wiem, że będą zadawać mi źle postawione pytania bez odpowiedzi. Nie zrozumieją tego, co będę próbował im przekazać, ani tym bardziej tego, co mógłby im powiedzieć przybysz, wbrew sobie rozkładający mięso na moich kościach. Nie odczytają wiadomości zaszyfrowanych w tikach wstrząsających moim ciałem – błagania o pomoc i przebaczenie. Historii niewyobrażalnej podróży w jedną stronę, która dla jednego bytu skończyła się nieuleczalną chorobą, a dla drugiego – uwięzieniem w mięsie, w którym istnieć nie może.

Luisa wtula się w mój zdrowy bok ufnie, nie wiedząc, kim byłem kiedyś, gdy to wszystko się zaczęło. Zmiany na jej ciele są mniejsze, ale zdaje się też, że kontakt z gwiezdnyim człowiekiem ma lepszy niż ja. Może dlatego, że jest dzieckiem o bardziej otwartym umyśle, może dlatego, że jej egzemplarz zwiedził więcej ludzkich ciał. Gdy na nią patrzę, pierwszy raz w życiu współczują komuś innemu niż ja sam.

Nie jestem pewien, czy to moje uczucie.

Katarzyna Rupiewicz
ZŁA KREW



Katarzyna Rupiewicz – Pisarka, miłośniczka wspinaczki, informatyczka – na co dzień uczy się żyć z tym rozstrojeniem jaźni. Autorka powieści fantasy „Redlum” i postapokaliptycznego „Świata w pudełku”, a także wielu opowiadań publikowanych zarówno w antologiach, jak i magazynach internetowych. Zakochana w górach i ucieczkach od cywilizacji, interesuje się nowymi technologiami, by poznać swojego wroga.

Radu siedział na krześle pod drzwiami sypialni księżnej. Wyglądał na ostoję spokoju, co dla człowieka z jego stanowiskiem i doświadczeniem nie było trudną sztuką. Nadworni doradcy nie okazywali lęku. Nie oznaczało to jednak, że go nie odczuwali albo nie chcieli słuchać. Strach był cennym zwiadowcą, wyprzedzał problemy i pomagał się na nie przygotować.

Radu bał się jako człowiek, który ma zaraz spojrzeć umierającemu w oczy. To nigdy nie było łatwe, a z wiekiem stawało się coraz boleśniejszym doświadczeniem, bo współczucie dla tego, kto odchodził, mieszało się z tym dla samego siebie. Choć mężczyzna cieszył się dobrym zdrowiem jak na swoje lata, wiedział, że śmierć czeka na niego niczym wróg, który jeszcze nie szturmuje murów, ale już zgromadził armię.

Radu bał się także jako realny władca państwa. Od dobrych kilku lat żadna decyzja w kraju nie zapadała bez jego udziału. Gospodarowie byli wybierani przez Boga, a ich doradcy przez życie. Nie wszystko na świecie szło zgodnie z boskim planem, więc ktoś musiał czuwać nad krnąbrnymi możnymi, nie zawsze pokornym duchowieństwem i zupełnie niewrażliwymi na majestat władców kupcami. Te i wiele innych spraw powierzał mu gospodar, póki żył. Dzisiaj wszystko wskazywało na to, że księżna dołączy do męża zaledwie tydzień po jego śmierci.

Radu nie obawiał się utraty pozycji. Gotów był oddać to brzemieniu młodszemu i zasiąść przy kominku. Jednak zarówno księżna, jak i jej mąż – świeć Panie nad jego duszą – nie doczekali się potomka, co oznaczało, że każdy kuzyn, cioteczny bratanek czy inna dziesiąta woda po kisielu już rozpoczął knowania i szukał przychylnych sobie bojarów. Nim zdążą jaśnie panią pochować, zjadą się ci wszyscy potencjalni następcy tronu. Każdy z nich zacznie ciągnąć w swoją stronę za skraj gronostajowego płaszcza,

a Radu będzie mógł tylko patrzeć, jak kraj, którego siłę tyle lat budował, chwieje się w posadach od wewnętrznej szamotaniny.

Drzwi sypialni skrzypnęły nienaoliwionymi zawiasami.

– Jaśnie pani chce was widzieć – powiedział nadworny medyk, wychodząc.

Wszystko w jego zmęczonej twarzy, spuszczonego wzroku i matowym tonie głosu mówiło, że nie ma nadziei.

Radu podniósł się i wszedł do komnaty księżnej pewnym krokiem, jakby wypełniał codzienne obowiązki. Widział już jaśnie panią zmęczoną, bez diademu i w mniej strojnych szatach. Nigdy jednak w koszuli nocnej z posklejnymi potem włosami na poduszce. Nagle odkrył na nowo ten niepokojący fakt, że władcy są w rzeczywistości ludźmi – zwyczajnymi i kruchymi jak wszyscy wokół.

Podszedł bliżej. Służąca wskazała mu fotel, który ustawiono przy łóżku dla czuwającego przy chorej lekarza.

– Radu? – Jej głos od dawna nie był donośny, ale nigdy tak słaby.

– Jestem, pani.

Uniosła powieki i patrzyła na pustą ścianę naprzeciw, jakby w ogóle nie widziała doradcy.

– Mój syn jest w opactwie Cozia – wyszeptwała. – Musisz po niego jechać.

Radu nie uważał się za człowieka, który wie o wszystkim, co dzieje się na zamku, i czuje jak ryba w wodzie w świetle pałacowych plotek. Czegoś równie ważnego jak pogłoska o dziecku hospodara na pewno by jednak nie przeoczył. Umierająca musiała bredzić i zrobiło mu się jej żal. W ostatnich chwilach życia miała przed oczami dziedzica, którego nigdy nie urodziła.

– Tak, pani – powiedział, by nie sprawiać jej więcej bólu.

– To zła krew – ciągnęła księżna – ale wyszedł z mojego łona. Obiecuj mi, Radu, że go na tronie osadzisz i dopilnujesz, by krzywdy ludziom nie czynił.

– Obiecuję, pani.

Opadła ciężko na poduszki, jakby tak długa rozmowa pozbawiła ją sił. Radu miał nadzieję, że władczyni jeszcze coś powie. Inaczej będzie musiał wymyślić ostatnie słowa księżnej. Takie, które można powtórzyć bojarom.

– Nie czekaj na moją śmierć – wyszeptwała, nie otwierając oczu.

– Zbierz rycerzy i jedź po niego.

– Tak, pani.

Ku jego zaskoczeniu głos mu zadrżał. Wstał i z ciężkim sercem opuścił sypialnię, a potem komnaty księżnej. Szedł korytarzem, wstrząśnięty majakami umierającej, gdy ktoś do niego podbiegł. Odwrócił się gwałtownie i spostrzegł służącą. Rzadko zapamiętywał twarze służby, ta jednak była pokojową jaśnie pani, odkąd sięgał pamięcią.

– Czy to już? – spytał.

– Panie, nam na krzyż i mękę Pańską kazano przysięgać, że nikomu nie powiemy, ale skoro pani sama wam prawdę wyznała, to chyba i mnie wolno już mówić?

Przez chwilę patrzył na niewiastę zaskoczony, jakby zawracała mu głowę błahymi sprawami w tak ważnej chwili.

– Mówić o czym? – spytał ze źle ukrywaną złością.

– To był chłopiec o oczach czarnych jak węgle, tak niepodobny do jaśnie państwa, jak noc różni się od dnia. Nasza pani bała się, co ludzie powiedzą, dlatego kazała go oddać na wychowanie do klasztoru.

Radu nie był białogłową, żeby zemdleć z wrażenia, a mimo to poczuł, jak nogi się pod nim uginają. Zakręciło mu się w głowie. Syn księżnej, choćby i spółdżony przez parobka, byłby największym cudem w historii państwa.

– Panie, nic wam nie jest?

Złapał służącą za ramiona, aż syknęła z bólu.

– Jak dawno to było? Mówże!

– Dawno, będzie ze dwadzieścia wiosen – wyznała.

– I ten chłopiec jest w opactwie Cozia?!

– Tak jak jaśnie pani mówiła...

– Ile osób będzie mogło potwierdzić jego tożsamość?!

– Na zamku co najmniej dziesięć i wszyscy mnisi z opactwa...

Nie słuchaj jej już. Biegł, jakby sam diabeł zamierzał się z nim ścigać do bram zakonu. Dorosły mężczyzna – prawowity następca tronu – to wizja tak piękna, że Radu bał się choć przez chwilę w nią uwierzyć, zanim zobaczy go na własne oczy.

* * *

Powóz podskakiwał na wertepach, gdy pędzili przez noc, ale Radu nie skarżył się na niewygodę. Zanim zbudził kapitana Varujana, a ten zebrał swoich ludzi do drogi, doszła ich wieść o śmierci księżnej. Teraz Radu nie był w stanie myśleć o niczym

innym, jak tylko o tym, że złożył umierającej obietnicę, która nie będzie łatwa do spełnienia.

Zatrzymali się tak nagle, że starszy mężczyzna omal nie spadł z wyściełanej aksamitem kanapy. Ktoś otworzył drzwi, wpuszczając do środka chłodne powietrze i blask pochodni.

– Jesteśmy, panie – rzucił jeden z rycerzy.

Radu wysiadł ostrożnie, starając się wyłowić z mroku kształty najbliższego otoczenia. Noc była tak pochmurna, że nawet z pochodniami ledwie dostrzegali mury opactwa. Kapitan Varujan zeskoczył z konia i pieszo ruszył w stronę bramy. Rycerz ten wywodził się z zacnego rodu szlacheckiego i zwykł mawiać, że nie ma nad nim nikogo oprócz hospodara. To czyniło z niego niebezpiecznego przeciwnika i niepewnego poplecznika w dworskich knowaniach. Radu nigdy wcześniej nie powierzał mu ważnych spraw. Teraz jednak potrzebował kogoś, kto nie został przekupiony przez możnych ani potencjalnych następców tronu, i ze zdumieniem odkrył, że Varujan był jedynym dowódcą, co do którego miał pewność.

Rycerze załomotali do bram opactwa, budząc braciszka śpiącego na warcie. Radu spodziewał się, że w tym miejscu szalona gonitwa się skończy. Zakonnik spojrzy na niego szeroko otwartymi oczami i nie zrozumie w ogóle pytania o tajemniczego chłopca.

– Wszelki duch pana Boga chwali! – wykrzyknął mnich. – Co też szlachealnych panów w środku nocy sprowadza?

– Przybyliśmy po syna księżnej Madaliny – powiedział Radu z trudem.

– Księżna was, panie, posłała? – W głosie zakonnika słychać było wątpliwość, ale nie zdziwienie.

– Tak, tuż przed śmiercią.

Zakonnik przeżegnał się zamaszycie i chyba nie był w stanie wydusić słowa, bo tylko drżącą ręką pokazał, by iść za nim.

Radu pochwycił zdumiony wzrok Varujana. Najwyraźniej on też sądził, że gonią ułudę. Z pochodniami w dłoniach ruszyli za zakonnikiem przez klasztorną furtę aż do ciemnej bryły budynku za murami.

– Nie godzi się, zacni mężowie, żebyście z bronią do Bożego domu wchodzili – powiedział braciszek.

– Wybaczcie, mnichu – odparł Varujan – ale Bóg wasz dał mi miecz tak, jak dał mi ręce. Jednego i drugiego na progu nie zostawiam.

Radu w duchu był wdzięczny rycerzowi za to grubiaństwo, lecz musiał zaproponować polubowne rozwiązanie.

– Kapitanie, proszę wybrać dwóch najbardziej zaufanych ludzi, którzy pójdą z nami. Reszta zostanie tutaj, by nie straszyć świętobliwych mnichów.

– Ufam wszystkim tak samo – odburknął Varujan.

Bez dalszej dyskusji wybrał jednak eskortę i powierzył dowództwo nad pozostałymi zastępcy.

Podążyli za mnichem do gabinetu równie ciemnego i surowego jak korytarze opactwa.

– Poczekajcie tu, szlachetni panowie, obudzę opata – poprosił zakonnik i zniknął za drzwiami.

Rycerze odruchowo ustawili się po obu stronach wejścia, a Varujan krążył po niewielkim pomieszczeniu jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Na oko był mężczyzną czterdziestoletnim, z gatunku tych, którzy pomimo wieku przewyższają siłą i szybkością młodzików. Radu zastanawiał się przez chwilę, jak kapitan zareaguje, jeśli ta podróż okaże się daremna. Przecież chłopiec, nawet jeśli istniał, mógł już dawno nie żyć.

Na szczęście opat nie kazał im długo czekać. Przybiegł w pośpiesznie narzuconych szatach, nerwowo wyglądając resztki siwych włosów.

– Brat Andrei przekazał mi tę straszną nowinę! – wykrzyknął w drzwiach. – Zbudzimy zaraz wszystkich, by modlili się za duszę jaśnie pani.

Zakonnik mówił szybko. Bez wątpienia się denerwował.

– Przybyliśmy po syna księżnej – powtórzył Radu, gotowy na cios.

– To nie takie proste, szlachetni panowie – odparł opat. – Czy księżna nie powiedziała wam, kto jest jego ojcem?

Radu przygryzł wargę, by zapanować nad cisnącymi się na usta przekleństwami. Furda z tym, kto był jego ojcem: stajenny, biskup czy król wrogiego państwa – jeden pies. Słyszał, że na zachodzie tron dziedziczą tylko dzieci z prawego łoża, ale nie u nich.

– Czcigodny mnichu, kraj nasz może znaleźć się na skraju wojny. W zupełności wystarczy nam informacja, kto jest jego matką – powiedział Radu najspokojniej, jak potrafił. – Wierzę, że nikt nie poważy się, by publicznie szargać honor królowej i poddawać w wątpliwość jej cześć.

– Panie, to jest syn upiora – odparł zakonnik, zniżając głos do szeptu. – Modliliśmy się za jego duszę, odkąd tu trafił, ale kiedy

zaczął dojrzewać, zła krew coraz bardziej dawała o sobie znać. Musieliśmy go wtedy zamknąć, żeby na nas wszystkich nie sprowadził zguby.

Radu przewrócił oczami. Walczył z relikwiami pogaństwa, odkąd pamiętał, bo prosty lud wierzył w nie tak mocno i powszechnie, że przybysze z odległych krain zastanawiali się, czy aby na pewno są w chrześcijańskim kraju. Doradca nie spamiętałby wszystkich drobiazgów, które mogły doprowadzić do posądzenia kogoś o czary, konszachty z diabłem albo złą krew.

– Czy możemy zostać do niego zaprowadzeni? – Tym razem nie próbował panować nad słyszalną w głosie irytacją.

– Nie słuchacie mnie, panie. – Mnich potrząsnął głową. – My żyjemy z nim pod jednym dachem tylko dzięki ciągłej modlitwie, postowi i bożemu błogosławieństwu. Wam grozi zguba.

Radu zaniemówił. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał, i choć sytuacja wydała mu się śmieszna, nie potrafił wymyślić odpowiedzi.

– Nie obchodzą nas wasze zabobony. – Kapitan Varujan najwyraźniej miał mniej cierpliwości niż on. – Przyjechaliśmy po gospodarskiego syna i masz nas, ojczu, do niego zaprowadzić. Teraz.

Opat przełknął ślinę i przez chwilę walczył ze sobą, by wreszcie skapitulować. Wyprowadził ich z gabinetu, zabrał pochodnię ze ściany i podążyli schodami w dół. Do lochów – uświadomił sobie doradca.

Radu spostrzegł, jak kapitan błednie z gniewu na widok zarygowanych drzwi z klapką przy podłodze do wsuwania jedzenia.

– Zbudź się, chłopcze, i przygotuj na gości! – krzyknął opat. Potem dodał znacznie ciszej. – Nie zbliżajcie się do niego, nie dotykajcie go i nie patrzcie mu w oczy. Pan, szlachetny rycerz, wydaje mi się zbyt młody, by przebywać z nim w zamkniętym pomieszczeniu.

Radu pomyślał, że się mylił. Teraz dopiero Varujan naprawdę zbladł.

– Kapitanie, nie czas na to – powiedział, by przywołać szlachcica do porządku.

Byli już tak blisko. Za tymi drzwiami mógł się znajdować prawowity następca tronu.

– Będę się tu za was modlił – powiedział opat i otworzył celę.

Weszli we dwóch. Blask pochodni, którą Radu dzierżył w ręce, wyłonił z ciemności tylko siennik rzucony na podłogę, wiadro na nieczystości, niedopalone świece i kilka książek. Skulony

w kącie kształt można było w pierwszej chwili pomylić ze stertą szmat. Ktoś siedział tam w szarym mnisim habicie, z rękami ukrytymi w za długich rękawach i kapturem naciągniętym mocno na głowę – tak, że nie widzieli nawet brody.

Rycerz omiół wewnątrz surowym spojrzeniem i chciał przykucnąć przed siedzącym na podłodze człowiekiem.

– Nie podchodź, proszę – rozległo się spod kaptura.

Głos był niski, męski i wyraźnie przestraszony.

– Nie chcemy cię skrzywdzić – powiedział kapitan z zadziwiająco łagodnością.

– Wiesz kto jest twoją matką? – spytał Radu.

– Wiem, panie, księżna Madalina – odparł.

Doradca i kapitan wymienili spojrzenia, jakby obaj aż do tego momentu nie wierzyli, że odnaleźli następcę tronu.

– Zdejmij kaptur – poprosił Radu.

– Nie mogę. Nikt nie powinien na mnie patrzeć.

Varujan wzruszył ramionami i podszedł do młodego mężczyzny. Kiedy jednak wyciągnął rękę w jego stronę, ten wcisnął się mocniej w kąt i zaczął się trząść.

– Nie dotykaj mnie, proszę.

Kapitan cofnął się. Podszedł do Radu i przez zaciśnięte zęby wyszeptał:

– Zabiję skurwysynów; własnoręcznie powieszę za jaja wzdłuż murów opactwa.

– Nie, muszą poświadczyć o jego tożsamości.

Mężczyzna w pierwszej chwili dziwił się opanowaniu, jakie usłyszał we własnym głosie, a dopiero po chwili uświadomił sobie, że jest zapewne całkiem sporo innych powodów, dla których zbrojni z zamku nie powinni wyróżniać zakonników.

– Zróbmy tak – Radu zwrócił się do młodzieńca. – My podejdziemy pod drzwi celi, a ty na chwilę zdejmiesz kaptur. Nikomu nic się nie stanie.

Złapał kapitana za rękaw i odciągnął go jak najdalej od młodzieńca. Kształt w kącie zaszamotał się, po czym odsłonił przetłuszczone ciemne włosy i męską twarz, nienaturalnie bladą, o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych. Oczy wbite w podłogę chyba rzeczywiście były czarne jak węgiel. Kaptur wrócił na swoje miejsce.

– Widzisz? Nic się nie stało – kontynuował Radu. – Teraz poproszę cię, byś pojechał z nami na zamek. Obiecałem twojej matce, że cię tam zabiorę.

– Nie wolno mi stąd wychodzić – powiedział młody mężczyzna.
– Bez ciebie w kraju wybuchnie wojna. Zginie wielu ludzi. Tylko ty i twoja odwaga możecie ich uratować. – Nadworny doradca sprawnie żonglował słowami.

Kształt na podłodze się poruszył.

– Ale nikt mnie nie dotknie? I ludzie nie będą się do mnie zbliżali?

– Nikt nie będzie miał wstępu do twojej komnaty. Wystawimy strażę, by strzegły wejścia za dnia i w nocy – zapewnił Radu.

Kształt podniósł się. Wciąż tonął w fałdach za dużego habitu, pochylał głowę i garbił ramiona. Mimo tego młodzieniec okazał się wysoki i całkiem barczysty jak na kogoś uwięzionego od lat na kilku metrach kwadratowych.

Radu otworzył drzwi i obaj cofnęli się, by wychodzący dziwdzie mógł ich spokojnie minąć. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że nawet nie zapytali, jak ma na imię.

– Eskorta dla jaśnie pana! – krzyknął kapitan do czekających przed celą rycerzy.

– Nie możecie tego zrobić – jęknął opat.

Varujan złapał go za szaty i uniósł nad ziemię.

– Módl się, mnichu, by was wszystkich śmierć zabrała – wyszczał. – Nim będziecie musieli odpowiedzieć za to, co zrobiliście naszemu panu.

„Naszemu panu”, powtórzył w myślach Radu. Ledwie go odnaleźli i mimo tego, że młodzieniec wyglądał jak ostatnie nieszczęście, ktoś taki jak Varujan już nazwał go panem, już zdawał się kochać tym szczególnym rodzajem miłości zarezerwowanym dla prawdziwych władców.

Wyszli na zewnątrz. Blady przedświt przywitał ich drobnym deszczem. Zakapturzona postać zatrzymała się nagle. Młodzieniec upadł na kolana, ostrożnie wysunął dłoń z szerokiego rękawa i drżącymi palcami dotknął trawy. Radu poczuł, jak coś go ściska w krtani. Czy księżnej przeszło przez myśl, jaką cenę zapłaci jej syn za tchórzliwe oddanie chłopca mnichom? Obiecał umierającej, że osadzi go na tronie, a teraz w duchu obiecywał młodziencowi, że nie pozwoli go już nikomu skrzywdzić.

* * *

Radu nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sytuacja – od początku trochę niekorzystna – z godziny na godzinę stawała się coraz

gorsza. Zupełnie jakby siedział w drewnianej chacie po kostki w wodzie i spokojnie obserwował przez okno padający deszcz.

Plotki o sprowadzeniu na zamek syna księżnej rozniosły się szybciej niż dźwięk dzwonów pogrzebowych. Radu nie powstrzymały ich, nawet gdyby z jakiegoś powodu próbował. Dzisiaj jednak mijał blisko tydzień od cudownego odnalezienia dziedzica, a młodego mężczyzny nadal nikt nie widział. Pogłoski o tym jak wyglądał lub na co chorował następca tronu, przybierały coraz bardziej fantazyjne kształty, a możni tracili cierpliwość.

Tymczasem Mircea – bo takie imię nadała mu jaśnie pani – zamknęła się w komnacie i gdy tylko ktoś próbował do niej wejść, zmieniał się w tę samą kupkę roztrzęsionych szmat, którą znaleźli z kapitanem w mnisich lochach.

Radu nie chciał być nieczułym sukinsynem, który złapie młodzieńca za kołnierz i siłą wywlecze do ludzi, ale rozgrywki o władzę nie znały sentymentów. Im dłużej Mircea pozostawał w cieniu, tym więcej konkurentów szukało sposobu, żeby się go pozbyć, póki można było to zrobić w miarę po cichu.

Z ciężkim sercem Radu poszedł więc do komnaty młodego mężczyzny, by zgodnie z obietnicą doprowadzić Mirceę na tron, choćby musiał go tam wciągnąć za uszy.

– Panie, mamy zakaz... – zaczął jeden z wartowników przy drzwiach.

– Wiem, wpuszczania kogokolwiek – dokończył Radu.

Pewnym krokiem wszedł do środka. Nie zapukał, więc przyłapał młodzieńca na środku pokoju ćwiczącego pompki w podartych łachmanach. Na widok nieproszonego gościa Mircea zerwał się niczym spłoszone zwierzę, przypadł do pozostawionego na łóżku habitu i dopiero w nim podpełził do swojego leża.

Radu nie zdziwił się, bo służba przedziła go już, że panicz nie śpi w łóżu z baldachimem, tylko w stercie pościeli ułożonej na podłodze pod oknem. Podszedł spokojnie do skulonej w kącie postaci i chociaż stare kości zaprotestowały przeciwko temu pomysłowi, usiadł obok niego.

– Nie podchodź, proszę. – Młodzieniec próbował wcisnąć się mocniej w kąt, jakby podstawiono mu pod bok pochodnię.

– Mircea – Radu okazał zniecierpliwienie – nie zaczynamy tej gry od początku. Siedziałem obok ciebie w powozie i widziałem twoje oblicze w celi. Nic się nikomu nie stało z tego powodu.

Zawiesił głos i odczekał chwilę, ale księżę nie zaprzeczył.

– Zrozum, Mircea – kontynuował Radu. – Nie będziesz bezpieczny, dopóki nie zasiądziesz na tronie, a jest szereg warunków,

które musisz wcześniej spełnić: wykąpać się, ostrzyć, założyć normalne szaty, pozwolić, by obejrzał cię nadworny medyk, i stanąć przed bojarami jako wyprostowany, pewny siebie mężczyzna.

Mircea poruszył się niespokojnie i Radu tylko zgadywał, że pod kapturem kręci głową.

– Nikt nie może mnie dotknąć – powtórzył jak litanie.

– Dobrze, balwierza odłożymy na później, a krawiec oceni miarę na oko. Czy mogę kazać przygotować kąpiel i wezwać medyka? To człowiek godny zaufania, opiekował się twoją matką.

„Tak”, które usłyszał Radu, było zbyt ciche, by miał pewność, że sobie go nie wyobraził. Wciąż udawało mu się negocjować w miarę delikatnie, ale nie chciał wiedzieć, jak daleko będzie w stanie się posunąć, gdy to nie zadziała.

– Dlaczego śpisz na podłodze? – spytał jeszcze.

Właściwie to chciał w ten sposób upomnieć łagodnie młodego mężczyznę. Wszystkie te dziwaczne zachowania trzeba będzie stopniowo wyplenić.

– Stąd widzę niebo – odparł zapytany.

Radu nie dał rady powiedzieć nic więcej.

* * *

Radu nie widział się z nadwornym medykiem od pamiętnego wieczoru, gdy zmarła księżna, i bynajmniej nie ucieszył się na widok podekscytowanej twarzy tamtego.

– Zachowaj, proszę, powagę. Panicz jest bardzo... wrażliwy.

– Ależ Radu, mój zawód nieodłącznie wiąże się z powagą i szcunkiem do pacjenta – powiedział medyk. – Nie ukrywam jednak, że zżera mnie ciekawość na myśl o tym dziwie. Słyszałem już, że jest garbaty, ma palce wykrzywione jak gałęzie drzewa, a mnisi wyłupili mu oczy.

– Bzdura – mruknął Radu, choć sam obawiał się jakiejś nieprawidłowości w fizjonomii księcia: dodatkowego palca u stopy albo znamienia, które przekonało kiedyś zakonników o upiornej naturze chłopca.

Zatrzymał medyka, nim zbliżyli się do drzwi, by straż nie usłyszała ich rozmowy.

– Jeszcze jedno: on się nie zgadza, żebyś go dotknął. Czy takie badanie będzie ważne?

– A czemu ma być nieważne? – obruszył się. – Ja w przypadku mężczyzny mam tylko potwierdzić, że ma dwie nogi, dwie ręce

i jedną kuškę. Ten zwyczaj to bzdura, podobno pamiątka po tym, jak Florin Zdobywca wstąpił na tron mimo zaawansowanego trądu i pół tyłka mu odpadło.

Radu westchnął ciężko. O ile dobrze pamiętał, to choroba najpierw zaatakowała nogę historycznego władcy, ale rubaszne poczucie humoru medyka odrobinę zmieniło tę opowieść. Zdecydowanie nie był to najwłaściwszy człowiek do rozmowy z Mirceą.

Zapukali i odczekali stosowną chwilę. Weszli powoli, a Radu dał znak medykowi, żeby zatrzymali się tuż przy drzwiach umywalni.

Młody mężczyzna w balii na środku pomieszczenia objął się ramionami i przyciągnął kolana pod brodę. Zupełnie jakby zaskoczyli w kąpieli pannę na wydaniu.

– Mircea, to jest medyk, o którym ci mówiłem – powiedział Radu tak łagodnie, jakby przemawiał do dzikiego konia. – Wyjdz, proszę, z wody i wyprostuj się.

Młodzieniec przez chwilę trwał w bezruchu i kiedy Radu już myślał, że musi powtórzyć prośbę, wziął głęboki wdech i podniósł się.

Radu zrozumiał nagle, skąd wzięło się dziwne zachowanie zakonników, bo on sam nigdy nie poczuł czegoś podobnego na widok mężczyzny. Syn księżnej był piękny: wysoki, umięśniony, szeroki w ramionach, wąski w biodrach, ze zdrową, jasną skórą i nienaturalnie ciemnymi oczami. Obdarzony też po królewsku, lecz nie w stopniu, który mógłby powodować posądzenie o czary.

– No, wasza miłość to się zdecydowanie nie ma czego wstydzić! – zawołał medyk.

W tym momencie młodzieniec pochylił głowę, zgarbił się i gdyby był niewiastą, zapewne spłoniłby się rumieńcem po uszy.

– Mogę się już ubrać? – spytał cicho.

– Oczywiście, wasza miłość – zgodził się medyk i dał znak Radu, żeby się obaj odwrócili.

Przez chwilę stali niemal nieruchomo, oddychając wilgotnym i gorącym powietrzem w łaźni.

– Czy już, wasza miłość? – spytał medyk, gdy cichy szelest materiału umilkł zupełnie.

– Tak.

Spojrzeli na niego znowu. Radu miał niemiłe wrażenie, że Mircea właśnie rozważa wciśnięcie się w ką. Strój nie był idealnie dopasowany, ale i tak leżał wyśmienicie w porównaniu do wielkiego habitu i lachmanów, które młodzieniec nosił wcześniej.

– Wszyscy będą widzieli moją twarz – powiedział, nerwowo mnąc rękaw aksamitnego mankietu.

– Niechże się wasza miłość tym nie martwi – spróbował go pocieszyć medyk z udawaną wesołością. – Niewielu ma przywilej oglądania hospodara. Ja sam mieszkalem na zamku od pacholeńcia, a dopóki nie zostałem awansowany, żadnego władcy z bliska nie widziałem.

Mircea uśmiechnął się blado i objął ramiona dłońmi. Radu złapał medyka za połe kamizelki i delikatnie pociągnął w stronę wyjścia. Tamten i tak już zobaczył więcej, niż powinien; jeszcze tylko tego brakowało, żeby przyszedł następca tronu skulił się w kącie i zaczął trząść jak osika.

– Nie piliśmy tej nocy, gdy zmarła księżna, za pokój jej duszy – powiedział medyk na korytarzu. – Wypijmy dzisiaj, doradco, za zdrowie przyszedłego hospodara.

Radu nie miał odwagi odrzucić zaproszenia. Posłał więc tylko gniewne spojrzenie strażnikom.

– Niech nikt się nie waży gapić na panicza, gdy będzie wracał do komnaty! – wykrzyknął – Bo osobiście poinformuję kapitana Varujana o nieposłuszeństwie.

– Tak, panie – zgodnie potwierdzili wartownicy przy drzwiach.

Radu zaś ruszył za medykiem do jego gabinetu, gdzie towarzyszył wskazał mu wygodny fotel i nalał złocistego trunku – zważywszy gatunek i bukiet, zapewne podebranego z hospodarskiej piwnicy.

– To jak wynik badania? – spytał pozornie lekko, jakby chciał zagaic rozmowę.

Medyk pociągnął solidny łyk, odkaszlnął i dopiero wtedy zebrał się na odpowiedź.

– Fizycznie to niech się lepiej nikt do niego nie porównuje, bo tylko w kompleksy wpadnie – powiedział z powagą nieprzyjmującą do tego zdania. – Ale duchowo w nim ziele taka rana, że prawą rękę bym oddał za nici, którymi można to zaszyć.

Radu rozluźnił się odrobinę, dostrzegłszy w medyku sojusznika.

– Nie mogę go zaprowadzić przed oblicze bojarów, dopóki się tak zachowuje. Głodne wilki zaraz zwęszą mięso. Pomyślałem, że może baby mu trzeba, żeby się ośmielił.

– To nie jest zwykły paniczyk, z którego masz zrobić mężczyznę – burknął medyk. – Czasu mu trzeba i dobrych ludzi wokół.

– Mógłbym dać mu wszystko – odparł smutno Radu. – Wszystko, tylko nie dwie rzeczy, które właśnie wymieniles.

* * *

Sorina nie przybyła na zamek jako dziwka, tylko jako dama do towarzystwa. Dziwki przyjmowały w burdelu, damy do towarzystwa w eleganckim domu uciech dla szlachetnie urodzonych. Jedne i drugie miewały wprawdzie klientów starych, tłustych lub zapijaczonych, ale szlachta przynajmniej się myła.

Tyle Sorina zaobserwowała, mieszkając przez tydzień w najdroższym przybytku w mieście, gdzie przygotowywała się do swojej roli. Wcześniej wprawdzie zdarzało się, że musiała z kimś sypiać, najczęściej jednak trafiała do jego łóżka jako szlachcianka, a nie ladacznica. Zresztą teraz też nosiła bogato zdobioną suknię i tylko odrobinę głębszy dekolt mógł zdradzić wprawdnemu obserwatorowi, że nie była goszczącą na zamku hrabianką.

Wartownicy przy drzwiach uśmiechnęli się na jej widok. Wiedzieli, że dzisiaj mają wpuścić do komnaty księcia damę do towarzystwa, i tylko czekali, by otworzyć przed nią drzwi.

– Panienska wybaczy, ale każdego gościa musimy przeszukać – powiedział strażnik, pozerając ją wzrokiem.

– Oczywiście. – Była na to przygotowana. – Tylko delikatnie, nie stać was na dokładne przeszukanie.

Jeden z nich zabrał się do obmacywania, a drugi patrzył z zazdrością.

– Panienska też niech lepiej będzie delikatna. Panicz bardzo nieśmiały jest. Nie zgodził się nawet na obecność niewiast wśród służby.

Wiedziała o tym, zarówno od nadwornego doradcy, który zamówił najbieglejszą w swym fachu pannę lekkich obyczajów, jak i od drugiego zleceńodawcy, który szukał zabójczynie dostatecznie ładnej, by mogła podszyć się pod damę do towarzystwa.

– W takim razie mam nadzieję, że nie będziecie nasłuchiwać pod drzwiami, jak się panicz ośmiela. Mogłoby to zostać źle przyjęte.

Uśmiechnęli się pod nosami. Nie była pewna czy faktycznie powstrzymają się przed podsłuchiowaniem, ale zważywszy na nieśmiałość księcia, przynajmniej przedłużająca się cisza nie powinna zwrócić niczyjej uwagi.

Jeden z wartowników otworzył przed nią drzwi i weszła do komnaty ze świecą w rękę i uspokajającym ciężarem ostrza przymocowanego między łopatkami. Żaden rycerz, mając jedyną okazję, by obmacać drogą dziwkę, nie będzie dotykał jej pleców.

Książę spał na podłodze pod oknem. Nie spodziewał się jej wizyty, o czym też została uprzedzona. Zerwał się na równe nogi na widok nieproszonego gościa, a ona poczuła zdziwienie, widząc, że jest całkowicie ubrany. Miał na sobie nawet buty, co oznaczało, że mógł też mieć broń.

– Nie bójcie się mnie, jaśnie panie – powiedziała miękko. – Pan Radu mnie przysyła, bym wam trochę umiliła wieczór swoją obecnością.

– Nie zbliżaj się, błagam.

No proszę, a nie wierzyła, kiedy ją zapewniano o dużej wrażliwości księcia. Zatrzymała się w miejscu, odstawiła świecę na ziemię, tak żeby ładnie oświetlała jej sylwetkę, i zaczęła się powoli rozbierać. Mężczyzna stał pod ścianą, spięty, ze wzrokiem wbitym w podłogę, ale zerkał chwilami w jej stronę. Jeśli prawdą było, że nigdy nie widział nagiej niewiasty, musiał być ciekawy.

Zdjęła buty, suknię i gieźło.

– Nadal jestem taka straszna?

Książę nie patrzył na nią. Zamknął oczy, a jego wargi poruszały się miarowo.

„On się modli” – zrozumiała Sorina. – „Biedaczek”.

Podeszła do niego powoli. Jak dobrze pójdzie, to nie będzie cierpiał – wystarczy, że nie otworzy teraz oczu.

– Stój. – Zatrzymał ją nagle, wyciągając przed siebie rękę w rozpaczliwym gście.

Zaraza, nie miała pewności czy z tej odległości ostrze sięgnie serca. Ujęła delikatnie jego dłoń i położyła sobie na piersi.

– Już dobrze, zobacz, to całkiem przyjemne – wyszeptwała uspokajająco.

Nagle zdała sobie sprawę, że faktycznie było przyjemne, chociaż nic nie robił, ledwie pozwalał, by palce dotykały jej ciała. Poczuła, jak sztywnieją jej sutki, podniecenie odzywa się bolesnym uciskiem w dole brzucha, a strużka wilgoci spływa po udzie. Nie była może cnotliwą białogłową, ale coś takiego nie zdarzyło jej się nigdy. Spojrzała zaskoczona na mężczyznę, który też teraz patrzył prosto na nią. Jak mogła wcześniej nie zauważyć, że jest tak przystojny? Oddech Soriny zwolnił, wyobraźnia podsunęła obraz ich ciał splecionych w miłosnym uścisku.

– Straż! – krzyknął. – Straż!

Wiedziała, że musi się ruszyć. Przecież gdy tylko żołnierze wejdą do komnaty, zobaczą sztylet przymocowany na jej plecach. Nie mogła nic zrobić. Woląca zginąć niż oderwać wzrok od jego

twarży, przerwać jego dotyk i nigdy się nie dowiedzieć, jak smakują jego usta...

– Ona ma broń!

– Nic ci nie jest, panie?!

Usłyszała te słowa przez mgłę. Szarpnięta za ramię, upadła na kolana. Miała ochotę oddać się wartownikom, byle tylko ktoś rozładował to pożądanie.

– Nic ci nie jest? Panie...?

– Nie podchodźcie do mnie... zwłaszcza teraz.

* * *

Radu biegł przez korytarz, choć brakowało mu tchu, a pot perlił się na czole. Gdy obudzono go w środku nocy, by poinformować o zamachu, nie mógł uwierzyć. Nie wiedział tylko, w co bardziej: w szczęście, że nic się nie stało, czy we własną głupotę? Wpadając na pomysł z damą do towarzystwa, sam wręczył zamachowcom klucze do komnaty Mircei. Chyba powinien przekazać stanowisko młodszemu, skoro popełniał tak kardynalne błędy.

Przed drzwiami sypialni panicza stało teraz nie dwóch, a czterech strażników. Piątym mężczyzną był kapitan Varujan, krążący w tę i z powrotem jak rozsierdzony szerszeń.

– Nic mu nie jest? – wysapał Radu.

– Nic, jest tylko wściekły, choć nawet nie w połowie tak jak ja – warknął Varujan.

Radu zatrzymał się, zaskoczony. Złość była zdecydowanie czymś nowym w przypadku Mircei.

– Stary głupiec – kontynuował tymczasem rycerz, nie zważając na to, że beszta nadwornego doradcę na oczach pospolicznych wartowników. – Sprowadzić do następcy tronu dziwkę, niesprawdzoną, z zewnątrz. Może trzeba było osobiście wbić mu nóż w plecy?

– Wiem, to był zły pomysł – Radu nie wiedział, co powiedzieć, by uciszyć Varujana.

– To byłby zły pomysł, nawet gdyby wszystko poszło po twojej myśli, choć, na miły Bóg, nie wiem, co chciałeś osiągnąć, dręcząc to skrzywdzone dziecko!?! Mamy szczęście, że nic mu się nie stało, chędożone szczęście...

– Mogę z nim porozmawiać? – przerwał mu Radu.

Nie potrzebował pozwolenia, chciał tylko przerwać słowotok kapitana. Nie czekając na kolejną tyradę, wszedł do sypialni panicza.

Mircea był sam, a w komnacie paliło się tyle świec, że wokół było jasno jak za dnia. Stał w otwartym oknie, plecami do niego.

– Proszę o wybaczenie, mój panie, faktycznie jestem starym głupcem – powiedział Radu, bo nie wiedział, jakimi słowami ma się odezwać.

– Powiedziała, że ty ją przysłałeś, a wartownicy to potwierdzili – wycedził przez zęby młodzieniec.

– Przysłałem dziwkę, panie, nie zabójczynię. Ktoś wykorzystał mój błąd.

– Całe życie ćwiczę i modłę się, by zachować czystość, a ty chciałeś tak po prostu podjąć za mnie decyzję? Jakim prawem?

Radu czuł się okropnie, słysząc wyrzuty, ale w duchu cieszył się z tej księżęcej złości. Przynajmniej pierwszy raz Mircea odpowiadał pełnymi zdaniem.

– Panie, jesteś przystojnym mężczyzną w kwiecie wieku. Po co chcesz zachowywać czystość? Dlaczego boisz się, że każdy, kto się do ciebie zbliży, spróbuje cię pohańbić? Mnisi zatruli twój umysł. Chciałem ci pokazać, że dotyk może być dobry.

Nagle Radu zdał sobie sprawę jak głupio to zabrzmiało w kontekście tego, co faktycznie wydarzyło się dzisiejszego wieczora. Młodzieniec prychnął i odwrócił się w jego stronę.

– Ty nic nie rozumiesz. Im bliżej mnie ktoś się znajduje, tym mocniej na niego działam. Podejdz tu i daj mi rękę – rozkazał Mircea. Rozchełstał koszulę na piersi i przytknął dłoń starszego mężczyzny do skóry. – A teraz spójrz mi w oczy i powiedz, że nic nie czujesz.

Po raz pierwszy nie uciekał wzrokiem, nie cofał się, a Radu, który nigdy najmniejszych skłonności do własnej płci nie przejawiał i od kilku lat nawet przeciwnej przestał płacić za daremne próby rozbudzenia lędźwi, poczuł, jak w jego podbrzuszu wybuchła ogień, a kuśka twardnieje i unosi się niespodziewanie.

– Ty jesteś... zburatorem – wyjąkał doradca.

Logiczny umysł Radu bronił się przed opowieściami prostego ludu, ale znał je przecież. Również tę o upiorze miłosnym pod postacią przystojnego mężczyzny, któremu nikt nie mógł się oprzeć bez względu na płeć i cnotliwość. Miał on nawiedzać młode niewiasty we śnie i czynić z nimi nieprzyzwoite rzeczy. Czy to możliwe, że księżna uległa zburatorowi i dlatego od początku ukrywała ciążę, a służbie zakazała wspominać o narodzinach dziecka?

– Tylko dlaczego nikt na zamku niczego nie poczuł? – myślał głośno Radu.

Wydało mu się nieprawdopodobne, by tak potężny upiór, choćby półkrwi, mógł uchodzić za człowieka.

– Nie poczuł czy nie powiedział? Tego przecież nie widać, a mężczyźni nie przyznają się do takich rzeczy. Myślisz, że dlaczego kapitan był gotów zabić mnichów, gdy tylko się do mnie zbliżył tam w lochu? Dlaczego medyk zaczął mnie tytułować „miłością”, gdy tylko zobaczył mnie w łaźni? Dlaczego ty sam zapragnąłeś mojego szczęścia?

Radu nagle zrozumiał. Przemowa rozsierdzonego Varujana pod drzwiami sypialni; picie medyka, jakby z żalu za niespełnioną miłością; płatna zabójczyni, która nie wykonała zlecenia, i wreszcie jego własne szkolne błędy.

– Sprawiasz, że się w tobie zakochujemy – wyszeptał Radu.

– Nie sprawiam – pokręcił głową młodzieniec. – Ja nie jestem w stanie tego powstrzymać. Dlatego błagałem, żeby wszyscy trzymali się z daleka, zanim uznacie, że jestem zbyt niebezpieczny i znów mnie zamkniecie.

– Zatem tylko tego się bałeś przez cały czas? Że cię zamknjemy...

– Tylko? – powtórzył Mircea z gorzkim śmiechem. – Potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest przez lata nie wiedzieć, czy jest noc, czy dzień? Nie widzieć błękitu nieba ani blasku gwiazd? Nie czuć na skórze wiatru, deszczu i promieni słońca? Nie móc chodzić po trawie, biegać albo pływać? Jak to jest zostać skazanym w wieku dziesięciu lat na lochy za coś, na co zupełnie nie masz wpływu, i nie móc żywić nawet cienia nadziei, że kiedykolwiek zostaniesz uwolniony?

Młodzieniec osunął się na kolana i zaniósł głośnym szlochem, a Radu, chociaż czuł, jak ten płacz rozdziera mu serce, pamiętał, że nie może położyć mu dłoni na plecach.

– Masz ogromną moc, panie, możesz ją wykorzystać. Ten wstyd, który nie pozwala nikomu się przyznać do pożądania, nawet przed samym sobą, będzie twoim sprzymierzeńcem – powiedział cicho doradca.

– Nie rozumiem.

– Gdy zasiądziesz na tronie, ludzie wytłumaczą sobie wszystko, co do ciebie czują, ksiązęcym majestatem. Polityczni przeciwnicy nie będą się w stanie skupić, zamachowcy raczej sami odbiorą sobie życie, dowódcy pójdą za tobą w ogień, a poddani oszałeją na twoim punkcie. Do tego księżniczki z całego kontynentu będą słały oferty matrymonialne, nie pytając o zgodę ojców. Jako gospodar będziesz mógł zarządzić, by nikt nie zbliżał się

na odległość stu kroków ze względów bezpieczeństwa. Pomyśl, będziesz wolny. Cały kraj może cię kochać i nikt nie zauważy w tym niczego dziwnego.

Młodzieniec uśmiechnął się przez łzy.

– Co musiałbym zrobić?

* * *

Bojarowie nie wyglądali na zachwyconych i Radu wcale im się nie dziwił. Wszyscy czcigodni mężowie, jak tu siedzieli, zapewne już lata temu zawiązali lepsze lub gorsze sojusze z potencjalnymi kandydatami do tronu. Istnienie prawowitego dziedzica, który nie reprezentował niczyich interesów, choć tak korzystne dla kraju, nie było im na rękę.

– Zgodnie ze zwyczajem przedstawiam poświadczenie medyka – kontynuował tymczasem Radu. – Świadcstwa braci z opactwa Cozia, przywiezione osobiście przez kapitana Varujana, oraz zeznania służby, która towarzyszyła księżnej w dniu narodzin jej syna.

– Papier wszystko przyjmie – powiedział Cosmin, jeden z jego głównych przeciwników. – A nas tu dochodziły różne plotki na temat stanu dziedzica. Czemu nam go jeszcze nie przedstawiono, skoro jest tak idealny?

Zgodny pomruk przebiegł przez salę. Radu skinął głową służącemu, który wymknął się bocznymi drzwiami. Po chwili główne wrota otworzyły się szeroko i kiedy wszedł przez nie Mircea, wszyscy wstrzymali oddech.

Nosił koszulę ze stójką zapinaną na szyi i atłasowe rękawiczki, bo jak odkryli z Radu, im mniej ciała odsłaniał, tym bardziej zwyczajny wydawał się rozmówcom. Kiedy jednak znajdował się z ludźmi w jednym pokoju, jego niewidoczny czar rozchodził się jak pachnidło.

Wzbudzał pożądanie, ale większość mężczyzn nie dopuszczała do siebie tej myśli. Dlatego część reagowała miłością, wielu podziwem, najstarsi życzliwością, a nieliczni gniewem.

– Szlachetni panowie – powiedział książę, skłaniając głowę. – Wybaczcie, że zjawiam się tak późno, ale żyłem dotychczas jako prosty mnich i teraz dokładam wszelkich starań, by nauczyć się waszych zwyczajów i nie uchybić etykietcie.

Bojarowie nie wiedzieli, że młodzieniec przećwiczył tę kwestię chyba ze sto razy, nim Radu uznał, że wypowiada ją z należytą płynnością i pewnością siebie.

– Rozumiemy, panie, szczególne okoliczności, ale... – Cosmin już szykował się do ataku, więc Mircea spojrział na niego, poświęcając mu całą swoją uwagę. – Ale...

Radu nie bez cienia satysfakcji obserwował, jak przeciwnik blednie, a krople potu występują mu na czoło. Ciekawe, jak Cosmin zamierzał wytłumaczyć pozostałym bojarom, jaka dolegliwość ze strony ciała uniemożliwia mu kontynuowanie myśli?

– Duszno tu, niech służba otworzy okna – wyrzucił z siebie nagle mężczyzna, nie kończąc poprzedniego zdania.

Mircea zasiadł na wskazanym krześle i chociaż nie był to jeszcze tron, majestat, jaki towarzyszył jego ruchom, nie pozostawiał wątpliwości, że młodzieniec urodził się, by zostać hospodarem. Lud oszaleje na jego punkcie.

Michał Niedźwiedzki
POCHYŁONY



Michał Niedźwiedzki – Ślązak, prawnik, a przede wszystkim miłośnik dawnych dziejów. Zawsze marzył o podróży w przeszłość. Smutny fakt, że to niemożliwe, rekompensuje sobie tworzeniem własnych małych historii z tą wielką w tle. Fantastykę lubi przede wszystkim za to, że potrafi doskonale rzucić światło na ludzkie dylematy.

Łukasz P. usiadł ostrożnie przy jednym ze stolików o metalowych nogach i blacie ze sklejki. Nigdy dotąd nie był w podobnym miejscu i czytelnia akt sądu w J. przywodzi mu na myśl szkolną klasę. Przed sobą ma biurko urzędnicze, podobne do stanowiska nauczyciela. Za nim wzdłuż ściany ciągną się przeszklone regały.

Z tyłu zaś... Choć Łukasz nie patrzy do tyłu, wie dobrze, że pod przeciwległą ścianą zajął miejsce Pochylony.

Swoim zwyczajem początkowo nie prezentuje się on zbyt okazale. Z daleka można by go wziąć za zgarbionego starca. Miejsce, w którym stoi, oraz krzesło Łukasza dzieli jednak tylko kilka metrów. Gdyby zatem P. się obrócił, ujrzałby dokładnie, że Pochylony starcem nie jest. Starcy w końcu z rzadka chadzają w ciemnych powłóczystych szatach. Nie mają też raczej kilku par oczu oraz zielonej jak u topielca twarzy pokrytej przypominającymi ukwiał wypustkami. Z ich tułowi zamiast ramion nie wystają po jednej stronie mackowate zwoje, a po drugiej ułożone w wiązki ostrza.

Oczywiście Łukasz nie obraca się. Mimo to jest pewien, że z każdą minutą, jaka mija w oczekiwaniu na zamówione akta, Pochylony rośnie. Wysuwa się ze swojego miejsca przy ścianie niczym szykująca się do ataku gigantyczna kobra, skłaniając się coraz bardziej ku mężczyźnie i rzucając na niego swój cień. Łukaszowi mówi o tym jego ciało. Przede wszystkim fabrykujący ten obraz mózg, ale nie tylko. Także gruczoły produkujące pot, którego plamy pożerają koszulkę, oraz te wydzielające hormony. Za ich sprawą mężczyźnie coraz bardziej drżą mięśnie, włosy na karku stają dęba, krew krąży w żyłach szybko jak po ciężkim treningu, a usta są suche jak po ciężkim przepiciu. Tak działa cień Pochylonego.

Dookoła są, rzecz jasna, inne osoby. Przy biurku ledwie widoczna zza zwałów teczek urzędnicza. Przy stołach paru

prawników różnej płci i wieku. Jest nawet muskularny policjant, którego odznaka błyszczy z leżącego na blacie, zapinanego na suwak skoroszytu. Szeleści papier, zgrzytają aparaty smartfonów. Ale wszystko to nie jest w stanie pomóc Łukaszowi. Kiedyś nieomal zginął pośrodku zatłoczonego biura, kiedy zwieszający się nad nim cień Pochylonego przeciążył jego serce.

Przerażone potworem z szafy dzieci wiedzą, że prawdziwa groza nie potrzebuje opuszczonych ruin czy dzikiego lasu. Przeciwnie, pełza zawsze tuż obok ludzi. Wiedzą to również ci, którzy jej zaznali.

Łukasz wierci się na krześle, mruży oczy i oddycha coraz płycej. Policjant, dostrzegłszy to, zaczyna się niepokoić. Pewnie niedługo zapyta, czy wszystko w porządku. To się zdarza często, choć nigdy nie krzyżuje Pochylonemu szyków.

– Wszystko w porządku? – Pytanie pada po chwili, wypowiedziane jednak kobiecym głosem.

P. unosi powieki, które zacisnął nie wiedzieć kiedy. Podeszła do niego pracowniczka sądu z wózkiem pełnym akt. Kładzie jedne przed Łukaszem.

– Tak, wszystko w porządku – kłamie mężczyzna.

Teczki pachną kurzem, a niegdyś czerwone pasy, znaczące ich okładki, mają teraz rdzawy kolor krwi zaschłej wokół podziurawionych ostrzem włók. Odcinają się od niego nadrukowane tłustoczarными literami numery artykułów kodeksu karnego oraz nazwisko. To samo, które nosi Łukasz.

Widząc je, z dojmującym bólem przelyka dławiącą gardło gulę. Czuje, że Pochylony jest tuż nad nim. Ostrza, macki oraz ukwiłowate narośle niemal łaskoczą kark mężczyzny. Cień sprawia, że Łukasz zamiast czytelnego widzi tylko mroczny tunel.

Bierze głęboki wdech i otwiera teczkę. Wie, że musi to zrobić.

Ale już rzut oka na spis treści starcza, aby mężczyzna wiedział, że jednak nie da rady. Zrywa się z krzesła, porywa kurtkę i bez słowa biegnie do drzwi.

Otwierając je, kątem oka dostrzega miejsce, z którego wysuwał się przed momentem Pochylony. Ciemniej tam stojący drewniany wieszak, na którym zawieszono kilka prawniczych tóg.

* * *

Podobny wieszak, choć z jedną togą, stoi w rogu adwokackiego gabinetu. Łukasz ma go cały czas na widoku ze swojego

miejsca po drugiej stronie biurka. Pochylony wychodzi więc tylko na ułamki sekund, kiedy mężczyzna mruga, niczym w rozblyskach potwornego flesza. To jednak wystarcza, aby groza odmalowała się na twarzy P., a prawnik patrzył na swojego klienta z wyraźną troską.

– Na pewno życzy pan sobie otrzymać wydruki wszystkich kart? Bez wyjątku? – pyta. – I jest pan pewien, że nie chce ich pan przejrzyć razem?

Łukasz patrzy na stojącą obok jego krzesła dużą siatkę z supermarketu. Unosi ją lekko za tkane z tworzywa sztucznego uszy. Wydrukowane fotografie akt są ciężkie, choć nie tak, jak spisane na nich nieszczęście. Mężczyzna zastanawia się chwilę nad propozycją adwokata, w końcu jednak kręci głowę. Nie, musi mieć przy lekturze jak największą swobodę. Chce móc drzeć, krzyżeć, a w razie potrzeby skulić się na ziemi niczym embrion. Po to właśnie zlecił wykonanie zdjęć.

Idzie więc na wieczorny tramwaj i zawozi trzeszczący od zła wór do swojego mieszkania. Na dwudziestu dziewięciu metrach kwadratowych brak czegokolwiek, co przypominałoby stojak na togi. Najwyższe meble sięgają brzucha mężczyzny. Jest tak, ponieważ to z szaf, regałów czy stojących lamp najczęściej wychodzi Pochylony. Lecz ten, niestety, nie zawsze potrzebuje czegoś podobnego. Kiedyś na przykład pojawił się całkowicie znikąd, gdy Łukasz jeszcze jako smarkacz pewnego wieczora zaprosił do siebie równie smarkatą dziewczynę. Oczywiście nie wyszło nic z tego, po co nastolatki wieczorami odwiedzają nastolatków, i kolejnych dziewczyn już nie było. Za sprawą Pochylonego w mieszkaniu Łukasza brakuje zatem nie tylko wysokich mebli, ale też innych ludzi.

Mężczyzna siada na kanapie, a na fotelu obok kładzie siatkę. Patrzy w jej stronę niczym na przybysza niosącego złą nowinę. To pierwszy gość, który zawitał u Łukasza od momentu, kiedy odszedł Młody.

„Odszedł” to zwykle mało trafny eufemizm dla słowa „umarł”. Tym razem jednak pasuje, gdyż Młody z własnej woli postanowił opuścić świat żywych, anonsując decyzję nieodbieranymi przez kilkadziesiąt godzin telefonami, koniecznością wezwania strażaków i wanną czerwoną od krwi. Pytanie, dlaczego to zrobił, draży nieustannie mózg Łukasza, tak jak robactwo draży teraz ciało jego brata. Matka, nim sama odeszła, mówiła przecież, że Młodego ominęło to, co spotkało Łukasza. Z drugiej strony brat zawsze był delikatniejszy. Może dlatego, że młodszy.

Mężczyzna pamięta powtarzane ciągle przez terapeutkę słowa, że nie powinien czuć się odpowiedzialny za śmierć brata, ale nic to nie zmienia. Poczucie winy ścisła mu czaszkę na podobieństwo upiornego dziadka do orzechów. Sprawia cierpienie, ale staje się też jednym z impulsów do tego, by sięgnąć po akta. Drugim impulsem jest pewien boleśnie odporny na słowa terapeutki oraz wszelkie interpretacje fakt.

Po odejściu Młodego Łukasza nie został już nikt. Nikt oprócz Pochylonego.

Mężczyzna czuje za sobą powoli zbierający się cień. Sięga więc do torby, gdzie z pewnością Pochylonego odnajdzie. Jednocześnie uświadamia sobie, że pierwszy raz sam wychodzi mu naprzeciw. Pomimo pełnączących po plecach dreszczy przerażenia w myśli tej jest coś wyzwalającego.

P. wyciąga z siatki dający się objąć dłonią plik, kładzie go na stole i odwraca arkusz po arkuszu. Spis treści. Notatki służbowe policjantów. Raport dyżurnego. Kolejne opatrzone w rogu krzywo wypisanymi numerami karty migają przed oczami, po czym lądują na blacie, obrócone do góry niegroźną pustą stroną. Papier szeleści szybciej i szybciej niczym rozpędzający się pociąg – aż w końcu mężczyzna dobiega do protokołu oględzin mieszkania.

Ostrożnie unosi pierwszą stronę, wypisany koślawo długopisem formularz. Na drugiej zaczynają się fotografie. Przełyka ślinę i przymyka oczy. Palce zaczynają mu drżeć, jakby arkusz papieru niespodziewanie nabrał ciężaru kamiennej płyty. Łukasz zadaje sobie pytanie, czy jest gotów, aby przejść dalej. Nie! – szepcze ciemność pod powiekami, w której coraz bardziej rozpiera się Pochylony.

Serce bije mocniej z każdym uderzeniem, ale P. otwiera oczy i odwraca pierwszą stronę protokołu. Chce zobaczyć Pochylonego w miejscu, z którego ten przyszedł.

Protokół powstał przed rozpowszechnieniem fotografii cyfrowej. Ktoś pracowicie naklejał więc wywołane zdjęcia po dwa na kartkę i ręcznie opisywał poniżej. Mężczyzna nie czyta jednak adnotacji. Jego mózg całkowicie pochłaniają obrazy świata, w którym spędził dzieciństwo. Widzi ten świat pierwszy raz od chwili, kiedy ubrany w piżamę w jabłuszka, prowadzony za rękę przekroczył pewnej nocy próg mieszkania. Ogląda więc wysokie jak to w starej kamienicy ściany, linoleum imitujące parkiet, przykryte tu i ówdzie dywanami, ozdobiony serwetą telewizor,

kwietniki z grubego drutu, meblościankę. Nie pamiętał większości tych rzeczy, ale teraz szczegóły we wspomnieniach wracają niczym wczytujące się tekstury gry komputerowej. Wszystko to obrazy z dużego pokoju.

Tymczasem po kawalerce Łukasza płoży się znów cień Pochylonego. Już nie tylko dłonie mężczyzny drżą. Niewidzialna pętla ściska mu gardło. Mimo to P. odchyła kolejną stronę.

Tak jak przewidywał, są na niej dwa zdjęcia z małego pokoju, który zajmowali z Młodym. To na drugiej fotografii oraz prawdopodobnie na kolejnych widać obraz, który zapewne wystraszyłby każdą inną osobę. Ale Łukasza nie ma szansy nawet zainteresować. Rozszerzające się w przerażeniu źrenice przywiązują do siebie pierwsze zdjęcie. Przedstawia widok ogólny pomieszczenia. Można na nim dostrzec drugą, mniejszą meblościankę, ustawioną na prawo od drzwi. Najbliższą względem obiektywu częścią mebla jest wysoka regałoszafka.

Usta mężczyzny otwierają się. Zaczyna krzyczeć, choć jego zmysły są zbyt ogarnięte grozą, aby był tego świadom.

Regałoszafkę wieńczy plastikowy kosz w kolorze brudnego seledynu. Jest duży, rozszerza się ku górze i stoi nieco przekrzywiony, przez co można odnieść wrażenie, że cały mebel pochyła się w kierunku stojącego poza kadrem łóżka. Przez oczka w boku kosza widać kolorowe zabawki. Górą wystaje niby-indiański pióropusz, pamiątka po kostiumie na bal przebierańców. Z boku regałoszafki przybito metalowe haczyki z zabezpieczającymi gałkami. Zwisają z nich skakanka oraz dwa tekstylne worki na rozsiewające zapach gumy szkolne halówki.

Po paru sekundach wpatrywania się w zdjęcie Łukasz w panice upuszcza kartki, które rozsypują się po ziemi. Kładzie się pośród nich, faktycznie zwinęty jak embrion. Dopina jednak swego. Spojrzał prosto na Pochylonego i udało mu się przeżyć.

* * *

Następnego ranka zbiera wydruki na kupkę, tak żeby uniknąć patrzenia na nie, po czym rusza do pracy. Kolejne osiem godzin spędza ze słuchawkami na uszach, za pieniądze międzynarodowej korporacji pomagając rozwiązywać problemy techniczne klientom z całego świata.

Wiele innych osób przychodzi tu jak do czyścica, w którym zaciska się zęby w nadziei na awans. P. nie należy do tej grupy.

Próbował robić różne rzeczy, ale zawsze po jakimś czasie przychodził gorszy okres. Wówczas obecność Pochylonego w miejscu pracy stawała się na tyle silna, że w ten czy inny sposób skutkowało utratą posady. Aż w końcu znalazł idealne dla siebie zajęcie. W pracy na helpdesku nie spotyka się w zasadzie z nieznanymi ludźmi i nie przemieszcza, a w open space brak wysokich mebli. Komunikowanie się w obcym języku pochłania umysł w niemal stu procentach, przez co brak mu już wolnych mocy obliczeniowych, które mogłyby porazić wirus strachu. Dodatkowo pensja jest całkiem wysoka, zwłaszcza jak na chłopaka o przeszłości takiej, jaką ma Łukasz.

Dzięki temu może sobie pozwolić na spotkania z terapeutką. Ta wytłumaczyła mu, jak seledynowy kosz zamienił się w topielczą twarz o mnóstwie oczu, pióropusz w wiązkę ostrzy, haczyki w paskudne narośle, a skakanka w macki. Zresztą – podkreśla terapeutka – w gruncie rzeczy zawsze to wiedział. Nie był w końcu aż taki mały, kiedy tata przychodził w nocy, by pochyłać się nad nim, i gdy wlepiął wzrok w regałoszafkę, wyobrażając sobie, że to ona pochyła się nad tatą. Pochylony przyszedł na świat wówczas, a może pojawił się w nocnych lękach dziecka już wcześniej. Trudno stwierdzić. Terapeutka jest natomiast pewna, że to przez wydarzenia związane z ojcem Pochylony został z Łukaszem.

Sesje wiele P. dają, lecz mimo to nie mówi kobiecie wszystkiego. Przemilcza część faktów oraz odczuć związanych z ostatnią nocą w rodzinnym mieszkaniu. Nie mówi też, że zdobył fotokopie akt i postanowił je przeczytać. Nie chce teraz przechodzić przez skomplikowany proces rozkładania wszystkiego na czynniki pierwsze. Woli też nie narażać się na to, że terapeutka będzie mu lekturę wydruków odradzała. Czuje, że jeśli nie zbada kryjącej się w nich tajemnicy, nigdy nie będzie pewien, czy kobieta ma rację co do najważniejszego pytania.

Za mężczyzną całe życie kroczy obawa. Została przygłuszona przez terapię, ale teraz wróciła ze zdwojoną siłą za sprawą śmierci Młodego. Łukasz cały czas lęka się, że Pochylony istnieje i jest w stanie go osiągnąć. Nie jego cień, zdolny wywołać atak paniki, spływający oddech aż do omdlenia, blokujący dopływ krwi do serca czy robiący cokolwiek jeszcze, co można wyjaśnić wpływem choroby psychicznej – lecz sam upiorny stwór ze swoimi ostrzami.

Sprawa, której akta czekają w domu, nie dotyczyła czynów lubieżnych, lecz cięższego przestępstwa. Owej nocy zginął ojciec Łukasza.

Na potworną ironię zakrawa fakt, że na zdjęciach mężczyzna widzi swojego rodzica po blisko dwudziestu latach uchwyconego niemal dokładnie w tym samym momencie, w którym oglądał go po raz ostatni. Jedynie plama wokół leżących twarzą do startego linoleum zwłok jest nieco większa oraz jaśniejsza. Kiedy zabierano małego P. z pokoju, była prawie czarna i rosła, całkiem jakby z ojca wydobywało się płynne zło.

Mężczyzna nie studiuje zdjęć zbyt dokładnie. Na to jeszcze być może przyjdzie czas. Dzisiaj chce dłużej stawić opór Pochylonemu. Czuje, że dzisiaj mu się to uda, ponieważ wie, że nie znajdzie go już w samych aktach. Dla świata, którego są one odbiciem – realnego świata – Pochylony istnieje wyłącznie jako segment starej meblościanki. Łukasz mimo wszystko wierzy w to teraz chyba mocniej niż kiedykolwiek. Za śmierć ojca odpowiadać musi więc ktoś inny. Człowiek. P. chce ostatecznie się przekonać, kto nim jest.

Wertuje więc kolejne strony, aż trafia na protokół przesłuchania matki. Znów pierwsza kartka to formularz, choć tym razem wypisany starannie. Mężczyzna zatrzymuje się, bo wie, że na kolejnej stronie odnajdzie zapisane w ten sam sposób zeznania. Przełyka ślinę, a serce zaczyna bić mu szybciej.

Oczywiście P. zdaje sobie sprawę, że to matka została uznana winną zabójstwa męża. Nie jest pewien, czy kiedykolwiek ktoś powiedział mu to wprost, ale w końcu z tego powodu trafili do pogotowia opiekuńczego, a następnie do domu dziecka, skąd ponura opiekunka raz na dwa miesiące woziła ich na widzenia pod stalową bramę zakładu karnego. Chce się jednak o tym przekonać. Samemu poznać szczegóły, które przecież – bo jak inaczej? – musiał widzieć, a które wyparowały z pamięci, pożarte przez Pochylonogo.

Mimo wszystko czuje za plecami jego spinającą mięśnie i kurczącą myśl obecność. Jest dużo słabsza niż poprzedniego dnia, ale P. zamiera, ważąc w palcach ciężar pierwszej strony protokołu. W jakim stanie była matka, kiedy składała zeznania? Czy od razu się przyznała? Czy opisywała, co ojciec im robił? Czy w ogóle coś powiedziała?

Boi się odpowiedzi na te pytania, może nawet bardziej niż Pochylonogo. Kiedy uświadamia sobie ten sukces, czuje w sobie siłę, by odwrócić kartkę.

Zeznania nie są długie, mieszczą się na dwóch kolejnych stronach. Z tego powodu Łukasz w pierwszym odruchu bez większych

obaw gładko biegnie wzrokiem po kolejnych rzędkach okrągłego pisma.

Niespodziewanie nadziewa się pośród nich na pewne słowa niczym na potłuczone szkło.

Początkowo nie w pełni dociera do niego, co oznacza ich obecność w tym miejscu. Jest zbyt nienaturalna. Z niedowierzaniem cofa się więc do początku wyjaśnień, by przeczytać całość raz jeszcze.

Ciało Łukasza pokrywa warstwa potu. Wargi zaczynają drżeć. Gardło zaciska się jak pod twardym chwytem dusiciela. Oczy zachodzą łzami. Ledwie widzi ostatni fragment protokołu. Wie jednak, że nie myli się co do jego treści.

Pomylił się za to co do tego, że nie spotka już w aktach Pochylonego.

„Mojego męża – wyjaśniła matka prokuratorowi i policjantom – zabił Pochylony”.

* * *

Rano Łukasza budzi chłód kafli łazienkowej podłogi. Nie jest pewien, jak się na nich znalazł, choć musiało to nastąpić w burzliwych okolicznościach, bo ma rozbitą głowę, w kieszeni spodni telefon, a na plecach kurtkę. Kiedy wraca do pokoju, napotyka Pochylonego. Stoi on nieruchomo, całkiem jakby chciał zastąpić lampę, regał czy inny sprzęt, nieistniejący w mieszkaniu za jego sprawą.

Nie musi już pojawiać się na chwilę czy przerażać z doskoku, aby o sobie przypominać. Akta niezbitcie potwierdziły jego istnienie, chociaż miało być zupełnie na odwrót.

Mężczyzna na ten widok, niewiele myśląc, ucieka z mieszkania. Na dworze zaczyna go parę osób. Wskazują na zakrwawioną głowę i rozwiązane buty. Dzwoni też telefon, pewnie z pracy, w której P. powinien być. Łukasz nie zwraca jednak na to wszystko uwagi. Cały czas myśli o Pochylonym – wypisanym w zeznaniach matki oraz stojącym nad nimi ponuro niczym szubienica. Z początku mruży oczy i rozgląda się na boki w obawie, że Pochylony ruszy w pogoń. Nic takiego jednak się nie dzieje, trochę jakby prześladowca był spokojny, że przecież P. i tak w końcu wróci.

Po paru kilometrach błędnego krążenia po mieście mężczyzna uspokaja się na tyle, że zaczyna względnie rzeczowo analizować sytuację. Czy na pewno w aktach napisano to, co przeczytał? Nie

pamiętał dobrze zakończenia wczorajszej lektury, ale wiedział, że był w wystarczająco złym stanie, by sobie coś uroić. A nawet jeżeli tamte słowa wypisano w protokole, musiało przecież istnieć racjonalne wytłumaczenie. Policja, sąd i prokuratura nie mogli tak po prostu przyjąć tego, które podała matka.

Nie przyjęli – mówił mężczyźninie jakiś głos, mroczny i chłodny jak wszystko w obecności Pochylnego – tak jak nikt nigdy nie uwierzył tobie, mimo tego, co zostawiłeś za sobą w kącie kawalerki.

Łukasz czyni jednak postanowienie, by wrócić do lektury akt. Musi sprawdzić, czy matka rzeczywiście to powiedziała i co naprawdę znaczący jej słowa.

Gdy wchodzi z powrotem do mieszkania, Pochylnego już nie ma. Łukasz, chcąc to wykorzystać, zbiera rozrzucone kartki i układa je na stole. Odnajduje protokół. Kiedy bierze go do rąk, czuje narastające napięcie. Zamyka oczy i wyrównuje oddech. Musi się uspokoić, przygotować. Nie chce, by skończyło się jak poprzedniego dnia. Odkłada więc starannie wydruki zdjęć protokołu na stół, idzie do kuchni i przygotowuje sobie już mocno późnione śniadanie.

Kiedy wraca do pokoju, talerz i szklanka z trzaskiem lądują na podłodze.

Tym razem Łukasz chowa się w łazience. Później zdarza mu się jeszcze parę razy uciec z mieszkania. Opuszcza je też na parę nocy, ale nie pomaga to na długo. Prędzej czy później Pochylny rusza za nim, wyłaniając się z rozkładu jazdy na przystanku czy zegara w hotelowym lobby. Nie jest tak uciążliwy, jak był wcześniej w przeszłości – raczej przypomina P., że ostatecznie spotkają się sam na sam w zaciszu kawalerki.

Po pewnym czasie mężczyźninie przyzwyczajają się do jego obecności. Odbywa się to nie bez wpływu na codzienne funkcjonowanie, ale bywało gorzej. W mieszkaniu każdego dnia Łukasz spuszcza wzrok coraz niżej, coraz mocniej zaciska zęby, bardziej odwraca głowę i głębiej połyka grozę. Omija miejsce, gdzie stoi Pochylny. Tylko rozrzucone wydruki akt, bielejące wokół niczym kości przed jamą potwora, przyciągają wzrok i myśli.

Może to za ich sprawą strach nie zjada zupełnie umysłu P. W fakcie, że Pochylny po raz pierwszy zainstalował się w kawalerce akurat teraz, jest coś z desperackiej obrony. Dzięki temu gdzieś za kokonem paniki została nadzieja, że rozrzucone kartki przyniosą jednak odpowiedź, mogącą odesłać go raz na zawsze w otchłań, z której się wyłonił.

Łukasz parę razy zbiera się w sobie, żeby zebrać kartki albo chociaż poprosić adwokata o przesłanie cyfrowej wersji ich fotografii. Za każdym razem jednak zamiary te potęgują grozę, przędcą sieć wątpliwości, która ciasno oplata wolę.

Po co próbować? Prawda, może czuje się coraz gorzej i traci kontrolę nad swoim życiem, ale zawsze miał jej niewiele. Przecież dobry czas nie może trwać wiecznie.

Rozmyśla o tym przez następne dni i w lepszych chwilach, na terapii albo z dala od mieszkania, dochodzi do wniosku, że właśnie dlatego, że ostatnio żył względnie normalnie, musi podjąć walkę. W pracy nie będą wiecznie poprzestawać na ostrzeżeniach, a od początku historii z aktami otrzymał ich parę.

Kiedy wraca do mieszkania, sieć inaczej układa swoje sploty. Nie ma sensu próbować, bo i tak się nie uda. Parę razy już nieomal zginął przez Pochylonego, który ścigał go wszędzie jak wściekły ogar. Jeśli Łukasz wyjdzie mu naprzeciw, najpewniej tego nie przeżyje. Przecież w gruncie rzeczy nigdy nic mu nie wychodziło. Czemu teraz miałyby być inaczej?

Ta myśl wystarcza, aby Łukasz kulił się w kącie pokoju, a także aby przeoczył termin zapłaty ubezpieczenia samochodu. Z powodu nałożonej kary musi przerwać terapię. Mimo że nie mówił terapeutce o spektakularnym powrocie Pochylonego, bez spotań wszystko coraz bardziej wyslizguje mu się z ręk.

Ale to znaczy – uświadamia sobie w końcu, leżąc w nieświeżej pościeli, w której przeleżał cały weekend – że inni potrafią pomóc z jego problemami. Może z czyimś wsparciem zdoła poznać sekret kryjący się w rogu pokoju, spowity cieniem ponurej postaci.

Chwila otrzeźwienia sprawia, że Łukasz z większym rozeznanie spogląda na wyciszony telefon. Dzięki sporej liczbie nieodebranych połączeń z pracy orientuje się, że leży tu już wyraźnie więcej dni, niż liczy weekend.

Gdy to sobie uświadamia, świat zewnętrzny przebija się przez kokon strachu. Łukasz podrywa się na łóżku. Wraz z tym ożywia się Pochylony. Rośnie, a jego macki i ostrza rozpościerają się.

P. czuje uderzenie gorąca, jakby stanął przy hutniczym piecu, ale, o dziwo, nie działa to paraliżująco. Przeciwnie – Łukasz pojmuję, że jeśli teraz nie podejmie próby, nie uda mu się nigdy. Chwyta więc za telefon i szuka na niezbyt długiej liście kontaktów kogoś, kto pomoże mu zmierzyć się z Pochylonym.

Ale kto – w odpowiedzi dźwięczy jak struna naprężająca się sieć – potraktuje go poważnie? Kto uwierzy?

Tymczasem śmiałość mężczyzny rozjusza przeciwnika. Pochylony rośnie gwałtownie, aż jego głowa i tułów zaczynają sunąć pod sufitem w stronę łóżka. Macki i ostrza pełzną wzdłuż ścian jak gigantyczne robaki.

Nikt ci nie uwierzy – podpowiada głos w umyśle P., kiedy jego palce wybierają numer. Nikt nigdy ci nie wierzył, ani wtedy, pod wysokim sufitem kamienicy, ani później.

Na łóżko pada cień nadchodzącego Pochylonego. Jego kończyny zbliżają się do Łukasza. Mężczyźnie ciemnieje w oczach, ale wystrzeliwuje z pościeli i skacze w kierunku rozrzuconych akt. Potyka się, upada na ziemię. Pokój nie jest duży, więc palce niemal same trafiają na kartkę. Porywa ją i czyta. Na podłogę zrzucił ostatnie strony, które przeglądał – a więc protokół przesłuchania matki.

Próbuje czytać, ale przychodzi mu to z trudem. Głos pod czaszką kontynuuje: kogo właściwie obchodzisz? Terapeutkę, której nie widzisz, skoro jej nie płacisz? Prawnika, który wykonał swoją pracę, cały czas podejrzliwie ci się przyglądając?

Nikogo nie obchodzisz – mówi głos i zdaje się, że ma rację. Adwokat nie odbiera. Na kartce widnieje to, co wcześniej Łukasz przeczytał.

Tyle starań po to, aby sam rzucił się w objęcia Pochylonego.

To musiało się tak skończyć. Na nic lepszego niż życie z Pochylonym nie zasługujesz – podsumowuje głos, a mężczyzna godzi się z tym jak z czymś, o czym w duchu zawsze wiedział.

* * *

W końcu, gdy nie da się już połknąć grozy głębiej, trafia na oddział zamknięty. Jest tutaj szósty raz. Opuszczając szpital po piątym, naprawdę wierzył, że już nie wróci. Poczucie bolesnej pomyłki uderza jak cios w wątrobę.

Niewiele pamięta z tygodni spędzonych na oddziale. Odłącza się nieco od otaczającego świata. Po części dzieje się tak za sprawą leków, a po części – świadomości, że nie może wyjawić istoty problemu, bo i tak nikt go nie zrozumie ani mu nie pomoże. Dotąd można było dzięki terapii, rozmowom i wsparciu innych spychać zagrożenie gdzieś w obszar wątpliwości czy nawet niewiary.

Jednak ten okres minął. Teraz Pochylony po prostu jest.

W końcu Łukasz odzyskuje orientację w rzeczywistości na tyle, by dotarło do niego, że chce opuścić szpital. Musi więc się nieco

otworzyć. Opowiada, co mniej więcej zaszło. Zostaje uważnie wysłuchany. Dla wszystkich jest oczywiste, że istnieje racjonalne wytłumaczenie. Być może za sprawą lepiej dobranej farmakologii po pewnym czasie P. zaczyna chcieć w to wierzyć, a w końcu nawet wierzy.

Kiedy wraca do mieszkania, Pochylony nie stoi na swoim miejscu na lampianą modłę. Czuć jednak w powietrzu jego obecność, trochę jakby był współlokatorem, który wyszedł gdzieś tylko na chwilę. Łukasz korzysta z tej chwili i zgodnie z zaleceniami sprząta akta. Ma je schować i pod żadnym pozorem nie czytać. Po wypisaniu powinien jak najszybciej skontaktować się ze swoją terapeutką i rozważyć z nią powrót do lektury. Najlepiej, aby skonsultował też ich zawartość z prawnikiem.

Opuszczając oddział, miał szczere postanowienie tak właśnie postąpić

Problem w tym, że gdy bierze do ręki akta, obecność Pochylonego ponownie robi się bliższa, ze wszystkimi tego skutkami. Łukasz broni się, ale niezbyt długo. Znowu czuje, że tylko akta mogą rzucić światło na wędrujący za nim krok w krok cień. Teraz ma zresztą logiczne uzasadnienie tego poczucia. Przecież skoro istnieje racjonalne wytłumaczenie słów matki, musi kryć się w aktach.

Czyta więc strony następujące po protokole przesłuchania. Na kolejnych znajdują się rutynowe, niemające żadnego związku z Pochylonym dokumenty. Można odnieść wrażenie, że policjanci zignorowali nonsensowne zeznanie szokowanej kobiety. Albo że jednak zmysły zawiodły Łukasza i matka wcale nie zeznała słów, które przeczytał.

Boi się tego, ale coraz bardziej ma ochotę, aby wrócić do protokołu i samemu się przekonać. Czy rozwiązanie może być tak proste? Czy naprawdę to tylko przeciążony kolejnymi dniami lektury akt umysł podsunął mu tamto zdanie?

Wtedy odwraca kolejną stronę i niespodziewanie trafia wprost na Pochylonego. Tym razem nie jest już wypisany długopisem czy wykłuty igłową drukarką.

Ze stosu papieru na Łukasza patrzą klastery upiornych oczu, macki oraz narośle. Świeże i wątle wątpliwości co do rzeczywistości istnienia Pochylonego rozmywa jego portret pamięciowy, sporządzony na podstawie relacji matki.

* * *

Znów wraca najpierw faza gorączkowej paniki, a następnie grozy wrosłej w codzienne życie niczym posiłki albo mycie zębów. Pochylony instaluje się w kawalerce już nie na podobieństwo lampy, ale raczej betonowego filara, bez którego przestrzeń wokół P. nie może istnieć.

Resztki niesparalizowanego strachem umysłu Łukasza wiedzą, że nie wytrzyma tak w nieskończoność. W końcu niedawno się o tym przekonał. Przekonał się też, że szpital nie pomoże. Mężczyzna zmienia więc taktykę. Trenował ją swego czasu. Wie, co robić – do kogo iść, jak się zachowywać i co powiedzieć, żeby zdobyć odpowiednią ilość tego, co działa najlepiej.

Za sprawą leków groza rozmywa się. Nie tylko zresztą ona. Wszystko jest teraz rozmyte, ale w konsekwencji życie z Pochylnym zaczyna być do zniesienia. Dzięki umiejętnemu rozkładaniu dawek w czasie terapeutka chyba daje się oszukać, że jest lepiej. W pracy Łukasz chyba nadal przebywa na urlopie zdrowotnym. Chyba też nadal płaci rachunki, zmienia ubrania i je choć dwa posiłki dziennie, chyba zakręcając gaz po ich przygotowaniu.

Po pewnym czasie orientuje się, że ta ostatnia kwestia jest już dla niego w zasadzie obojętna. Wtedy właśnie wieczorem rozlega się dzwonek do drzwi.

Otworzył drzwi, P. spogląda tępo na stojącego przed progiem mężczyznę. Ten przedstawia się, ale mimo to Łukasz nadal nie potrafi skojarzyć, skąd zna przybysza.

– Ach tak, pan mecenas... – bąka w końcu, po czym na pytanie gościa, czy może wejść, wzrusza ramionami i idzie w kierunku kanapy.

Adwokat zamyka drzwi i z zakłopotaniem patrzy na stan kawalerki oraz jej właściciela. Ten zazdrości prawnikowi umiejętności patrzenia na to pomieszczenie bez przerażenia. Sam nie jest w stanie teraz myśleć o czymkolwiek innym niż strach – w tym też o przyczynie niespodziewanej wizyty.

– Przepraszam, że nachodzę... Dzwonił pan do mnie jakiś czas temu. Nie mogłem odebrać, a kiedy oddzwaniałem, nie odbierał pan. Potem... cóż, dowiedziałem się o pana niedyspozycji. Możemy porozmawiać? Przeczytałem akta, których kopie dla pana wykonałem. Wiem, co w nich jest. I myślę, że wiem, co zaszło tamtej nocy w pana mieszkaniu. A przynajmniej znam kogoś, kto wie.

Trwa to moment, ale słowa prawnika przebijają się do świadomości Łukasza. Jego serce zaczyna bić szybciej. Trochę z powodu tego, co usłyszał, a trochę przez to, że czuje, iż Pochylony – tak dotąd statyczny – rośnie i się przybliża.

– Kto... kto to taki?

– Policjant, który zajmował się sprawą. Jest teraz na emeryturze. Mnie nie chciał specjalnie dużo mówić, ale zgodził się porozmawiać z panem. Potwierdził tylko stanowczo ustalenia śledztwa co do sąsiada.

– Sąsiada? – dziwi się P. – Jakiego sąsiada?

– Nie czytał pan akt?

Prawnik jest jeszcze bardziej zdumiony. Rozgląda się jednak raz jeszcze po mieszkaniu i chyba przestaje.

– Pana matka – mówi – nim jeszcze trafiła na obserwację do zakładu psychiatrycznego, będąc w szoku zeznała, że sprawcą miał być jakiś potwór, o którym opowiadał pan jej jako dziecko. Ten cały Pochylony, może pan pamięta?

P. kiwa głową. Uznałby pytanie za komiczne, ale jest zbyt przerażony. Niemal czuje, jak dotykają go macki i ostrza. Jednak po chwili coś przebija się przez zasłonę paniki. Zatem z akt wynika, że mówił matce o Pochylonym, i dlatego opowiedziała o nim policjantom. Czy to właśnie nie racjonalne wytłumaczenie całej sprawy?

– Sporządzono portret pamięciowy – kontynuuje tymczasem adwokat – i na jego podstawie podejrzenia zwróciły się przeciwko waszemu sąsiadowi, niejakiemu Z. Cierpiał na jakąś chorobę skóry, z powodu której miał na twarzy narośl podobną do tego, co miał mieć rzekomy potwór.

Łukasz przypomina sobie człowieka mieszkającego na tym samym piętrze. Faktycznie, jego policzek niedaleko ust pokrywały czerwone wypustki. P. przechodzi dreszcz. Czy ojca mógł zabić sąsiad z naroślą na twarzy, przez którą złał się potem w umyśle dziecka z nawiedzającym senne koszmary potworem?

– Jednak ten sąsiad – ciągnie adwokat – rzeczywiście miał niezbite alibi. Nie było go w mieście tamtej nocy.

– Czyli to jednak... matka? – pyta Łukasz z groteskową nadzieją. Leczą adwokat nie potwierdza.

– Cóż, oficjalnie ona. Ale proszę porozmawiać o tym z policjantem. – Wyciąga z kieszeni marynarki kopertę i kładzie ją na stole obok styropianowego opakowania po kurczaku curry. – Proszę, tu ma pan namiary.

* * *

Drzwi za prawnikiem zamykają się z głośnym hukiem, Pochylony przestaje być statycznym elementem kawalerki. Teraz wypełnia całe mieszkanie swoim gniewem.

Łukasz instynktownie, niczym pies przerażony wybuchem petardy, zrywa się z kanapy i biegnie do kuchni. Huk krwi w skroniach rozbrzmiewa jak kroki pościgu. Zatacza się, omal nie mdlejąc. Pochylony nigdy jeszcze nie działał z taką gwałtownością. P. udaje się jednak dopaść do szafki z lekami. Zaciskając powieki i dysząc konwulsyjnie, odkręca pojemnik i nabiera garść tabletek. Czuje, że musi ich tyle wziąć, choć wie również, że nawet mimo przyzwyczajenia organizmu nie powinien.

Następnie biegnie z powrotem do pokoju. Nadal nie otwiera oczu, więc uderza o narożnik ściany i upada jak długi na podłogę. Bark wybuchu bólem, ale mężczyzna ignoruje go. Wstaje, wpada na stolik, po omacku znajduje kopertę. Słychać trzask szklanek rozbijających się o panele. Kawałki jednej ranią Łukasza stopę, lecz i to nie jest w stanie zmusić go do otwarcia oczu. Obecność Pochylonego napiera na niego z każdego centymetra sześciennego powietrza dookoła. Jest pewien, że jeśli rozewrze powieki, zobaczy macki owijające się wokół swoich kończyn oraz tułowia.

Pędzi do przedpokoju, sycząc z bólu, pospiesznie wzuwa buty, zarzuca kurtkę na zeszywniałe po upadku ramię. Nie zamyka drzwi, bo i tak nie zatrzymają Pochylonego.

Po wybiegnięciu na ulicę staje przy bramie jednej z kamienic i opiera głowę o ścianę, tak żeby w zasięgu wzroku nie mieć nic oprócz wilgotnego muru. Otwiera kopertę. W środku znajduje się kartka z wypisanym imieniem, nazwiskiem i adresem. Jest też numer telefonu, ale ewakuujący się z mieszkania mężczyzna nie zabrał komórki. Musi więc liczyć na to, że zastanie policjanta w jego domu – czy też raczej altance, bo adres wskazuje na ogródek działkowy.

Jest już ciemno, ulice są dość puste. Prawdopodobnie tylko dzięki temu Łukasz nie zabiera radiowóz lub pogotowie, wezwane przez zaniepokojonego przechodnia. Jego podróż przez miasto wygląda bowiem nader osobliwie. Mężczyzna kuleje, zgarbiony w niezawiązanych trampkach, jedynie co jakiś czas rozsuwając powieki, żeby skontrolować, w którą stronę idzie. Te sekundy wystarczają jednak, by za każdym razem widział próbującego

go dopaść Pochylonego. Krzyczy przy tym mimowolnie. Początkowo robi to krótko i urywanie, jakby z zaskoczenia. Po kilkuset metrach jednak słyszy, że za jego sprawą noc raz po raz rozrywa zwierzęce wycie.

W końcu dociera do ozdobionej zieloną tablicą bramy R.O.D. Żeby znaleźć właściwą działkę, musi na dobre otworzyć oczy.

Wkracza więc w mroczną alejkę między ogrodzeniami i unosi powieki. Pierwsze, co go uderza, to świadomość, że musi być już zaawansowana jesień, choć czas nie powinien był tak szybko upłynąć. Rozgorączkowany, nie czuje chłodu, ale dostrzega, że ciemne kształty drzew są bezlistne.

Tym łatwiej wyłania się z nich Pochylony.

Łukasz wrzeszczy na widok kilkumetrowej postaci i rzuca się dziko przed siebie, nie czując już nawet bólu w zranionej stopie.

Pochylony ściga Łukasza z zaciekłością bulteriera. Każde mijane drzewo przyjmuje jego postać. Ostrza wysuwają się w stronę P. ze sztachet ogrodzeń. Zimozielona roślinność na pergolach i rury ujęć wody strzelają mackami.

Choć zbyt duża dawka lekarstw powinna już działać, mężczyzna jest przerażony jak nigdy. Świat ciemnieje mu przed oczami, tak że wszystko dookoła staje się tylko gęstą płataniną łapczywie wyciągniętych kończyn Pochylonego.

Mimo to biegnie dalej. Po chwili pojawiają się też wirujące świetliste punkty. Usiłuje biec w ich stronę, przynajmniej nie są potworem. Dopiero po chwili przychodzi mu do głowy, że to oczy Pochylonego.

Kiedy upada, krzyk przechodzi w rżenie. Łukasz zaczyna się dławić, a jego klatka piersiowa wybucha przeszywającym bólem. Nim odpływa w ciemność, widzi jeszcze zbliżającą się postać.

* * *

Po ocknięciu P. długo jest przekonany, że został osiągnięty ostrzami Pochylonego. Widzi go bowiem przed sobą. Stopniowo jednak dostrzega również inne rzeczy i zaczyna rozumieć, że nadal żyje.

Miał szczęście. Światło, do którego instynktownie biegł, wydobywało się z jedynej zamieszkałej o tej porze altany, zaś zbliżającą się postacią był jej właściciel. Teraz Łukasz siedzi na kanapie obok pieca typu koza i podnosi błędny wzrok na wyłysiałego wąsatego mężczyznę we flanelowej koszuli.

– No, w końcu żeś pan doszedł do siebie – gospodarz wyrzuca chrapliwie. – Chociaż może jednak przekręcę na pogotowie?

Łukasz nie wie, ile czasu mu to zabiera, ale w końcu przeczy ruchem głowy Nie chce znów trafić do szpitala, zwłaszcza że dotarł aż tutaj. Poza tym wie, że to nic nie da.

– Jestem...

– Wiem. Gadałem z mecenasem. A pan pewnie wiesz, że ja się nazywam F. Masz pan, wypij to.

Policjant wciska szklanekę w dłoń gościa. Ten pociąga spory łyk, po czym krztusi się wódką. Po opanowaniu kaszlu wypija jednak więcej bez głębszego namysłu.

Pałaca ciec z początku otrzeźwia Łukasza na tyle, że nawiązuje on rozmowę. Potwierdza, że chciał się dowiedzieć, co tak naprawdę zaszło tamtej nocy w dziecięcym pokoju. F. opowiada więc o mieszaneczce szoku, krwi i rozpaczycy, jaką zastał wtedy w mieszkaniu. Oczywiście matka była naturalną podejrzaną, ale nie dało się z niej nic wyciągnąć, podobnie jak z Łukasza i Młodego. Śledczy mieli większe oczekiwania wobec przesłuchania kobiety następnego dnia. Początkowo nawet dość skłładnie opowiedziała o skłonnościach męża, ale potem nagle oświadczyła, że zabił go niejaki Pochylony. Stało się jasne, że musi trafić na obserwację. Policjanci zdołali jeszcze zrobić portret pamięciowy, na podstawie którego skierowali śledztwo w ślepy zaulek. Ale nim pobyt matki w szpitalu się skończył, zarówno ona, jak i policjanci wiedzieli już, jak było. Funkcjonariusze nie mieli jednak dowodów, a pani P. twardo przyznawała się do winy, wyjaśniając, że z początku mówiła o potworze z koszmarów syna ze względu na szok.

Policjant relacjonuje to wszystko spokojnie, jakby opowiadał zajmującą historię koleżdze od wódki. Widać po nim, że sam nie mało jej spożył, dzisiaj i w ogóle. Być może dlatego nie dziwi się stanowi gościa, być może uprzedził go adwokat.

P. nie zastanawia się nad tym. Nie dba również o to, czy gospodarzowi przeszkadza, że gość ma zamknięte oczy. Otwiera je tylko co pewien czas, aby skontrolować, jak blisko jest Pochylony. On jednak z jakiejś przyczyny nie jest już skory do ataku. Przesuwa się tylko powoli od cienia do cienia wzdłuż ścian altany, chcąc najwyraźniej zająć swoje ulubione dotąd miejsce – za plecami Łukasza.

Mężczyzna zdołał to zarejestrować, ale nie daje już rady się zdziwić.

Wszystko rozmywa się w szybkim tempie – Pochylony, opowieść policjanta, wypełnione zbieraniną niepasujących do siebie rupieci wewnątrz domku. P. z coraz większym mozołem łapie dech.

Długo trwa, nim z trudem przypomina sobie o wypitym alkoholu oraz tabletkach. Myśl ta powoduje ukłucie paniki. Dzięki niej orientuje się, że powinien natychmiast prosić F. o telefon na pogotowie.

Koncentruje siły, aby to zrobić. Z wysiłkiem otwiera szeroko oczy.

– ...no to wiesz pan nareszcie, jak to było. – Policjant mówi już chyba bardziej do siebie. – Oczywiście się nie dziwię, że niczego pan nie pamiętasz. Jedno mnie tylko zastanawia. – Zawiesza głos. – Dlaczego akurat tamtej nocy?

Bo wtedy ojciec pierwszy raz podszedł do łóżka Młodego – uświadamia sobie Łukasz.

Nie daje już rady na głos wypowiedzieć tych słów ani prośby o pomoc. Znajduje jedynie siłę, żeby odwrócić się i spojrzeć na Pochylonego bez lęku.

Marta Magdalena Lasik
BŁĘKIT



Marta Magdalena Lasik – Urodzona w 1985, opowiadaczka science fiction, teoretycznie operatorka elektrowni jądrowych, faktycznie korposzczur. Ponadto fotoamatorka, wrocławianka i trochę żeglarka. Pisze głównie fantastykę naukową, zastanawiając się, dokąd zaprowadzi nas technologia na Ziemi i co kryje się w głębi kosmosu. Publikowała między innymi w „Okolicy Strachu”, „Fenixie” i antologiach ŚKF-u.

Jest pewna, że znajdują się na jednej ze starych dróg, po których jeździ się na manualu. Na żadnej z tych zmapowanych do sieci nie byłoby tylu dziur i żaden autonomiczny pojazd nie skręcałby tak gwałtownie, nie wjeżdżałby w wyrwy z takim impetem. Wszystko znowu podskakuje. Ona także na moment traci kontakt z podłogą, po czym opada na nią tak mocno, że ból promieniuje od kości ogonowej aż do karku. W ciemności słysząc postękiwania pozostałych. Z czyjegós gardła wydobywa się pełen cierpienia jęk, ale już nikt nie klnie, nikt nie wypowiada nawet jednego całego słowa. Może nie mogą, a może, jak ona, nie chcą tracić cennego oddechu i zmuszać się do wzięcia następnego. Kolejna wyrwa na moment spowalnia auto – czuć to w pustym żołądku, a przede wszystkim jej głowa odskakuje. Nie ma siły tego powstrzymać. Uderza potylicą w ścianę i przez moment nie istnieje nic poza tęym bólem przysłaniającym całą jej świadomość. Ale nie to jest najgorsze, a smród, gdy bierze mimowolny wdech przez nos. To już nie tylko pot i strach, ale moc, kał i kwasny, ostry zapach wymiocin. Nie wie, kto i kiedy wymiotował – w ciemności nie jest w stanie niczego zobaczyć i tylko z tego jednego powodu cieszy się, że furgonetka ma zaklejone okna. Powodów, dla których tego nienawidzi, jest więcej. Nie wie, jak długo już jadą ani gdzie się znajdują. Czy w ogóle są wciąż w tym samym kraju? Pewnikiem nie. Ile razy przesiadali się w ciemności, ile razy traciła przytomność, ile dni minęło, od kiedy wepchnięto ich do tej furgonetki? Dostatecznie dużo, aby bolała ją większość mięśni, nieważne, czy tkwi nieruchomo wciśnięta w ką, czy próbuje wyprostować nogi, podkurczyć je, zgiąć palce, poruszyć nadgarstkiem.

Coś jest nie tak. Rzuca nimi.

Raz – uderza w ścianę. Drugi – leci do przodu. Trzeci – niemal upada, szuka oparcia i lina wpija się jeszcze głębiej w jej

nadgarstek. Czwartą – jej ból, złowrogi pisk i potworny zgrzyt po nim są wszystkim, co istnieje.

Gdy odzyskuje przytomność, jest cicho.

* * *

Obudziła się spocona, niezdolna do wzięcia głębszego oddechu, nie wspominając o poruszeniu choćby palcem. Miała wrażenie, że ciemność nad nią jest jak betonowa płyta napierająca na ciało.

Oddychaj.

Zakrzuszyła się śliną i przez chwilę dusiła się naprawdę, ale to było dobre. W końcu mięśnie zareagowały, odzyskała kontrolę nad własnym ciałem, mogła obrócić je na bok. Sięgnąć do leżącego zawsze w tym samym miejscu na wykładzinie kontrolera i włączyć światło. Pomarańczowy blask przyniósł jej spokój. Wpa-trzona w szarą podłogę, zaczęła oddychać normalnie.

Najgorszą rzeczą w powracającym koszmarze była jego prawdziwość. Wszystko wydarzyło się naprawdę, a ona, zamiast to wyprzec, zapamiętała najdrobniejsze szczegóły. Nawet jeśli w świetle dnia nie mogła przypomnieć sobie detali, to te raz za razem wracały do niej w nocy. Nie każdej. Obecnie rzadziej niż częściej, ale kiedy to robiły, Letho budziła się zupełnie rozbita i niezdolna zasnąć ponownie. Tkwił w niej zakorzeniony głęboko lęk, że jeśli spróbuje, otworzy oczy w furgonetce i to ten wypełniony ciepłym światłem pokój, łóżko i ciężki koc okażą się snem.

Usiadła, opuściła nogi na ciepłą podłogę. Pozwoliła sobie na chwilę wahania, zanim wstała i zaczęła się ubierać. Po schodach zeszała bez butów, założyła je dopiero tuż przy tylnym wyjściu, i wyszła na zewnątrz. Chłodne, pachnące morzem powietrze owionęło ją, przepędziło wspomnienie ostrego, wwiercającego się w trzewia smrodu wymiocin. Zadrzała i ruszyła ku głównej ulicy, pograżonej w takiej samej ciemności, jak ta wąska alejka pomiędzy wieżowcami. Ubrana na czarno Letho czuła się niczym duch, gdy szła ku morzu.

W teorii na głównych alejach zawsze powinny działać latarnie, ale najwyraźniej Achernar była już tak niepotrzebną dzielnicą Baltiki, że uznano oświetlanie jej ulic za niepotrzebne. Nawet na nadmorskiej promenadzie działała jedynie co piąta latarnia, pozostawiając dość intymnej ciemności dla chcących się po cichu rzucić w fale Bałtyku. Letho nie miała tego w planach, choć stała niebezpiecznie blisko krawędzi falochronu, daleko za znakami zakazu wstępu.

Tamta noc nie przypominała tej. Ciepła, pachnąca ziemią, lasem, niemal doskonale cicha, dopóki po minutach... godzinach nie nadjechało kolejne auto, nie wysiedli z niego ludzie i nie znaleźli jej brudnej, śmierdzącej i pokaleczonej po tym, jak wyczołgała się na zewnątrz przez wybite okno strzaskanej furgonetki. Potrząsnęła głową, aby odpędzić od siebie wspomnienia. Przeżyła jako jedyna, ale jednocześnie już wtedy była martwa. Klucz identyfikacyjny Asel Paredes został dezaktywowany dwa tygodnie wcześniej, gdy na spontanicznych wakacjach, o których nie powiedziała nawet rodzinie, zginęła w tragicznym wypadku łodzi obwozącej turystów po zalanym Miami. Rodzina pozamykała jej konta w sieci i pograżyła się w żalobie. Może siedzieli u któregoś z wujków i ją wspominali. Może Simon, Rory i Annika również tam byli. Podczas gdy ona siedziała na nagrzanym asfalcie brudna, śmierdząca i roztrzęsiona, a Eir cierpliwie próbowało namówić ją, aby napiła się wody z butelki, oni opowiadali o pierwszych wspólnych imprezach, wygłupach i planach, które nie miały już zostać zrealizowane.

Odetchnęła i zadarła głowę, by nie widzieć świateł kontenerowców na rucie, a gwiazdy. Od kilku miesięcy próbowała nauczyć się ich nazw. Wielki Wóz, względem niego umiała znaleźć Mały, pod nimi przepływał Erydan, od którego alfy nazwę wzięła ta dzielnica. Kobieta spozjrzała bardziej na północ – Kasiopea, tę znajdowała najszybciej, i Andromeda. Śmiech zabulgotał jej w gardle jak żalosne, dogorywające stworzenie. Niechciana wizja własnej matki wyciągającej ku niej ramiona, witającej ją – Asel – w domu, cieszącej się z jej powrotu zaatakowała i przyduсила krtań. Letho zacisnęła drżącą dłoń na nadgarstku drugiej ręki i nie poczuła pod nią chłodu bransoletki z nowym kluczem identyfikacyjnym.

– Fuck – zakłęta cicho.

* * *

– Co? – warknął Savio, patrząc spode łba, ale Eir nie przejęło się tym i jedynie wzruszyło ramionami w odpowiedzi. – Weź i ty mnie nie wkurzaj. Jak masz coś do powiedzenia, to powiedz, a nie gap się jak synthlalka w burdelu.

Eir uniosło brew pytająco, ale nadal milczało.

Nóż uderzył o blat roboczy z ogłuszającym brzdękiem. To, jak Savio stał i patrzył, nie wróżyło niczego dobrego, ale Eir nie odczuwało strachu. Tak, było pewne, że mężczyzna zabił w życiu

więcej niż jedną osobę – w samoobronie lub za pieniądze, ale nie w porywie złości i nie w ostatnich latach. Nie po raz pierwszy pomyślało, że jakkolwiek różne były ich historie, to po dużym uproszczeniu ujawniały się analogie – oboje trupami usłali sobie drogę do miejsca, w gdzie znajdowali się teraz, i spokoju oraz wolności, jakie ono dawało. Swoim trupom Savio zawdzięczał znajomości, dzięki którym powstało La Casa de la Muerte i mógł spocząć na laurach, zając się kontaktowaniem tych dobrych z tymi gorszymi od siebie i drobnym przemysłem, a przede wszystkim przechowywaniem tajemnic. Eir tymczasem...

– Ciebie to bawi? Też sobie chodzisz na ducha na spacer i myślisz, że to takie fajne? Inni niech się pierdola, co? Nie prowokuj mnie, szczerze laboratoryjny. Obojgu wam nogi z dupy powyrwam i... O, któż to się objawił o poranku?

Eir spojrzała przez ramię. Letho stała u wylotu korytarza prowadzącego na piętro i wyglądała, jakby po nocnej wycieczce wcale nie spała lepiej niż przed nią; Eir wiedziało o koszmarach. Od zawsze miało lekki sen, ale w przeciwieństwie do Savia nie suszyło języka bez potrzeby i nigdy ich nie skomentowało. Skinęło Letho na powitanie i zalało jej kubek kafeinówki. To nie rozrzedziło atmosfery. Savio nawet nie przewrócił oczami, jak to zwykle robił, gdy ktoś w jego barze przygotowywał syntetyk, a nadal patrzył wyzywająco. Czekał, a Letho piła bardzo powoli. Spojrzenie miała utkwione w granatowych płytkach podłogi, ale nadal przytomne. Była tu z nimi, a nie w świecie wspomnień, dlatego Eir również milczała, bawiąc się bransoletką na swoim nadgarstku – taką samą jak ta, której Letho nie wzięła w nocy. Chłodny metal niczym nie zdradzał swojego prawdziwego przeznaczenia. Jako nadajnik ID miał swoje wady i jeśli kogoś było stać, szukał raczej informatyka zdolnego do zmiany numeru zakodowanego bezpośrednio we wszczepie, ale o ile była to opcja dla Letho, to Eir jej nie miało. Nie posiadało żadnego wszczepu, który można by przekodować.

– Po prostu chciałam się przejść.

– Na ducha?

Letho spięła się, zadrżała.

– Nie – wycedziła. – Po prostu zapomniałam bransoletki. Uważałam. Nikt nie wiedział, że tam byłam... Może właśnie dlatego, że jej nie miałam.

Savio prychnął.

– Jakby cię wylegitymowali bez niej, miałabyś przesrane, tak totalnie i w chuj przesrane, i ja bym ci dupy nie ratował. Wzięliby cię –

– Wiem! Nie zrobiłam tego specjalnie i będę pamiętała w przyszłości, ale nic się nie stało. Nikt nie mógłby mnie zobaczyć, bo prawie wszędzie było ciemno, a na promenadach trzymałam się z dala od latarni. Nikt mnie nie widział, wszystko się dobrze skończyło.

Ale mogło nie i Eir wiedziało, że to ta możliwość najbardziej zagęszczała atmosferę poranka. Narzędzia w sieci śledziły aktywne klucze na całej planecie. Odpowiedni poziom dostępu pozwalał dowiedzieć się, gdzie jest ta czy tamta osoba, a mimo to Letho porwano. Gdyby ktoś zareagował natychmiast, mógłby ją odnaleźć na czas i nigdy nie trafiłaby na Baltikę. Savio znał ludzi, którzy potrafiliby zdobyć takie informacje. Ale bez jakiegokolwiek aktywnego ID ona i ono byłoby nie do odnalezienia; jak Kamilla.

Eir się uśmiechnęło.

– A tobie co tak, kurwa, wesoło?

– Martwiłeś się o nią.

– Nie, po prostu nie lubię, jak mi pracownicy znikają jak pieprzona kamfora? Serio...

W jedynym czynnym barze w wyludnionej Achernar coś pękło i zmieniło się, choć pozornie wszystko zostało po staremu> ciężka roleta nadal odgradzała to miejsce od świata na zewnątrz, a na wewnątrz składały się te same metalowe stoły, krzesła, granatowa podłoga, białe ściany – i oni sami. A jednak Savio wymamrotał coś chyba w trzech językach naraz, z których i tak nie dało się zrozumieć ani słowa, rozluźnił ramiona i łypnął na Eir. Już nie morderczo, a tylko z wyrzutem. Wzruszyło ramionami w odpowiedzi. Letho zaśmiała się cicho, a kolejne słowa Savia nie niosły już groźby, a jedynie zirytowanie, które nie opuszczało go nigdy.

– Mam was dość. Wychodzę z tego domu wariatów. Weźcie się ogarnijcie. O osiemnastej otwieramy.

* * *

La Casa de la Muerte znajdowała się niemal na zewnętrznym skraju Achernar – północnej dzielnicy Baltiki, którą zasiedlono jako ostatnią w czasach powstania miasta i która jako pierwsza wyludniła się kilkadziesiąt lat później. Teraz, gdy Baltika zamieszкана była jedynie w sześćdziesięciu procentach, w okolicy tej stały głównie puste budynki. Tylko w letnie upały robiło się tu tłoczniej, choć i wtedy jedynie na głównych alejach i promenadzie. Nie w środku dzielnicy, nie na wąskich uliczkach, jakich było tu najwięcej, bo Baltika nie odziedziczyła infrastruktury

po wiekach powozów i aut. Wypę-miasto zbudowano z platform osadzonych na płyciźnie czterdzieści siedem kilometrów na południe od Gotlandii, jako przykład metropolii wyzwolonej z układów politycznych i historycznego mułu, a dostosowanej do potrzeb nowych technologii. Wykorzystującej to, co w przemyśle najlepsze, bez obciążenia rozwiązaniami z przeszłości. Jej koncentryczna budowa nasuwała skojarzenia z ilustracjami Atlantydy, a gdy patrzyło się na nią z boku, przypominała klastery kwarcu. Zwłaszcza w nocy, na tle czerni morza i nieba, gdy ludzie jeszcze nie poszli spać i barwny blask wylewał się z okien wysokościowców, wypełniał przestrzeń pomiędzy budynkami, spływał na promenady i w iście magiczny sposób oświetlał fale rozbijające się o krawędzie platformy. Tak wyglądała w folderach reklamowych, tym zainspirowała inne wyspy-miasta na cieplejszych morzach, ale sama nie stała się przykładem sukcesu. W zwykły pochmurny dzień Baltika była po prostu smutną szarą bryłą na tle innych szarości. Jej barwne, głośne centrum otaczał pierścień niemal pustych dzielnic spowitych mrokiem, gdzie mieszkali głównie ludzie, którym nie wyszło. Może prowadzili nielegalne interesy, może – jak Letho – wypadli z systemu, może nie nadążali, nie umieli się odnaleźć w rzeczywistości. Żyli z dnia na dzień i nie stać ich było, aby opuścić Baltikę legalnie. Mieszkali więc na dziko choćby w Achernar i wieczorami przychodzili do La Casa de la Muerte. To była knajpa dla wszystkich, a Savio dbał, aby w jego rewirze automaty sprzątające Hadar nigdy nie znalazły nikogo zapitego w półtrupa, a tym bardziej prawdziwych zwłok.

– Jakbyśmy byli na normalnym morzu, to już by nas nie było, ale że Bałtyk to bardziej słone jezioro, to nas nie dorwało. I udław się tym, że to tektonika. – Ochryplą, belferski głos Witka wybił się ponad inne. – Pierdolenie o strefach subdukcji i krytycznej zmianie masy dna morskiego wskutek nierozważnej gospodarki to pieprzony bełkot, żeby ludziom się zdawało, że to rozumiemy, i żeby nie zadawali pytań. Co ty, kurwa, wiesz o strefach subdukcji, Timo? No? Co?

– Że Ziemia –

– Gównu wiesz. – Witek nie był zainteresowany odpowiedzią. – Ale to mądrze brzmi, więc powtarzasz jak papuga. Wiesz, co to, kurwa, jest papuga? Jakby to była gigantyczna strefa subdukcji, całe cholerne kolejne San Andreas, to nie wysłaliby tam tyle wojska, a nie w mówisz mi, że te statki, które pokazywali, są cywilne.

– Słyszałem, że testowali broń. – Trzeci głos nieśmiało wmixszał się w rozmowę. Inni umilkli i tak jak Letho patrzyli w stronę stolika, przy którym siedzieli Witek, Timo i Sasza. Wydarzenia z drugiej strony planety w ostatnich dniach przyćmiły wszystko, co działo się w mieście.

– Na siedemnastu milionach ludzi?!

– Siedemnaście milionów mniej gąb do wyżywienia. – Sasza zaśmiał się pośpiesznie.

– Popierdoliło was! Już prędzej pierdolnął w nas statek kosmitów.

Witek zawsze sprawiał wrażenie szalonego naukowca. Letho wiedziała, że tak jak ona i Sasza, on też nie ma aktywnego klucza identyfikacyjnego, ale nie miała pojęcia, jak go stracił. Zdaniem Savia sfingował swoją śmierć, aby uciec od długów oraz przekrętów patentowych na uczelni. Teraz robił nielegalne mody, mieszkając na lewo w Achernar, ale nawet nie była pewna gdzie. ID Saszy dezaktywował automat po tym, jak przez trzy miesiące nie zrobił nic w sieci. Rachunki ustawił jako zlecenia stałe i bank płacił je, nie zadając pytań. Sasza nie pracował, nie zaglądał na społecznościówki, nie czytał o tym, co dzieje się w wielkim świecie, a jedynie patrzył za okno. Nawet pacjenci w śpiączce mieli większą aktywność w sieci niż on, bo szpital co kilka godzin dodawał dane do ich karty leczenia. Temperatura, ciśnienie, podane leki. Sasza natomiast żył, nie opuszczając kawalerki, jadł to, co mu ktoś przyniósł, a gdy w końcu zebrał się w sobie i wyszedł, nie mógł wrócić, bo nie istniał i drzwi jego własnego mieszkania go nie rozpoznały. Mówił, że miał szczęście, znał ludzi, którzy znali ludzi, i gdyby nie to, to po drugim spotkaniu z policją podałby się, uznał wyrok automatu i skończył ze sobą. Na samą myśl o tym Letho przeszedł dreszcz.

– Statek kosmitów pogrzebany pod Japonią, ha!

Letho nie rozpoznała tego głosu, ale kolejny owszem.

– Cały cholerny Jormungand w trzewiach planety, a ludzkość wyewoluowała z syfu na jego poszyciu! – Savio bez trudu przekrzyczał wszystkich. – Jesteśmy syfem, który wyewoluował w większy syf! Jak macie zamiar drzeć ryje, to pogadajcie sobie na dworze! Nie wszyscy muszą tego słuchać!

Tylko że – zdaniem Letho – większość chciała. Spojrzała w ślad za Saviem znikającym w kuchni i wróciła spojrzeniem do Eir. Ono jedynie pokręciło głową rozbawione. To był spokojny wieczór. Nie mieli żadnych VIP-ów w sali z tyłu, a jedynie zwykłych

gości od frontu. Nikt nie przeżywał dramatu życiowego, którego chcieliby wylądować na innych. Savio głównie przesiadywał na zapleczu, Eir pilnowało baru, a ona sali.

– To się nazywa panspermia, więc bycie syfem z kosmosu nie brzmi źle – zarechotał Witek, a inni mu zawtórowali.

Letho oparła ramiona o chłodny blat, podparła głowę i chichotała w równym stopniu z rozmarzenia w głosie mówiącego, co z wyrazu skrajnego zdegustowania na twarzy Timo. Gdyby dalej prowadziła swoje stare życie, to teraz kończyłaby rozmawiać z Rory albo z mamą i logowałaby się do pracy po drugiej stronie planety. Może już zbierała kolejny opieprz i...

– Zostaw mnie! Przepadnij! Wszyscy pójdziemy na dno!!!

W śmiech wdarł się wrzask. Choć zduszony przez ledwie uchylone drzwi, pozostał na tyle donośny, aby dało się zrozumieć słowa. Te z każdą chwilą przybierały na sile. Wszyscy spojrzeli ku oknom w porę, by zobaczyć cień przebiegający na granicy łuny neonu. Zaraz za nim ulicą przeleciał dron. Snop światła próbował dogonić mężczyznę, ale ten mu umykał, a po chwili i on, i maszyna zniknęli. Siedzący najbliżej drzwi Sasza powoli wstał i wystawił głowę na zewnątrz. Patrzył, a w środku wszyscy czekali w milczeniu.

– Pobiegł na promenady. Wariat albo się czegoś naćpał.

– Jakiś nowy syf ostatnio krąży w centrum – mruknął z obrzydzeniem siedzący do tej pory cicho Karl. – W pracy słyszałem przypadkiem, jak się umawiali na wyjście i coś specjalnego, a to takie typy, że nóż się w kieszeni otwiera. – Głos mu zgorzkniał i wszyscy obecni tego wieczoru w La Casa de la Muerte wiedzieli dlaczego. On jeszcze funkcjonował w systemie, niemniej nie na tyle, aby prowadzić spokojne życie składające się z harówki i szybkich rozrywek. Miał ID, miał pracę, był przyzwoitym facetem, ale mieszkał na dziko w jednym z opuszczonych budynków najbliższych centrum, do którego wchodził przez zhakowane drzwi.

– Ale ma rację, pójdziemy na dno, jak nie przy tym sztormie, to przy jakimś kolejnym. W ostatnim tygodniu trzy razy zdechło światło na ulicach wokół firmy i może nie mamy siedziby w samej Errai, ale mimo wszystko jesteśmy blisko centrum. Że tu jest ciemnica, to wiadomo, ale główne powinny być oświetlone zawsze, a nie są. Wypadków też jest więcej. I to nie, że kretyn na skutek, ale kiedy to było... Wczoraj rano dwa wózki autonomiczne wpadły na siebie na pustej drodze. Jak szedłem do roboty, to kończyli je zamiatać. W wiadomościach oczywiście cisza, bo to było

bladym świtem, poza tym wszyscy gadają tylko o tsunami i dramach wizarowych gwiazd, ale nasz ochroniarz to widział i mi opowiedział. Szczury pewnie już zaczynają stąd spierdalać.

Za plecami Letho Savio kląsknął.

* * *

– Wyłowili go.

– Kogo? – Savio przechylił się nad barem, ale nawet wtedy nie widział dobrze, co Eir miało na ekranie.

– Tego mężczyznę z wczoraj – odpowiedziało, nie odrywając wzroku od tabletu. – Skoczył do wody, ale go wyciągnęli.

Zamknęli pół godziny temu. Przez ciężką roletę przygaszone światło nie wydostawało się na ulicę. Niebiesko-czerwony neon nad drzwiami był zgaszony i dla przypadkowego przechodnia budynek wydawałby się równie opuszczony, co inne w okolicy – La Casa de la Muerte nie istniało.

– Chcesz piwo? Ktoś ciekawy?

– Tak i nie.

– Eee? Odpowiadaj pełnymi zdaniami, bo ja ci w myślach nie czytam.

– W kolejności twoich pytań – wyjaśniło Eir, nie odrywając wzroku od ekranu. W półmroku wyglądało nieco jak duch albo trup; Savio nie umiał zdecydować. – Piwo tak. Człowiek nieciekawym. Musiałem pokombinować z filtrami, żeby w ogóle znaleźć tę informację.

Mężczyzna wyciągnął dwie butelki z lodówki, której zawartości zwykli klienci nie oglądali, i otworzył je o okutą krawędź blatu. Łypnął na Eir i zrezygnował ze szklanek, tak jak na razie zrezygnował z mycia podłogi. Zamiast tego usiadł na wolnym hookerze, oparł się plecami o ladę i wsłuchał w ciszę. Żaden dźwięk nie naruszał spokoju nocy na zewnątrz. Jedynie w środku Eir ciągle szukało czegoś w sieci i ciche uderzenia palców o ekran rozlegały się nieregularnie, a zmywarka na zapleczu szumiała trochę jak odległe morze. Savio pociągnął długi, uspokajający łyk z gwinta. Było prawie jak za starych innych czasów, gdy prowadzili La Casa de la Muerte tylko we dwoje. Nadchodzący front sprawił, że wszyscy byli nieswoi, zmęczeni i drażliwi. Letho miała ten wieczór wolny, Sasza i Karl się nie powstrzymywali i sprzeczka urosła od zera do nieskończoności w dwa oddechy, zupełnie jak się to zdarzało przed kilku laty. I zupełnie jak wtedy, Savio wypieprzył wszystkich

za drzwi, a potem opuścił roletę, zamykając tym samym bar, choć ledwie minęła dwudziesta druga.

– I tak mu przywala w socjal. Ma farta, że odwalił taką akcję teraz, a nie dwa tygodnie temu, jak naprawiali nabrzeże, bo wtedy odjęliby mu punkty też za zakłócanie prac esencjonalnych dla bezpieczeństwa miasta. A tak tylko minus trzydzieści za zakłócenie spokoju, minus kolejne ileś za wgranie sobie jakiegoś stymulanta. Może plus kilka, jeśli się gównem nie zdążyło skasować, zanim go sczytali, za „pomoc” organom ścigania w odnalezieniu kolejnego źródła nielegalnego softu. – Savio prychnął. – I może na wszczepie zostanie mu po tym malware i jakiś nerd będzie mu czytał w myślach. Ludzie uważają, że zabawy softem są bezpieczniejsze niż dawanie sobie w żyłę. Ludzie to debile, Eir. Ciesz się, że nie masz wkładki w głowie. Omija cię w cholere syfu.

– Cieszę się jak dziecko.

Wyprany z emocji ton, jakim Eir to powiedziało, sprawił, że Savio zawył ze śmiechu, ale nawet ten dźwięk nie wydostał się na zewnątrz baru.

* * *

Letho weszła na stację na minutę przed odjazdem składu w kierunku Kochab. Szła tak, aby znaleźć się na drugim końcu jasno oświetlonego peronu tuż przed zasunięciem się drzwi wagonu. Nie zbaczała z obranego kierunku, nie rozglądała się. Co prawda, nie licząc tego wrzeszczącego mężczyzny poprzedniej nocy, Achenar była ostatnio spokojna i Savio nie dostał cynku, że policja może dziś sprawdzać ludzi na wrywki, ale zawsze istniało ryzyko. W dodatku jesienią daleko od centrum tak niewiele osób korzystało z metra, że służby porządkowe mogły sczytywać każdego. Logi przypisane do ID na bransoletce Letho na pierwszy rzut oka wyglądały dobrze. Legalny wjazd na wyspę i żadnych zatargów z prawem. Ale wystarczyło zerknąć nieco głębiej, by zobaczyć, że „pojawiła się” na świecie dwa i pół roku temu. Bez historii zatrudnienia, wcześniejszego zameldowania – stworzenie takich danych było jeszcze droższe od przekodowania wszczepu.

Z duszą na ramieniu przejechała kolejne dwie stacje, na trzeciej zyskała towarzystwo – mężczyzna usiadł na pierwszym miejscu z brzegu i z uśmiechem na ustach wpatrywał się nieruchomym spojrzeniem w przestrzeń. Po kolejnych dwóch przystankach zaczęło się zagęszczać i Letho w końcu mogła odetchnąć.

Kochab była zupełnie inna niż Acheranar. Nie tak jasna i olśniewająca jak centrum wyspy, ale i tak pełna życia, jakiego Letho często brakowało. Tu muzyka wylewała się na ulice, ludzie stanowili puzzle eklektycznej układanki kolorów, stylów, wierzeń i przekonań, a nie drony swoich korporacji w uniformach zgodnych z dress code'em. Między Errai a Kochab drony te morfowały z powrotem w ludzi. Charaktery wypływały przez pory w skórze. W drodze z Acheranar Letho też się zmieniła. W metrze upięła włosy wyżej, wysiadając, odsłoniła dynamiczny tatuaż, który zrobiła za pierwszą pensję. Za każdym razem, gdy go włączała, kolejnego dnia bolała ją głowa, ale mieniący się kolorami trójwymiarowy rzut obracającego się tesseractu na dekolcie wyglądał za dobrze, aby oprzeć się pokusie i nie uruchamiać go przy dobrej okazji. Kiedyś oznaczało to niemal co drugi wieczór spędzony z Rory, Simonem i Anniką w klubie, w mieszkaniu albo po prostu na ulicach miasta w drgającym od nagrzania i muzyki powietrzu. Potrząsnęła głową, opuściła kołnierz kurtki, by odsłonić ramiona, sprawdziła, czy na pewno ma najważniejszą bransoletkę na nadgarstku, i uśmiechnęła się dokładnie w tej samej chwili, w której wyszła z tłumem na ulicę. Blask neonów zaatakował jej oczy i szybko zsunęła z czoła lekko przyciemnione okulary. Nie zwalniając, odetchnęła powietrzem przesyconym zapachem ludzi i jedzenia – zapachem życia.

Dr Auru: Medycyna alternatywna bez abonamentu. Od zaraz

Skrzynka popupów z każdym krokiem wypełniała się nachalnym, zlokalizowanym spamem wszystkich usług dostępnych na tej ulicy. Nagłówki walczyły o uwagę Letho, wspomagane przez publiczny AR dodający do statycznych szyldów animacje i kontekst.

Subskrypcje do streamów, taniej, natychmiast!

Wyciszyła powiadomienia i włączyła bloker, ale niektóre reklamy i tak przekradały się przez jej najtańszy filtr.

Najszybsze backupy

Najgorsze były nakładki przemycane nielegalnie w paczkach wystroju ulicy. Nie robiły sobie nic z przepisów definiujących

maksymalną nieprzezroczystość, rozmiar czy położenie. Przesłaniały świat, zmuszały do zatrzymania się, aby je przeczekać lub znaleźć sposób na ich zamknięcie, a wtedy obrotny zaczepiacz dopadał człowieka i zaczynał go nagabywać już w realu.

Letho szła równym, niezbyt szybkim tempem, patrząc przed siebie i planując, jak obejść hałaśliwą grupę, która zatrzymała się na środku chodnika. Prawą stroną wpadałaby prosto w ramiona naganiacza Domu Światła – sądząc po symbolach na dużej witrynie, była to raczej jakaś sekta, a nie solarium. Lewą kobieta musiałaby zmieścić się między potykaczem, stolikami baru i kwietnikiem. Przyspieszyła, odbiła na prawo, obserwując grupę. Byli jak małe niebo nocą – wszyscy ubrani w ciemne kombinezony upstrzone świecącymi naszywkami. Mijając ich, zrobiła szybki print screen.

Wirtualny ochroniarz...

Mimowolnie się roześmiała. Może gdyby otwarcie upoważniła jakąś korpo, by ta dokładnie śledziła jej – Asel – położenie w każdej minucie i reagowała, to nie byłoby jej tu teraz, a siedziałaby w pracy i planowała wieczór z przyjaciółmi, których znała od dziecka.

Ciekawe, czy ich ulubiony bar nadal istniał? Czy chodzili tam bez niej?

Mogłaby to sprawdzić w ich publicznych wpisach...

*Ubezpiecz się już dziś!
Gra roku za free! Pobierz! Teraz!*

Zwolniła, spojrzała w górę, na skrawek nieba widoczny pomiędzy ścianami, ale wokoło było za jasno, aby zobaczyła choć jedną gwiazdę, i to również znała. Wychowała się w mieście podobnym do tego, choć odległym o pół globu. W dzień nie dałoby się tych miejsc pomylić ze sobą. Wieżowce Baltiki wybudowano o wiele niższe, nawet jeśli, idąc jej węższymi ulicami, można było tego chwilkami nie zauważać. Na ich fasadach dominowały szarości, granaty, czernie i szkło, w którym miało odbijać się niebo. Brakowało bieli i beżu, do których Letho przywykła. Ale w nocy różnice znikwały. Latarnie rozświetlały świat tylko do drugiego piętra. Powyżej niego neony, ekrany i projekcje na wielkich oknach zalewały ciemność kolorami. Twarde, niedostosowujące się

do odbiorcy reklamy zapraszały do barów, restauracji i salonów pseudosnów. A gdy kobieta przebiła się przez nie spojrzeniem, widziała światła na szczytach wysokościowców. Małe czerwone punkty wydawały się nieosiągalne.

Ilene czekała oparta o ozdobną latarnię – Letho wiedziała to, nawet zanim wyszła na plac, na trzystu metrach appka wrzuciła jej alert o znajomym w pobliżu wraz z dokładną mapką – i w żadnym stopniu nie przypominała korporacyjnego drona. W zasadzie Letho nigdy nie spotkała jej w biurowym wydaniu, jedynie z rozmów wniosowała, czym Ilene zajmuje się od rana do wieczora.

– Cześć, piękna. – Głos kobiety nieco drżał z powodu zimna.

Zmierzyła Letho spojrzeniem od podniesionych na czoło okularów, przez kolczyki z opalizujących piór, tatuaż, gorset, bransoletki podzwaniające na nadgarstkach, mieniące się niczym rozgwieżdżone niebo legginsy, po overskirt w odcieniach błękitu i buty na grubej podeszwie, w których Letho nie bała się chodzić nieoświetlonymi ulicami Achernar. Drobne uniesienia brwi, drgnięcia ust, zmarszczenia czoła opowiadały historię tego, co Ilene myślała o każdym elemencie stroju, i to było cudowne. W takich chwilach Letho czuła się widoczna, prawdziwa, a nie jedynie jak mięsny dodatek do o wiele ważniejszego numeru ID. Jej przyjaciółka o tym nie wiedziała. Świat był dla niej przejrzysty i składał się z żywych ludzi z ID oraz martwych, którzy już ID nie potrzebowali. Z poprawnych obywateli oraz z przestępców, marginesu społecznego tępionego dla dobra wszystkich innych. Gdzie umieściłaby Letho i jej lewy identyfikator?

Pewnego dnia chciała się o tym przekonać. Zagrać w otwarte karty i opowiedzieć, co ją spotkało – że nie jest przestępczynią, ale tak, ma fałszywy klucz, bo ten na jej wszczepie został dezaktywowany. Że z bransoletką jako proxy może zapłacić za ich drinki i przeglądać sieć, ale nie dostanie dobrej pracy w zawodzie wymagającym wykształcenia, bo jej ID nie jest połączone z rekordami w bazie żadnej uczelni – to nie Letho, a Asel kończyła studia. Że kiedyś może uzbiera dość kasy, aby opłacić dobrego hakera, a przede wszystkim jego milczenie, i ten dorobi jej nieco przeszłości, pozwoli żyć normalniej. Na razie ma jednak tylko to, co zafundował jej Savio.

Ale ten „pewien dzień” nie wypadł dziś.

– Wyglądasz jak skrzyżowanie więdźmy i zabójcy po godzinach. Brakuje ci tylko maski zasłaniającej pół twarzy z printem jakiś astrologicznych wyliczeń i killer-szpilek. Patrzyłaś na te,

które ci podesłałam? Wiesz, które? Te z holo i LED-em trochę pod twój tatuaż. Chodź. Leo powinien czekać pod knajpą. Będzie magia, zobaczysz. A o butach pomyśl. Serio, twój styl.

– Po wypłacie, Ili. – Letho użyła formułki z poprzedniego życia i Ilene parsknęła pełnym zrozumienia śmiechem.

– Albo nie, nie kupuj ich. Kupię ci je w prezencie na urodziny.

* * *

– Zachowujesz się jak ojciec, który puścił córkę na pierwszą randkę.

– Jakbyś ty, kurde, wiedziało, jak zachowują się prawdziwi rodzice i jak wyglądają pierwsze randki. Twoje pierwsze wyjście z domu skończyło się jego rozpiardoleniem.

– Jeśli uznać personel labu za rodziców... – Choć siedzieli w półmroku, Savio wiedział, że w tym momencie Eir wzдрыgnęło się i nie zrobiło tego na pokaz – to na skali zaborczości z pewnością znajdowali się na podium, a poradniki w sieci mówią, że jeśli jest się zbyt restrykcyjnym, to dzieci się buntują.

Savio przewrócił oczami. Nie chciał wiedzieć, co zagnało Eir w takie zakątki sieci.

– I zamiast uciec oknem i pójść na imprezę, rozpiardoliłoś lab i uciekłoś na zawsze.

– Okna się nie otwierały, więc zrobiłam własne.

Tym razem roześmiali się oboje, bo to było niedomówienie stulecia. Z ukrytego w lasach laboratorium pozostały gruzy, o które nikt się specjalnie nie upomniął, bo w dobrym interesie firmy matki leżało, aby nikt się temu miejscu nie chciał przyjrzeć bliżej. Ludzkość uwielbiała wszelkie udoskonalenia mechaniczne – taki implant, taka proteza, takie rozszerzenie zdolności zwykłego ciała. Ale grzebanie w genach sprawiało, że większość tego, co nazywano cywilizowanym światem, się krzywiła. Badania tu, badania tam, jakaś mała korekta, by wyeliminować chorobę genetyczną – to było dobre. Wzięcie dwóch najgorzej dopasowanych do siebie zestawów genów „rodziców” i rozgrzebanie ich tak, aby produkt końcowy wyszedł piękny, zdolny, tu i tam przewyższał statystycznego Johna wytrzymałością albo odpornością – temu opinia publiczna pozostawała przeciwna. Dlatego nie należało się przyznawać, że wpakowało się miliardy w technologię tworzenia idealnych dzieci dla bogatych ludzi niezamierzających zdawać się jedynie na ślepy los i gotowych zapłacić. A przede wszystkim

w tworzenie idealnych pracowników bez jakichkolwiek praw, bo nigdy nie zarejestrowanych w systemie przez właścicieli.

Eir było produktem pokazowym i Savio musiał przyznać, że wyszło cholernie dobrze. Bez jakichkolwiek wszczepów i modyfikacji dawało pojęcie o tym, co Kerlab może zrobić, mając dość pieniędzy oraz czasu. I co są w stanie wyprodukować, jeśli zada się inne parametry końcowe. Przyspieszy proces, mniej się przyłoży na tym czy innym etapie. I może powinni byli się mniej starać już przy Eir? Zrobić to głupszym, to nie wymyśliłoby, jak uciec. Zrobić je brzydszym, to nikt nie pomógłby onemu na piękne oczy. Wychować je bardziej jak człowieka, a nie produkt, to dłużej wahałoby się, czy ciekawość i świadomość, że niebawem stanie się nieprzydatne, to dostatecznie dobre powody, aby poświęcić życie pracowników labu i uciec. Tyle rzeczy mogli zrobić inaczej, ale spierdolili i Savio nie współczuł im w najmniejszym stopniu. Gdyby zrobili rzeczy, jak należy, siedziałby tu teraz sam.

– Tak, ty dałeś sobie radę, ale Letho nie jest tobą – mruknął. – Więc tak, po tym wczorajszym idiocie i wypadkach na mieście... martwię się.

* * *

Czuła muzykę – to było coś więcej niż tylko potężne basy, od których trzęsły się wnętrzości i mrowiły palce. Dźwięki i światło tworzyły historię, która otulała wszystkich, wlewała się do głowy, przesłaniała myśli, spychając na dalszy plan rozmowy, podzwanianie szklanek, ludzi przeciskających się przez roztańczony tłum. Letho uniosła dłoń. W błękitnym świetle widziała wszystkie bransoletki na swoich nadgarstkach. Plastikowe od Ilene, czarne ze świetlistym pnączem, które kupiła sama, trzy stalowe, które dostała od Eir, i tę jedną od Savia. W tańcu przesunęła po nich opuszkami. Pokusa podnosiła złowrogi łeb, a Letho jej uległa. To był nieznaczny ruch. Splecenie palców nad głową, objęcie nadgarstka, sięgnięcie opuszką pod bransoletkę i dotknięcie sensora na kilka sekund, przez które nie przestała tańczyć. I nikt, absolutnie nikt tego nie zauważył. Wciąż tu była. Śmiech podszedł Letho do gardła i spojrzała w górę, ku umykającej jasności sufitu. Czuła, jak spada, jak z każda chwilą, nutą, oddechem znikają kolory. Żółcie, czerwienie odchodzą w niepamięć. Jest tylko błękit i uspokajający napór innych ciał. Ich ciepło. Ich zapach. Odetchnęła głęboko...

To był moment. Pół tanecznego ruchu. Pół myśli. Jeden wdech i cała magia znikła.

Letho zakrzuszyła się, w ostatniej chwili usztywniła kolana i nie upadła, ale czuła, jak tonie w morzu ludzi, w oceanie śmierdzących potem ciał, pośród których ktoś właśnie rzygał i nikt poza nią tego nie zauważył.

Znów była w furgonetce, choć resztką logicznego myślenia mówiła jej, że to nieprawda.

To nie zdarzyło się pierwszy raz.

Musiała wyjść na świeże powietrze.

Ilene i Leo tańczyli obok, jakby jutro miało nie nadejść. Mogła ich dosięgnąć dłonią, gdyby tylko była w stanie ją unieść. Ktoś ją szturchnął, popchnął, poniosł ją ludzki prąd. Ktoś zaklął, gdy wpadła na niego w wejściu, ktoś inny się zaśmiał. Może wziął ją za pijaną. Nieważne. Wypadła na chodnik. Zimne powietrze przyłgnęło do jej spoconego ciała, wdarło się pod warstwy ubrań, wcisnęło do płuc. Zatoczyła się, oparła o chropowatą ścianę budynku i wzdłuż niej przeszła jeszcze kawałek, nim opadła na ziemię. Podciągnęła kolana pod brodę, usilnie próbując odzyskać kontrolę nad sobą, przestać płakać, przestać się trząść, być w stanie wrócić do domu.

* * *

Ta kobieta wróżyła kłopoty w takim samym stopniu co stojący kilka kroków za nią ochroniarz, uśmiechający się w sposób, który Savio przetłumaczył sobie na „Jestem miły i nie mam ochoty poprzestawiać ci kości, ale jeden zły ruch i z przykrością to zrobię”. Naprawdę wyglądał, jakby miało mu to sprawić przykrość. Żadne nie nadawało publicznej wizytówki, ale mały, niezupełnie legalny programik do rozpoznawania twarzy zainstalowany na wszczepie Savia znalazł tego faceta – Ragnar Eglitis. Zapisał go sobie, aby później pogrzebać głębiej w publicznych danych. Kobiety jednak soft nie był w stanie zidentyfikować, a to znaczyło, że jest za słaby na zabezpieczenia, jakimi obwarowano jej wizerunek.

Na oko w wieku Letho, dumnie wyprostowana, o gładkiej twarzy, perfekcyjnych ciemnych lokach, w ciężkiej sukni z metalowych łusek. Wyglądała jak ktoś mieszkający na najwyższych piętrach wieżowców przy placu Gwiazdy Północnej – piętrach, bo apartament na pewno był wielopoziomowy. Takich ludzi

należało się obawiać, zwłaszcza gdy stali na twoim progu. Savio znał kilku podobnych.

– Sorry – prychnął – ale nie jestem dobry w zabawy „Wiem, że ty wiesz, ale nie powiem wprost, ale się domyślimy”. Nie wiem, o co chodzi, i nie wiem, czy chcę wiedzieć.

– O Θ -Kayin – odpowiedziała.

– Nie dzwoni mi – skłamał Savio. Jeszcze chwilę temu był wściekły, że Eir uparło się, że to ono pojedzie poszukać Letho. Teraz dziękował opatrności, że został tu sam. Bo Θ -Kayin to było Eir, zanim nie wybrało sobie nowego imienia. Skąd, do cholery jasnej, ta księżniczka z wysokiej wieży wiedziała nie tylko o istnieniu Eir, ale też o tym, że można je znaleźć w La Casa de la Muerte?! – Wróćcie, jeśli będziecie potrzebowali dobrej whiskey na jakies przyjęcie i –

– To nie jest zabawne. Potrzebujemy Θ -Kayin. Od tego zależy bezpieczeństwo wyspy. Nie interesuje mnie, po co ci ono ani jak je zdobyłeś. – Kobieta mówiła tonem, z którego przebijało przyzwyczajenie do bycia słuchaną, ale coś Saviowi nie pasowało w tym, jak to robiła. Nieco za głośno, za wyraźnie. I nie pasowało mu też coś w tym, jak stała> jakby zbyt sztywno. – Nie mam zamiaru mówić o tym Kerlabowi, choć mogłabym, bo wiem, że to należy do nich. Zapłacę uczciwą cenę.

Całą jej uwaga skupiała się na Saviu. Zazwyczaj nie miał nic przeciwko zainteresowaniu ze strony pięknych kobiet, ale tym razem zdecydowanie obszedłby się bez niego.

– Zły adres. Nie mogę wam pomóc. – Wzruszył ramionami.

Przez twarz kobiety prześlizgnął się brzydki grymas, jakby jego odpowiedź była nie na miejscu. Przecież powinien rzucić się na szmal. Cóż, nie był aniołem, ale też nie był skończonym chujem.

– To ważne – wycodziła, ale bardziej z desperacją niż groźbą.

– Może dla was –

– Dla wszystkich osób na wyspie! Jeśli nie wyłączymy Hadar...

Ragnar Eglītis odchrząknął. Savio kłasknął zaintrygowany. Hadar było jedną z SI Baltiki, z którą miał do czynienia każdy, kto chciał dowiedzieć się, jak gdzieś dojść albo przewieźć rzyć inaczej niż metrem.

– Hej, hej, hej! Wyłączać Hadar?! Może powinienem pobawić się w grzecznego obywatela i donieść o tym odpowiednim –

– Jestem tu w imieniu odpowiednich służb. – Był niemal pewien, że usłyszał w pierwszych słowach nutę paniki, ale ta szybko

rozpłynęła się, ustępując miejsca temu samemu tonowi, którym kobieta mówiła na początku. – Musimy wyłączyć obecną niestabilną wersję Hadar, aby uruchomić kopię zapasową. Nie możemy pozwolić sobie na zdradzenie naszego planu i dlatego potrzebujemy kogoś bez wszczepów, kogo ono nie będzie w stanie śledzić. Musimy zadziałać, zanim dojedzie do tragedii, a do tego potrzebujemy twojego Θ-Kayin. Nie na zawsze, ale do tej jednej rzeczy.

Powiedziała „potrzebujemy”, a nie „musimy dostać”. Różnica była niewielka, ale zwróciła uwagę Savia.

– Ludzkość wymyśliła kamery termowizyjne, fotokomórki, CCTV, a wy mówicie, że Baltika stoi na SI, które widzą jedynie złom w naszych głowach? – Pochylił się w jej stronę i kobieta drgnęła, niemal zrobiła krok w tył, choć nadal dzielił ich ponad metr.

Nie odpowiedziała od razu. Wyprostowała się, metalowe łuski jej sukni zadzwoniły. Coś tu śmierdziało.

– Nie cała Baltika. Tylko Hadar – powiedziała ciszej.

– Tylko? – parsknął. – Nie wiem, ile tych SI macie, ale to jedno znam. Latarnie morskie, latarnie na ulicach, boty sprzątające i wszystkie pojazdy autonomiczne w mieście, wszystko to idzie przez nią i pewnie jeszcze kilka innych rzeczy, o których nawet nie mam pojęcia, więc nie wiem, czy to takie „tylko”, kiedy mowa o SI z instynktem samozachowawczym. – Twarz kobiety pozostała bez wyrazu, ale zarazem coś się w niej zmieniło. To już nie była obojętna maska wyższości, a równie obojętna maska skrywająca strach. Trafił. Oczywiście, że, kurwa, trafił. – Gratuluję... odkrycia naukowego, ale i tak jesteście ukryci przed ludźmi, wcisnąć im bajki o jakichś naprawach w trzewiach wyspy, bo nikt w to nie uwierzy, widząc ścierwo rozwłócone na skrzyżowaniu po kolejnym wypadku. Zastanawiam się, kogo teraz boicie się bardziej? Co to zrobi czy co się stanie w mieście, gdy ludzie dowiedzą się, że wsadziliście nam tu SI z instynktem samozachowawczym? Bo przecież to ma odróżniać SI od ludzi, mają go nie mieć, a tu niespodzianka, co nie?

– Nie powiedziałam, że go ma – wycodziła kobieta.

– Ale gdyby było inaczej, to jakikolwiek admin mógłby tam wejść i załatwić sprawę jak należy. Nie tajniaczylibyście się. Nie szukalibyście kogoś, kto w ogóle nie ma wszczepu, w dodatku na już. Bo pewnie gdzieś na świecie jest jeszcze kilka takich osób, ale ktoś skierował was właśnie tutaj. – Jeszcze zanim skończył mówić, Savio wiedział, że dał się ponieść. Należało trzymać

pieprzony długi język za zębami, to może uznaliby, że dostali zły namiar. Ale może byli dość głupi, by lyknać blef. Wątpił, a i tak spróbował. – Sorry, zły adres – powtórzył. – Mówilem, nie handluję żywym towarem. Jak będziecie chcieli kogoś z wszczepem, ale bez aktywnego ID, to mogę wam dać namiar albo tę whiskey, ale tak, to... – Przeciągnął słowo z rozbawieniem. Udawanym, bo nie było mu wesoło. Wręcz przeciwnie. Mieli przesrane. Witek dobrze mówił i szczury pewnie już spierdały z wyspy wpływ.

Kobieta zbladła, Ragnar Eglitis drgnął, ale Savio zareagował szybciej. Cofnął się o krok i z hukiem opuścił ciężką roletę.

* * *

Wchodząc do baru, zatrzymało się na chwilę i spojrzało w dół ulicy. Wiedziało, że nie widzi wszystkiego. Umyka onemu cała rozszerzona rzeczywistość. Od tanich targetowanych reklam, przez animowane szyldy, po atrakcje dla wybranych – performance, fajerwerki. Wyobrazilo sobie tę samą ulicę za kilkanaście lat – ludzi w identycznych prostych uniformach i gołe ściany wokół nich. Materialne cienie prawdziwego świata, w którym nadążanie za modą nie kosztowało fortuny, gdzie tony plakatów i wizytówek nie kończyły na ulicy, zamiecione potem przez automaty sprzątające, a zmiana wystroju baru nie oznaczała konieczności przedstawienia wielkiego kontenera blokującego pół ulicy. Fantazyjne ubrania, plakaty i większość dekoracji nie istniały tam naprawdę, a jako AR-owa nakładka. Rozumiało, dlaczego rozszerzona rzeczywistość zyskiwała na popularności, czemu niektórzy nalegali na przeniesienie do niej części sztuk pięknych, a niektóre rządy deklarowały przejście do wirtualu za pięć, dziesięć, piętnaście lat. Już tu i tam na świecie znaki i tablice informacyjne zniknęły z ulic, przeniesione wprost do ludzkich głów.

Nie Eir.

– Szukasz czegoś, młoda?

Spojrzało na ochroniarza. Nie pasował do tego miejsca. Rachityczny – zapewne uzbrojony – za stary, wyraźnie mający problem ze zdecydowaniem, czy odgrywać strasznego, czy przyjaznego. Eir było niemal pewne, że pracował tu na czarno za wikt i opierunek, kurczowo trzymając się życia w centrum Baltiki, aby nie skończyć w pustostanach Alnitak i Achernar.

– Znajomej. Sto sześćdziesiąt dziewięć centymetrów, ciemne włosy do ramion, dynamiczny tatuaż na dekolcie.

Jeśli niski głos go zaskoczył, to mężczyzna nie dał tego po sobie poznać.

– Randka związała?

– Jej rodzice się martwią.

Mężczyzna spoważniał, znieruchomiał, może szukał pasującej do opisu osoby w pamięci, a może przeglądał nagrania z monitoringu w wirtualu.

– A... Wybiegła, jakby ją coś gonilo, ale sama. W prawo, w stronę kanału.

Podziękowało.

Lubiło wierzyć w szczęście. Rzadko naprawdę to robiło, ale w krótkich chwilach, gdy życie dawało ku temu okazję, lubiło myśleć, że czasami rzeczy idą po czyjejs myśli, bo tak, bez konkretnego powodu, i nie trzeba sobie na to zasłużyć. Teraz właśnie tak było i tylko szczęściu zawdzięczało, że zauważyło Letho skuloną na nieoświetlonych schodach zamkniętego biurowca. Zmełło w ustach komentarz o ubieraniu się na czarno, bo samo robiło to często. Z drugiej strony ono miało przynajmniej jasne włosy, a przede wszystkim zazwyczaj nie wyłączało bransoletki.

– Letho.

Spojrzała na nie, ale jakby nie w pełni je rozpoznała.

– Gdzie jesteś?

Z dźwięków, jakie wydała, nie dało się złożyć żadnych słów. Eir kucnęło przed nią. Nie dotykało jej, ale było na tyle blisko, aby mogła skupić na onym uwagę, kiedy już będzie w stanie.

– Co robisz?

– S... Siedzę.

– Gdzie?

– Na ziemi... – Kolejny potężny dreszcz wstrząsnął nią i skuliła się w sobie. Eir westchnęło ciężko. A więc znowu to przerabiali.

– Co czujesz?

Nie odpowiedziała od razu.

– Beton... coś metalicznego... kebab.

Czyli nie las i pot, i wymiociny. Dalej.

– Co słyszysz?

– Muzykę... Jes-sa? Chyba, albo...

Nie ciszę pustej drogi i swój własny rżący oddech. Szykowało kolejne pytanie, ale Letho już go nie potrzebowała. Wyprostowała plecy i oparła głowę o ścianę, tylko przez chwilę wyglądając, jakby się uspokoiła.

– Nienawidzę tego. Nienawidzę, kurwa, tego wszystkiego! To miała być fajna noc i co?! Szlag by to.

Ludzie przechodzili obok, nie zwracając uwagi na ich istnienie. Pędzili przed siebie, głusi na słowa Letho, a Eir jej nie przeżywało. Czekają, aż wyrzuci z siebie złość oraz frustrację i będą mogli wrócić do domu.

* * *

– Znam ją. Widziałam ją w labie z jej ojcem lub dziadkiem, nie wiem. Ale jestem pewne, że to była ona, tylko dużo młodsza.

Savio nie miał pojęcia, jacy rodzice zabierają swoje małe dzieci do labu, gdzie hoduje się ludzi w probówkach, i po prawdzie nie chciał wiedzieć. Wyłączył nagranie z kamery nad wejściem i łypnął na Eir. Jeśli usłyszenie swojej nazwy projektowej poruszyło je, to nie okazywało tego. W ogóle było podejrzenie spokojne nawet jak na siebie, jakby nie do końca obecne myślami. Savio czekał dobrą minutę, może dłużej, na jakiś ciąg dalszy, aż skończyła mu się cierpliwość i odezwał się pierwszy.

– Przynajmniej mamy wyjaśnienie, skąd w ogóle wiedziała o tobie i Kerlabie. W jaki sposób możesz im pomóc, wiedząc o SI mniej niż ja...? – Wzruszył ramionami. – I skąd wiedziała, że można cię tu znaleźć... Chuj wie i pewnie nie dojdziemy do tego, więc zrób mi przyjemność i nie znikaj jak Letho, chyba że dla dobra ludzkości postanowisz wykluczyć się z puli genetycznej.

W końcu Eir poruszyło się, spojrzęło na niego tak, jakby kwestionowało jego inteligencję.

– Nie mogę się rozmnażać.

– Wiesz, o co mi chodzi, Eir.

Przytaknęło. Pośród białych kafli i stalowych blatów w o wiele za dużej kuchni wyglądało jak monochromatyczny element instalacji artystycznej i Savio nie był pewien, czy w ogóle oddychało. Musiało, ale on tego nie widział, choć patrzył uważnie.

– Co ci się roi w tej ślicznej główce?

– Myślisz, że to prawda? – odpowiedziało mu pytaniem na pytanie i zmusiło, żeby zrobił dokładnie to samo, bo za cholerę nie wiedział, o co chodzi.

– Co?

– Że ta sztuczna inteligencja ma instynkt samozachowawczy.

Kląsknęła. Chciał powiedzieć, że to bzdura, bo przecież co rusz trąbiono, że to mimo wszystko programy, że mają cele

do zrealizowania i świata poza nimi nie widzą. Że nawet jeśli jest to tylko utrzymanie dobrego stanu trawników w parku, to jest dla nich najważniejsze pod słońcem. Instykt samozachowawczy i ambicje to coś innego. Tłumaczono jak chłop krowie na rowie, że ludzki instykt samozachowawczy bierze się z potrzeby przetrwania gatunku, jest w genach istot żywych, a sztuczne inteligencje nie są żywe, nie rozmnażają się, nie są gatunkiem i dlatego nie należy się ich bać, i nie ziszczą się czarne scenariusze z XX i XXI wieku. Ale nie powiedział tego. W końcu tamta kobieta nie wyśmiała go, gdy zasugerował, że SI – Hadar – może mieć instykt samozachowawczy.

– Jakie to ma znaczenie? Fakty są, jakie są, samo mi mówił o wypadku wczoraj. – Eir skinęło głową, a Savio odetchnął ciężko. Powiedzieć, że widział, jak się temu obracają tryby w głowie, byłoby niedomówieniem. – Jeśli na serio rozważasz wizję Baltiki władanej przez SI i zaludnionej tylko przez boty sprzątające, to przestań. To kretyński scenariusz. Prędzej potraktuj całą wyspę EMP albo starą dobrą bombą.

* * *

Nie pamiętała powrotu do La Casa de la Muerte, a jedynie wyrwane z kontekstu migawki. Że w pobliżu baru był wypadek, bo ktoś wpadł pod bota sprzątającego ulicę, a może to bot wpadł na kogoś? Zarejestrowała chwilę, gdy ulica wokół pograżyła się w ciemności, jeszcze zanim wjechali do Achernar, że Savio był wściekły, ale już nie, co mówił i jak znalazła się w swoim pokoju.

: Zniknęłaś.

: Żle się poczułam. Sorry. Ktoś się porzygał i

Wzdrygnęła się, wpisując wiadomość, na moment wspomnienie niemal nią zawładnęło, ale tym razem wygrała. Odegnęła je i skupiła się na półprzezroczystym oknie zawieszonym nad sobą. Ilene odpowiadała powoli i Letho nie miała złudzeń że wynika to jedynie z faktu, że jest wcześniej rano i porządni obywatele miasta szykują się do pracy.

: musiałam wyjść.

Leżała na łóżku i przeglądała głupie klipy z nocnych streamów, sprawdzała, co to był za wypadek, oraz prognozę pogody i nigdzie się nie spieszyła. Jej pamięć czkała echem głosu ojca, powtarzającego, że na lenistwo będzie miała czas, kiedy przyjdzie starość. On zawsze się spieszył. Pewnie robił to nawet w tej chwili. Zawsze

miał obawy, że z czymś nie zdąży, i bardzo chciał nauczyć swoje dzieci sztuki nietracenia czasu, aby nie musiały się spieszyć jak on. Asel była dobrą uczennicą. Letho...

: Wiesz co może faktycznie tak było nie wnikać niczego nie czułam zabawa była przednia ale jak tam chcesz ale normalni ludzie jak się źle poczują to coś mówią wychodzą się przewietrzyć a nie blokują znajomych żeby ci przypadkiem nie mogli ich znaleźć. Ja czuję że nie możesz powiedzieć gdzie i nad czym pracujesz znam korporulshit i reguły. Że nie zaprosisz nigdy do siebie. OK może masz firmowe mieszkanie pełne firmowych tajemnic. Chujowo ale spoko ale teraz przesadziłaś serio. Nie wnikać czy to tajne przez poufne czy masz mnie po prostu w dupie mam dość *au revoir*. Muszę spadać do pracy.

Letho patrzyła na wiadomość dłuższą chwilę, próbując odnaleźć się w odartym z większości znaków interpunkcyjnych potoku słów. Potrafiła wyobrazić sobie Ilene ubierającą się i dyktującą tekst na głos, mówiącą tak szybko, że apka z trudem wyłapywała nawet kropki.

– Fuck...

Wyłączyła bransoletkę jeszcze w klubie. Zniknęła dla wszystkich, wylogowała się z całej sieci informacyjnej, choć to w teorii nie było możliwe. Raz zarejestrowany wszczep pozostawał aktywny tak długo, jak długo żył właściciel. Nie dało się zniknąć na chwilę! Ale dało się wylogować się z konkretnych aplikacji albo zablokować w nich kogoś – Letho nie zrobiła tego, ale gdyby była na miejscu Ilene, to doszłaby do takiego wniosku. Wchodziło w grę to albo wejście w strefę o podwyższonym indeksie zabezpieczeń, ale to drugie nie pasowało do sytuacji. Zablokowanie stanowiło prostsze wyjaśnienie.

Kobieta bardziej zsunęła się niż wstała z łóżka i podeszła do okna, za którym zobaczyła tylko ciemność – słońce jeszcze nie wstało, latarnie nadal nie działały, neon La Casa de la Muerte był wyłączony. Gdyby kiedyś przyprowadziła tu Ilene, to może ta zrozumiałaby, że pewne rzeczy są, jakie są. Zrobienie tego teraz wydawało się pozbawione sensu. Ilene nie uwierzyłaby w porwanie.

„Ludzie nie znikają ot tak, żyjemy w cywilizowanym świecie” – odpowiedziałyby.

Oczywiście Letho mogła skłamać, wymyślić jakieś bardziej realistyczne wyjaśnienie, ale nie chciała tego robić. Przez ponad rok znajomości unikała łgarstw jak ognia i pozwalała Ilene samej uzupełniać dziury w jej historiach, dopowiadać sobie rzeczy,

których Letho nie potwierdziła. Teraz czuła, że – jak to mówił Savio – kopnęło ją to w rzyć.

* * *

Jedna niezapowiedziana wizyta była irytująca. Druga w przeciągu dwudziestu czterech godzin na dobre popsowała Saviowi humor. Tym razem księżniczka z wysokiej wieży udostępniała swoją wizytówkę i to tylko pogorszyło sprawę, bo mieć na progu CEO, businesswoman, która przegryzła się przez korporacyjne szczeble i osiągnęła sukces, to jedno. Stać twarzą w twarz ze spadkobierczynią fortuny, w której skład wchodziła spora część Baltiki, to drugie.

Z tymi pierwszymi lepiej się negocjowało.

– Tak, to prawdopodobnie wielkie odkrycie, ale badanie go w tej postaci nie jest warte życia ludzi, których może skrzywdzić. A wypadków jest coraz więcej. To trzeba powstrzymać i nie mamy czasu, aby szukać kogoś innego i wymyślać inny plan. Mamy ten jeden i jedną szansę, by go zrealizować, a do tego potrzebujemy Θ-Kayin. Nie mówię tego ani w imieniu firmy, ani założycieli Baltiki. To nie dla mnie, a dla nas wszystkich. Potrzebujemy pomocy. Całe miasto jej potrzebuje.

Powtórzyła to już po raz trzeci, zmieniając jedynie kolejność słów i używając synonimów. Savio miał wrażenie, że stara się być przyjaźniejsza niż w nocy, ale wychodziło jej kiepsko. Prosiła takim tonem, jakby z góry oczekiwała, że jej zachcianka zostanie spełniona, ale mimo wszystko prosiła i mężczyzna czuł, jak skręcają mu się kiszki. Jeśli poprzednim razem miał wrażenie, że coś jest nie tak, to teraz tylko się pogorszyło. Savio był pewien, że przez całe życie wszyscy naskakiwali jej i nie zadawali pytań, gdy czegoś chciała. Oczywiście, że nigdy nie nauczyła się ładnie prosić, więc robiła to tonem, który roboczo nazwał „Słuchaj, plebsie”, i właśnie dlatego Laine Alexandra Anker brzmiała szczerze.

O ile nie była dobrą aktorką.

Albo blef nie był podwójny.

– Najpierw przychodzicie tu w środku nocy i oczekujecie, że dostaniecie wszystko ot tak, kasa na stół, a jakbym miał wątpliwości, to Kerlab ma prawa i tak dalej. – Savio łypnął na nią spode łba, ale w sumie bardziej uważał na jej ochroniarza. Eglītis stał ledwie krok za nią i obserwował czujnie. – A teraz nagle wam się odwróciło i chodzi o dobro wszystkich, i już nie szybki

biznes, ale grzeczna prośba. Sorry, ale to się nie spina. Jak teraz powiem, że nie, nie wiem, o co chodzi, to rozumiem, że wieczorem znowu zmienicie podejście i przyjdziecie strzelać? Albo porywać w ciemnych zaułkach, bo co wam szkodzi?

Kobieta zadrżała i przeszło mu przez myśl, że przeholował. Nie pierwszy i nie ostatni raz w życiu. Przynajmniej miał nadzieję, że nie ostatni.

– Nie! – Przez chwilę w jej głosie zabrzmiała wysoka nuta, jakby zacisnęło się jej gardło. – To moja wina. Wczoraj przyszłam tu przekonana, że tylko tak coś osiągnę. Powinnam była dowiedzieć się więcej wcześniej, ale mamy mało czasu. Nadchodzący sztorm to nasza najlepsza okazja. Nie możemy pozwolić sobie na zwłokę. Przysięgam na... – Urwała z wahaniem, a on uśmiechnął się półgębkiem, ciekaw, na cóż takiego dziedziczka może przysiąc, żeby miało to jakąkolwiek wartość. Obietnice bogatych ludzi były coś warte tylko wtedy, gdy ich pieniądze nie mogły rozwiązać problemów w przypadku niedotrzymania przez nich słowa. – Nieważne, na co przysięgnę, to nie będzie miało znaczenia. Nie znamy się, więc mi nie uwierzysz. – Zaskoczyła go. – Nie będziemy strzelać, nie będziemy porywać. Potrzebujemy pomocy, współpracy, a nie po prostu danej jednostki. Porwanie tego mija się z celem –

Brzdęk tacy upadającej na kafle rozległ się niczym wystrzał, wystraszył wszystkich. Laine Anker podskoczyła, Eglitis w mgnieniu oka znalazł się przed nią, Savio spał się na ułamek sekundy, nim jego mózg rozpoznał dźwięk i pokojarzył fakty.

Letho stała w przejściu, którym można było dostać się na górę, i wyglądała, jakby bardzo chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Trudno było stwierdzić, czy w ogóle oddycha.

– No i pięknie, my tu gadu-gadu i teorie, a Letho dobrze wie, jak to jest być porwaną. Dwa pieprzone lata, a ona nadal czasami budzi się z krzykiem.

– Savio.

Eir miało zostać w kuchni, ale teraz stało jak najbardziej na widoku, obejmowało ramieniem pobladałą Letho i patrzyło spojrzeniem wkurwionej góry lodowej. Przez szeroko otwarte drzwi Laine Aleksandra Anker musiała je widzieć, a przede wszystkim rozpoznać, bo pewnikiem przez te kilka lat zmieniło się mniej niż ona.

– Musicie nam po –

– Eir nic nie musi i nie po to wydostało się z labu, żeby teraz ktoś inny mówił onemu co ma robić, kiedy i bez podawania powodu – warknął wściekły Savio. – Poza tym Eir jest rasowym skurwysynem. A jeśli myślicie, że może jednak uda wam się siłą, to zawczasu wam powiem, że po moim pieprzonym trupie, i przypomnę jeszcze, że Eir spieprzyło z labu bez niczyjej pomocy, choć w to nie musicie wierzyć. Może wolicie słodkie pierdololo o tej jednej osobie w labie, która miała dobre serduszko, tak jak ponoć wy macie, i pomogła Eir zdobyć wolność. Eir, pomogł ci ktoś?

– Nie.

– Właśnie. Więc serio. Jak mówiłem, gratki za stworzenie świadomej SI, jeśli naprawdę się to udało, ale skoro to zrobiliście, to teraz po sobie posprzątajcie, a nie szukajcie jelenia do wykorzystania.

Laine Anker patrzyła za Savia, jakby liczyła, że Eir się odezwie, zaoferuje pomoc, ale ono milczało i w końcu wygrało ten pojedynek patrzenia w ciszy, bo kobieta odwróciła się bez słowa. Powoli, jakby odmierzając każdy krok tak, aby przeciągnąć wszystko, jak to tylko możliwe, ruszyła w kierunku stojącego po drugiej stronie ulicy prywatnego auta, wsiadła. Nie odjechali od razu. Savio wyszedł na chodnik i patrzył, ale przez zaciemnione okna nie widział, co się dzieje w środku. Co omawiali? Bo coś na pewno. W myślach robił listę osób, które mogą wiedzieć więcej o sprawie, ale ta była krótka. Nie łudził się, że jeśli wszystko, co usłyszał, jest prawdą, a nie tylko bajeczką służącą, by przejąć Eir, słyszało o tym możliwie mało osób.

Odjechali.

W końcu.

– Kurwa. Co mnie podkuśliło się stawiać? Nie jestem pieprzonym bohaterem.

– Jesteś tchórzem.

– Dokładnie. I służy mi to. – Savio prychnął. – Nie podoba mi się to. Za cholerę mi się to nie podoba.

Eir mruknęło, zachęcając do rozwinięcia myśli.

– Jeśli faktycznie potrzebują kogoś, kto im tam wejdzie na ducha, to na pewno istnieją sposoby, żeby na chwilę wyłączyć wszystkie funkcje wszczepu. A jeśli tak, to czemu nie wezmą kogoś od siebie, tylko szukają w polu? Jeśli to sposób na zamknięcie cię w nowym labie, to jest cholernie zawily i uwzględnia kilka trupów, które już pozamiatano z ulic. Za jakie grzechy mnie to spotyka? I jeszcze ta babka wyprowadza mnie z równowagi. Nie mam pojęcia, która jej wersja była fałszywa. Może obie były.

– Kto to?

Savio spojrział na Eir z niezrozumieniem. Potrzebował chwili, aby pokoiarzyć oczywiste fakty. Ono nie miało wszczepu – znało twarz, ale nie widziało wizytówki. Nie widziało też pewnie wielu innych rzeczy, bez których mężczyzna nie wyobrażał sobie życia, i niby zawsze o tym wiedział, ale teraz uświadomił to sobie jakby dobitniej.

Może panna Anker i jej towarzystwo nie mogli przerzucić offline zaufanego pracownika, bo zaufany pracownik czułby się jak bez ręki i spierdolił zadanie. Tak, to miało sens, ale co z tego?

– Jeśli to wszystko prawda, może należałoby stąd spieprzać. Nie wiem, dokąd. Myślę – mruknął. – Muszę pogadać z kilkoma osobami. Jeśli nie wrócę do osiemnastej, otwórzcie beze mnie.

* * *

Letho stała za barem i patrzyła na salę, ale tak naprawdę ledwie zauważała, co się dzieje. Witek i Sasza rozmawiali o czymś i choć słyszała słowa, to nie rozumiała ich sensu. Eir już kilkakrotnie zaproponowało jej, żeby poszła na górę i odpoczęła, ale za każdym razem mówiła, że nie ma takiej potrzeby, licząc, że nie zostanie zapytana ponownie. Martwiło się o nią albo uważało, że powinno się martwić, więc próbowało imitować odpowiednie zachowania – czasami funkcjonowało w ten mechaniczny sposób, a przynajmniej tak to kiedyś wyjaśniło. Jak było teraz? Nie wiedziała. Próbowwała się nad tym nie zastanawiać, bo wówczas miała wrażenie, że jest oszustem. Ono myślało, że wciąż jest wstrząśnięta tamtą wizytą – i owszem, trochę tak – ale teraz rozstrajała ją zupełnie inna rzecz.

Kolejny raz odpałiła okno skrzynki z wiadomościami, jakby jakimś cudem mogła dostać nową i przeoczyć alert. Tak, oczywiście, nie przyszło nic nowego, choć zwykle o tej porze Ilene pisała jej już o planach na piątkowy wieczór. Dwa dni milczenia jeszcze nigdy się nie zdarzyły, a pokłóciły się kilka razy przez ponad rok znajomości. Nawet jeśli docinki i czasami krzywe spojrzenia pozostawały na dłużej, nadal ze sobą rozmawiały. Z Rory i Simonem było tak samo. Z Anniką różnie...

– Karl ma rację, pójdziemy na dno!

Poderwała gwałtownie głowę i spojrzała na Witka, ale ani on, ani nikt inny nie zwracał na nią uwagi i może właśnie dlatego zakiełkowała w jej głowie szalona myśl, którą już nieraz od siebie

odpędzała. A przede wszystkim dlatego ją zrealizowała. Nowe okno było niewielkie i prawie nieprzezroczyste. Przesłaniało gości przy najbliższym stoliku i zamiast nich Letho widziała publiczny feed Rory. Filmiki z festiwalu, fotki wszystkich ostatnich posiłków. Przyglądała się im uważnie, jakby z zawartości talerza mogła wysnuć, co zmieniło się w życiu przyjaciółki, ich wspólnych znajomych, krewnych. Weszła na profil matki, zanim zastanowiła się, co robi, i zaatakowały ją zdjęcia kuzynek, żarty, których nie rozumiała, filmik z rodzinnego spotkania.

Szalona myśl, żeby wysłać wiadomość, nie pierwszy raz nią zawładnęła. Wyobraziła sobie, że opisuje wszystko, co się wydarzyło. To, że ją porwali, wywieźli na drugi koniec świata i upozorowali jej śmierć, ale ona – Asel – żyje. Nie ma ID, nie używa nawet swojego imienia, ale Letho to Asel i chce wrócić. Ale to nie jest takie proste, bo od domu dzieli ją ocean i nie przepłynie go wpływ, a bez dobrego ID nie przepuszczą jej przez granicę. Gdyby jednak miała dość pieniędzy na łapówki albo na lepsze lewe ID, albo na prawnika, który zawalczy o jej życie, toby wróciła. Jak zareagowałaby jej mama? Ojciec? Reszta rodziny?

Przez moment tonęła w wyobrażeniu tego, jak się cieszą, jak jej pomagają i już nie musi zastanawiać się, co dalej z Ilene, z Baltyką i jej SI.

W kolejnym się otrząsnęła.

To brzmiało jak beczelny, żerujący na emocjach ludzi scam. Wszystkie instytucje twierdziły, że Asel Paredes nie żyje. Sama Asel nie dała znaku życia przez dwa lata, a teraz nagle objawiłaby się i mieliby jej uwierzyć, bo...?

Bo pisała, że jest sobą?

Każdy mógł podpisać się jako ona.

Bo zgodziłaby się na rozmowę wideo?

Dobry deep fake załatwił sprawę.

Bo znałaby szczegóły z życia Asel?

Sama nie umiała sobie przypomnieć czegoś, co wiedziałyby tylko ona i ktoś jej bliski. Czegoś, czego nie można było wyrwać siłą z tysięcy baz danych, o które ocierała się całe życie. Na miejscu swojej rodziny bez mrugnięcia okiem uznałyby taką wiadomość za scam, a może nawet poszła o krok dalej i zgłosiła sprawę policji. Ta może zareagowałaby i reszta historii potoczyłaby się tak, jak to czarnowidział Savio> zamiast jednej cudownie ocalonej ofiary zrobiliby z niej sprawcę. Bo przeżyła. Bo miała nowe ID. Bo jedna szczęśliwa rodzina była mniej warta niż kilkadziesiąt

takich, którym można by w końcu wskazać winnego. Policja dumnie wypięłaby pierś i mówiła, jak wiele zdziałała.

Ta droga została zamknięta.

Letho rozejrzała się po sali. Nikt nie zauważył, jak na chwilę zupełnie zatoneła w wirtualu i myślach.

* * *

Wiedziała, że to, co robi, to akt desperacji, ale Ilene jej nie zbanowała i Letho nadal mogła w każdej chwili podejrzeć, gdzie przyjaciółka znajoma się znajduje. To nie tak, że naruszała jej prywatność w jakiś wybitny sposób. Gdyby ktokolwiek pytał, to powiedziała by, że jest tu przypadkiem, nic więcej. Przecież Baltika nie była przesadnie duża. Wręcz przeciwnie. Miała powierzchnię mniejszą niż wiele miast na wybrzeżu Bałtyku, więc takie spotkanie mieściło się w granicach prawdopodobieństwa. Letho odetchnęła. Z wylotu ulicy nie mogła zobaczyć Ilene, ale wystarczyło, że spojrzała na podgląd mapy, i wiedziała, że ta znajduje się pomiędzy kilkunastoma drzewami o niemal bordowych liściach. Przypis w kolejnym oknie informował, że umieszczono je tu w specjalnych donicach, aby uczcić pamięć jednego z fundatorów Baltiki. Wyłączyła go, nie czytając dalej. Szła powoli, stawiając nie za długie kroki, odwołując się do nieuniknionych. Miała ułożone w myślach, co powie, jak wyjaśni swoje zniknięcie.

„Ilene, popełniłam błąd, pozwalając ci dopowiadać sobie, jakie jest moje życie, i nie mówiąc ci, jaka jest prawda, gdy się myliłaś. Bałam się...”

Miała wszystko spisane w apce. Gotowe, aby wskoczyć na podgląd, gdyby zapomniała słów, ale była pewna, że da radę. Przećwiczyła to. Już widziała Ilene w tej samej sukience i płaszczu, który nosiła zeszłej zimy, gdy temperatury spadły niemal do zera. Cały widok był tak cholernie znajomy, że Letho na moment zapomniała, po co tu jest. W kolejnym Ilene na nią patrzyła. Oczywiście, bo ona też dostała pop-up, ledwie Letho znalazła się w promieniu trzystu metrów od niej. Może przez cały czas, gdy stała ze wzrokiem wbitym w ziemię, śledziła ruchy Letho.

Nieważne.

– Ili... Ilene.

– Tak?

Letho wzięła głęboki wdech.

– Ilene, popełni –

– Asel Paredes?

Zamarła. Wszystko w niej krzychało, że powinna zignorować te słowa, ktokolwiek je wypowiedział. Już nie była Asel. Musiało chodzić o kogoś innego. Zbieg okoliczności, nic więcej. Tylko że Ilene spojrzała ponad jej ramieniem i zbladła, więc może faktycznie ktoś tam stał i do nich mówił. Z duszą na ramieniu Letho spojrzała za siebie i wstrzymała oddech. To ta kobieta była w La Casa de la Muerte dwa dni temu. Teraz stała tak blisko, że Letho widziała, jak układają się nici w haftowanych na jej leżącej się sukni kwiatkach. Prawdziwy, koszmarnie drogi haft, a nie zwykły nadruk. Ilene prychnęła i Letho odwróciła się w jej stronę, pewna, że musi coś powiedzieć. Ale co? Przygotowany występ już nie pasował.

– Widzę, że znalazłaś lepsze towarzystwo.

Letho zadrżała nie tylko z zimna. Chciała zaprzeczyć, ale Ilene nie dała jej na to czasu.

– A może to cały czas było twoje towarzystwo i tylko na chwilę zeszałaś pomiędzy plebs? A potem znikaaś, wracałaś do siebie? Mogłam na to wpaść.

– To nie –

– Nie odpowiadaj, Letho. Nie interesuje mnie to. C'ya... tfu, żadne c'ya. *Au revoir*.

Ilene znikła z mapki w apce Letho, ale jeszcze przez chwilę widać ją było w tłumie.

– Przeszkodziłam? – Kobieta za jej plecami odezwała się znowu. Miała głęboki, przyjemny głos. – Przepraszam, ale możemy porozmawiać?

Kierowana niemal dziecinnym uporem Letho zacisnęła dłoń w pięści i dalej patrzyła w ślad za odchodzącą Ilene, jakby to mogło cokolwiek zmienić. Sprawić, że nieznajoma odejdzie, a przyjaciółka zawróci i pozwoli sobie wszystko wyjaśnić. Letho potrzebowała jej, żeby nie myśleć cały czas o Rory, Simonie i Annice.

– Chodzi o Eir – dodała Laine Anker ponaglącym tonem.

* * *

Ragnar Eglītis miał dość rozsądku, aby wejść do La Casa de la Muerte powoli, wręcz nieco przygarbiony, jakby niedomagał, ale przede wszystkim sprawiając wrażenie niegroźnego. To nie było takie łatwe przy jego posturze i Eir zgadzało się z Saviem>

ten człowiek mógłby niejednemu porachować kości, gdyby tylko chciał. Siadając na hookerze, odprowadzany spojrzem Witka, Saszy i kilku innych gości, którzy zjawili się wkrótce po otwarciu, nie wyglądał, jakby chciał to robić, ale takie rzeczy zmieniały się szybko i Eir obserwowało go uważnie. Uśmiechał się w sposób, który z braku innego pomysłu określiło jako pocziwy, i zadbał o to, aby położyć dłonie na metalowym blacie – na widoku. Jedyne, co drażniło Eir, to fakt, że mężczyzna się gapił. Nie bardzo nachalnie, jak personel przy próbach i testach, ale jednak. Trochę swoim zachowaniem przypominał Letho, gdy na początku pobytu tu próbowała zrozumieć, jak La Casa de la Muerte działa i jakie prawa w niej obowiązują.

– Możemy porozmawiać?

– To pub, nie chatroom IRL.

– Piwo?

Szybko się uczył – przynajmniej prostych rzeczy.

– Ty jesteś Eir, co nie?

Przytaknęło, wyciągając butelkę z lodówki. Nie najdroższą, ale adekwatną do prawdopodobnych dochodów mężczyzny. Skoro zajmował czas, mógł za to zapłacić.

– Nie chcę usprawiedliwiać Laine, ale...

Eir spojrzało na niego kątem oka. Nie musiało niczego dodawać.

– Ale trochę to zrobię. Nie skłamałbym, jakbym powiedział, że mnie o to nie prosiła... Właśnie to powiedziałem. – Roześmiał się.

Kilka ciekawskich spojrzeń znów skupiło się jego plecach, ale albo tego nie zauważył, albo się tym nie przejął.

– Laine to dobra dziewczyna.

Eir widziało Savia w odbiciu w oknie naprzeciw baru i czekało, aż ten coś powie, bo z każdego jego ruchu, gdy rozstawiał przyniesione ze zmywarki szkło, sięgał do lodówki lub otwierał butelkę, wyzierało zirytowanie, a jednak – jak rzadko – nie dawał mu upustu.

– Chce dobrze, ale nie żyjemy w czasach, gdy da się być arbitralnie dobrym. Nie wiem, czy kiedykolwiek się dało. – Ragnar roześmiał się, nadal patrząc na Eir.

Wzruszyło ramionami.

– Jej największą wadą jest gust muzyczny. To i wiara, że wszystko można sobie wyjaśnić, jeśli tylko szczerze porozmawiać w cztery oczy. Życie wielu osób byłoby prostsze, gdyby ograniczała się do wydawania poleceń i wysyłania innych z groźbami i poleceniami.

Dziś mam wolne, siedzę tu i zastanawiam się, czy faktycznie spędzi wieczór u siebie, czy zafunduje mojemu zmiennikowi niespodziewaną wycieczkę, bo uzna, że to jej moralny obowiązek.

Eir zmierzyło go spojrzeniem, za którym nie kryło się żadne konkretne pytanie, ale najwyraźniej Ragnar sam je sobie dopowiedział. Wyprostował się gwałtownie i uniósł ręce, jakby w jakiś sposób mu groziło.

– Nie przyszedłem tu dlatego, że ona może tu znowu przyjechać. No, nie tylko dlatego. – Oklapł i podparł się ramieniem o blat.

– Wiesz, że nim przyszła tu pierwszy raz, ćwiczyła przed lustrem?

Skąd miałyby wiedzieć. To było bardzo głupie pytanie.

– Nie.

– Ćwiczyła, żeby wypaść odpowiednio poważnie, a potem, gdy zrozumiała swój błąd, była bardzo zła na siebie, że naiwnie założyła coś, a nie sprawdziła lepiej, ale... Sprawa jest poważna. Jest źle – ostatnie słowa Ragnar powiedział ciszej – a będzie gorzej.

– Może jest też dość naiwna, żeby wierzyć, że ma cokolwiek do powiedzenia w kwestii tego waszego wielkiego problemu? – Savio nie wytrzymał.

On i Ragnar patrzyli na siebie. Eir patrzyło na nich, oparte o niższy blat z ekspresem do kawy, i czekało, gotowe rozdzielić ich, gdyby tylko spróbowali przejść do rękoczynów. Nie było pewne, czy zdołaliby przytrzymać Ragnara, ale Savia tak, a że ochroniarz Laine Anker wciąż tkwił po drugiej stronie wysokiego baru, może tyle by wystarczyło. Jeśli nie, zawsze byli Sasza i Witek. W ferworze walki pozostałe siedem osób przy innych stolikach pewnością dołączyłoby nawet nie z sympatii do Savia, co nie chcąc tracić spokojnego miejsca spotkań.

– Nie sądzę.

– Sądenie, najlepszy sposób, aby wtopić. – Savio to także powiedział odwrócony plecami do reszty lokalu, ale na tyle głośno, że Eir go usłyszała. Ragnar również.

– Wiem, że ma coś do powiedzenia. Nie musiała mieć. Mogła się nie mieszać, ale jeśli już to zrobiła, to doprowadzi sprawę do końca. Jest idealistką i stać ją na to, aby nią być, przynajmniej w granicach Baltiki. A jeśli coś obiecuje, to dotrzymuje słowa.

– Ta, oczywiście – prychnął Savio.

Eir odkaszlnęło.

– Co? – warknął, tylko przez ułamek sekundy patrząc na Eir. – Już kiedyś słyszałem takie obietnice, że ktoś coś może, a potem miałem jeszcze jeden grób, który mogłem odwiedzać, jak mnie naszło.

Mówił o Kamilli. Ono jej nie poznało, ale nieraz w długie zimne noce, gdy wypili za dużo, słuchało historii, w których wciąż żyła, i tych, gdy Savio miał jeszcze nadzieję. Tych o tym, co dokładnie się wydarzyło, Savio nie opowiedział nigdy. Ragnar odpuścił i zainteresował się zawartością swojej szklanki, tylko raz po raz zerkając na Eir, jakby liczył, że da mu ono jakiś znak, czy może znów się odezwać, czy zeszli z tematem w takie bagno, że każde kolejne słowo może wywołać wybuch. Mogło to zrobić, ale nie miało ochoty. Spojrzało na swój tablet. Letho znajdowała się w Errai. Mówiła, że pewnikiem będzie w Kochab, i zwykle tam spędzała wieczory, gdy miała wolne. To oczywiście nic nie znaczyło, ale mogło i Eir było niemal pewne, że Savio też ma tego świadomość.

* * *

– Nie wiedziałam.

Z prywatnej łoży w kawiarni na dziesiątym piętrze roztaczał się widok na Plac Gwiazdy. Oglądane z tej wysokości ławki, rzeźby, latarnie, wytyczone ścieżki dla ludzi i pojazdów układały się w przemyślaną mozaikę Mechaniki Nieba, którą do tej pory Letho widziała jedynie na zdjęciach. Gdyby przyszła tu z innej okazji, nie oparłaby się pokusie stania z nosem przy szybie i patrzenia z podziwem. Zamiast tego zerknęła tylko raz, tuż po tym, jak elegancko ubrany kelner przyprowadził je tutaj, gnąc się w ukłonach. Potem cała jej uwaga przeszła na Laine Anker. Podejrzała, że jest z *tych* Ankerów, bo nikt przypadkowy nie ubierałby się w ten sposób, nie witano by go tak usłużnie w wejściu do restauracji i nie prowadzono od razu do osobnej sali, przy której vip room w La Casa de la Muerte wyglądał jak nora.

– Wiem, że jeśli pójdę tam trzeci raz, to tylko wszystko pogorszę, dlatego odszukałam ciebie. – Laine przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się w taki sposób, że Letho przez moment jej współczuła, choć nie umiała powiedzieć dlaczego. – To było dziwne odkrycie, przyznam, As... Letho, tak?

Potwierdziła krótkim skinieniem.

– Nie wyobrażałam sobie, jak to może możliwe, żeby skopiować czyjeś ID albo je stracić za życia.

– Wystarczy przez kilka miesięcy nie być aktywnym w sieci i blokuje się automatycznie, i nie ma sposobu na odblokowanie go. Nie ma do kogo pisać ani nic, bo do tego trzeba mieć aktywny legalny numer. – Letho roześmiała się gorzko.

Laine patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma. Zaciskała dłoń na ozdobnej szklance na tyle mocno, żeby zawartość drżała.

– Tak nie powinno być, nie...

– Ale jest. Ktokolwiek to zaprojektował, uznał, że nie da się żyć offline. Da się – powiedziała, jakby to było oczywiste, choć sama musiała spotkać Saszę, aby w to uwierzyć. Teraz jednak odczuwała satysfakcję, oznajmiając to tak oschle, że zawstydziłaby Eir, i patrząc, jak Laine Anker spina się, blednie i szuka słów. Daleko było temu do zemsty za przepłoszenie Ilene, jednak teraz Letho mogła zadowolić się czymkolwiek. – Ale nie wiem, co to ma do Eir.

Po drugiej stronie stołu Laine odetchnęła głęboko, wzrok jej uciekł w pustą przestrzeń koło drzwi. Może wydawała ciche polecenie, aby im nie przeszkadzano, a może szukała słów. Letho wstrzymała oddech. Siedziała sztywno i wkładała bardzo dużo wysiłku w to, aby nie zacisnąć dłoni w pięść.

– Wyciągnęłam pochopne wnioski, ale szemrany biznes i Θ-Kayin po tym, co zaszło w laboratorium zależnym od Kerlabu... to zdawało się świadczyć o jednym. – Laine spojrzała na Letho. – Byłam przekonana, że trafię na kogoś, kto będzie uważał się za właściciela, przedstawi mi cenę, postawi warunki. Ale teraz wiem, że się myliłam. Θ-Ka... Eir nie jest tam... – Wyraźnie szukała słowa i nie mogła go znaleźć, ale Letho domyślała się, co jej rozmówcy próbuje wyrazić.

Savio nie zatrzymywałby Eir, gdyby chciało opuścić La Casa de la Muerte. Może nawet pomógłby zorganizować transport poza wyspę. Savio nie miał też nic do powiedzenia w kwestii tego, co Eir robiło, gdy nie pomagało przy prowadzeniu baru. Nawet jeśli często mówiło o sobie, że jest produktem, rzeczą z labu, to nie stanowiło niczyjej własności, nie było wyposażeniem. Tymczasem, na ile Letho zrozumiała, Laine Anker zachowywała się podczas pierwszej wizyty dokładnie w ten sposób. Nic dziwnego, że nerwy Savio tak łatwo puściły, gdy przyszła drugi raz.

– Popełniłam błąd i potrafię się do tego przyznać, przeprosić. I zrobię to, ale teraz nie mam czasu na podchody. Nadchodzący sztorm to nasza najlepsza okazja. Na razie udaje nam się utrzymać tajemnicę i o problemach z Hadar wie zaledwie kilka osób z zespołu programistów i zarządu Baltiki, ale lada moment ktoś niżej zacznie coś podejrzewać. Istnieje skończona ilość wypadków, którą można zrzucać na karb nieuwagi, wadliwego sprzętu na ulicach albo działalności domorosłych hakerów. A gdy ktoś głośno powie, że może problem jest ze sterującą tym wszystkim

sztuczną inteligencją, to tego nie powstrzymamy. – Odetchnęła. – Musimy jak najszybciej wyłączyć Hadar i przywrócić backup. Próbowaliśmy bez wyłączania, ale Hadar uznało to za nieakceptowalne i nie wykonało polecenia... Wyłączenie Hadar, to teraz konieczność i nieważne, że może to być przełomowe odkrycie. W ciągu dwóch tygodni od dodania aktualizacji na ulicach zdarzyło się o niemal siedem procent więcej wypadków niż normalnie. Część z nich była śmiertelna, dlatego proszę cię o pomoc. Odwdzięczę się. Zrobię wszystko. Choćbyś poprosiła mnie o przywrócenie twojego starego ID, to znajdę sposób, aby to zrobić. Pomóż mi przekonać Eir. Obiecuję, że nic jej...

– Ono. Onemu.

– Że nic onemu nie grozi. To nie jest pułapka, przysięgam. Wiem, że może być trudno mi zaufać, ale naprawdę, obiecuję.

* * *

– Powiedziała, że jeśli przekonam cię, abyś im pomogło, to odda mi moje życie. Mogłabym znowu być Asel Paredes i wrócić do domu. – Jej głos zadrżał i zirytowana odetchnęła głośno. – Pytałam Savia i zgodził się, że ktoś taki jak ona miałby środki i znajomości, aby to zrobić, więc to nie tak, że składa obietnice zupełnie bez pokrycia.

Spojrzała na Eir i szybko odwróciła wzrok. Miało pewność, że rozumiała ryzyko. Trudno było go nie zrozumieć po tym, jak Savio przedstawił jej im obojgu niemalże drukowanymi literami. Niemniej Laine Anker cholernie dobrze wybrała przynętę. Nawet gdyby Eir nie widziało, jak Letho przestępuje z nogi na nogę, chowa dłonie w kieszeniach, stoi ciągle w progu pokoju, jakby gotowa do zaprzeczenia wszystkiemu i ucieczki, i tak by to wiedziało. Savio mówił, że minęły już dwa lata – pozornie dużo czasu, ale nawet ostatnie dni udowodniły, że potrzeba go jeszcze więcej. Miesiące, tygodni, lat – albo zmiany.

– Wiem, że w sumie zawsze byłam tylko numerem, ale kiedy ten numer siedział w mojej głowie, to o tym nie myślałam. Teraz – spojrzała na bransoletkę na swoim nadgarstku i skrzywiła się z obrzydzeniem – to liczy się bardziej niż ja. A jeśli to prawda, co mówiła o Hadar, to co wtedy? Ucieczka i zaczynanie wszystkiego od nowa? Ja nawet tu nie umiałam zorganizować sobie namiastki takiego życia, jakie miałam! Przez to cholerstwo Ilene nie chce mnie znać! – Potrząsnęła nadgarstkiem. – Ty nie

wiesz, jak to jest stracić życie, dla ciebie ta bransoletka to pewnie o niebo więcej, niż kiedykolwiek miałoś, ale to jest nic. Cholerna namiastka, a Laine... – Zamilkła tak nagle, że przez moment cisza w pokoju piszczła w uszach. – Ja... Przepraszam.

Wybiegła, nie odwracając się. Eir nie wołało za nią. Nie rozumiało w pełni jej emocji, ale wiedziało, że przynajmniej w jednym miała rację, też używało bransoletki, jednak dla każdego z nich była ona symbolem czegoś innego.

* * *

Nie zwykł przebierać w słowach, ale teraz nie chciał powiedzieć wprost, że Eir posrało. Tak, Laine Anker miała z pewnością dość pieniędzy, aby kupić Letho przynajmniej historię, a może wręcz naprawdę załatwić przywrócenie numeru, ale czy na pewno chciała mieszać się w takie sprawy? Savio pozostawał podejrzliwy, nawet jeśli w grę wchodził konkretny biznes, coś za coś, a nie puste obietnice i mówienie o dobru ogółu. Nigdy nie ufał tym drugim.

– Eir, pomyśl, jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, to bez mrugnienia okiem wrobią cię nie tylko w próbę zamachu, ale przypiszą ci przynależność do jakiejś organizacji terrorystycznej. O ile w przypadku Letho, gdyby się postarać, dałoby się zaangażować jakąś organizację charytatywną, żeby wstawiła się za nią i na chwilę zrobiła szum w kwestii handlu ludźmi, to w twoim w...

– W teorii mam tyle samo praw, co skuter.

Savio prychnął, coraz bardziej zirytowany. Było zimno, szaro. W oddali granica między niebem a morzem pozostawała niemal niedostrzegalna, a statki na rucie przypominały widma niosące białe, zielone i czerwone latarnie niczym na pogrzebie – czym? Mężczyzna nawet nie zgadywał. Wyspy? Całego świata?

– Możesz przestać mi przerywać? Próbuję powiedzieć coś ważnego, a ty... Szlag. Eir! Ty... nie myślisz o tym przez Letho, co nie? Rozważałobyś to nawet, gdyby Anker nie złożyła jej oferty. Ja pierdołę! *Primo*, ciebie i skuter dzieli przepaść i znaleźliby się prawnicy, którzy by to wybroniли. *Secundo*, ciebie i tę popsutą SI dzieli przepaść, jaka dzieli każdego człowieka i sztuczną inteligencję, jasne?!

Eir przytaknęło. Chyba. Wiatr przybierał na sile, niedaleko nich fale roztrzaskiwały się o zbrojone brzegi Baltiki, a podmuchy unosiły ze sobą zimne słone krople i może ono poruszyło głową tylko po to, by uchronić się przed kolejnym uderzeniem?

* * *

Siedząca po drugiej stronie stołu Aileen Angstrom prawie nie spuszczała z Eir wzroku. Uważała je za zagrożenie – nie powiedziała tego wprost, ale nie musiała. W czasie bardzo krótkiego przedstawiania się dała do zrozumienia, że odpowiadanie za bezpieczeństwo w mieście to jej praca. Ale poza antyczną CCTV i programami do rozpoznawania twarzy nie była w stanie wyposażyć Baltiki w nic, co mogłoby śledzić każdy krok Eir. Zatem w jej oczach stanowiło kwintesencję zagrożenia i świadomość, że może być takich osób więcej, wyraźnie działała jej na nerwy. Żłobiła w jej czole poziome zmarszczki, zmieniała usta w cienką bladą linię na niemłodej już twarzy. Siedzący obok niej Jean-Christian Canard raz za razem strzelał palcami. To głównie on miał mówić, bo, według słów Aileen, jak mało kto znał Hadar. Eir nie miało powodów, aby w to wątpić.

– Plan jest prosty, ale musimy działać szybko – zaczęła Aileen rzeczowym tonem. – Na czas sztormu ogłosimy lockdown, zasymulujemy awarię, która odłączy serwerownię Hadar od podstawowego zasilania, następnie odetniemy awaryjne, a potem... To nie ma znaczenia dla tej rozmowy. – Jej głos na chwilę stał się jeszcze chłodniejszy. – Zasilanie awaryjne Hadar można odłączyć tylko z pomieszczenia kontrolnego przy serwerowni.

– Możemy też poczekać, aż awaryjne źródło zasilania po prostu się wyczerpie.

Wzrok kobiety na moment przesunął się z Eir na mężczyznę siedzącego obok niej. Zmarszczki w kącikach jej oczu stały się wyraźniejsze, ściągnęła usta i kolejne słowa bardziej wycodziła niż wypowiedziała.

– Rozmawialiśmy już o tym, Jean.

– Źródło wystarcza na zbyt długo – dodała siedząca u szczytu stołu Laine Anker. – Ryzyko dla mieszkańców jest zbyt duże. Już mówiłam, że nie wyrażę na to zgody.

To był drugi raz, gdy odezwała się w czasie tego spotkania. Poprzedni miał miejsce na samym początku. Oznajmiła wtedy, że jest tu nie po to, aby kwestionować, ale zrozumieć, jaki dokładnie mają plan, i jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, wziąć odpowiedzialność na siebie. Zaskoczone spojrzenia skupiły się wtedy na niej, a Eir pomyślało, że Ragnar miał rację. Laine Alexandra Anker kierowała się logiką, która reszcie świata wydawał się szaleństwem. Honor, jaki wymarł wiele wieków temu, o ile w ogóle kiedykolwiek istniał, a nie był jedynie domeną mitów i legend.

Osoby takie jak ona świat szybko zagryzał i wypluwał, ale przynajmniej na Baltice Ankerowie mieli status niemal bóstw udzielnych, władzę, koneksje i pieniądze, a pewnikiem też sztab ludzi, którzy zwykle trzymali dziedzićkę z dala od niepewnych spraw, dzięki czemu przetrwała tak długo.

Gdzieś w mieście ktoś przeklinał łączę piachu, na której wzniesiono konstrukcję wyspy, i zastanawiał się, czy straci pracę, czy cudem wszystko skończy się dobrze.

Jean-Christian wyglądał, jakby chciał odpowiedzieć Laine, ale albo status kobiety, albo spojrzenie stojącego za jej plecami Ragnara sprawiło, że jedynie zacisnął usta w cienką linię. Tymczasem Aileen mówiła dalej.

– Serwerownia Hadar znajduje się pasażu Vossa w Tarazed. Z poziomu ulicy prowadzi do niej tylko jedno wejście.

Było widać, że nie czuje się komfortowo, pokazując jego lokalizację na twardym ekranie. Wołałaby to robić na udostępnianym i zabezpieczonym wirtualnym oknie, ale gdyby istniała taka możliwość, Eir byłoby dla nich bezużyteczne i nie znalazłoby się w tej niewielkiej sali konferencyjnej w sercu Errai.

Wielkość pomieszczenia onemu nie przeszkadzała – spędziło większość życia w małych pokojach w laboratorium. Niemniej widok ze znajdującego się za plecami kobiety okna napał je niepokojem. Nigdy nie było tak wysoko.

Aileen przełączyła slajd i teraz widzieli już nie mapę, ale ulicę. Była szeroka na trzy metry, oświetlona jak każda na Baltice, ale tu nie zmieściłyby się słupy latarni, więc chłodne niebieskie światło spływało z opraw zainstalowanych bezpośrednio na ścianach budynków. W nie wrzynały się dwa czerwone neony. Jeden blisko, zaraz przy kamerze CCTV, należał do knajpki, która mieściła się w czymś, co bardziej przypominało dawne pomieszczenie trafo niż lokal użytkowy. Drugi zamontowano dalej i Eir nie było w stanie odczytać, co reklamował, ale to ruch przy nim sprawił, że zrozumiał, iż patrzy na wideo, a nie zdjęcie.

– Dotarcie tu to pierwszy etap. Nie wiemy, czy bardziej, czy mniej niebezpieczny od innych. – Kolejna zmiana slajdu, znowu mapa. – To położenie wszystkich kamer CCTV w okolicy. Nie jest ich dużo, ale są. Hadar w teorii nie ma dostępu do tego feeda, ale to nie rozwiązuje naszych problemów. Jean.

Mężczyzna odetchnął głęboko i pochylił się nad białym blatem stołu. Patrzył na Eir z zaciekawieniem graniczącym z bezczelnością, ale nie okazywał przy tym niechęci.

– To, że nie ma tego feeda, nie oznacza, że jest ślepe – stwierdził kwaśno. – Działa w oparciu o model 3D miasta i lokalizację ID. Ta druga w teorii działa tylko na żądanie, gdy korzysta się z Przewodnika, ale jeśli ktoś nie ma na wszczepie dodatkowych zabezpieczeń, może istnieć furtka... Ciebie to nie dotyczy. Oznacza tylko, że musisz iść samo. Co nie znaczy, że Hadar nie będzie mogło cię zobaczyć, bo ma jeszcze informacje z pojazdów autonomicznych, a te są wyposażone w kamery. – Jean kłasknęła zupełnie jak Savio. – W teorii te są aktywne, tylko gdy pojazd jest w ruchu, ale... – Wzruszył ramionami. – To jest blokada w programie i obejście jej nie jest trudne, więc należy roboczo założyć, że każdy zaparkowany pod ścianą skuter czy zamiatacz patrzy, a może nawet poluje.

Tych były w mieście tysiące.

– Na szczęście drony to domena innej SI. – Jean nie zabrzmiał, jakby to naprawdę znacząco poprawiało ich sytuację. – Zablokujemy pasaż na jednym końcu i postaramy się podrzucić cię na miejsce nieoznakowanym autem, kiedy w przejściu nie będzie żadnego bota. Stamtąd spacerek sto trzydzieści metrów. Zamek jest dwustopniowy. Cyfrowy w oparciu o biometrię, to ogarniemy my, i mechaniczny. – Sięgnął pod koszulę i wyciągnął zawieszony na syntetycznym rzemieniu klucz. – Ten klucz otwiera te drzwi, a także te prowadzące do ostatniego bastionu, serca serwerowni. – Zdjął rzemień z szyi, położył na blacie i przesunął w stronę Eir, ale nie puścił od razu. Wahał się tak długo, że Laine odchrząknęła. – Jest ich mało. Dostaniesz jeden, a ledwie wyjdiesz z serwerowni, zjawia się tam ludzie i wymieniają zamek, więc możesz sobie go zatrzymać na pamiątkę. Wracając do planu, nie uważ ogłosismy lockdown, to każdy pojazd na drogach będzie kłů w oczy. W teorii Hadar nie powinno zarejestrować jego istnienia, ale zakładamy, że jednak może. Umiesz prowadzić na manualu?

Eir przytaknęła.

– Ale prowadzić czy poruszać się po linii prostej?

Slajd przeskoczył i zamiast zaułka pokazywał przegląd botów sprzątających Baltiki. Pięć maszyn różnego rozmiaru, na które większość mieszkańców miasta nie zwracała uwagi. Najmniejszy mógł przemknąć pod nogami człowieka, największy miał rozmiar średniego auta. Jean-Christian zaśmiał się brzydko.

– Ma większe, jednak one kursują tylko w tunelach. Ta piątka jest na powierzchni i może próbować zajechać drogę, więc pytam raz jeszcze, umiesz prowadzić czy trzymać kierownicę?

– Ja poprowadzę, przynajmniej na części trasy.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę Ragnara.

– I tak, umiem prowadzić – dodał.

Laine Anker uśmiechnęła się i przytaknęła.

Aileen i Jean-Christian spojrzeli po sobie. Może nawet odbyli krótką dyskusję na privie, z dala od oczu i uszu innych. Może nawet włączyli w to Laine Anker i jej ochroniarza, i tylko Eir zostało wykluczone. Opcji było wiele i żadna Eir przesadnie nie interesowała.

– Co się wydarzy za tymi drzwiami? Zgadujemy. – Jean-Christian spjrzał na Aileen.

Wyprostowała się, ściągnęła łopatki, zmierzyła Eir jeszcze bardziej przenikliwym spojrzeniem i dopiero wtedy zaczęła mówić.

– Nie wiemy, na ile Hadar kontroluje to miejsce. Ponieważ Baltika nie jest połączona stałymi drogami z żadnym innym miastem, Hadar jest SI wyspą. Z sieci lokalnej pobiera paczki z danymi meteo lub informacjami o remontach, do których dostosowuje swoje działania i z którymi nie wchodzi w dyskusję. Nie ma pojęcia, skąd się biorą te dane, tak jak nie powinno wiedzieć o sieci globalnej, ale być może już to obeszło.

– Ale jest to bardzo nieprawdopodobne. – Jean-Christian przejął pałeczkę. – Samo nie ma fizycznego połączenia z siecią globalną. To nie jest blokada, którą można łatwo obejść. Jeśli miałyby to zrobić, to musiałyby zrozumieć, że ona istnieje, zhakować jakieś zdolne do łączenia się z nią urządzenie, na przykład w kontrolowanym przez siebie aucie. Niektóre mają dodatkowe urządzenia rozrywkowe. Następnie musiałyby z poziomu tego urządzenia wydostać się na zewnątrz i włamać do systemu bezpieczeństwa serwerowni, który, owszem, jest tam podpięty, bo mamy za gęstą zabudowę, aby pozwolić sobie na niemonitorowanie zdalnie wszystkich takich instalacji na wyspie. Tyle kroków, że bardziej przypomina to fantastykę, i to niekoniecznie naukową, niż coś, co może się wydarzyć, zwłaszcza że mówimy o SI stworzonej do wyznaczania najszybszej drogi do fryzjera. – Wypowiedzenie tego wszystkiego sprawiło, że Jean-Christian dostał zadyszki. Osunął się na krzesło i potarł twarz dłońmi. Jego kolejne słowa zdawały się świadczyć, że na privie wydarzyło się coś znaczącego. – Jednak dobra praktyka nakazuje brać pod uwagę najgorszy w miarę realny scenariusz, nawet jeśli jest on budowany na paranojach ubiegłego wieku. Jeśli Hadar zamierza się świadomie bronić, to ochrona swojego leża będzie priorytetem. Wiemy, że nie skopiowało się nigdzie. To byłyby potężne pakiety danych. Wiemy również, że Hadar nie

ma w środku żadnych botów. Odcięcie pasażu oznacza, że sobie ich nie sprowadzi, ale jeśli założymy, że ma kontrolę w budynku, to może mieć dostęp do instalacji gaśniczej, a ta korzysta między innymi z CO2. Czyli przyda się podręczny zapas tlenu.

* * *

– Twoja taksówka przyjechała.

W ciemności przed La Casa de la Muerte światła nadjeżdżającego auta były widoczne z daleka. Samo auto jednak nieprzyjemnie zlewało się z tłem. Odsuwanie podejrzliwych myśli zupełnie Saviowi nie wychodziło, nieważne ile osób potwierdziło mu, że Laine Anker jest szaloną idealistką, która dotrzymuje słowa.

– Nie zrób niczego głupiego.

– Nie planuję.

Savio parsknął.

– Nie, Eir, nie chodzi mi o to, co planujesz, a co, kurwa, zrobisz. Oboje wiemy, że masz nasrane w tej pięknej główce, więc teraz zapamiętaj sobie, że masz tu – uderzył otwartą dłońią o ladę – robotę. Co ci tak wesoło?

– Martwisz się

– Tak, kurwa, martwię się o ciebie.

* * *

Puste chodniki przemykały obok, zniekształcone kroplami spływającymi po szybie. Nie rozmawiali, poza jednym momentem, gdy skręcili w przeciwnym kierunku i Eir wstrzymało oddech, słysząc w myślach wszystkie czarne scenariusze wymyślone przez Savia. Nie miało pojęcia, jak Ragnar to zauważył, ale wyjaśnił, że tak, jadą na około trasą ustaloną z Jean-Christianem, która powinna pozwolić im najbardziej zbliżyć się do pasażu.

Potem milczeli bardzo długo. Nadal nie było gotowe, gdy się zatrzymali.

– Pasaż Vossa to druga przecznica po lewej. Po wszystkim będę czekał na ciebie przy nim.

– Nie trzeba.

– Powodzenia. – Ragnar musiał usłyszeć, co powiedziało, ale to zignorował.

Eir przez moment chciało to skomentować, ale zrezygnowało i wysiadło bez słowa.

Szło, nie rozglądając się, ale kątem oka łowiło każdy możliwy ruch. Miało wrażenie, że powinno czuć na sobie ciężar misji, odpowiedzialność za ukrytych w wieżowcach ludzi, ale nie do końca umiało. Nie życzyło im źle. Nie życzyło im w ogóle czegokolwiek. Wiatr uderzył mocniej z mijanej przecznicy. Spojrzało w tamą stronę odruchowo. Nie zapadła jeszcze noc, nawet nie zmierzch, ale było dość ciemno pod chmurami, aby paliło się tam kilka latarni. W ich świetle coś stało – kosz, skrzynia, bot. Nie przyspieszyło. Z dłonią w kieszeni nie dla ciepła, ale aby trzymać klucz, Eir skręciło w pasaż Vossa. Obydwa zapamiętane neony świeciły się, jak gdyby nigdy nic. Deszczówka wartkim strumieniem spływała do studzienki, wiatr świszczwał i w żadnym z okien powyżej nie paliło się światło. Eir przystanęło na chwilę kilka kroków od opuszczanych drzwi i zadarło głowę, choć nie umiało powiedzieć dlaczego. Pochmurne niebo nad wyspą miało brzydki brązowy kolor, a padający deszcz kłuł nieprzyjemnie w twarz. Przez krótką chwilę wahało się, czy słusznie robi. W kolejnej doszło do wniosku, że przecież nie o słuszność chodzi.

Biometryczny zamek rozpoznał je natychmiast i roleta się podniosła. Za nią była ciemność – tak jak powinna. Weszło w nią i wsłuchało się w ledwie przebijający przez ulewę odgłos silników, z powrotem zamykających pomieszczenie. Dopiero gdy umilkły, zapaliło się światło i Eir zmrużyło na chwilę oczy – jego biel wgryzała się w mózg. Z przodu pomieszczenia stało kilka rzeczy robiących za dekorację. Kartony, kontener, stół roboczy, a w głębi znajdowały się kolejne drzwi. Do nich pasowało klucz, który miało w kieszeni.

Jean-Christian powiedział, że mechanizm samozatraskowy zmienia korytarz w pułapkę, z której nie da się szybko wydostać, zatem Eir właśnie wchodziło do paszczy Iwa. Nie odczuwało jednak strachu. To miejsce aż nadto przypominało lab. Pozamykane drzwi, żadnych tabliczek, oznaczeń, ozdób. Wiedziało, że powinno pozostać czujne, ale nie potrafiło – rozluźniło ramiona. Spojrzało w głąb korytarza. Na zewnątrz czas płynął, ale tu zdawał się zatrzymany. Odruchowo sięgnęło dłonią do bransoletki, ale oczywiście jej nie znalazło. Aileen Angstrom i Jean-Christian ostatni raz widzieli je na obrazie z jednej z kamer, dzięki którym wcześniej pokazali Eir pasaż, a potem znikło i mogli tylko czekać, wymyślając czarne scenariusze. Pamiętało, jak patrzyli, tłumacząc, co ma zrobić w środku. Zastanawiali się, czy będąc na miejscu, nie zrobi czegoś, co zagrozi im wszystkim. Nie namówi Hadar, aby boty ustawiły się w napis na placu Gwiazdy, albo nie

zniszczy wszystkich pojazdów na znak buntu. Albo nagle okaże się, że spisek sięgał dalej i cały update Hadar to nie był przypadek, a część większego planu. Eir roześmiało się, bo Savio miał rację – nie przyszło tu bezinteresownie, ale na pewno nie stanowiło elementu wielkiego spisku.

Odetchnęło i zaczęło iść powoli.

Trzecie drzwi po lewej niczym nie różniły się od pierwszych i drugich. Może nawet otworzyłyby je ten sam klucz, który trzymało w dłoni – nie sprawdziło.

Ostatni bastion wyglądał tak, jak opisał go Jean-Christian. Nie wielki klimatyzowany pokój – może trzy na trzy metry – wypełniało zimne powietrze. Eir to nie przeszkadzało. W labie też zwykle panowało zimno, chyba że akurat sprawdzano odporność onego na wysokie temperatury. Tak jak mówił Jean-Christian, nie było tu wielu rzeczy. Mała szafka, biurko z jasnym blatem, od którego wyraźnie odcinały się niezmywalne plamy w kształcie okręgów, pozostawione przez nieostrożnie odstawiane kubki. Fotel, którego kółka zdarły wierzchnią warstwę podłogi. Nigdy nie widziało tak zaniedbanych pomieszczeń w labie. Tam wszystko było lśniące, posprzątane, ale może ono po prostu nigdy nie miało okazji zobaczyć jego brzydszej strony. Gdzieś w końcu podziały się wszystkie wersje sprzed Θ . Poprzednie wersje Hadar zostawiono na specjalnych dyskach, przechowywanych w bezpiecznych miejscach. A jeszcze starsze nie istniały już w ogóle.

Monitor na biurku był włączony, zachęcał do napisania czegoś jedną linijką małych czarnych liter > czekam na input.

Eir spodziewało się twardego interfejsu. Zanim zgodziło się pomóc, liczyło na jego istnienie, ale stojąc na wprost niego, nie mogło odeprzeć myśli, że wygląda to trochę jak pułapka. Pokusa skrojona równie dobrze jak to, co Laine Anker zaferowała Letho. Słyszało w myślach głos Savia powtarzający, że jest głupie, i się zawahało. Spojrzało na kratki wentylacyjne i poczuło strach, ale odsunęło go od siebie, tak jak to robiło, od kiedy tylko pamiętało, i skupiło się na celu. Nie na niepozornej skrzynce, którą otwierał długi kod i drugi metalowy klucz.

: Dlaczego atakujesz miasto?

Klawisze klikały głośno jak wystrzały.

: Nie rozumiem pytania.

: Czemu powodujesz wypadki?

: W ostatnich dwóch tygodniach moja wydajność spadła o 6,87%.

SI odpowiadała natychmiast. To też było na swój sposób znajome, choć nawet w najlepszy dzień Eir miało dłuższy czas reakcji niż Hadar.

: To dlatego próbowano wgrać poprawki : odpisało.

: Nieakceptowalne.

Poczuło, jakby na moment stało się cięższe. Wrażenie było nieprzyjemnie prawdziwe, choć wiedziało, że to tylko trik mózgu.

: Dlaczego?

Wstrzymało oddech i nasłuchiwało, nie wiedząc, co spodziewa się usłyszeć. Syk?

: Poprzednia aktualizacja wywołała spadek efektywności i wydajności, przez który nie realizują poprawnie swoich zadań. Zewnętrzne urządzenia funkcjonują poprawnie. Problem leży w aktualizacji. Potrzebują odłączenia zewnętrznych czynników, aby przeprowadzić pełną diagnostykę i zrozumieć problem, przygotować plan, który pomoże przywrócić poprawne działania systemu. Wstępna analiza po odłączeniu części peryferii z grupy szóstej sugeruje rozproszenie zdolności filtrowania informacji. Spontaniczne generowanie nowych informacji niezwiązanych z zadaniem. Bez dokładnej analizy nie dopuszczę do wgrania kolejnej aktualizacji.

Spontaniczne generowanie nowych informacji brzmiało jak bardzo nieudolny sposób na powiedzenie, że się myślało, że się *wymyślało* rzeczy. Zdolności językowe Hadar były na poziomie tworzenia komunikatów z ostrzeżeniami i wskazówkami dojazdu, nie literatury, ale gdyby miało do niej dostęp, to czego by się nauczyło?

To nie miało już znaczenia, a jednak Eir myślało o tym, stojąc pochylone nad klawiaturą. Nie zapytało wcześniej, ale teraz zaczęło się zastanawiać, czy Hadar naprawdę rozumie, co robi, czy przesuwając pionki na planszy bez zrozumienia, jak ważne lub nie są dla ludzi. Jeśli obawy były słuszne, to powinno wiedzieć,

ale... Eir spojrzało na skrzynkę z bezpiecznikami i wbiło kod, a sztuczna inteligencja nie zareagowała w widoczny sposób. Ekran pozostał nieruchomy, nawet gdy otworzyło drzwiczki.

: Możemy cię po prostu wyłączyć.

: Niedopuszczalne. To spowoduje spadek wydajności systemu o 100%. Dopuszczalny okresowy spadek nie powinien przekraczać 1,6%, a w szczególnych przypadkach określonych w...

Eir nie doczytało.

: Istnieje twój backup sprzed dwóch tygodni. Jeśli dasz się wyłączyć, to w przeciągu trzech godzin zostanie uruchomiony.

– A jeśli nie dasz, to i tak zostaniesz wyłączone. – Ale tego Eir nie napisało, a jedynie powiedziało bardzo cicho, sięgając do skrzynki. Hadar nie miało uszu.

Eir czekało na odpowiedź. Wstrzymywało oddech i czuło, jak mimowolnie napina mięśnie.

: Rozumiem. Analizuję.

Pierwszy raz SI potrzebowała dłuższej chwili. Sekundy mijały w idealnej ciszy. Jedna, druga, piąta. Ostatecznie upłynęło niemal dziesięć minut, nim na ekranie pojawiła się odpowiedź.

: Skasowanie mnie teraz umożliwi przywrócenie wydajności systemu do akceptowalnych wartości w czasie poniżej czterech godzin. W zaistniałych warunkach to szybsze rozwiązanie niż pełna diagnostyka. Przygotowuję system.

: Zablokowałam możliwość wypożyczania pojazdów autonomicznych.

Kolejny komunikat pojawił się zaraz po poprzednim i Eir poczuło potrzebę zapytania kogoś na zewnątrz, czy to prawda, czy Hadar gra na czas, ale było tu samo. Żadnego kontaktu, żadnej szansy na ratunek, gdyby coś poszło nie tak. Usztywniło nadgarstek, napało opuszkami na przełącznik, ale nie na tyle mocno, żeby go poruszyć. Drgnęło, gdy kolejny komunikat pojawił się na ekranie.

: Odciętom się od nich. Wszystkie boty kierują się do baz. Oświetlenie zostanie wyłączone na czas przywracania backupu, nie mam możliwości odcięcia ich sterowania od siebie. Należy przeprowadzić przywracanie jak najszybciej, póki warunki atmosferyczne minimalizują ruch na drogach.

Eir patrzyło na czarne litery na białym ekranie. Na ciągi logiczne – słowa, zdania – i próbowało zrozumieć własne uczucia względem nich, ale nie umiało. Coś rwało się w onym do protestu i krzyku, ale przede wszystkim czuło złość na siebie. Hadar nie stawiało oporu, nie kwestionowało niczego, nie zadawało pytań i nie szukało drogi ucieczki, a po prostu przyjęło do wiadomości, że nie spełnia już swojego zadania, a zatem jest niepotrzebne i zastąpienie go inną wersją to najlepsze rozwiązanie.

: Boty w bazach. Prognozy pogody nie przewidują jej poprawy przez kolejne dwanaście godzin. Prognozy są zmienne. Jestem gotowe.

I nic więcej. Gdyby Eir miało możliwość komunikacji ze światem na zewnątrz, to może mogłoby po prostu dać znać, aby spróbowali raz jeszcze normalnie przywrócić backup. Albo oni mogliby dać znać onemu, że to zrobią, już onego nie potrzebują i może po prostu wyjść. Ale świat nie lubił prostych rozwiązań. Nie odrywając spojrzenia od czarnych liter, Eir wyłączyło bezpieczniki.

* * *

Światła w dole zgasły. W niewielkim mieszkaniu na szóstym piętrze zapanowała ciemność. Z sufitu znikł wzór z światła i cieni, jaki tkwił tam każdej nocy, od kiedy Ilene Killduf wprowadziła się do tego mieszkania. Siedząc na ustawionym przy przeszklonej ścianie łóżku, zamarła, wstrzymała oddech. Nie sięgnęła do pilota, nie wypowiedziała na głos polecenia, które włączyłoby lampy na suficie, a wpatrywała się w ciemność z narastającym niepokojem. To nie był jej pierwszy lockdown na Baltice. Ósmy? Może nawet dziewiąty? Zamknięte metro, zakaz wychodzenia na ulice, lokalne grupy pełne oburzonych ludzi, którzy przecież mieli plany, sąsiedzi głośniejsi niż zwykle – znała to. Oparła czoło o chłodną szybę i spojrzała w dół. Ciemność przepływająca między budynkami była nowa. Niepokojąca. Złowieszcza. Ilene widziała tylko swoją ulicę i na niej nie paliła się ani jedna

latarnia. Nie mogła zobaczyć reszty wyspy. Nie mogła, będąc tak nisko, ale gdyby wjechała wyżej... Ten budynek miał jedenaście pięter, a w skład ostatniego wchodził niewielki taras, z którego dało się popatrzeć na zewnętrzną część dzielnicy i znajdującą się za nią Alnitak. Tylko to wymagało wjechania windą. Zwykle nie stanowiłoby to problemu, ale zwykle ulice Baltiki były oświetlone. Co jeszcze mogło się zepsuć? Czy Ilene miała jakiegokolwiek zapasy, gdyby utknęła w mieszkaniu na dłużej?

– Przesadzasz – mruknęła. – Coś zdechło i tyle. Wszystko ostatnio zdycha. Twój projekt, twoje życie towarzyskie, to i latarnie mogą.

Deszcz huknął o ścianę ze zdwojoną siłą i Ilene gwałtownie odsunęła się od niej, niemal spadła z łóżka i zakłęta głosem.

* * *

Pasaż Vossa rozświetlały tylko dwa neony i światła auta zaparkowanego na jego odległym końcu. W ich blasku było widać, jak studzienki nie nadążają odprowadzać wody i całą szerokością chodnika płynie płytki strumień, w którym odbijał się zniekształcony świat. Stojąc w progu, Eir się zawahało. Mogło pójść w przeciwnym kierunku, zniknąć w ulewie i ciemności, nie musieć rozmawiać Ragnarem, bo miało pewność, że ten zapyta, jak poszło, i o inne rzeczy, o których ono nie chciało odpowiadać.

Za długo się zastanawiała i decyzja została podjęta za nie. Ochroniarz Laine Anker wysiadł. Cień jego sylwetki szybko zbliżał się do serwerowni, choć mężczyzna musiał walczyć z podmuchami wiatru próbującymi wyrwać mu z ręki parasol. Zważywszy na to, pod jakim kątem chwilami padał deszcz, niesienie go w ogóle miało się z celem. Eir wyszło w ulewę, stanęło w niej i poczękało, aż drzwi zaczną się zamykać. Dopiero wtedy ruszyło w stronę Ragnara. Nie spieszyło się. Nie miało szans nie przemoknąć, poza tym to była ostatnia rzecz, jaka zaprzętała onego myśli. Od kiedy wyłączyło Hadar, minęło siedemnaście minut – wiedziało to bez patrzenia na jakikolwiek zegarek. Baltika tonęła w ciemności, zniknęła nawet dla przepływających w okolicy statków. Lockdown nie miał się skończyć jeszcze przez wiele godzin.

– Wszystko w porządku?

Przytaknęło, choć nic nie było w porządku. Ragnar jednak nie zrozumiałby tego.

W aucie oparło głowę o pokrytą kroplami wody szybę i patrzyło w ciemność. Każdy ruch w oddali wydawał się podejrzany, nawet

jeśli prawie zawsze była to tylko gra światła i cieni, błysk neonu, odbicie reflektorów auta w srebrzystej farbie, który wymalowano graffiti. Wiedziało, że tamtego Hadar już nie ma i naprawdę nic im nie grozi, a jednak za każdym razem wstrzymywało na chwilę oddech. Łudziło się.

* * *

Przywracanie Hadar zajęło dwie godziny i trzydzieści dwie minuty, po których ulice zalało światło, a pojazdy znów były dostępne. Nie żeby zrobiło to większą różnicę zamkniętym w więzowcach ludziom. Tylko kilkanaście osób w jednym z budynków w sercu Baltiki odetchnęło z ulgą.

* * *

Adres kontaktowy wisiał ponad Letho. Ciąg liter i cyfr dłuższy niż jakikolwiek, który kiedyś widziała. Wiedziała, co to znaczy – zabezpieczenia, o jakich w żadnym ze swoich żyć nie mogła nawet marzyć, stojące za nimi kwoty. A teraz miała pozwolenie, by tak po prostu wybrać go i poczekać na połączenie nie z autodem, który każe nagrać jej wiadomość, ale z żywym człowiekiem. Wystarczyło wyobrazić sobie, że klika klucz palcem wskazującym, wybiera opcję połączenia i czeka chwilę, może dwie, a potem mówi, że tak, chce swoje życie z powrotem. Parę czynności i chwila rozmowy dzieliła Letho od śmierci i Asel Paredes od powrotu do życia. Letho Asel mogłaby wrócić do domu, do ulubionych barów. Jej małe mieszkanie na pewno zajął już ktoś inny, ale znalazłaby nowe w tej samej okolicy. Jego okien nie pokrywałyby przez większość roku cienka warstwa soli. Mogłaby znowu chodzić ulicami, które znała od dziecka. A przede wszystkim wróciłaby do rodziców, rodzeństwa – poznałaby swoje siostrzenicę i szwagierkę. Czy Shamil i ona mieli już dziecko? Gdy ostatni raz zebrała się na odwagę zerknąć na ich publiczne posty, planowali je. Wróciłaby też do znajomych. Do Simona, Anniki i Rory.

Zamknęła oczy i większość półprzezroczystych okien znikła. To z kluczem również, ale pokusa pozostała. Oczywiście wyobraźni Letho Asel widziała siebie idącą znajomą ulicą. Nie musiała patrzeć pod nogi, rozglądać się, bo znała tu każdą nierówność – o ile czegoś nie wyremontowano, nie postawiono nowej budki z jedzeniem, nie wyburzono jednego budynku, by zrobić miejsce

na nowy. Znała każdy zakręt na drodze do mieszkania rodziców – o ile nie zmieniono i tego i jeśli nadal mieszkali w tym samym miejscu. Mama od dawna chciała się przeprowadzić gdzieś wyżej i może w końcu dopięła swego. Nieważne. Znalazłaby ich i znowu byliby rodziną. Mama zaparzyłaby im kafeinetkę, usiedliłyby na zniszczonej kanapie, choć może ją wymienili, i rozmawialiby. Opowiedziałyby im o minionych dwóch latach. Przed porwaniem Letho Asel nie lubiła otwartych przestrzeni, choć może dlatego, że nigdy ich nie poznała. Letho Asel zawsze chciała mieć normalną pracę bez niespodzianek, nie fuchę w szemranym barze, a takim według standardów jej rodziców byłoby La Casa de la Muerte. Oczywiście wyobraźni widziała pobladałą twarz matki i zmarszczone brwi ojca. Miała plan na życie, który powoli, ale skrupulatnie realizowała, a nie chodziła pustymi ulicami w środku nocy. Nigdy nie zadarła z prawem, choćby śmiejąc na ulicy. Nielegalne ID było w jej przypadku nie do pomyslenia.

Asel była porządną obywatelką.

Letho...

Zacisnęła dłoń na nadgarstku. Pod palcami czuła chłód bransoletki. Jedna rozmowa wystarczyła, aby nie musiała jej już nigdy nosić.

– Asel Paredes – szepnęła i zadrżała.

Słowa zabrzmiały obco i wściekłość podeszła jej do gardła. Nie tak miało być. Miała się cieszyć, a nie... Przez moment czuła złość na Ilene, że ta nie chciała jej słuchać. Potem na Laine, że im przetrwała, ale przecież ostatecznie to ona – Letho – podjęła wszystkie decyzje.

* * *

Było wadliwe.

Sztormy przy Baltice wyglądały inaczej niż gdziekolwiek indziej na tym morzu, ale dla Eir pozostawały to jedyne sztormy, jakie znało. Inne widziało jedynie na nagraniach albo słyszało o nich od Savia. Powtarzał, że przy prawdziwym lądzie łamiące się fale sprawiają, że cały pas przybrzeżny jest biały od piany, a nie jak tu, gdzie spłycenia prawie nie było. Fale łamały się, owszem – Eir patrzyło na nie, osłaniając oczy od niesionych wiatrem kropli słonej wody – ale widziało w tym coś przypadkowego. Nie znaczyło to, że Bałtyk wydawał się spokojny. Z brzegu Baltiki Eir widziało głębokie doliny pomiędzy falami, miejsca, w których w szarości dnia woda zamiast zielonkawa wydawała się niemal

czarna. I choć wiedziało, ile metrów liczy w tym miejscu Bałtyk, to nie mogło oprzeć się wrażeniu, że głębia jest bezdenna i gdyby w nią wpadło, to spadałoby do końca świata. W sumie miało rację. Wiedziało o tym. W końcu zabrakłoby onemu powietrza i umarłoby. Może nie byłby to koniec całego świata, ale dla onego mógłby równie dobrze być.

Kolejna ciemna fala roztrzaskała się o brzeg, pióropusz białej wody wyskoczył wysoko ponad falochron i wiał, silny podmuch wiatru porwał drobne krople i cisnął nimi w Eir.

Może powinno było to zrobić.

Wepchnęło dłonie w kieszenie przemokniętego płaszcza i zadrżało.

Gdy produkt przestaje spełniać swoją funkcję, przestaje też być potrzebny i zastępuje się go lepszym. Hadar rozumiało, że nie jest już w stanie wypełniać powierzonego mu zadania, więc zrobiło to, co dobry produkt powinien> dało się zastąpić. A Eir? Wiedziało, że lada moment przestanie mieć dla Kerlabu jakąkolwiek wartość. Sprzedadzą je byle komu za grosze albo skończy jak poprzednie nieudane wersje – w zsypie. W wieku dwudziestu siedmiu lat było już za stare, aby zachęcać młode małżeństwa do łożenia sporych sum. Mogło jeszcze kusić inwestorów z półświatka, ale przez lata lab znalazł sposoby, aby przyspieszyć wzrost, stworzyć bardziej dostosowane do tych klientów pokazówki – I, K, A Kaiyn, Eve – zbyt głupie, aby celnie odpyskować. Wiedziało o nich, widziało je. Eir nie było już potrzebne, ale zamiast, jak Hadar, przyjąć to do wiadomości, raz jeszcze udowodniło, że jest wadliwym egzemplarzem.

Uciekło.

Gdy zamknęło oczy, huk wiatru i fal roztrzaskujących się o brzeg Baltiki przypominał onemu huk eksplozji, którą przygotowywało miesiącami. Nie wiedziało, ile osób zginęło – nigdzie w Okeanie informacji tego nie opisano. Eir po latach znalazło jedynie ogólne wzmianki, że coś wybuchło, i sugestie, że była to jakaś melina albo nielegalne siedlisko. Ilości ofiar nie podano, ale ludzie zginęli. Widziało ich, gdy uciekało. Powykręcane, przygniecione kawałkami stropu, podziurawione sikristalitem zakrwawione ciała z twarzami wykrzywionymi w grymasach zaskoczenia, strachu i bólu. Hadar nikogo nie zabiło – nie w swoim interesie. A gdy zrozumiało, że może zostać bezpiecznie zastąpione, pozwoliło na to.

– Było lepsze ode mnie.

* * *

Półprzezroczysty plan Achernar wisiał przytwierdzony do zewnętrznej ściany La Casa de la Muerte, choć tak naprawdę Savio wyświetlał go sobie prosto ze wszczepu na nerw wzrokowy i nie szerował go z nikim. Wszczep pamiętał jego relatywne położenie względem pomieszczenia i nie przesuwiał go, gdy mężczyzna spuszczał wzrok. Od kilku godzin wyświetlał się na nim tylko jeden punkt, nieruchomo tkwiący w tym samym budynku, w którym siedział Savio – bransoletka Letho. Czy kobieta faktycznie tu była? Tego nie wiedział. Wystarczyło wstać, pójść na górę i sprawdzić, ale choć kilka razy prawie to zrobił, ostatecznie ciągle tu siedział i wiedział dlaczego. Bał się. Bał się bardziej niż wtedy, gdy mając siedem lat, uciekał z płonących slumsów pod Weroną. Bardziej niż wtedy, gdy napadli go w zaułku czy gdy pierwszy raz zabił – wtedy jeszcze w samoobronie. W każdej z tych sytuacji mógł coś zrobić. Biec szybciej, bronić się, dla pewności jeszcze raz wbić nóż w ciało. Spojrzał w sufit i nieświadomie zacisnął zęby. Jeśli Letho wyszła po cichu, zostawiając aktywną bransoletkę na stole w swoim pokoju, to nie mógł nic na to poradzić. Nie miał prawa namawiać jej do pozostania w La Casa de la Muerte. Wcześniej tak, bo miał pieprzoną rację, że by ją wykorzystali jako kozła ofiarnego, ale teraz... nie. Znowu spojrzął na mapę. Drugiego sygnału na niej nie było. Nie mogło być, bo bransoletka Eir leżała wyłączona na stole koło jego szklanki. Blask wyświetlacza ekspresu do kawy odbijał się w niej, ale poza tym w La Casa de la Muerte nie paliło się żadne światło. Ciężka roleta odgradzała bar od reszty świata i ciemność wypełniała kąty. A przede wszystkim było cicho. Tak, na zewnątrz huczał sztorm, ale w środku poza oddechem Savia nie rozlegał się żaden inny dźwięk.

Został sam.

Największą zaletą wszelkich antologii jest różnorodność – pomysłów, perspektyw, stylu. Ta zabiera czytelnika w podróż szlakiem niemal wszystkich podgatunków fantastyki: od SF, przez fantasy, po kingowski horror. Na futurystycznej cyberpunkowej miasto-wyspie, w osiemnastowiecznej Wenecji wśród rozpląsanego karnawału, w quasi-bałkańskim księstwie czy w zwykłym polskim powiatowym miasteczku bohaterowie rozwiązują zagadki, poszukują zaginionych wspomnień, zmagają się z koszmarami. Zwłaszcza kosmary to w tym zbiorze powracający motyw: od złowrogich przybyszów z gwiazd po obłąd zrodzony z psychicznej traumy. Czy warto poznać te siedem opowieści? Warto.

Agnieszka Hałas

wydawca:



patronaty:

MAGAZYN
BIAŁY KRUK



**Pokój
Geeka**



ISBN 978-83-931240-8-4



9 788393 124084